


KSIAŻE GŁUPCÓW

TRYLOGIA
WOJNA CZERWONEJ KROLOWEJ
TOM I

MARK LAWRENCE

PAPIER  WYKSIEŻYC

KSIAŻE
GŁUPCÓW

MARK LAWRENCE

WOJNA CZERWONEJ KRÓLOWEJ

TOM I

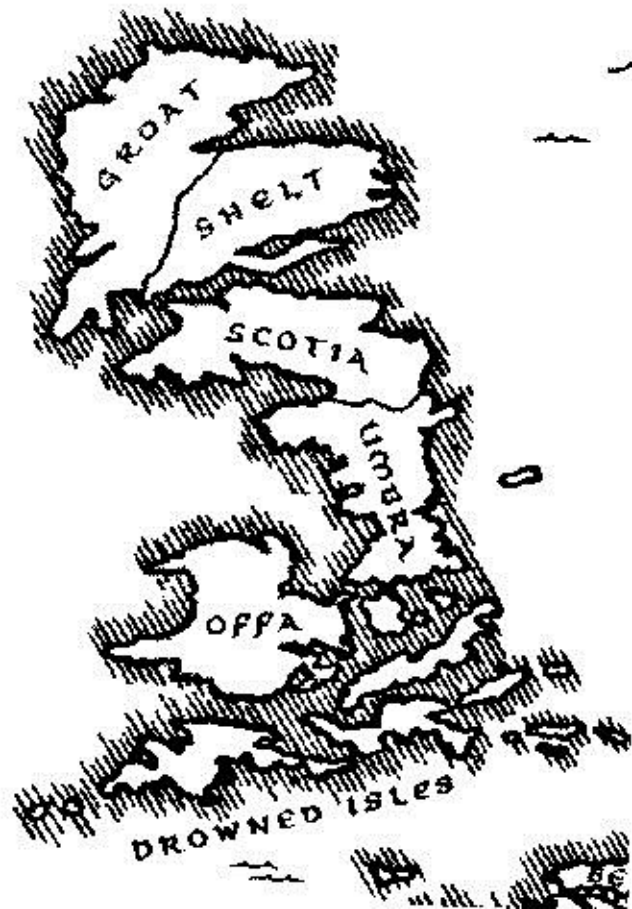
KSIAŻE
GŁUPCÓW

Tłumaczenie
Marek Najter

PAPIER  WYKSIĘZYC

Słupsk 2017

N O R T H





Jestem kłamcą, oszustem i tchórzem, ale nigdy, przenigdy nie zawiódłbym przyjaciela. No chyba że wymagałoby to szczerości, uczciwości i odwagi.

Zawsze uważałem, że najlepszym sposobem na załatwianie spraw jest cios w plecy. Czasami można to osiągnąć, uciekając się do podstępów. Klasyczne „O, co to, tam?” sprawdza się zadziwiająco często, ale prawdziwie optymalny rezultat uzyskuje się, gdy dana osoba w ogóle cię nie zauważy.

- A! Jezu! Czemuś to zrobił?! - Alain DeVeer odwrócił się, łapiąc za kark, po czym zdjął z niego zakrwawioną dłoń.

Jeśli osoba zaatakowana od tyłu nie posiada na tyle przyzwoitości, by z miejsca paść na ziemię, warto mieć plan awaryjny. Cisnąłem resztki wazy, odwróciłem się i rzuciłem do ucieczki. Według pierwotnego planu przewracał się z żalonym „oooch”, a ja przekroczywszy leżącego bez ducha, wymykałem się z rezydencji niezauważony przez nikogo. Niestety on, pełen ducha, zaczął gonić mnie korytarzem, dysząc żądzą krwi.

Wpadłem do komnaty Lisy, zatrzasnąłem za sobą drzwi i zaparłem się, gotując na uderzenie.

- Co u licha? - Lisa usiadła na łóżku, a z jej nagiego ciała, niczym woda, spłynęły jedwabne prześcieradła.

- Uh. - Alain grzmotnął w drzwi, wybijając mi dech z piersi i sprawiając, że stopy zaczęły mi się ślizgać po płytkach. Trick polega na tym, żeby nie rzucać się od razu do ucieczki. Jak zaczniesz się odwracać, dostajesz drzwiami prosto w twarz. Lepiej przygotować się na zderzenie i dopiero potem wziąć nogi za pas, wykorzystując moment, kiedy druga strona zbiera gnaty z podłogi. Alain zbierał je niepokojąco szybko i mimo powziętych środków ostrożności, o mało co nie poczęstował mnie klamką w ramach śniadania.

- Jal! - Lisa wyskoczyła z łóżka. Teraz już okrywały ją jedynie światła i cienie padające przez okiennice. Była słodsza od starszej siostry i ostrzejsza od młodszej. Poczulem pożądanie, mimo iż jej rozjuszonego brata dzielił ode mnie jedynie cal dębiny, a moje szanse na ucieczkę zmniejszały się z każdą chwilą.

Podbiegłem do największego z okien i szarpnąłem za okiennice.

- Przepróś brata w moim imieniu. - Przerzuciłem nogę przez parapet. - Powiedz, że to pomyłka czy coś... - Drzwi zatrzęsły się pod łupnięciami Alaina.

- Alain? - Na twarzy Lisy odbiły się jednocześnie wściekłość i przerażenie. Nie zatrzymując się na udzielanie wyjaśnień, zanurkowałem w krzewy pod oknem. Na szczęście gąszcz w tym miejscu składał się z gatunków wonnych, nie ciernistych. Upadek w krzewy cierniste mógł skończyć się długotrwałym cierpieniem.

Łądowanie to rzecz istotna. Ponieważ upadki to moja specjalność, wiem, że nie ważne jak się zaczyna, ważne, jak się kończy. W tym przypadku skończyłem w kucki, z piętami na tyłku, brodą na kolanach, połową azalii w nosie i bez tchu, ale za to z całymi kośćmi. Wyplątałem się z zarośli i łapiąc oddech, pokuśtykałem w stronę muru, z nadzieją, że zajęta porannymi obowiązkami służba nie ruszy za mną w pościg.

Przeciąłem skwery, ogród ziołowy, brodząc na wskroś przez małe rąby szaławii oraz trójkąciki tymianku i innego zielska. Gdzieś zza pleców, od strony domu, dobiegło mnie szczekanie. Dźwięk ten obudził we mnie niepokój. Normalnie jestem świetnym biegaczem. Posrany, jestem mistrzem. Dwa lata wcześniej, biorąc udział w „incydencie przygraniczym” na rubieżach Scorronu, uciekałem pięcioosobowemu oddziałowi Teutonów na potężnych rumakach. Moi ludzie, pozostawieni bez rozkazów, nawet się nie ruszyli. Uważam, że w uciekaniu najważniejsze jest nie to, jak szybko biegniesz, tylko czy biegniesz szybciej od tego, kto depcze ci po piętach.

Niestety chłopcy nie spisali się zbyt dobrze w spowalnianiu Scorronów, przez co biedny Jal musiał pędzić na złamanie karku, mając na nim niecałą dwudziestkę, a przed sobą długą listę planów, na czele z siostrami DeVeer. Śmierć z rąk Scorronów nie znajdowała się na niej nawet na szarym końcu. W każdym razie, pogranicze nie jest dobrym miejscem na wyścigi rumaków bojowych, więc udawało mi się zachować dystans, pędząc na łeb na szyję przez kamienisty splachęć. W ten sposób nieoczekiwanie wpadłem w sam środek potyczki pomiędzy większym oddziałem formacji nieregularnej Scorronów a harcownikami Czerwonej Marchii, dla której przeprowadzałem zwiad. Runąłem w sam środek walki, przerażony, machając na oślep mieczem, próbując się stamtąd wydostać, a kiedy pył bitewny opadł, a krew przestała tryskać, okazało się, że jestem bohaterem, który nie zważając na niebezpieczeństwo, złamał szeregi wroga brawurowym atakiem.

Wychodzi na to, że odwaga to zmiecenie z drogi jednego zagrożenia podczas ukradkowej ucieczki przed większym niebezpieczeństwem. A ci, których największym lękiem jest myśl, że zostaną wzięci za tchórze, są najodważniejsi. Ja natomiast jestem po prostu tchórzem. Ale dzięki odrobinie szczęścia, czarującemu uśmiechowi i umiejętności kłamania jak z nut, udaje mi się świetnie udawać

bohatera i przez większość czasu mydlić oczy większości ludzi.

Mur DeVeerów był nieprzystępny i wysoki, ale przyjaźniliśmy się od dawna, znałem więc jego kształty i słabości równie dobrze, jak Lisy, Sharal czy Michy. Zawsze miałem obsesję na punkcie dróg ewakuacyjnych.

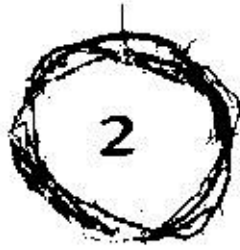
Większość ogrodzeń ma na celu utrzymanie intruzów na zewnątrz, nie wewnątrz. Dałem susa na beczkę z deszczówką, stamtąd na daszek szopy ogrodnika i dalej na mur. Kiedy go przesadzałem, usłyszałem kłapanie szczęk w okolicy pięty. Wciągnąłem się na szczyt. Poczulem dreszcz ulgi, kiedy pies odzyskawszy wreszcie głos, zaczął bezsilnie drapać mur po drugiej stronie. Bestia ścigała mnie w kompletnej ciszy. Te ciche są zwykle zabójcze. Im głośniejsze zwierzę, im bardziej się miota, tym mniej groźne. To dotyczy także ludzi. Sam jestem w dziewięciu dziesiątych fanfaronem, w jednej dziesiątej chciwcem i jak dotąd nie miałem w sobie ani grama morderczych instynktów.

Wylądowałem tym razem miękko, wolny i radosny, nawet jeśli nie pachnący różami, to na pewno azalią i mieszkanką ziół. Problem Alaina zostawiłem sobie na kiedy indziej. Mógł ustawić się w kolejce. Bardzo długiej kolejce, na której czele stał Maeres Allus, trzymając w ręku weksle, skrypty dłużne i poręczenia nagryzmołone po pijaku na jedwabnej bieliźnie dziwek. Wstałem i przeciągnąłem się, nasłuchując szczekliwych narzekań zza muru. Potrzebowałbym dużo wyższego, żeby powstrzymać zbirów Maeresesa.

Przede mną ciągnął się usłany cieniami Trakt Królewski. Wzdłuż Traktu stały rezydencje szlachciców, konkurujące ze sobą książęco-kupiecką ostentacją. Nowe bogactwo zawsze starało się błyszczeć jaśniej od starych fortun. W Vermillionie niewiele było ulic tak świetnych, jak ta.

- Złapał woń! Weźcie go do bramy! - rozbrzmiały głosy w ogrodzie.
- Szukaj, Pluto, szukaj!

Nie brzmiało to dobrze. Ścigany świtem, ciskającym mi w plecy czerwone włócznie, ruszyłem biegiem w stronę pałacu, roztrącając stopami szczury, a łokciami szambiarzy, obchodzących swoje trasy.



Pałac

w Vermillionie to rozwlekła płatanina otoczonych murami terenów, urzekających ogrodów i przyległych rezydencji dla rozrośniętej rodziny, skupionych wokół Wewnętrznego Pałacu, budowli z szarego kamienia, zamieszkiwanej przez pokolenia królów Czerwonej Marchii. Wszystko to przybrane marmurem, z którego mediolańscy artyści kamieniarze wydobyli zdumiewająco realistyczne formy i upstrzone złotem w takiej ilości, że odpowiednio zdeterminowany człowiek, oskrobawszy ściany, zdobyłby fortunę przewyższającą nawet bogactwa Krezusa. Moja babka szczerze nienawidzi tej siedziby. Wolałaby mieszkać w warowni o granitowych ścianach grubych na sto stóp i blankach nabitych głowami wrogów.

Nawet jednak do najbardziej dekadentckiego pałacu nie można wejść bez pewnych procedur. Wślizgnąłem się Bramą Cyrulików, błyskając strażnikowi srebrną koroną.

- Jak zwykłeś na nogach, Melchar. - Celowo zapamiętałem wszystkich wartowników z imienia. Nadal mają mnie za bohatera z Przełęczu Aralu, a dobrze mieć po swojej stronie strażników, gdy życie, jak moje, wisi na pajęczynie kłamstw.

- Ta jest, książę Jal. Jak to mawiają, dobra robota to ciężka robota.

- Prawda, prawda. - Nie miałem pojęcia, co mówi, ale mój udawany śmiech jest jeszcze lepszy od prawdziwego, a dziewięć dziesiątych popularności opiera się na obdarowywaniu służby zachętami. - Kazałbym któremuś z tych leniwych sukinsynów się zmienić. - Kiwnąłem w stronę szpary w drzwiach do strażnicy, przez którą wysączało się światło latarni. Wszedłem natychmiast, gdy tylko Melchar otworzył bramę.

Już wewnątrz, ruszyłem prosto do Pawilonu Rzymskiego. Mój ojciec, trzeci syn królowej, ufundował Pawilon Rzymski, okazały gmach w stylu watykańskim, jakiś czas temu postawiony przez budowniczych papieskich dla kardynała Parachecka. Babka niewiele czasu poświęca Jezusowi i jego krzyżowi, ale

wypowiada jego słowa podczas ceremonii i wygląda, jakby wypowiadała je szczerze. Jeszcze mniej czasu ma dla Rzymu, a wcale dla zasiadającej na tronie papieżycy, Świętej Krowy, jak ją nazywa.

Jako trzeciemu synowi należy mi się chała. Komnata w Rzymskim Pawilonie i niechciany patent w Armii Północy, który nie daje mi nawet rangi kawaleryjskiej, jako że północna granica jest zbyt górzysta dla koni. Scorrone ma rozstawione wzdłuż granicy jednostki kawalerii, ale babka uznała to za głupotę, którą Czerwona Marchia powinna raczej wykorzystać, niż brać z niej przykład. Zawsze mówiłem, że baby nie znają się na wojnie. Powiniennem pomykać w lśniącej zbroi na białym rumaku i łamać serca niewiast. Ale nie, stara wiedźma skazała mnie na czołganie się w górach, wymykając się śmierci z rąk kmieci scorrońskich.

Wślizgnąłem się kuchennym wejściem do Pawilonu, który składał się z mnóstwa korytarzy, gabinetów, sali balowej, kuchni, stajni i całego piętra komnat sypialnych. Bocznych drzwi strzegł Gruby Ned, przysypiający na stołku z halabardą opartą o ścianę.

- Ned!

- Panicz Jal! - Ocknął się zaskoczony, omal nie wywracając stołka i przy okazji siebie.

- Do usług. - Mijając go, puściłem mu oko. Gruby Ned trzymał język za zębami, więc moje eskapady były bezpieczne. Znał mnie odkąd byłem małym potworkiem zastraszającym młodsze księżęta i księżniczki i nadskakującym tym większym, mogącym mnie złoić. Wtedy był jeszcze gruby. Teraz, gdy zbliżała się do niego kostucha, skóra mu obwisła, ale przewisko przylgnęło. W imieniu drzemie moc. „Księżę” sprawia się dobrze, gdy muszę ukryć się przed kłopotami, a Jalan pobrzmiwa echem nimbu Jalana, króla Czerwonej Marchii, Cesarskiej Pięści, z czasów, kiedy mieliśmy cesarza. Tytuł, wraz z imieniem takim jak Jalan, emanują aurą, która daje mi przywilej wątpliwości - a nie ma wątpliwości, że go potrzebuję.

Prawie że udało mi się dotrzeć do apartamentu.

- Jalenie Kendethcie!

Zatrzymałem się w pół kroku, z butami w rękach, dwa stopnie od galerii prowadzącej do moich komnat. Nie odzywałem się. Czasami biskup odkrywając jakieś łotrostwo automatycznie wykrzykiwał moje imię. Po prawdzie trzeba przyznać, że zwykle to ja za nim stałem. Teraz jednak patrzył prosto na mnie.

- Widzę cię, Jalenie Kendethcie. Po drodze do swej jamy, twoje stopy zostawiają czarne ślady grzechu. Złaż tutaj!

Odwróciłem się z przepaszającym uśmiechem na ustach. Ludzie kościoła lubili, gdy ktoś czegoś żałował, nieważne czego. W tym wypadku żałowałem, że mnie przyłapał.

- Dobrego dnia także i tobie, ekscelencjo. - Schowałem buty za plecami i

zszedłem do niego płynnie, jakbym od samego początku miał taki zamiar.

- Jego eminencja życzy sobie twojej i twoich braci obecności w sali tronowej. Przed drugim dzwonem. - Biskup łypnął na mnie ponuro. Jego policzki były szarawe od zarostu, jakby sam został wykopany z łóżka o tej nieprzyzwoitej porze, choć pewnie w jego przypadku nie przez nadobną stopkę Lisy DeVeer.

- To rozkaz ojca? - Nie wspominał nic podczas wczorajszej kolacji, a kardynał nie wstawał przed południem bez względu na to, co święta księga mówiła na temat gnuśności. Nazywali ją grzechem śmiertelnym, choć z mojego doświadczenia w większe tarapaty pakowała cię zwykle żądza. Gnuśność była grzechem jedynie w przypadku pościgu.

- Królowej. - Ponury grymas biskupa pogłębił się. Lubił przypisywać wszelkie rozkazy ojcu, jako głowie Kościoła, choćby ten był głową owego tylko w Czerwonej Marchii. Babka powiedziała kiedyś, że chciała wsadzić kapelusz kardynalski na łeb pierwszego z brzegu osła, ale ojciec był bliżej i łatwiej dało się nim kierować. - Martus i Darin już poszli.

Wzruszyłem ramionami.

- Pewnie też wcześniej wrócili. - Nie miałem jednak za złe starszym braciom tego afrontu. Zatrzymałem się poza zasięgiem rąk biskupa, który lubił nimi wybijać grzech z krnąbrnego księcia, a potem obróciłem się, żeby wejść z powrotem na górę. - Pójdę się ubrać.

-I to szybko. Zaraz drugi dzwon, a ty pindrzysz się przed lustrem najmniej godzinę.

Miałem ochotę podrażnić się ze starym głupcem, ale tu akurat miał rację, a ja wolałem nie spóźnić się na spotkanie z Czerwoną Królową. Przemknąłem obok niego, powstrzymując szydery uśmiezek. Miałem na sobie to, co zwykle zakładałem na nocne eskapady, a choć stylowy, strzyżony aksamit nie przetrwał ucieczki w najlepszym stanie. Trudno, musiał wystarczyć. Babka lubiła widzieć swoich potomków w zbrojach i ociekających krwią, więc odrobina błota tu i tam mogła mi nawet zaskarbić jej przychylność.



Do

sali wszedłem spóźniony. Echo drugiego dzwonu ucichło właśnie, gdy dotarłem do brązowych podwoi, ogromnych, odstających stylem drzwi, dawno temu zrabowanych z jakiegoś jeszcze większego pałacu przez dalekich, oprychowatych krewniaków. Wartownicy łypnęli na mnie, jak na guano, które spłynęło nieproszone przez wysokie okno i wylądowało u ich stóp.

- Książę Jalan. - Machnąłem na nich niecierpliwie. -Może o mnie słyszeliście? Zostałem zaproszony.

Największy z nich, olbrzym w rudobrazowej kolczudze i hełmie ozdobionym szkarłatnym pióropuszem, pociągnął bez słowa jedno z wielkich skrzydeł, wpuszczając mnie do środka. Mój plan zaprzyjaźnienia się z każdym z pałacowych strażników nigdy nie zahaczył o ludzi, których wybrała Babka - ci mieli o sobie zbyt wysokie mniemanie. Byli też zbyt dobrze opłacani, aby zrobiła na nich wrażenie moja szczodrość; możliwe też, że ich przede mną zawczasu ostrzeżono.

Wszedłem ukradkiem niezapowiedziany i pospieszyłem przez echowe marmurowe przestworza. Nigdy nie lubiłem sali tronowej. Nie przez jej ogrom czy historię wypisaną na ponurych twarzach, gapiących się z każdej ze ścian, ale przez brak możliwości ucieczki. Strażnicy, gwardziści, wartownicy i jeszcze to przenikliwe spojrzenie koszarnej staruchy, która uważa się za moją babkę.

Dotarłem wreszcie do dziewięciorga moich kuzynów i braci. Wyglądało na to, że audiencja została zorganizowana wyłącznie dla wnuków królewskich - dziewięciu książąt i jednej księżniczki Czerwonej Marchii. Na mocy prawa byłem dziesiąty w kolejce do tronu, po moich dwóch wujach, ich synach, moim ojcu i starszych braciach, ale stara wiedźma, która grzała tron od czterdziestu lat miała odmienne spojrzenie na sukcesję. Oczkiem w głowie królowej była kuzynka Serah, której brakowało miesiąca do osiemnastu lat i w której nie było grama tego, co kobietę czyni księżniczką. Nie będę kłamał. Serah miała więcej niż kilka kilogramów tego, co pozwala kobietom odbierać zdrowe zmysły mężczyźnie, i

wobec czego chętnie zignorowałbym potoczne przekonania na temat tego co wypada, a czego nie wypada robić kuzynom. W zasadzie to nawet parę razy usiłowałem to uczynić, ale Serah ma paskudny prawy sierpowy i tendencję do kopania facetów w najwrażliwsze ich miejsca. Dzisiaj kuzynka Serah miała na sobie coś w rodzaju zamszowej amazonki, pasującej bardziej na polowanie niż salony, ale do diabła, wyglądała w tym świetnie.

Minąłem ją, a potem łokciami zrobiłem sobie miejsce pomiędzy braćmi, na przedzie grupy. Jestem przyzwoitego wzrostu, wystarczająco wysoki, by się ze mną liczone, ale normalnie i tak nie lubię stawać pomiędzy Martusem i Darinem. Przy nich wyglądam na niskiego, a ponieważ wszyscy mamy ciemnozłote włosy i piwne oczy, zwykle mawia się o mnie „ten mały”. Nie lubię tego. Przy takich jednak okazjach jestem gotowy pozostać niezauważony. Nie chodzi tylko o salę tronową. I nie tylko o dezaprobatę babki. To przez tę ślepą kobietę. To ona mnie przerażała.

Po raz pierwszy ujrzałem ją w piąte urodziny, dzień nadania mi imienia. Stałem w otoczeniu braci odzianych w odświętne szaty, ojca w kapeluszu kardynalskim, trzeźwego, mimo że słońce przekroczyło już zenit, matkę w jedwabiach i perłach, a dalej duchownych i dam dworu. Czerwona Królowa zasiadająca na tronie grzmiała coś o dziadku swojego dziada, Jalandie, pierwszym cesarzu, ale wszystko puszczałem mimo uszu, bo widziałem ją. Stara kobieta była tak stara, że na jej widok przewracał mi się żołądek. Czaiła się w cieniu tronu, kuliała tak, że z drugiej strony najpewniej nie było jej widać. Miała twarz niczym papier, który nasączono, a potem pozostawiano do wysuszenia, ostre kości policzkowe i usta tworzące szarą linię. Odziana w łachmany nie pasowała do sali tronowej, pośród strojnych toalet i lśniących kolczug świty przybyłej zobaczyć, jak nadają mi imię. Starucha się nie poruszała, mogła być ledwie iluzją światła, jej zniszczony płaszcz złudzeniem cieni i linii.

- ...Jalandie? - Królowa przerwała litanie pytaniem.

Odpowiedziałem milczeniem, z trudem odrywając wzrok od istoty u jej boku.

- No? - Babka zawęziła spojrzenie do niewielkiego kręgu, który mnie więził.

Nadal nie wiedziałem, o co chodzi. Martus dał mi kuksańca mogącego z łatwością połamać zebra. Nie pomogło. Pragnąłem znów spojrzeć na starą. Nadal tam była? A może się poruszyła, jak tylko przestałem na nią patrzeć? Wyobrażałem sobie, jak się porusza. Szybko jak pająk. Żołądek mi się ścisnął.

- Przyjmujesz brzemię, jakie na ciebie nałożyłam? - zapytała babka, siląc się na życzliwość.

Mój wzrok znów uciekł ku czarownicy. Nadal tam była, dokładnie tak jak wcześniej, stała bokiem do mnie, zwracając twarz ku królowej. Wcześniej nie zauważyłem jej oczu, teraz przyciągnęły moją uwagę. Jeden z płazowych kotów

miał takie oko. Mlecznobiałe. Perłowe. Bielmo, tak mówiła służąca. Ale ja miałem wrażenie, że widzi więcej niż to drugie.

- Co z tym chłopakiem? Jest opóźniony? - Niezadowolenie królowej rozeszło się kręgami po dworze, ucinając pomruki.

Nie byłem w stanie odwrócić wzroku. Stałem tak i pociłem się. Mało, a bym się zmoczył. Zbyt przerażony, by mówić, zbyt przerażony nawet, by kłamać. Zbyt przerażony, by robić cokolwiek poza poceniem się i gapieniem na staruchę.

Drgnęła, a ja omal nie uciekłem z wrzaskiem. Z ust wyrwał mi się zduszony pisk.

- N-n-nie widzicie jej?

Zaczęła się poruszać. Tak powoli, że musiałem obserwować ją w odniesieniu do tła, żeby sprawdzić, czy sobie tego nie wyobrażam. Potem przyspieszyła, płynnie i pewnie. Odwróciła ku mnie straszliwą twarz, jedno oko ciemne, drugie perłowo-białe. Poczulem gorąc, jakby ogromne paleniska huknęły zapłonęły chóralnie żarem, sypnęły iskrami w piękny letni dzień, a płomienie skakały po rusztach ze wszystkich sił chcąc znaleźć się wśród nas.

Była wysoka. Nagle to dostrzegłem, skulona, ale wysoka. I chuda jak gnat.

- Nie widzicie jej? Zaskrzeczałem głośniejszym głosem, wskazując kroczącą ku mnie staruchę, wyciągającą białą rękę.

- Kogo? - Stojący obok Darin miał już dziewięć lat za pasem i był zbyt dorosły na takie wygłupy.

Nie byłem w stanie wydobyć z siebie słów. Ślepa starucha położyła swoją kościstą, papierową dłoń na mojej. Uśmiechnęła się, wykrzywając twarz w ohydny grymaście, przypominającym kłębowisko robaków. Uśmiechnęła się, a ja się zapadłem.

Zapadłem się w oślepiający żar. Potem mówili, że miałem atak drgawek. „Lepsja” - orzekł medyk następnego dnia, nieuleczalna choroba. Tyle że nigdy później nic takiego mi się nie przydarzyło, ani raz przez całe dwadzieścia lat. Wiem tylko, że wtedy upadłem i od tamtej pory nie przestałem upadać.

Babka, straciwszy cierpliwość, nadała mi imię, podczas gdy rzucałem się na posadzce.

- Sprowadźcie go, jak już przejdzie mutację - rzekła.

Potem było osiem lat przerwy. Do sali tronowej wróciłem dopiero mając lat trzynaście. Miałem zostać przedstawiony babce przed fetą z okazji Saturnaliów, pamiętnej, srogiej zimy 89 roku. I wtedy i za każdym razem potem, robiłem to, co inni - udawałem, że nie widzę ślepej staruchy. A może oni naprawdę jej nie widzieli? Martus i Darin są zbyt tępi, żeby udawać i nie potrafią też dobrze kłamać, a przecież żaden nawet nie mrugnął okiem, patrząc w jej stronę. Może tylko ja widzę, jak stuka palcami w ramię Czerwonej Królowej. Trudno powstrzymać się od patrzenia na coś wiedząc, że nie powinno się tego widzieć. To tak jak z

przedziałkiem między ściśniętymi, uniesionymi piersiami, jak do inspekcji, ale książkę nie powinien ich zauważać, nie powinien opuszczać na nie wzroku. W przypadku ślepej staruchy starałem się jeszcze bardziej i zazwyczaj mi się udawało, choć babka raz po raz obrzucała mnie dziwnym spojrzeniem.

W każdym razie tego konkretnego poranka, pocąc się w ubraniach z nocy, przyozdobionych połową ogrodu DeVeerów, nie miałem nic przeciwko wciśnięciu się między postawnych braci jako „ten mały”, łatwy do przeoczenia. Szczerze mówiąc nie zależało mi na uwadze Czerwonej Królowej lub jej cichej siostry.

Czekaliśmy z dziesięć minut, głównie milcząc, niektórzy ziewając, inni przestępując z nogi na nogę i łypiąc na mnie kwaśno. Naprawdę staram się nie kalać czystych wód pałacowych swoimi wpadkami. Nierozsądnie jest srać tam, gdzie się je, a poza tym trudno zasłaniać się tytułem, kiedy strona pokrzywdzona jest tak samo utytułowana. Mimo to przez te wszystkie lata dałem kuzynom niewiele powodów do obdarzenia mnie sympatią.

Wreszcie Czerwona Królowa weszła do sali, bez fanfar, ale w otoczeniu licznej straży. Ulga trwała krótko - zaraz za nią podążała ślepa starucha, a choć odwróciłem wzrok szybciej niż szybko, dojrzała, że na nią patrzę. Królowa zasiadła na królewskim siedzisku, a gwardziści ustawili się pod ścianami. Tylko jeden komorzy, Mantal Drews, jak sądzę, stanął pomiędzy władczynią, a jej progeniturą i w końcu w sali znów zaległa cisza.

Obserwowałem babkę, z niejakim wysiłkiem powstrzymując wzrok od ześlizgiwania się na białą zwiędłą dłoń, spoczywającą na oparciu za jej głową. Przez te wszystkie lata słyszałem wiele plotek o tajemniczej doradczyni królowej, starej, na wpół szalonej kobiecie, którą ukrywała - Milczącej Siostrze, jak ją nazywano. Najwyraźniej tylko ja wiedziałem, że towarzyszy królowej każdego dnia. Wzrok innych jakby ją omijał, czego szczerze im zazdrościłem.

Czerwona Królowa odchrząknęła. W tawernach Vermillionu mawiano, że babka była niegdyś przystojną kobietą, choć potwornie wysoką. Łamała serca starających się z całego Rozbitego Imperium, a nawet jeszcze dalszych krain. Jak dla mnie to miała okrutne, wychudzone oblicze obciążone mocno skórą, na której i tak znać było zmarszczki, jak na zmiętym pergaminie. Musiała mieć z siedemdziesiąt lat, choć nikt nie dałby jej więcej jak pięćdziesiąt. Czarne włosy, bez śladu siwizny, lśniły głęboką czerwienią, gdy padło na nie światło. Przystojna czy nie, pod spojrzeniem jej oczu każdy mężczyzna zamieniał się w galaretę. Kamienne odpryski obojętności. I żadnej korony na głowie tej królewskiej wojowniczką, o nie. Jediną ozdobą ginącej w czarnych i szkarłatnych szatach królowej była cieniutka opaska ze złota, przytrzymująca w porządku ciasno spięte do tyłu włosy.

- Dzieci moich dzieci. - Słowa jej były tak przesiąknięte rozczarowaniem, że czułeś, jak ku tobie sięgają, próbując utopić. Pokręciła głową, jakbyśmy byli

wynikiem nieudanego eksperymentu w hodowli koni. - A niektórzy, jak doszły mnie słuchy, mają już własne mioty książąt i księżniczek.

- Tak, wa...

- Próżniacze to, liczne i płodne. - Babka ucięła wypowiedź kuzyna Rolanda nim ten się napuszył. Uśmiech szczeł mu w tej głupiej brodzie, którą wyhodował, by myślano, że może pod spodem kryje się jakiś podbródek. - Nadchodzą mroczne czasy i nasz ród musi zmienić się w bastion. Minęły czasy dziecinnych igraszek. W waszych żyłach płynie moja krew, chodź rozrzedzona. Będziecie żołnierzami w nadchodzącej wojnie.

Martus parsknął, choć na tyle cicho, że można to było przeoczyć. Martus dostał przydział do ciężkiej jazdy, szlify rycerza-generała, dowódcy elitarnych oddziałów Czerwonej Marchii. Pięć lat temu, w przyływie szaleństwa, Czerwona Królowa zlikwidowała jednostkę. Stulecia tradycji, honoru i doskonałości zostały zniweczone kaprysem starej kobiety. Teraz mogliśmy być sobie żołnierzami biegnącymi do bitwy na nogach, kopiącymi okopy i ćwiczącymi bez końca powtarzalne taktyki, których mógł nauczyć się każdy chłop, czyli książętami na poziomie chłopca od nocników.

- ...większego wroga. Czas odłożyć na bok ambicje pustych podbojów i...

Podniosłem wzrok znad mego niesmaku - babka nadal głądziła o wojnie. Nie żebym przykładał aż taką wagę do honoru. Te brednie o szlachetnej konnicy nakładają na barki mężczyzny ciężar, który każdy rozsądny człowiek zrzuci w chwili, gdy będzie musiał uciekać, ale ta prezencja, ten szyk. Przynależność do jednej z trzech jednostek, lśniące ostrogi, trzy bojowe rumaki w stajniach koszarowych...

O tym marzyli młodzi szlachcice od niepamiętnych czasów. Do licha, sam tego pragnąłem. Chciałem kwater oficerskich, opowieści przy zadymionych stołach w Conarrf, przejazdów Traktem Królewskim z powiewającymi nad głową proporcami Czerwonej Lancy albo Żelaznego Kopyta, z rozwianym włosom, szczeniastej brody kawalerzysty i ogiera pod siodłem. Dziesiąte miejsce w kolejce do tronu zapewnia całkiem przyzwoitą liczbę komnat, ale ten szkarłatny płaszcz jeźdźców Czerwonej Marchii, grzbiet rumaka pomiędzy udami... Niewiele jest szlachetnych dam, które zachęczone uśmiechem kawalerzysty, nie rozłożyłyby swoich.

Kątem oka ujrzałem, jak starucha z bielmem poruszyła się, niweczając moje sny na jawie, rozwiewając wizje ujeżdżania - jednego i drugiego rodzaju.

- ...palić zmarłych. Kremacja będzie obowiązkowa, tak dla gminu jak i szlachty i do diabła z protestami Rzymu...

Znów to samo. Stara wrona już od roku krakała o pochówkach. Jakby ludzie w moim wieku w ogóle myśleli o takich sprawach! Miała obsesję na punkcie opowieści przywożonych przez marynarzy, historii o duchach z Zatopionych

Wysp, bełkotania pijaczyn z Moczarów Ken. Już teraz grzebano zmarłych skutych łańcuchami - marnowanie dobrego żelaza na przesady - a teraz i łańcuchy - to mało? Trzeba palić ciała? Kościołowi się to nie spodoba. Popsuje mu plany zmartwychwstania w Dzień Sądu na wielkie błotniste przytulanie. Ale kogo to obchodzi? Obserwowałem jak poranna jasność ślizga się po ścianach nad moją głową i usiłowałem przywołać do siebie obraz Lisy odzianej tylko w światło i cień.

Aż poderwałem głowę, kiedy Komorzy łupnął w posadzkę swoją laską. Na moją obronę, naprawdę niewiele spałem tej nocy, a rano miałem ciężki. Gdyby biskup nie zdybał mnie o krok od komnaty, zaszyłbym się tam do popołudnia i rozkoszował się we śnie lepszymi wersjami fantazji, które psuła mi teraz babka.

- Wprowadźcie świadka! - Komorzy miał głos, którym i wyrok śmierci czytany wydawałby się nudny.

Do sali tronowej wszedł Nubańczyk eskortowany przez czterech strażników. Wysoki, poznaczony bliznami wojownik miał skute ręce i nogi, a łańcuchy przechodziły przez kółko przy żelaznym pasie. Wzbudził moje zainteresowanie. Zmitrężyłem młodość na zakładach na arenach walk w Dzielnicy Łacińskiej i zamierzałem zmitrężyć na nich większą część reszty życia. Lubilem dobrą walkę, zdrową dawkę rozlewu krwi, przynajmniej dopóki to nie mnie spuszczano cięgi i nie moją krew przelewano. Na arenach Gordo albo w Krwawych Dołach przy Mercantach stało się tak blisko, że czasem trzeba było otrzeć buty z krwi, a oba miejsca dawały niezliczone możliwości obstawiania. Ostatnio nawet sam wystawiałem zawodników. Zwykle chłopaków kupionych ze statków niewolniczych przyływających z Maroku. Żaden co prawda nie przetrwał więcej niż dwie walki, ale nawet przegrana może się opłacić, kiedy odpowiednio się postawi. W każdym razie Nubańczyk wyglądał na takiego, na którego warto postawić. Może nawet ściągnąłby mi z karku Maeresa Allusa i uciszył parę męczących żądań zapłaty za skonsumowaną już brandy i wyruchane już dziwki.

Za Nubańczykiem wszedł mieszaniec przystrojony wybrakowanym garniturem zębów, który miał tłumaczyć abrakadabra Afrikanina. Komorzy zadał mu jedno czy dwa pytania, a Nubańczyk odpowiedział starymi bredniami o powstawianiu zmarłych pogrzebanych w piaskach Afriki, ubarwiając je tak, że w jego opowieści trupy namnożyły się już w niewielki legion. Pewnie liczył na wolność, jeśli jego historia się spodoba. Spisał się całkiem nieźle, dorzucając do niej jednego czy dwa dziny, choć nie tych zabawnych gości w jedwabnych pantalonach, którzy zwykle oferują spełnienie życzeń. Miałem ochotę zaklaskać mu na koniec, ale mina babki wskazywała, że nie byłby to najmądrzejszy pomysł.

Po nim weszło jeszcze dwóch nieszczęśników, tak samo skutych, a każdy z bajeczką lepszą od poprzedniej. Korsarz, śniady facet z wystrzępionymi uszami, z których powyrywano kolczyki, nawijał o wyłaniających się z morza wrakach, których załogi stanowią topielcy. Słowianin natomiast o szkieletach wychodzących

z kurhanów na stepach. Starożytne trupy obwieszane złotem i błyskotkami sprzed czasów Budowniczych. Żaden z mówiących nie nadawał się na arenę. Korsarz był żyłasty i zapewne umiał walczyć wręcz, ale nie miał palców u obu rąk i wiek przemawiał na jego niekorzyść. Słowianin był co prawda wielki, ale powolny. Niektórzy ludzie są niezdarni i niezdarność ta przejawia się w każdym ich ruchu. Znowu napłynęły do mnie wizje Lisy. A potem Lisy i Michy razem. A potem Lisy, Michy i Sharal. Wszystko zaczęło się nieco komplikować. Ale nagle weszła kolejna czwórka strażników, prowadząc ostatniego „świadka” babki, który przyciągnął całą moją uwagę. Wystarczyło rzucić na niego okiem i już było wiadomo, że Krwawe Doły nie zauważą nawet, co je trafiło. Znalazłem mojego nowego zawodnika!

Jeniec wszedł do sali tronowej, trzymając głowę wysoko. Górował nad eskortującymi go gwardzistami. Widywałem wyższych mężczyzn, acz nie często. Widywałem bardziej umięśnionych, acz niewielu. Mogłem nawet widzieć paru przerastających go pod względem obu cech, ale ten Wiking nosił się jak prawdziwy wojownik. Może sam nie umiem walczyć, ale mam świetne oko do zawodników. Wkroczył jak chodzący mord, a kiedy strażnicy szarpnęli łańcuchy, żeby stanął, warknął na nich. *Warknął*. Czułem nieomal ciężar złotych koron w rękach, kiedy wystawię go do walki!

- Snorri ver Snagason, kupiony ze statku niewolniczego *Heddod*. - Komorzy machinalnie zrobił krok do tyłu i osłaniał się laską, kiedy odczytywał zapiski. - Sprzedany w Fiordzie Hardanger. - Zmarszczył brwi, wodząc palcem po zwoju. - Mówi o wydarzeniach opisanych naszemu agentowi.

Nie miałem pojęcia, gdzie leży ten Hardanger, ale z pewnością ziemia ta rodziła twardych ludzi. Handlarze niewolnikami obcięli mu większość włosów, ale grzywa, która mu została była tak czarna, że aż granatowa. A zawsze sądziłem, że Wikingowie to blondyni. Jednak głębokie oparzenia na karku i ramionach oznaczały, że źle znosi słońce. Plamy od słońca poprzecinane były masą krech po batach - to musiało boleć! Na szczęście areny znajdowały się zawsze w cieniu, więc powinien docenić przynajmniej tę część planu, jaki miałem wobec niego.

- Mów, człowieku. - Babka zwróciła się do niego bezpośrednio. Nawet na niej wywarł wrażenie.

Snorri zwrócił na Czerwoną Królową spojrzenie zdolne ogołocić każdego mężczyznę z jaj. Miał jasne, niebieskie oczy. Przynajmniej w tym nie przeczył dziedzictwu swego ludu. Pasował też strojem, resztkami futer i foczych skór, które go okrywały, oraz tatuażem - pierścieniem niebiesko--czarnych run nordyckich wokół bicepsów. Były tam też jakieś napisy w pogańskim języku oraz młot i topór.

Babka otworzyła już usta, żeby coś powiedzieć, ale Wiking ją ubiegł, kradnąc z jej słów napięcie i przydając je swoim.

- Wy płynęliśmy z Hardangeru, ale nie stamtąd pochodzę. Hardanger to

ciche wody, zielone wzgórza, kozy i wiśniowe sady. Tamtejsi mieszkańcy to nie prawdziwi ludzie północy.

Mówił niskim głosem z niewielkim akcentem wyostrzającym krawędzie słów tyle tylko, że dało się poznać po nim obcokrajowca. Zwracał się do wszystkich zgromadzonych, choć patrzył tylko na królową. Mówił z krasomówczym zacięciem. Słyszałem, że na północy zimą noc trwa trzy miesiące. Takie noce muszą rodzić bardów.

- Mój dom znajduje się w Uuliskind, daleko na krańcach Srogich Lodów. Opowiem wam moją historię, bo tamten czas i miejsce przestały istnieć, żyją już tylko we wspomnieniach. Nakreślę wam te wydarzenia nie po to, by nadać im znaczenia czy ożywić, ale by je wam urzeczywistnić, żebyście mogli wejść pomiędzy Undorethów, Dzieci Młota, żebyście mogli posłuchać o ich ostatniej bitwie.

Nie wiem, jak to robił, ale otulając głosem słowa, Snorri tkął jakąś magię. Unosiła mi włoski na rękach i niech mnie, jeśli nie zapragnąłem wtedy być Wikingiem, wymachiwać toporem na długiej łodzi, która krusząc dziobem wiosenny lód, płynęła wzdłuż Uulisk.

Za każdym razem, kiedy przerywał, by nabrać tchu, te głupie myśli ulatywały mi z głowy i cieszyłem się, że jednak jestem na ciepłych, bezpiecznych ziemiach Czerwonej Marchii. Ale gdy znów podejmował, w piersi każdego słuchacza zaczynało bić serce Wikinga, nawet w mojej.

- Na północ od Uuliskind, za Wyżynami Jarlsonów zaczyna się kraina wiecznych lodów. Nawet w pełni lata lód cofa się milę czy trzy, ale i tak zaraz spoglądasz z góry na połacie lodu, który nigdy nie topnieje, spękanego, pofalowanego, odwiecznego. Lud Undorethów udaje się tam jedynie by handlować z Inowenami, ludźmi, którzy żyją w śniegach i na lodowym morzu polują na foki. Inoweni nie są jak inni ludzie zaszyci w focze skóry, jedzący foczy tłuszcz. Inoweni są... całkiem innym rodzajem ludzi. Sprzedają kły morsów, tłuszcz wielorybi, kły wielkich rekinów, futra białych niedźwiedzi i skóry. A także grzebyki i szpilki rzeźbione w kości w kształty prawdziwych duchów lodu.

Kiedy babka zatamowała potok opowieści, jej głos zabrzmiał, jak skrzek wrony próbującej zanucić melodię. Ale należy jej się szacunek, że odnalazła w sobie wolę mówienia -ja zapomniałem w ogóle, że stoję w sali tronowej, bolą mnie stopy i marzę o łóżku. Byłem razem ze Snorrim, wymieniając kute żelazo i sól za foki wyrzeźbione z kości wieloryba.

- Mów o zmarłych, Snagasonie. Wlej nieco lęku w serca tych pustych książątek - rzekła. Wtedy to zobaczyłem. Jego wzrok na mgnienie oka dotknął staruchy z bielmem. Już dawno zrozumiałem, że wszyscy wiedzą o istnieniu Milczącej Siostry, której rad słucha Czerwona Królowa. Ale jak zwykle, gdy przycisnąć jednego z „wszystkich wiedzących”, skąd wiedzę tę posiada, opiera się

z takim samym zacięciem, z jakim zaświadcza o jej prawdziwości. Na przykład wszyscy wiedzieli, że księżę Grast bierze sobie do łóżka młodych chłopców. Sam to rozgłosiłem, po tym jak spo-liczkował mnie, gdy uczyniłem nieprzyzwoitą propozycję jego siostrze, piersiastej dziewczce, która sama czyniła masę niestosownych propozycji. Paskudne oszczerstwo przyłgnęło do niego, a ja z uciechą bronilem honoru księcia wśród nie posiadających się z oburzenia wszystkich wiedzących, którzy wiedzieli o tym z „wiarygodnego źródła”. Wszyscy wiedzieli, że księżę Grast w zaciszu swego zamku uprawiał sodomie z małymi chłopcami, wszyscy wiedzieli, że Czerwona Królowa uprawia zakazaną magię w najwyższej wieży, wszyscy wiedzieli, że Milcząca Siostra, wiedźma, która stała za większością nieszczęść tej krainy, była trzymana w garści przez królową, albo vice versa. Jednakże dopóki Wiking nie zerknął w jej stronę, myślałem, że jestem jedynym, który naprawdę widzi u boku babki staruchę z bielmem.

Nie wiadomo czy przekonany spojrzeniem mlecznego oka Milczącej Siostry czy też rozkazem Czerwonej Królowej, dość że Snorri ver Snagason skinął głową i zaczął mówić o zmarłych.

- Na Wyżynach Jarlsona błakają się zamarzniete trupy. Całe plemiona umarłych, czarnych od mrozu, chodzą w chwiejnych szeregach, zagubieni w zamieci lodowichru. Mawiają, że pomiędzy nimi kroczą mamuty, nieżywe bestie uwolnione z lodowych gór na dalekiej północy, w których tkwiły od czasów zanim Odyn zesłał na ludzi klątwę mowy. Nikt nie wie, ilu ich jest, ale na pewno bardzo wielu. Kiedy otwierają się wrota Niflheimu, Krainy Mgły, żeby wypuścić zimę, a oddech lodowych olbrzymów przetacza się przez północne ziemie, wraz z nim przychodzą zmarli. Zabierają każdego napotkanego człowieka i przyłączają do swych szeregów. Czasem to samotni kupcy albo rybacy zagarnięci z obcych brzegów. Czasami przekraczają fiord lodowymi mostami i zabierają całe wioski.

Babka wstała z tronu, a dłonie w zbrojnych rękawicach wsparły się natychmiast na głowicach. Królowa spojrzała kwaśno na potomków.

- A jak to się stało, Snorri ver Snagasonie, że stoisz teraz przede mną zakuty w łańcuchy?

- Myśleliśmy, że groźba czai się na północy, że nadejdą z Wyżyn, ze Srogich Lodów. - Potrząsnął głową. - Spaliśmy, kiedy przybili do Uulisk, nocą, pod czarnymi żaglami, w ciszy. Nasi wartownicy wypatrywali na północy zamarzłych trupów. Najeźdźcy przepłynęli Morze Spokoju i napadli na Undorethów. Zaatakowali nas wojownicy Zatopionych Wysp. Żywi i trupy zabezpieczone przed gniciem, a także inne stwory, półludzie z brettańskich bagien, pożeracze trupów, ghoulle z ich trującymi strzałkami, które odbierają mężczyźnie siłę, zostawiając bezbronego niczym niemowlę.

Statki przywiódł Sven Złamane Wiosło. Sven i inni z Hardassy. Zdraycy, bez których wyspiarze nigdy by nie zdołali podpłynąć nocą do Uulisk. Nawet za dnia

straciliby swoje okręty. - Snorri zacisnął wielkie dłonie w pięści, a mięśnie na jego barach napięły się i zadrgały spragnione walki. - Złamane Wiosło zabrał dwudziestu skutych wojów jako część zapłaty. Sprzedał nas w Hardangerze. Kupiec, handlarz z Portu Królestw, miał sprzedać nas w Africe. Tam właśnie płynęliśmy przy wiosłach z jego ładunkiem. Wasz agent kupił mnie w Kordobie, w porcie Albus.

Babka daleko zarzucała sieci, łowiąc te opowieści -w Czerwonej Marchii nie było niewolników, a królowa nie pochwałała handlu ludźmi.

- A reszta? - zapytała, obchodząc go poza zasięgiem ramion, kierując się jakby w moją stronę. - Nie zabrali ich wasi ziomkowie?

Snorri przez chwilę wpatrywał się w pusty tron, a potem przeniósł spojrzenie wprost na starą z bielmem. Przemówił, cedząc przez zaciśnięte żęby.

- Wielu zostało zabitych. Leżałem zatruty patrząc, jak żonę dopadają ghule. Widziałem, jak Utopielcy ścigają moje dzieci i nie mogłem odwrócić głowy, żeby patrzeć, jak walczą. Wyspiarze powrócili na statki z czerwonymi ostrzami. Resztę zabrano jako jeńców. - Zawiesił głos, zmarszczył brwi i potrząsnął głową. - Sven Złamane Wiosło opowiedział mi... historie. Prawda wykręciłaby mu język, ale mówił, że Wyspiarze wzięli jeńców, żeby przekopać Srogie Lody. Jest tam Armia Olaafa Rikesona. Złamane Wiosło twierdził, że Wyspiarze zostali wysłani, by ich uwolnić z okowów lodu.

- Armia? - Babka stała tak blisko, że mógłbym jej dotknąć. Monstrualna baba, wyższa ode mnie - a ja mam ponad sześć stóp - i pewnie na tyle silna, żeby złamać mnie na kolanie. - Kim jest Rikeson?

Wiking uniósł brew, jakby każdy władca powinien znać kiczowatą historię śnieżnych pustkowi.

- Olaaf Rikeson wymaszerował na północ w lecie pierwszego roku panowania cesarza Orrina III. Legendy głoszą, że zamierzał najechać olbrzymy z Jotenheimu i zdobyć klucz od ich wrót. Według bardziej prawdopodobnych podań chciał raczej podbić ziemie Inowenów i włączyć je do Imperium. Nie wiem, jak było naprawdę, ale historie zgadzają się co do jednego - jego armia liczyła tysiące ludzi, może dziesięć tysięcy. - Snorri wzruszył ramionami i odwrócił się od Milczącej Siostry, żeby popatrzeć na królową. Był odważniejszy ode mnie - choć to niewiele znaczy - bo ja nie odwróciłbym się plecami do tej staruchy. - Rikeson myślał, że ma błogosławieństwo Odyna, ale oddech lodowych olbrzymów przetoczył się przez ziemię i pewnego letniego dnia wszyscy jego ludzie zamarli w jednej chwili, a potem pochłonął ich śnieg. Złamane Wiosło twierdził, że ci, których zabrano z Uuliskind mają wydobyć zmarłych. Uwolnić ich z lodu.

Babka chodziła wzdłuż pierwszego szeregu naszej grupy, który tworzyli Martus, ten mały ja, Darin, kuzyn Roland z idiotyczną bródką i Rotus, chudy, skrzywiony, trzydziestoletni kawaler, nudniejszy niż flaki z olejem, pochłonięty

obsesją czytania i historią właśnie! Zatrzymała się przy Rotusie, drugim z ulubieńców i trzecim w kolejce sukcesyjnej - choć zdawało się, że prędzej jednak odda tron kuzynce Serah, niż jemu.

- Po co, Snagasonie? Kto wysłał swoje siły z takim zadaniem? - Skrzyżowała spojrzenie z Rotusem, jakby oczekując, że jako jedyny spośród nas doceni odpowiedź.

Wielkolud milczał. Trudno jest zblednąć człowiekowi północy, ale przysięgłbym, że jemu się to udało.

- Martwy Król, pani.

Jeden ze strażników poruszył się gwałtownie, żeby uciszyć więźnia, choć nie wiadomo, czy za nieodpowiednie tytułowanie, czy strojenie sobie żartów głupimi opowiastkami. Babka osadziła go na miejscu uniesionym palcem.

- Martwy Król, powiadasz. - Powtórzyła te słowa powoli, jakby potwierdzały one jej opinię. Może wspomniała coś o tym królu, kiedy nie słuchałem.

Oczywiście także słyszałem te opowieści. Dzieciaki zaczęły się nimi straszyć w Noc Świętych. Martwy Król przyjdzie i cię zabierze! Buuu, buuu, buuuu. Trzeba być dzieckiem, żeby się go bać. Nikt, kto miał jako takie pojęcie, jak daleko znajdują się Zatopione Wyspy i jak wiele królestw leży pomiędzy nimi a nami, by się tym nie przejmował. Nawet jeśli w historiach tych tkwiło jakieś ziarno prawdy, trudno mi było uwierzyć, żeby poważny mężczyzna mógł się ekscytować bandą pogańskich nekromantów bawiących się starymi trupami na tych podmokłych pagórkach, które ostały się władcom wysp. Nawet jeśli wyciągnęli setkę podrygujących w trumnach trupów, które przy każdym kroku będą gubić kawałki ciała, to co z tego? Dziesięciosobowy oddział ciężkiej jazdy bez strat własnych rozjedzie taką armię w pół godziny i kij im w zgniłe oko.

Opadło mnie znużenie i irytacja, że musiałem pół ranka stać na baczność, słuchając tych idiotyzmów. Gdybym był pijany, może nawet dałbym tym myślom głos. Pewnie dobrze, że nie byłem, choć Czerwona Królowa i tak umiała otrzeźwić mnie jednym spojrzeniem.

Babka odwróciła się i wskazała na Wikinga.

- Dobra opowieść, Snorri ver Snagasonie. Niechaj topór cię prowadzi. - Aż zamrugalem ze zdumienia. Doszedłem do wniosku, że to jakieś północne powiedzonko. - Wyprowadźcie go - nakazała królowa i strażnicy zabrali podzwaniającego łańcuchami więźnia.

Książęta zaczęli coś mamrotać, a ja ziewać. Obserwowałem odchodzącego Wikinga z nadzieją, że wkrótce zostanie uwolniony. Mimo natarczywie wzywającego mnie łóżka miałem istotne plany wobec Snorriego ver Snagasona i chciałem jak najszybciej dostać go w swoje ręce.

Babka odwróciła się i usiadła, ale odczekała dopóki drzwi nie zamknęły się

za ostatnim więźniem.

- Wiedzieliście, że istnieją drzwi do śmierci? - Nawet nie uniosła głosu, a mimo to wybił się ponad książęcy gwar. - Prawdziwe drzwi. Takie, których można dotknąć. A za nimi leżą ziemie śmierci. - Potoczyła po nas wzrokiem. - Teraz powinniście mi zadać jedno ważne pytanie.

Nikt się nie odezwał. Co prawda nie miałem pojęcia, o co chodzi, ale kusilo mnie, żeby powiedzieć byle co, byle przyspieszyć sprawę. Zrezygnowałem jednak i cisza przeciągała się, dopóki nie przerwał jej Rotus. Odchrząknął i zapytał.

- Gdzie?

- Nie. - Babka przekrzywiła głowę. - Pytanie powinno brzmieć: „dlaczego?”. Po co miałyby istnieć drzwi do śmierci? Odpowiedź na nie jest równie ważna jak wszystko, co dzisiaj usłyszeliście. - Jej wzrok padł na mnie, więc szybko spuściłem głowę i zacząłem sprawdzać stan moich paznokci. - Drzwi do śmierci istnieją ponieważ żyjemy w erze mitów. Nasi przodkowie żyli w świecie niezmiennych zasad. Czasy się zmieniły. Drzwi istnieją, bo istnieją o nich podania i ponieważ podania te powtarza się i przekazuje. Istnieją, ponieważ w pewnym sensie pragniemy, oczekujemy ich istnienia albo jedno i drugie. Właśnie dlatego. I dlatego też musicie uwierzyć w opowieści, których wysłuchaliście dzisiaj. Świat się zmienia, porusza się pod naszymi stopami. Toczy się wojna, dzieci Czerwonej Marchii, choć może jeszcze tego nie widzicie, nie czujecie. Stajemy naprzeciw wszystkiego, co można sobie wyobrazić, uzbrojeni jedynie w wolę, by stawić temu opór.

Znów te brednie. Czerwona Marchia prowadziła ostatnio wojnę ze Scorrone, a nawet i ta przekształciła się zeszłego roku w chwiejny rozejm... Babka musiała wyczuć, że traci nawet najbardziej łatwowiernych słuchaczy, więc zmieniła taktykę.

- Rotus zapytał „gdzie”, ale ja wiem, gdzie znajdują się drzwi. Wiem też, że nie można ich otworzyć. - Znów wstała z tronu. - Czego potrzeba, aby je otworzyć?

- Klucza? - odezwała się Serah, zawsze chętna, by zadowolić babkę.

- Właśnie. Klucza. - Uśmiech dla protegowanej. - Na pewno wielu owego klucza poszukuje. To niebezpieczny przedmiot, ale lepiej, żeby był w naszym posiadaniu, niż żeby zdobyli go nasi wrogowie. Wkrótce dam wam pewne zadania, niektórzy otrzymają misje, inni pytania, a jeszcze inni nowe lekcje. Musicie poświęcić się wyznaczonym zagadnieniom tak, jak niczemu innemu do tej pory. Dzięki temu przysłużycie się mnie, przysłużycie się sobie, a co najważniejsze, przysłużycie się cesarstwu.

Wymiana spojrzeń, pomruki.

- A gdzie w tym wszystkim jest Czerwona Marchia? - To chyba Martus.

- Dosyć! - Babka klasnęła, odprawiając nas. - Idźcie. Wracajcie do swych

pustych rozrywek i cieszcie się nimi, póki możecie. Albo, jeśli moja krew wrze wam w żyłach, rozważcie moje słowa i bierzcie się do działania. Nadciąga koniec dni. Życia nas wszystkich wiodą ku jednemu miejscu, jednemu czasowi, znajdującemu się niewiele mil i lat stąd. Momentowi, w którym cesarz albo nas ocali, albo skaże na zagładę. Wszystko, co możemy zrobić, to kupić mu trochę czasu, którego potrzebuje. A ceną, jaką musimy za to płacić jest krew.

Nareszcie! Przepchnąłem się przez tłumek, doganiając Serah.

- No to wszystko jasne. Stara nietoperzyca zwariowała. Cesarz! - Błysnąłem do niej zębami w kawaleryjskim uśmiechu. - Nawet babka nie jest przecież aż tak stara, żeby widziała ostatniego cesarza, prawda?

Serah obrzuciła mnie zniesmaczonym spojrzeniem.

- Słyszałeś *cokolwiek* z tego, co powiedziała? - Z tymi słowy odmaszerowała, zostawiając mnie stojącego tam, potrącanego przez przechodzących braci.



Wypadłem z sali tronowej i w szerokim korytarzu skręciłem w lewo, podczas gdy reszta rodziny poszła w prawo. W biegu mijałem zbroje, rzeźby, wachlarze mieczy na ścianach. Podeszwami butów ubijałem setki jardów niesamowicie kosztownych dywanów, miękkich jedwabi o wzorach w stylu induskim. Na końcu skręciłem za róg, ledwie łapiąc równowagę, wyminąłem dwie służące i pognałem środkiem głównego korytarza skrzydła gościnnego, gdzie znajdowały się liczne pokoje zawsze gotowe na przyjęcie odwiedzającej dwór szlachty.

- Spieprzaj dziadu! - Z jednej z komnat wyłonił się jakiś stary sługa, wchodząc mi w drogę. Lokaj ojca, Robbin, leciwy kuternoga wiecznie pałętający się po pałacu i pod nogami. Skręciłem gwałtownie - Bóg wie po co trzymamy jeszcze takich darmozjadów - i znów przyspieszyłem.

Dwóch zaalarmowanych strażników wyskoczyło ze swoich nisz, jeden nawet zdążył coś do mnie krzyknąć, zanim uznał, że taki ze mnie zabójca, jak z koziej dupy trąba. Dwoje drzwi przed końcem korytarza zwolniłem i wszedłem spokojnie do Zielonej Komnaty, licząc, że nikogo w środku nie będzie. Pokój, urządony w stylu rustykalnym, wyposażony w wielkie łóżce z kolumnami w kształcie rozgałęziających się dębów nie był zamieszkały. Na meblach bielily się lniane pokrowce. Minąłem łóżce, w którym spędziłem niegdyś kilka przyjemnych nocy w towarzystwie smagłej contessy z południowych krańców Rzymu, i rozwarłem okiennice. Przez okno wydostałem się na balkon, przesadziłem balustradę, lądując na stromym dachu królewskich stajni, budowli, która przyćmiewała każdą z rezydencji przy Trakcie Królewskim.

Żeby nie było, wiem, jak upaść, ale skok z dachu stajni przyprawiłby o śmierć nawet chińskiego cyrkowca, więc mój bieg po kamiennej rynnie był ostrożnym kompromisem pomiędzy strachem przed złamaniem karku, a strachem przed dźgnięciem przez Maeresa Allusa bądź któregoś z jego zbirów. Wiking mógł mi wytłuc drogę z całego zadłużenia, jeśli tylko udałoby mi się zapewnić sobie jego usługi oraz porobić odpowiednie zakłady. Diabła tam, nawet jeśli inni ujrzą w

nim to, co ja i stawka zrobi się zbyt niska, zawsze mogłem podtruć go tysiącnikami i postawić przeciwko niemu.

Na końcu dachu znajdowały się dwie kolumny korynckie podtrzymujące starą winorośl, albo na odwrót. Tak czy owak, dobry albo zdesperowany wspinacz mógł zejść po nich na ziemię. Ostatnie dziesięć stóp zjechałem, uderzyłem się w piętę, przygryzłem język i spluwając krwią, pognałem ku Bramie Bitewnej.

Dotarłem tam tak zdyszany, że musiałem przez chwilę odetchnąć, zgięty w pól, wspierając się dłońmi o uda, zanim przystąpiłem do oceny sytuacji.

Dwóch strażników przypatrywało mi się z nieskrywaną ciekawością. Stary moczymorda znany jako Dubler oraz jakiś nieznajomy szczył.

- Dubler! - wyprostowałem się, wyciągając rękę na powitanie. - Do którego z lochów zabrano więźniów królowej? - Stawiałem na cele w baszcie marsalskiej. Byli co prawda niewolnikami, ale nie wsadzało się takich jak Wiking z motłochem. I tak zapytałem. Warto zacząć rozmowę od prostego pytania, żeby rozluźnić rozmówcę.

- Nie ma tam dla nich miejsca. - Dubelt już miał splunąć, ale zmienił zdanie i przełknął głośno.

- Dla...? - Przecież chyba nie kazała ich stracić!? To byłaby zbrodnia!

- Wychodzą. Tak żem słyszał. - Dubelt, potrząsnął obwisłymi policzkami, ubolewając nad marnością tego świata. - Kontaf ma się nimi zająć. - Kiwnął głową na drugą stronę placu. Rzeczywiście zmierzał ku nam Kontaf, odziany w warstwy oficjalnych szat kroczył z tym specyficznym ważniactwem typowym dla urzędników niższego szczebla. Przez okratowane okno nad Bramą Bitwy słychać było głośniejszy z każdą chwilą brzęk łańcuchów.

- Niech to szlag. - Popatrzyłem na drzwi, a potem na podkomorzego. - Zatrzymaj ich tu, Dubelt - powiedziałem. - Ale nic im nie mów. Ani słowa. Nie pożałujesz. Twój towarzysz także - rzuciłem na odchodnym i pospieszyłem naprzeciw Ameralowi Kontafowi z rodu Mecerów.

Spotkaliśmy się na środku placu, gdzie zegar słoneczny odmierzał czas porannym cieniem. Kamień brukowy zaczynał się już nagrzewać, a jasne niebo nad dachami zapowiadało piękny dzień.

- Ameral! - zawołałem, rozkładając ramiona, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi.

- Książę Jalan. - Skłonił głowę, jakby starał się uniknąć mojego widoku. Mogłem wybaczyć mu tę podejrzliwość, jako dziecko wrzucałem mu skorpiony do kieszeni.

- Ci więźniowie wezwani dzisiaj rano do sali tronowej ku rozrywce królowej... Co z nimi będzie, Ameralu? - przesuwalem się, zachodząc mu drogę, z kolei on starał się mnie obejść. W pulchnej pięści ścisnął pismo z rozkazem.

- Mam ich odstawić na karawanę idącą do portu Ismuth. Dostaną papiery

rozwiązujące wszystkie warunki transakcji. - Zaprzestawszy prób wyminięcia mnie, westchnął ciężko. - Czego chcesz, książę Jalandre?

- Tylko Wikinga. - Uśmiechnąłem się i puściłem mu oko. - Jest zbyt niebezpieczny, by ot tak go puścić. Chyba nikt nie ma co do tego wątpliwości? W każdym razie królowa wysłała mnie po niego.

Kontaf popatrzył na mnie, podejrzliwie mrużąc oczy.

- Nie otrzymałem takich rozkazów.

Muszę powiedzieć, że mam poczciwą twarz. Szczerą i męzną, jak mawiają. Łatwo wziąć mnie za bohatera, a przy odrobinie wysiłku potrafię przekonać o swojej uczciwości nawet najbardziej cynicznego nieznajomego. Trochę trudniej idzie mi z tym w przypadku znajomych. Zdecydowanie trudniej.

- Przejdźmy się. - Położyłem mu rękę na ramieniu i pokierowałem nim ku Bramie Bitewnej. Dobrze kierować kimś w stronę, w którą sam zmierza. To zaciera granicę pomiędzy tym, czego chce kierowany i kierujący.

- Wiesz, tak naprawdę to Czerwona Królowa dała mi rozkaz na piśmie. No, pospiesznie naskrobany świstek. Niestety zgubiłem go, gdy tu biegłem. - Zdjąłem mu dłoń z barku i zacząłem rozpinąć złoty łańcuch na przegubie, bransoletę o grubych ogniwach i wysadzonym rubinami zapięciu. - Czułbym się strasznie, gdybym musiał do niej wrócić i przyznać się do takiej niezdarności. Przyjaciel na pewno by to zrozumiał. - Znów przejąłem stery, prowadząc go tak, jakbym najbardziej na świecie pragnął, żeby bezpiecznie dotarł do celu. Łańcuch trzymałem przed nim. -A ty *jesteś* moim przyjacielem, nieprawdaż, Ameralu? -Wolałem nie wrzucać mu klejnotu do kieszeni w obawie, żeby nie przypomniła mu się sprawa ze skorpionami, więc wcisnąłem mu go do spoczonej dłoni, ryzykując, że pozna się na czerwonym szkiełku i złoconym ołowiu, i to cienko w dodatku. Wszystkie wartościowe przedmioty, które były w moim posiadaniu, zastawiłem już dawno w lombardzie.

- Ale wrócisz i poszukasz tego dokumentu? - upewnił się Kontaf i zawiesił na chwilę głos, by przyjrzeć się bransolecie. - I przyniesiesz go przed zachodem słońca.

- Oczywiście! - zarzekłem się świącie. Jeszcze trochę i nad głową pojawiłaby mi się aureola.

- Naprawdę jest groźny, ten Wiking - przytaknął Kontaf, jakby przekonywał samego siebie. - Poganin, wyznawca fałszywych bożków. Muszę przyznać, że byłem zaskoczony, widząc wyrok zwalniający przy jego nazwisku.

- Przeoczenie - machnąłem ręką. - Ale już wszystko naprawione. - Stojący nieopodal Dubelt toczył ożywioną konwersację przez okratowany wizjer w drzwiach do samborzy bramnej. - Możesz już puścić więźniów - zawołałem do niego. - Jesteśmy gotowi ich przejąć!

- Wyglądasz na niezwykle ukontentowanego z siebie -powitał mnie Darin, wchodząc do Wysokiej Sali, jadalni na galerii, nazwanej tak nie ze względu na

odległość do sufitu, a umiejscowienie. Lubiłem tam jadać ze względu na widok, jaki się z niej roztaczał, z jednej strony na pałacowy ogród, z drugiej, przez okna szczelinowe, na wielką sień domu ojca.

- Bażant, marynowany pstrąg, jaja. - Wskazałem na stół zastawiony srebrnymi półmiskami. - Czegóż chcieć więcej? Częstuj się. - Darin był zadufany w sobie i nadmiernie ciekawy moich poczynań, ale wystarczyło, że nie był tym wrzodem na dupie, Martusem, i mógł szczyścić się mianem „ulubionego brata”.

- Służba zgłaszała, że ginie ostatnio sporo zastawy. - Darin wziął sobie jajko i usiadł z nim na drugim końcu stołu.

- Ciekawe. - Pewnie Julia, nasza bystrooka nadworna kucharka, naopowiadała coś ochmistrzowi. Ale jak dotarło to do uszu Darina...? - Kazałbym obić paru pacholków. Szybko by się problemy skończyły.

- A dowody? - Posolił jajko i ugryzł duży kęs.

- Do diabła z dowodami! Starczy puścić krwi kilku kuchcikom, żeby nastraszyć wszystkich fagasów. To przywróci porządek. Babka by właśnie tak zrobiła. Mawiała że lepkie palce łatwo się łamią. - Odegrałem słuszny gniew, wykorzystując własne zakłopotanie, dla dodania mu żywszych kolorów. Czyli że koniec sprzedawania rodowych sreber... Skarbczyk został zamknięty. Dobrze, że w baszcie marsalskiej miałem swojego Wikinga. Ze swojego miejsca widziałem wieżę, pochyloną budowlę z kamienia, najstarszą z zabudowań zamkowych, poblżnioną i zniekształconą, ale opierającą się dzielnie zapędom poprzednich władców, którzy chcieli ją rozebrać. Środek baszty, niczym pas, okalał rząd zakratowanych okien. Na jedno z nich pewnie patrzył teraz z podłogi swej celi Snorri ver Snagason. Kazałem mu dać do jedzenia czerwone mięso, surowe, krwiste. Karmieni krwią zawodnicy aż kwitną.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w okno, obserwując wieżę i bezmiar niebios poza nią. Niebiesko-białe niebo było w ruchu, ale zdawało się, że to chmury stoją, a baszta płynie niczym kamienny okręt tnący białe fale.

- Co myślisz o tych banialukach z rana? - zapytałem, nie oczekując właściwie odpowiedzi, przekonany, że Darin już sobie poszedł.

- Myślę, że skoro babka się martwi, to my też powinniśmy.

- Drzwi do śmierci? Trupy? Nekromancja? - Zassałem nóżkę bażancią, mięso z łatwością zeszło z kości. - Mam się tego bać? - Postukałem gnatem w blat i oderwawszy wzrok od okna, uśmiechnąłem się do brata. - Myślisz, że będzie mnie ścigała, żeby się zemścić? - Poruszyłem kością, jakby chodziła.

- Słyszałeś, co mówili tamci...

- A ty widziałeś kiedykolwiek chodzącego trupa? Nie mówię o pustyniach z piachu czy lodu, ale w Czerwone) Marchii. Widział tu ktoś coś takiego?

Darin wzruszył ramionami.

- Babka twierdzi, że do miasta przyszedł co najmniej jeden nienarodzony.

To poważna sprawa.

- Co przyszło?
- Jezu! Naprawdę nie słyszałeś ani słowa z tego, co mówiła? To królowa, wiesz? Dobrze od czasu do czasu zwracać uwagę na to, co mówi.
- Nienarodzony? - Nic nie zaświtało mi w głowie w związku z tym określeniem. Nawet nie zbliżyło się do świtu.
- To coś, co rodzi się w śmierć, a nie życie, nie pamiętasz? - Darin pokręcił głową, widząc mój tępy wzrok. - Nieważne. Ale słuchaj teraz. Ojciec oczekuje twojej obecności na dzisiejszej operze. Nie wolno ci się spóźnić, przyjść po pijaku, ani jedno i drugie. I nie udawaj, że nikt ci nie powiedział.
- Opera? Dobry Boże, za co? - Ostanie, czego mi było trzeba. Banda tłustych, wymalowanych idiotów wyjących na mnie godzinami ze sceny.
- Masz przyjść i tyle. Oczekuje się, że kardynałowie od czasu do czasu będą finansować takie przedsięwzięcia. I że ich rodzina będzie w nich uczestniczyć. Inaczej klasa wyższa zacznie zadawać pytania.

Już otwierałem usta, żeby zaprotestować, ale nagle przyszło mi do głowy, że pośród tej klasy wyższej znajdują się siostry DeVeer. A także Fenella Maitus, nowo przybyła, rzekomo oszałamiająco piękna córka Ortusa Maitusa, którego kieszenie były tak głębokie, że sięgnięcie do nich może byłoby warte nawet małżeństwa. No i oczywiście jeśli Snorri zadebiutowałby na arenie przed operą, to podczas antraktów mógłbym z łatwością przekonać notabli do obstawiania zakładów. Opera ma tę zaletę, że męska część widowni tym bardziej docenia w jej trakcie inne formy rozrywki. Zamknąłem usta i skinąłem akceptująco. Darin wyszedł, przeżuując jajko.

Straciłem apetyt. Odepchnąłem talerz. Moja dłoń sama powędrowała pomiędzy fałdy płaszcza, skąd wyłowiła stary medalion. Postukałem wisiorkiem w stół. Tania błyskotka z plateru otwierała się, ukazując miniaturowy portret matki. Zatrzasnąłem medalion z powrotem. Miałem siedem lat, kiedy widziała mnie po raz ostatni. Zabrała ją czerwotka. Tak to zwą. Ale to po prostu krwawa sraczka. Dopada cię gorączka, osłabienie i umierasz w smrodzie. Księżniczki nie powinny tak umierać. Ani matki. Schowałem medalion pod szaty. Lepiej, że po raz ostatni widziała mnie jako siedmiolatka, niż takiego jak teraz.

Przed wyjściem poszedłem po moją eskortę, dwóch starsza wych strażników przydzielonych wspaniałomyślnie przez ojca do ochrony mojej książęcej skóry. Po drodze zaszedłem do Czerwonego Skrzydła i zgarnąłem kilku swoich dobrych kompanów. Rousta i Lona Greyjarów, kuzynów Księcia Strzały, przysyłanych, by „zacieśniać kontakty”, co polegało głównie na spijaniu naszych najlepszych trunków, obzeraniu się naszym najlepszym jedzeniem i podszczyptywaniu pokojówek. I Omara, siódmego syna kalifa Liby, świetnego towarzysza hazardowych rozrywek. Poznałem go podczas mojej krótkiego i niechlubnego

pobytu na Mathemie. Potem przekonał kalifa do wysłania go na kontynent w celu pogłębiania edukacji. Już z Greyjarami i Omarem zahaczyliśmy o skrzydło gościnne Wewnętrzznego Pałacu, gdzie mieszkali ważniejsi dygnitarze i gdzie znajdowały się apartamenty ambasadora Vyeny, ojca Jona Barrasa. Sługa sprowadził Jona, za którym podążał jego towarzysz, a jednocześnie ochroniarz, Rollas.

- Cóż za wspaniała noc na pijaństwo! - powitał mnie Barras już na schodach. Dla niego każda noc nadawała się idealnie na popijawę.

- Do tego potrzebowałibyśmy wina! - rozłożyłem ręce.

Barras odsunął się, a zza niego wyłonił się Rollas niosący wielką butlę.

- Działo się dzisiaj na dworze, słyszałem?

- Rodzinne spotkanie - odrzekłem. Barras wszędzie zbierał dworskie wieści. Podejrzywałem, że połowa jego pensji uzależniona jest od plotek, którymi karmił ojca.

- Błękitna Dama znowu zaczęła swoje gierki? - Otoczył mnie ramieniem i pokierował ku Bramie Gminnej. Barras każde wydarzenie poczytywał jako intrygę królestwa przeciw innemu, lub, co gorsza, spisek mający na celu zburzyć resztki pokoju, jaki panował w Rozbitym Imperium.

- Za cholery nie wiem. - Teraz jednak, gdy o tym napomknął, przypomniałem sobie pogłoski o Błękitnej Damie. Barras twierdził, że moja babka i ta rzekoma czarownica już od dziesięcioleci toczą jakąś prywatną wojnę. Jeśli tak, to dla mnie była to kiepska wymówka, bo nie zauważyłem żadnych tego oznak. Opowieści o Błękitnej Damie wydawały się wątpliwe, tak samo jak te o tak zwanych magach kręcących się na zachodnich dworach, Kelemie, Coronie i kilku pozostałych. Jak dla mnie, to byli zwykli szarlatani. Jedynie obecność Milczącej Siostry przydawała tym bajkom odrobinę wiarygodności. - Ale z tego, co słyszałem ostatnio, nasza błękitna przyjaciółka goniona od jednego Teutońskiego dworu do drugiego. Pewnie gdzieś po drodze powiesili ją za uprawianie czarów.

- Miejmy nadzieję - burknął Barras. - Miejmy nadzieję, że nie wróciła do Scorronu i nie zaczęła pichcić tej swojej wojenki.

Też miałem taką nadzieję. Ojciec Barrasa wynegocjował pokój między Czerwoną Marchią i Scorronek i traktował go jak drugie dziecko. Ja sam wolałbym krzywdy bliskiego krewniaka niż zniszczenia tego rozejmu. Za nic w świecie nie dałbym się wysłać z powrotem w góry, żeby walczyć ze Scorrończykami.

Opuściliśmy pałac Bramą Zwycięstwa już w dobrych nastrojach. Butelka czerwonego Wennith krążyła z rąk do rąk, a ja tymczasem objaśniałem zalety umizgów do kilku sióstr jednocześnie.

Jednak gdy dotarliśmy na Plac Bohaterów wino obróciło się w moich ustach w ocet. Zakrzusłem się, wypuszczając butelkę z rąk.

- Patrzcie, tam! Widzicie ją? - Pochłonięty odzyskiwaniem oddechu i ocieraniem łez, zapomniałem o własnej zasadzie i wskazałem palcem na staruchę z bielmem. Stała pod wielkim pomnikiem Ostatniego Namiestnika, posępnej postaci siedzącej na swoim małym stolcu.

- Spokojnie! - Roust łupnął mnie między łopatki.

- Kogo mamy widzieć? - zapytał Omar, wpatrując się w miejsce, które wskazywałem. Odziana w łachmany, przy drugim wejrzeniu mogła zdawać się już tylko szmatą wiszącą na krzaku. Może właśnie to ujrzał Omar.

- O mały włos! - Barras odzyskał flaszkę, której nic się nie stało dzięki trzinowej opłotce. - Chodź do tatusia! Nie dam ci zrobić krzywdy, maleńka! - Tulił flaszkę jak niemowlę.

Nikt poza mną jej nie widział. Patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, świdrując bielmem, a potem odwróciła się i odeszła, znikając w rzece tłuszczu płynącej ku Targowisku Trenta. Popędzony przez innych też ruszyłem przed siebie, dręczony starymi lękami.

Do Krwawych Dołów dotarliśmy wczesnym popołudniem. Ja nerwowy i spocony, i to nie tylko z powodu niezwykłego o tej porze roku upału czy faktu, że moja finansowa przyszłość miała spocząć na szerokich barach człowieka z północy. Milcząca Siostra zawsze budziła we mnie niepokój, a tego dnia oglądałem ją zbyt często. Po drodze rozglądałem się gorączkowo w obawie, że znów ujrzę ją gdzieś w tłumie.

- Chodźmy zobaczyć tego twojego giganta! - Lon Greyjar klepnął mnie w ramię, wyrываяc ze wspominków i uświadamiając fakt, że stoimy już pod Krwawymi Dołami. Uśmiechnąłem się do niego, w duchu poprzysięgając sobie, że oskubię sukinkota z ostatniej korony. Grał mi na nerwy ten Lon, był zbyt poufały, za bardzo lubił poklepywanie i zawsze drażył wszystko, co się powiedziało, jakby wszystko poddawał w wątpliwość, nawet buty, które miało się na nogach. To prawda, że często kłamałem, ale to nie znaczy, że kuzyn jakiegoś pomniejszego księżątka może sobie tak pozwalać.

Zatrzymałem się przed wejściem, cofnąłem parę kroków i potoczyłem wzrokiem po budynku. Niegdyś mieściła się tu rzeźnia, ogromna rzeźnia, jakby panujący za czasów jej powstania król chciał, żeby nawet jego bydło szlachtowano w gmachu, przy którym niknęły domy jego konkurentów noszących miedziane korony.

Tylko raz, oprócz dnia dzisiejszego, widziałem staruchę z bielmem poza salą tronową, na Ulicy Gwoździanej, nieopodal jednej z większych rezydencji stojących przy zachodnim jej krańcu. Wyszedłem z balu pewnego ambasadora z jedną ponętą młodą damą, zostałem spoliczkowany za pewne działania i potrzebowałem trochę czasu, żeby dojść do siebie po przejściach. Gapiąc się na ulicę, sprawdzałem właśnie czy przeklęta baba nie obluzowała mi zębów, kiedy po drugiej stronie

ujrzałem Milczącą Siostrę. Stała tam sobie bezczelnie z wiadrem w jednej, końskim pędzlem w drugiej ręce i malowała na ścianie domu jakieś symbole. Nie na murze otaczającym ogród, ale na ścianie budynku, niezauważona najwyraźniej ani przez wartownika, ani żadnego psa. Obserwowałem ją i nagle zrobiło mi się zimno, jakby przez jakieś pęknięcie w nocy uciekło całe ciepło. Nie spieszyła się, kończyła jeden symbol, a potem spokojnie zaczynała kolejny. W świetle księżyca farba wyglądała jak krew. Z szerokich pociągnięć pędzlem spływały ciemne stróżki, a linie tworzyły sigile, które zdawały się wypaczać noc wokół siebie. Obchodziła budynek, opasując go szeregiem znaków, cierpliwie, niespiesznie, spokojnie. Uciekłem wtedy z powrotem do domu ambasadora, bardziej bojąc się staruchy z wiadrem krwi niż hrabiny Loren, jej nazbyt spiesznej ręki i ewentualnych braci nasłanych w celu obrony jej honoru. Dobry nastrój balowy jednak prysnął, więc wróciłem szybko do domu.

Dzień później usłyszałem doniesienia o strasznym pożarze na ulicy Gwoździanej. Spłonął dom, do cna. Nikt nie ocalał. Do tej pory działka pozostawała pusta, nikt nie chciał się tam wybudować.

Na murach Krwawych Dołów na szczęście nie było żadnych upiększeń, prócz wydrapanych gdzieś imion kochanków i przypór dających osłonę do takich aktywności. Przeklinając się za głupotę, wszedłem wreszcie do środka.

Wcześniej tego dnia bracia Terrif, którzy prowadzili Krwawe Doły, wysłali wóz pod basztę, żeby odebrać Snorriego. Zostawiłem im precyzyjne instrukcje, przykazując obchodzić się z Wikingiem jak z jajkiem i grożąc żądaniem zadośćuczynienia w wysokości tysiąca koron w złocie, jeśli by nie zdołali dostarczyć go na Szkarłatną Arenę na pierwszą walkę.

Otoczony towarzyszami wszedłem do Krwawych Dołów, zanurzając się natychmiast we wrzawie i dymie oraz słodkawym smrodkiem tego przybytku. Do diabła, uwielbiałem to miejsce. Odziani w jedwabie szlachcice wałęsali się pomiędzy arenami niczym pływające wyspy kolorów i wyrafinowania, otoczeni ciasnym wianuszkiem towarzyszy, szerszymi poszarpanymi kręgami pieczeniarzy, sokolników, piwoszy, makowników i ladacznic, a dalej ulicznikami gotowymi biegać między jednym panem a drugim, przynosząc wiadomości ustne lub pisane. Bukmacherzy, każdy z licencją od Terrifów, uwijali się przy kramikach pod ścianami, zaznaczając kredami kursy zawodników, a wokół nich kręcili się gotowi na każde skinienie chłopcy na posyłki.

Cztery główne areny leżały na wierzchołkach wielkiego rombu. Były to niecki wyłożone czerwonymi kaflami -Karmazynowa, Umbrowa, Ochrowa, Szkarłatna. Wszystkie wspaniałe, ale najlepsza z nich była Szkarłatna, miała dwadzieścia po przekątnej i tyleż samo głębokości. Szlachcice kręcili się pomiędzy tymi i kilkoma pomniejszych arenami, spoglądając w dół, omawiając warunki wystawionych na pokaz zawodników i komentując kursy. Każdą z aren otaczała

solidna drewniana bariera osadzona w drewnianym rancie, którym wykończone były kamienne niecki. Podeszedłem do Szkarłatnej i przechyliłem się przez reling, wciskając go sobie w brzuch. Z dołu spojrział na mnie spode łba Snorri ver Snagason.

- Świeże mięsko! - zawołałem, unosząc rękę, ale nie spuszczać z oka mojej kopalni złota. - Komu działka!

Na poręczy obok pojawiły się dwie niewielkie smagłe dłonie.

- *Mnie* na pewno. Jesteś mi winien jedną czy dwie, książę Jalanie.

Do diabła.

- Maeres, jak dobrze cię widzieć. - Na obronę muszę zaznaczyć, że udało mi się powiedzieć to bez hysterii w tonie i nawet się nie posrać. Maeres Allus miał spokojny, rzeczowy głos skryby albo bakałarza. Jednakże fakt, że lubił patrzeć jak jego zbiry odcinają dłużnikom wargi, nadawał tej rzeczowości posmaku grozy.

- Wielki chłop - stwierdził.

- Tak. - Rozejrzałem się za towarzyszami. Wszyscy, włącznie z dwoma weteranami wybranymi specjalnie przez ojca, by mnie pilnować, bez słowa oddalili się w kierunku Umbry, pozwalając Maeresowi Allusowi cichcem mnie podejść. Tylko Omar miał w sobie na tyle przyzwoitości, żeby robić wrażenie skruszonego.

- Jak myślisz, jak by się sprawił przeciw człowiekowi lorda Grena, Norrasowi? - zapytał Maeres.

Norras był sprawnym pięściarzem, ale Snorri mógłby go stłuc na proch. Widziałem teraz zawodnika Grena, stojącego za kratami w wejściu naprzeciw tego, przez które wszedł Snorri.

- Może ogłosimy walkę? Przyjmiemy zakłady? - Odszukałem wzrokiem Barrasa i zawołałem go. - Norras przeciw mojemu świeżakowi? Jaki kurs?

Maeres położył swoją miękką dłoń na moim ramieniu.

- Na zakłady przyjdzie czas po próbie.

- A-ale co, jeśli zostanie ranny? - zdenerwowałem się. - Zamierzam na nim sporo zarobić, Maeres, chcę cię spłacić z odsetkami. - Palec mnie rozbolał. Ten, który Maeres złamał, gdy dwa miesiące wcześniej przyszedłem do niego bez pieniędzy.

- Zrób mi tę przyjemność. Opuść ci odsetki. Pokryję straty. Taki zawodnik będzie wart... ze trzysta koron.

Wtedy przejrzałem jego grę. Trzysta koron to połowa tego, co byłem mu winny. Sukinsyn chciał się pozbyć Snorriego i zatrzymać w garści księcia z rodziny królewskiej. Niestety nie dało się raczej z tego wykręcić, Nie odmawia się Maeresowi Allusowi, a już na pewno nie w sali walk należącej do jego kuzynów, którzy są mu winni prawie tysiąc w zlocie. Maeres wiedział, jak mocno może mnie przycisnąć. Dobrze wiedział, co kryje się za moją złością. Nie zostaje się głową organizacji przestępczej bez umiejętności właściwej oceny ludzi.

- Trzysta jeśli nie będzie mógł dzisiaj już walczyć w walkach zakładowych? - Mógłbym wymknąć się po tej idiotycznej operze i zagrać parę niezłych walk. To popołudniowe starcie i tak miało tylko narobić apetytów i przyciągnąć zainteresowanie.

Maeres nie odpowiedział, tylko klasnął w swoje miękkie rączki i strażnicy arenowi podnieśli drugą kratę. Zgrzyt żelaza trącego o kamień i grzechotanie przeciąganych łańcuchów przyciągnęło widownię, która obiegnęła ogrodzenie.

- Jaki wielki!
- Przystojniak!
- Norras przefasonuje mu buźkę!
- Norras zna się na rzeczy.

Bykowały Teuton wyłonił się z łukowatego wejścia, przetaczając głowę po wielkim karczychu.

- Tylko pięści, Wikingu - zawołał Maeres. - Droga do wyjścia z areny otwiera się tylko wtedy, gdy trzyma się zasad.

Norras uniósł ramiona i zwinął dłonie w pięści, jakby chciał poinstruować poganina. Zbliżył się szybko, szarpiąc głową na boki w celu zmylenia przeciwnika i sprowokowania lekkomyślnego zamachu. Mnie kojarzył się przy tym raczej z kogutem, kręcącym łebkiem, tym bardziej, że ustawione w gardzie ręce tworzyły jakby małe skrzydełka. Wielka umięśniona kwoka.

Norras szybko wszedł w zasięg ramion Snorriego. Schylił głowę, tak właśnie robił - przyjmował ciosy na czaszkę. Miałem podpowiedzieć to Wikingowi. Widywałem już zawodników, którzy pokaleczyli sobie ręce na twardym czerepie Teutona. Nie zdążyłem jednak się odezwać. Norras wyprowadził cios, Snorri zablokował jego pięść otwartą dłonią, po czym zacisnął palce, więżąc ją. Potem szarpnął go do siebie, zamachnął się drugą ręką i odtrącając łokciem szeroki zamach lewej ręki Teutona, uderzył. Pięść Wikinga wylądowała na twarzy Teutona, od podbródka do nosa. Trafiony odleciał w tył jakiś jard, po czy grzmotnął bezwładnie na ziemię z głuchym łupnięciem. Jego odwrócona do góry twarz była w większości krwawą miazgą upstrzoną zębami i zmieszana ze śluzem z rozpląszonego nosa.

Na moment zapadła cisza, a potem naraz buchnął taki wrzask, że rozboleły mnie uszy. Na wpół zachwyty, na wpół oburzenia. Załopotwały pergaminy z zakładami, monety zmieniły właścicieli, nieformalne zakłady porobiono w mgnieniu oka.

- Robi wrażenie - stwierdził beznamiętnie Maeres. Obserwował, jak dwóch pomocników odciąga Norrasa przez wyjście składające się z dwóch okratowanych komór. Snorri im nie przeszkadzał. Widziałem, jak oblicza swoje szanse na ucieczkę i jak wychodzi mu zero. Drugą kratę podnosiło się tylko z zewnątrz i tylko wtedy, gdy pierwsza była opuszczona.

- Dajcie tam Ootaną. - Maeres nigdy nie podnosił głosu, a i tak zawsze słyszano go mimo harmidru. Obdarzył mnie wąskim uśmiechem.

- Nie! - Zdławiłem oburzenie, przypominając sobie, że nawet w pałacu widywałem bezwargich ludzi. Maeres Allus miał długie ręce. - Maeres, przyjacielu, chyba nie mówisz poważnie? - Ootana miał za sobą wiele walk na noże. Tylko od początku tego roku zdążył wypruć flaki kilkunastu dobrym nożownikom. - Pozwól mojemu Wikingowi choć przez kilka tygodni poćwiczyć ze sztyletem. Pochodzi z krainy lodu. Oni tam nie rozumieją niczego poza toporem. - Usiłowałem wpaść w żartobliwy ton, ale Ootana już czał się przy okratowanym wejściu. Zwinny diabeł z wybrzeży Afriki.

- Walka. - Maeres uniósł rękę.

- Ale... - Snorriemu nie dano nawet noża. To zakrawało na morderstwo, zwyczajne, prostackie morderstwo. Publiczna lekcja dla księcia, żeby się nie wychylał. Ale widzom się to nie spodobało. Zawyli pogardliwie, gdy Ootana wszedł, trzymając zakrzywiony nóż w swobodnie opuszczonej dłoni. Szlachcice pohukiwali, jakby oglądali mimów na targowisku. Możliwe, że nie po raz ostatni tego wieczoru pohukiwali z taką pasją, jeśli w librecie opery uwzględniono odpowiednio nikczemną rolę.

Snorri spojrzał do góry. Przysięgłbym, że się uśmiechał!

- Tym razem żadnych zasad?

Ootana zaczął się zbliżać ku niemu powoli, przekładając nóż z ręki do ręki. Snorri rozłożył ramiona, nie na pełną szerokość, na tyle, by zająć jeszcze więcej z tej i tak ciasnej dla niego przestrzeni i przy wtórze ryku, który wydarł się z wielu gardeł, zaatakował. Ootana dał susa w jedną stronę, zamierzając uderzyć błyskawicznie i zrobić unik, ale Wiking poruszał się zbyt szybko. Skręcił się gwałtownie, po czym wyciągnął przed siebie ramiona tak długie, jak u Afrykańczyka. W ostatniej chwili Ootana mógł jedynie spróbować zadać zabójczy cios, bo nic nie mogło uchronić go przed chwytem Wikinga. Wymiana ciosów przestała być widoczna w zwarciu. Snorri runął na niego, napierając i spychając do tyłu, aż Ootana walnął w ścianę areny. Wiking przytrzymał go tam chwilę, może nawet coś powiedział, a potem cofnął się. Ootana osunął się na podłogę pod ścianą. Przez zdartą z potylicy ciemną skórę prześwitywały fragmenty białej kości.

Snorri odwrócił się i posłał mi nieodgadnione spojrzenie, a potem spuścił wzrok na dłoń, w której tkwił wbity aż po rękojeść sztylet. Poświęcenie, które uczynił by utrzymać ostrze z dala od gardła.

- Niedźwiedź. - Maeres powiedział to tak cicho, jak nigdy, choć tłum wrzeszczał jak oszalały. Nigdy nie widziałem go rozwścieczonego - niewielu widziało - aż do teraz. Poznałem to po zaciśniętych ustach i pobladłej skórze.

- Niedźwiedź? - Może od razu zastrzeli go z kuszy i będzie z głowy! Raz jeden widziałem niedźwiedzia Krwawych Dołów, czarną bestię z zachodnich

puszczy. Wystawili go przeciw wojownikowi z Conaught, walczącemu dzidą i siecią. Zwierz nie był wiele większy od człowieka, ale grot go tylko rozeźlił, a kiedy tylko zbliżył się do sieciarza, było po wszystkim. Nieważne jak bardzo umięśniony jest człowiek, siła niedźwiedzia to całkiem co innego. Przy niej każdy wojownik wydaje się słaby jak dziecko.

Srowadzenie zwierzka zajęło im chwilę. Najwyraźniej nie należał on do planu obejmującego Wikinga i Ootaną. Snorri zwyczajnie sobie stał, trzymając nad głową zranioną rękę. Ścisnął ją w nadgarstku, ale ostrze pozostawił tam, gdzie było, wbite na wylot.

Wściekłość, jaką tłum okazał na wejście Ootany osiągnęła nowe szczyty, kiedy niedźwiedź zbliżył się do kraty, ale ryk urwał się, uciszony gromkim śmiechem Snorriego.

- To ma być niedźwiedź?! - Opuścił ramię i uderzył się w pierś. - Jam z ludu Undoreth, Dzieci Młota. W naszych żyłach płynie krew Odyna. Zrodziła nas burza! - Przebitą, zakrwawioną ręką wskazał na Maeresa. Wiedział, kto jest jego katem. - Jestem Snorri, Syn Topora. Walczyłem z trollami. Macie większego niedźwiedzia! Widziałem go na tyłach, w jednej z cel. Dajcie tu jego!

- Większy niedźwiedź! - wrzasnął Roust Greyjar za moimi plecami, a jego głupi brat podchwycił.

- Większego niedźwiedzia!

W następnej chwili wszyscy skandowali to samo, a stara rzeźnia tętniła żądaniem.

Maeres nic nie mówiąc, skinął głową.

- Większy niedźwiedź! - wył tłum rytmicznie, aż wreszcie widok przybyłego zwierzka zamknął im usta.

Nie miałem bladego pojęcia, skąd Maeres wziął tę bestię, ale musiała go kosztować fortunę. W życiu nie widziałem czegoś tak ogromnego. Czarne niedźwiedzie z puszczy teutońskich wydawały się przy nim małe, przewyższał gabarytami nawet grizzly pochodzące spoza krajów Słowian. Mimo że skulony w przejściu, musiał mieć powyżej dziewięciu stóp - góra mięśni i tłuszczu obleczona w brudno-białe futro. Tłum jęknął, a potem zawył z zachwytu i grozy, podniecony perspektywą śmiertelnej jatki, oburzony nieuczciwością niechybnego mordy.

Krata uniosła się, a niedźwiedź warknął i opadł na cztery łapy. Snorri tymczasem wyszarpnął z ręki sztylet, obracając go dziwnie pod sam koniec, dzięki czemu nie poszerzył rany. Zwinął zakrwawioną dłoń w szkarłatną pięść, a sztylet zacisnął w drugiej, unosząc ją nad głowę.

Niedźwiedź, najwyraźniej jakiejś arktycznej rasy, wszedł niespiesznie na arenę, kołyszac zamasyżycie wielkim łbem, wciągając nozdrzami smród ludzi i krwi. Snorri zaatakował. Tupnął do przodu wielką stopą, rozłożył ramiona i ryknął ogłuszająco. Cofnął się szybko, ale to wystarczyło, żeby zwierz odpowiedział tym

samym, wydając z siebie ogłuszający dźwięk, tak straszny, że nawet stojąc bezpiecznie na górze, za barierą, omal nie popuściłem w spodnie. A potem stanął dęba, prostując się na pełne dziesięć stóp, unosząc w powietrze łapy o czarnych szponach, dłuższych niż ludzkie palce. Zakrwawiony sztylet Snorriego wyglądał przy tej bestii żałośnie. Nie przeszedłby pewnie nawet warstwy tłuszczu. Do przebiccia się do wnętrza trzeba by było długiego miecza.

Wiking krzyknął jakieś przekleństwo w tym swoim pogańskim języku, wyrzucił do przodu rozczapierzoną ranną dłoń i obryzgał pierś niedźwiedzia krwią, zostawiając na białym futrze czerwony ślad.

- Szalencie! - Nawet ja wiedziałem, że nie wolno pokazać dzikiemu stworzeniu, że się jest rannym.

Niedźwiedź, bardziej zaciekawiony niż rozwścieczony, schylił łeb, żeby powąchać i polizać plamę. I w tym momencie Snorri zaatakował. Przez chwilę pomyślałem nawet, że może rzeczywiście uda mu się zabić bestię, jakimś cudem wrażając ostrze prosto między kręgi ugiętego karku. Wszyscy jednocześnie wciągnęli powietrze. Snorri skoczył. Wsparł się ranną ręką na pochylonym łbie, niczym akro-bata wskoczył mu na bary i przysiadł. Z rykiem oburzenia niedźwiedź wyprostował się gwałtownie, wściekły wyciągnął się na pełną wysokość, unosząc na karku Wikinga, jak ojciec dziecko na barana. W chwili, gdy niedźwiedź się podniósł, Snorri również się wyprostował dając susa w górę i robiąc zamach trzymany w ręku sztyletem. Otrze wbiło się w drewnianą podstawę poręczy dwadzieścia stóp ponad posadzką. Podciągnął się, rozhuśtał i w mgnieniu oka znalazł się wśród widzów.

Snorri ver Snagason runął przez tłum, roztrącając szlachetnie urodzonych, rozdeptując dorosłych mężczyzn. Gdzieś już podczas pierwszych kroków zdobył inny nóż. Za sobą zostawiał wawóz usiany leżącymi i krwawiącymi obywatelami, choć ostrza użył tylko trzykrotnie, gdy paru członków obstawy areny Terrifów uczyniło poważniejszy wysiłek, by go zatrzymać. Tych ostatnich zostawił z rozprutymi brzuchami, a jednego z prawie całkiem odciętą głową. Zanim do wszystkich dotarło, co się właśnie wydarzyło, był już na ulicy.

Oparłem się o barierkę. Wokół panował chaos. Mężczyźni odnajdywali w sobie odwagę i rzucali się w pościg, dopiero teraz, gdy ich zwierzyna była już za daleko. Niedźwiedź powrócił do obwąchiwania i zlizywania krwi z kamiennej posadzki, ukazując odbity na karku krwawy ślad dłoni Snorriego.

Maeres gdzieś zniknął. Potrafił pojawiać się i znikać niepostrzeżenie. Wzruszyłem ramionami. Wiking był zdecydowanie zbyt niebezpieczny, by go trzymać. W ten czy inny sposób ściągnąłby na mnie śmierć. A tak przynajmniej mój dług u Maeresa Allusa zmniejszył się o trzysta koron. Dzięki temu miałem go z głowy na następne trzy miesiące, może nawet sześć. A w pół roku może się wiele wydarzyć. Pół roku to wieczność.



Opera! Tego nie da się z niczym porównać. Chyba że z rujowiskiem dzików.

Jedynym pozytywem w niekończącej się operze był budynek. Piękna, przykryta kopułą budowla znajdowała się we wschodniej dzielnicy Vermillionu, gdzie przewaga siedzib florenckich bankierów i mediolańskich kupców nadawała miastu specyficznego smaku. Przez pierwszą godzinę gapiłem się na sufit, po którym hasały nagie nimfy. Malarz zdołał namalować je tak, że łukowato sklepiona powierzchnia nie zniekształcała ich postaci. Chociaż podziwiałem artystę ze względu na umiejętność oddawania szczegółów, w scenki rodzajowe, na które patrzyłem, wkradały się obrazy wydarzeń w Krwawych Dołach. Snorri zadający zabójczy cios Norrasowi. Ootana osuwający się po ścianie areny z pęknięta czaszką. Ten sus. Ten niesamowity, niemożliwy, szalony skok! Na scenie sopran unosił się w arii, a ja odtwarzałem w wyobraźni, jak Wiking wyskakuje na wolność.

W przerwie poszedłem szukać znajomych twarzy. Spóźniłem się na przedstawienie i musiałem szurać i zasłaniać innym widowisko, przepychając się do wolnego miejsca. W półmroku, pozbawiony bardziej punktualnych towarzyszy, musiałem usiąść pośród obcych. Teraz, w blasku świateł foyer okazało się, że mimo ostrzeżeń Darina, premiera przyciągnęła zaskakująco mało ważnych osób. Chyba nawet ojciec nie przyszedł. Jak wieść niosła, musiał położyć się do łóżka. Nigdy nie był wielkim melomanem, ale podróż tych wyjących ze sceny diabłów i aniołów, tłuszciochów pocących się pod perukami z wosku i piór, finansował skarb Watykanu. Wpadało, żeby głowa ich tutejszej reprezentacji brała w tym udział, cierpiąc katusze wspólnie z innymi. Do diabła, nie mogłem nawet znaleźć Martusa ani pieprzonego Darina.

Wyminąłem mężczyznę w białej emaliowanej masce, który chyba pomylił sobie operę z balem maskowym. A przynajmniej usiłowałem go wyminąć, bo w końcu wpadłem na niego i odbiłem się, jakby był odlany z żelaza. Odwróciłem się, rozcierając bolący bark. Coś w tych oczach spoglądających przez wąskie szpary w

masce sprawiło, że zalała mnie lodowata fala strachu, wymywając wszelką chęć na połajanki. Czy to w ogóle był człowiek? Widok tych oczu prześladował mnie. Białe źrenice, szare białka. Ramię bolało, jakby zakażenie wżarło się w kość... Nienarodzony. Darin mówił coś o tym, że w mieście jest nienarodzony...

- Książę Jalandie! - Ameral Kontaf pomachał do mnie z irytującą poufałością. Nadęty, obnosił idiotyczny strój, który prawdopodobnie kupił na tę okazję. Musieli być rzeczywiście zdesperowani, żeby zapełnić widownię, skoro zaprosili nawet takich wazeliniarzy pokroju Kontafa. -Książę Jalandie! - Tłum rozdzielił nas, udałem więc, że go nie widzę. Pewnie ścigał mnie za ten wymyślony rozkaz dotyczący Snorriego. Albo co gorsza słyszał już o Wikingu biegającym w amoku po ulicach Vermillionu... Lub też może zeszkrobał warstewkę złota z mojego prezentu. Tak czy owak żaden z powodów, dla których chciał ze mną rozmawiać nie był powodem, dla którego ja chciałbym rozmawiać z nim! Odwróciłem się na pięcie i naraz znalazłem się oko w oko z Alainem DeVeerem. Głowę miał owiniętą nietwarzowym bandażem, a towarzyszyło mu dwóch osiłków w niedopasowanych płaszczach operowych.

- Jaland! - Alain złapał mnie za doskonale obszytą pelerynę i tylko ona została mu w ręce. Zrzucając okrycie popędziłem ku schodom, roztrzając matrony z fryzurami lśniącymi od diamentów i starych lordów złopiących wino z ponurą determinacją, jakby za wszelką cenę starali się stępić zmysły. Szybko biegam, ale prawdopodobnie to moje kompletne lekceważenie bezpieczeństwa innych ludzi pozwoliło mi zyskać znaczącą przewagę.

Na tyłach gmachu opery znajdują się ogólnodostępne wychodki. W części męskiej jest to kilkanaście siedzeń z dziurami wychodzącymi bezpośrednio na płynącą na dole wodę, która kanałami odprowadzana jest do pobliskiego zaułka. Woda spływa z wielkiego zbiornika na dachu. Zbiornik przez cały dzień napęnia banda uliczników. Dowiedziałem się o tym podczas zeszłego sezonu, przez przypadek, gdy skryłem się w zaciszu jednej z garderób trupy z księżną Sanserą. Odwalałem swoją część obowiązkowo, jak przystało na chłopca chędożącego damę zasobną w lata i majątek, liczącego na wycyganienie pożyczki, ale za każdym razem, kiedy zbliżałem się do celu, pod drzwiami przechodził ulicznik, rozchlapując wodę z wiader. Strasznie mnie dekoncentrował. W dodatku stara krowa w końcu nie pożyczyla mi złamanego pensa.

Jednakże to popołudnie z księżną Kasa-Wiadra nie okazało się całkiem zmarnowane. Kiedy wypuściła mnie już z mokrym całusem i szczyptnięciem w tyłek, pogoniłem smarkaczy z zamiarem skopania im zadków. Prawda, wróg przewyższał mnie liczebnie, a w końcu jestem bohaterem Przełęczu Aralskiej i czasami lepiej, bez względu na siły liczebne, wziąć nogi za pas i czmychnąć przed wkurzonym księciem Jalandem Kendethem. W każdym razie jeśli ma się osiem lat. Trzech łobuzów znalazłem chowających się w małej komórce na miotły. I opłaciło

się - mogłem dodać do mojej listy kolejną kryjówkę.

Gnając teraz tym samym korytarzem, z Alainem i jego kumplami tuż za zakrętem, zatrzymałem się nagle, otworzyłem drzwi i zanurkowałem do komórki. Cały wic polega na tym, żeby drzwi zamknąć za sobą szybko, ale cicho. Wyzwaniem jednak okazało się wyplątanie po ciemku z przeróżnych mioteł i mopów, nie zrzucając przy tym wieży z wiader. Moment później, gdy Alain i jego oprychy przegalopowali korytarzem, bohater Przełęcz Aralskiej kulił się wśród mioteł, zaciskając palcami nos, żeby nie kichnąć. Udawała mi się ta sztuka przez jakiś czas, ale nikt do końca nie jest w stanie kontrolować własnego ciała i nie jest w stanie powstrzymać pewnych odruchów - jak powiedziałem księżnej Sanserze, kiedy wyraziła swoje rozczarowanie.

- A-psik!

Kroki, niknące już w oddali, zatrzymały się.

- Co to było? - usłyszałem głos Alaina w pewnej odległości, ale zdecydowanie zbyt małej. Tchorze dzielą się na dwie grupy. Tę pierwszą strach paraliżuje, tę drugą elektryzuje. Ja na szczęście należę do tej drugiej, tak więc wypadłem z komórki, jak... cóż, jak lubieżny książę liczący, że ujdzie laniu.

Zawsze w każdym budynku sprawdzam okna, a te obecnie najbardziej dostępne znajdowały się we wspomnianych wcześniej toaletach, w których założono je z oczywistych powodów. Runąłem korytarzem, skręciłem ze ślizgiem i wpadłem w smrodliwy mrok męskiego wychodka. Jakiś starszy dżentelmen usadowił się tam z butlą wina, uznając najwyraźniej, że wdychanie oparu ścieków jest lepsze niż miejscówka bliżej sceny. Przebiegłem obok niego, wdrapałem się na tylny tron i usiłowałem zanurkować pomiędzy okiennicami. Zazwyczaj były otwarte na oścież, aby zapewnić prawidłową wentylację mającą zapobiec wybuchowi tego miejsca, w razie gdyby więcej niż jedno przeżarte panisko oddało gazy. Dzisiaj jednak wszystko zdawało się sprzysięgać przeciwko mnie. Okiennice okazały się zamknięte. Szarpnąłem mocno. Nie były zamykane na skobel, więc nie powinny stawiać oporu. Strach dodał sił moim ramionom i gdy przekłte okiennice nie chciały się otworzyć, wyrwałem je z listwami, a potem wystawiłem głowę na zewnątrz.

Przez sekundę czułem tylko powiew świeższego powietrza na twarzy. Wybawienie! Jest coś niemal orgazmicznego w uczuciu, gdy wydostaniesz się z tarapatów, wyrwiesz im i zagrasz na nosie. Może i następnego dnia te same tarapaty będą czekały na ciebie za rogiem, ale dzisiaj, teraz, pobiłeś je, zostawiłeś rozbite w proch.

My, tchorze, jesteśmy obdarzeni nadmiarem wyobraźni i większość uwagi kierujemy zwykle ku przyszłości, martwiąc się, co będzie za chwilę. Gdy więc przytrafia się okazja przeżycia tej niesamowitej chwili rozkoszy, chwytam ją tyłoma garściami, iloma zdołam.

W następnej chwili zdałem sobie sprawę, że znajdujemy się na pierwszym piętrze, a upadek z tej wysokości gwarantuje większe obrażenia niż te, które śmiałyby zadać mi DeVe-er z koleżkami. Pewnie trzeba było się nadać, rzucić im to w twarz, przypominając Alainowi, czyj ojciec zbudował tę operę i czyja babka, tak się składa, grzeje tron. Ani w odrobinie nie uśmiechało mi się stawiać na zdrowy rozsądek Alaina, ale zwichnięta noga i unurzanie się w gównie też mi się nie uśmiechało.

Nagle ją ujrzałem. Złachmaniona postać w zaułku, zgięta pod ciężarem czegoś. Wiadra? Przemknęło mi przez myśl, że może to jeden z tych uliczników od napełniania zbiornika. Ale wtedy błada dłoń uniosła pędzel, a poświata księżycyca załśniła na spływającej z niego cieczy.

- Jalan Kendenth ukrywa się w wychodku. Jakże adekwatne! - Alain z hukiem otwierał drzwi za moimi plecami. Nawet się nie obejrzałem. Gdybym nie zadbał o to na początku przerwy, pewnie właśnie napełniałbym wychodek przez obie nogawki. Postać w zaułku podniosła głowę i jedno oko zabłysło w blasku księżycyca perłową bielą. Ramię zabolalo mnie w miejscu, gdzie dotknęło je zamaskowane indywiduum. Zrozumienie chwyciło mnie za gardło. To nie był człowiek. W tamtych oczach nie było niczego ludzkiego. Na zewnątrz starucha z bielmem kreśliła swoje zabójcze runy, a w środku, pomiędzy damami i panami, kroczyło piekło.

Wbiegłbym w wprost w ramiona i tuzina Alainów, żeby tylko uciec od Milczącej Siostry. Do diabła, huknąłbym Maeresa Allusa, byle tylko ktoś wszedł pomiędzy mnie a wiedźmę. Kopnąłbym go w klejnoty i kazał dopisać do odsetek. Na samą myśl o pożarze na Gwoździowej miałem ochotę przypuścić szarżę na Alaina i osiłków. *Ściany spaliły się same z siebie*. Spopielily się. Nikt nie uszedł z życiem. Ani jeden człowiek. A w mieście były już cztery takie pożary. Cztery w ciągu pięciu lat.

- Jaalan! - Alain szyderczo przeciągnął „a”. - Jaaaaalan!. -Najwyraźniej nie przyjął najlepiej tego incydentu z rozbitą na głowie wazą.

Wkręciłem się dalej w otwór, przepychając ramiona i wrywając kolejne kawałki framug. Na twarzy poczułem dotyk pajęczyny. *Bo jakby wszystkiego było mało, jeszcze mi trzeba wielkiego pająka na głowie*. Jeszcze raz bogowie losu srali na mnie z nieba. Spojrzałem w lewo. Ścianę pokrywały czarne symbole, przypominające koszmarne powykręcane insekty zmarłe w przedśmiertnych drgawkach. Po prawej to samo. Pięły się aż do miejsca, gdzie starucha skończyła swoje dzieło. Zdawały się wzrastać wzdłuż ścian, albo... wpełzać na nie. Niemożliwe, żeby sięgnęła pędzlem tak wysoko. Obchodząc budynek, malując pętle znaków, zasiewała jakieś dziwne nasiona, a każda pętla rozrastała się, aż razem stworzyły sieć.

- Hej! - Samozadowolenie Alaina przerodziło się w irytację. Nie podobało

mu się pewnie, że go ignoruję.

- Musimy się stąd wydostać! - Wycofałem się i spojrzałem na stojących w drzwiach zbirów. Stary lord przyglądał się nam zdeprimowany, tuląc do siebie flaszkę z winem. -Nie ma czasu na...

- Ściągnijcie go na dół - polecił Alain kompanom, krzywiąc się z odrazą.

Skok na ulicę spadł naraz z mojej listy najbardziej przerażających rzeczy, na której wyprzedzał wcześniej Alaina i jego kumpli. Napisy na ścianie wymiotły z niej wszystko inne prosto do otworu wychodkowego. Podciągnąłem się znów do otworu okiennego, przecisnąłem się kilka stóp i utknąłem na wysokości klatki piersiowej. Znów poczułem na twarzy coś mrocznego i zimnego, jakby świat oplótł pajęczyną najsilniejszy pająk na ziemi. Nić ta zamknęła mi lewe oko i powstrzymała przed wydostaniem się przez okno.

- Szybko!

- Łapcie go!

Za mną rozległ się tupot. Jestem dobry w wykręcaniu się z różnych rzeczy, ale w obecnej sytuacji nie miałem się na czym oprzeć. Złapałem się obiema rękami za framugę i usiłowałem odepchnąć się od niej. Udało mi się przesunąć kilka cali do przodu i rozedrzyć kaftan. Czarna sieć na twarzy napięła się jeszcze mocniej i gdybym nie trzymał się okna z całej siły, wcisnęłaby mnie do wewnątrz.

Natura obdarzyła mnie przyzwoitą posturą, ale staram się unikać wysiłku fizycznego, przynajmniej w ubraniu, nie posiadam więc wielkiej siły. Jednakże paniczny strach ma na mnie wyjątkowy wpływ i jestem w stanie podnosić niezwykle ciężary, jeśli znajdują się na drodze mojej ucieczki.

Wizja alainowej ręki na mojej zawieszanej w powietrzu goleni podniosła we mnie paniczny strach na odpowiedni poziom. I wcale nie była to wizja porządnego lania, choć zwykle właśnie to przerażało mnie najbardziej. Tym razem chodziło o to, że podczas owego lania, miotania się na ziemi, męskiego przyjmowania razów i błagań o litość, Milcząca Siostra dokończy kreślenie pętli, wznieci ogień i wszyscy, włącznie ze mną i moimi oprawcami, spłonimy.

To coś, co opierało się na mojej twarzy i powstrzymywało mnie przed wydostaniem się, przestało się naciągać i stało się sztywne. Teraz czułem, jakby drut wżynał mi się w skórę. Nie mając o co się zaprzeć nogami, wisiałem w jednej trzeciej na zewnątrz, w dwóch trzecich wewnątrz budynku i szamotałem się, wyrzaskując wszelkiego rodzaju prośby i groźby. Spodziewałem się oczywiście, że moi napastnicy zrobią sobie przerwę na obśmianie mnie, ale nie sądziłem, że potrwa to tak długo, zanim przystąpią do działania.

Powinni jednak potraktować sprawę poważniej. Wierzgające nogi to niebezpieczna perspektywa. Napędzany pragnieniem wydostania się, natrafiłem wreszcie stopą na oparcie. Rozległ się chrzęst jakby łamanego nosa, a potem dźwięk podobny do tego porannego, kiedy rozbiłem wazę na głowie Alaina.

Odepchnięcie się pomogło. Druciana przeszkoda wbiła się we mnie głębiej, jakby przeszywał mnie zimny nóż, a potem puściła. Choć wrażenie było takie, jakby to raczej moje ciało poddało się przeszkodzie, jakby sieć przeszła przez nie. Ale tak czy owak uwolniłem się i to w jednym kawałku.

Zwycięstwo odniosłem raczej pyrrusowe, bo nagrodą był dwupiętrowy lot głową w dół na bruk. Kiedy podczas spadania zabraknie ci tchu na wrzask, znaczy to, że spadasz za długo. Za długo i za szybko, żeby mieć widoki na przeżycie. Ale naraz zahaczyłem o coś, zwolniłem, a potem z odgłosem rozdzierania głośniejszym niż moje wrzaski, znów runąłem w dół. Mimo przyhamowania grzmotnąłem o ziemię z impetem mogącym przyprawić mnie o śmierć. Na szczęście kupa kupy pod wychodkiem zamortyzowała upadek. Zderzyłem się z mazią z dźwięcznym plaskiem.

Wygramoliłem się z gnoju, plując na wszystkie strony, zdążyłem ryknąć przekleństwo w stronę Alaina, poślizgnąłem się i znów klapnąłem w szambo. Gromkie śmiechy z góry świadczyły dobitnie, że mam widownię. Za drugą próbą skończyłem na plecach, ocierając łajno z oczu. Zadarłszy głowę ujrzałem, że całą ścianę opery oplatają powikłane ze sobą symbole. Całą, poza jednym miejscem - oknem, Przez które wyskoczyłem, a z którego teraz wystawała męska głowa. Poza tym jednym oknem z wyrwanymi osłonami, resztę okiennic przytrzymywały macki znaków wykaligrafowanych przez Milczącą Siostrę. Przerwa w sieci biegła śladem mojego lotu, wznajając się głęboko w mur. Przez owo pęknięcie wyciekała dziwna migotliwa złota poświata, oświetlając zaulek i ścianę budynku.

Szybko, ale tym razem bez nieostrożnego pośpiechu, podniosłem się i poszukałem wzrokiem Milczącej Siostry. Prawdopodobnie weszła za kalenicę zanim grzmotnąłem o ziemię. Nie miałem pojęcia, ile jeszcze zostało jej muru do zapisania, zanim ukończy dzieło. Wydostawszy się z kupy łajna, zacząłem z grubsza otrzepywać ubranie. Naraz poczułem, że coś przywarło mi do palców. Wyglądało jak kawałek czarnego sznurka, ale w dotyku przypominało bardziej odnoże koszmarnego owada. Z okrzykiem obrzydzenia zerwałem to z siebie i naraz odkryłem, że cały symbol przyczepił mi się do ręki, zwisając z niej prawie do samej ziemi. Skręcał się i poruszał, jak trącany podmuchami wiatru, którego nie było - zupełnie jakby próbował się wokół mnie opleść. Strząsałem to z siebie z przeczuciem, że jest ohydniejsze od reszty nieczystości, którymi byłem pokryty.

Na dźwięk ostrej riposty z góry, zadarłem głowę. Pęknięcie wydłużyło się o kolejne pięć jardów. Prawie sięgało już bruku. Krzyk, który wyrwał mi się z gardła był zdecydowanie bardziej dziewczęcy, niżbym sobie tego życzył. Bez wahania rzuciłem się do ucieczki, wywołując tym kolejną salwę śmiechu na górze. Przystanąłem na końcu alejki z nadzieją, że może wpadnie mi do głowy jakaś cięta riposta, ale wszelka ciętość opuściła mnie na widok ściany, na której wymalowane symbole zaczęły jaśnieć. Każda linia tworzyła teraz żarzące się pęknięcie, jakby

były szczelinami do jakiegoś świata ognia, istniejącego tuż pod powierzchnią murów. Uświadomiłem sobie, że to Milcząca Siostra zakończyła swoją pracę i że Alain, jego kumple, dżentelmen od wina i każda osoba znajdująca się aktualnie w operze, zaraz spłonie. Przysięgam, że na chwilę zrobiło mi się żal nawet śpiewaków.

- Skaczcicie, kretyni! - wrzasnąłem przez ramię już w biegu.

Skręciłem za róg, ślizgając się na utytlanych podszwach. Rozciągnięty na bruku widziałem zaułek za operą, teraz rozjarzony oślepiającym blaskiem bijącym spomiędzy pulsujących cieni. Symbole płonęły. A w samym końcu zaułka rozpościerała się jedna nieruchoma plama - Milcząca Siostra. Poszarpana, niewiele większa od paprocha na oku, trwała bez ruchu mimo ściany ognia, przy której stała.

Zerwałem się na równe nogi zelektryzowany straszliwymi krzykami. Stare mury opery rozbrzmiewały dźwiękami, jakich żadne gardło nie wydało tam w trakcie tylu lat jej istnienia. Rzuciłem się do ucieczki, ślizgając się i chwiejąc, i w tej właśnie chwili coś oderwało się od bryły oślepiającego blasku i podążyło wzdłuż uliczki moim śladem. Jasna poszarpana linia sunęła za mną, jakby przerwany wzór chciał mnie dopaść i podpalić, abym podzielił los, któremu z takim trudem uszedłem.

Zdawałoby się, że lepiej oszczędzać tchu na ucieczkę, ale krzyczenie czasami pomaga. Ulica, na którą wychodził zaułek za operą, była ruchliwa nawet o tej porze, choć nie tak bardzo jak Farbiana, gdzie znajdowało się główne wejście do gmachu. Moje... męskie porykiwania... sprawiały, że większość ludzi usuwała mi się z drogi. Zbyt wolnych wymijałem albo tych mniejszych i słabszych po prostu tratowałem. Szczelina podążała za mną, zbliżając się zrywami, a każdy zryw znaczył się odgłosem jakby tłuczonego droгоценnego przedmiotu.

Odwróciwszy się bokiem z zamiarem prześlizgnięcia się pomiędzy idącymi z naprzeciwka stróżami prawa, zerknąłem za siebie. Pęknięcie biegło od płonącej opery w moją stronę. Ludzie nie zwracali nań uwagi, zagapieni na łunę bijącą od budynku, którego mury oplatały liliowe płomienie. Szczelina zaś okazała się czymś więcej niż na pierwszy rzut oka. Składała się z dwóch poszarpanych linii biegnących razem, rozchodzących się i krzyżujących, jednej emanującej złotym żarem i drugiej, tak czarnej, że zdawała się pochłaniać każde znajdujące się na jej drodze światło. W miejscach zetknięć w czerni buchały złote skry, a bruk pod spodem pękał na kawałki.

Wpadłem pomiędzy strażników miejskich, a impet zderzenia okręcił mnie. Przez chwilę skakałem na jednej nodze, żeby odzyskać równowagę. Pęknięcie przemknęło pod starszym strażnikiem, którego wywróciłem, a tam, gdzie linie się skrzyżowały coś trzasnęło. Z miejsc styków wystrzeliły mniejsze rozgałęzienia, objęły męczyznę jakby siecią, a potem strażnik dosłownie wybuchł. Czerwone ochłapy uniosły się w górę, płonąc tak błyskawicznie, że na ziemię opadło ich

niewiele.

Cokolwiek by nie powiedziano o uciekaniu, głównie polega ono na szybkim unoszeniu nóg - tak szybkim, jakby grunt palił się pod stopami. W moim wypadku sytuacja przedstawiała się bardzo dosłownie. Nabrałem takiego tempa, że ten ja z dzisiejszego ranka przystanąłby, żeby sprawdzić, czy jego nogi się w ogóle poruszają. Za moimi plecami wybuchali kolejni ludzie, a kiedy otarłem się o wóz, kawałki nadpalonych desek uderzyły z hukiem o ścianę wokół okna, w które zanurkowałem.

Przetoczyłem się, zerwałem na nogi i rozejrzałem po przybytku, który okazał się przybytkiem płatnej rozkoszy. Sądząc z wyglądu i zapachu - przybytkiem tak lichym, że nawet ja o nim nie wiedziałem. W mroku umykały przede mną jakieś postaci, potrafiłem lampę, wpadłem na stół, komodę, małego facecika z tupecikiem i w końcu strzaskalem okiennice tylnego okna, którym wyskoczyłem na zewnątrz.

Pomieszczenie za mną zapłonęło. Przebiegłem przez alejkę, na której się znalazłem, wyhamowałem na ścianie budynku po drugiej stronie i znów wziąłem nogi za pas. Okno, przez które wyskoczyłem eksplodowało wraz z parapetem i nadprożem, a potem cały budynek runął w drzazgi. Bliźniacze linie, świetlista i ciemna, mknęły za mną, nabierając prędkości. Przeskoczyłem jakiegoś ćpuna leżącego w alejce i pogałem dalej. Z odgłosów wywnioskowałem, że mgnienie później szczelina wyleczyła go z nałogu ostatecznie.

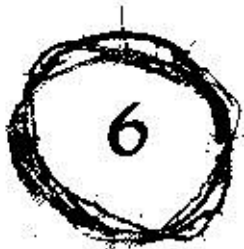
Druga zasada ucieczki, zaraz po unoszeniu nóg, to patrzenie przed siebie. Czasami jednak nie można trzymać się ślepo zasad. Coś w tamtym trzasku kazało mi się obejrzeć.

Łup! W pierwszej chwili sądziłem, że wpadłem na ścianę. Nabierając tchu, żeby wrzasnąć i popędzić dalej, szarpnąłem się, tylko po to, by stwierdzić, że ściana mnie trzyma.

Najpierw zobaczyłem zaciśnięte na torsie wielkie łapy, w tym jedną owiniętą zakrwawionym bandażem. Potem, kiedy uniosłem wzrok, a potem jeszcze wyżej, napotkałem spojrzenie jasnych oczu Snorriego ver Snagasona.

- Co... - Nie dokończył. Szczelina przebiegła po nas. Czarne pęknięcie przemknęło wskroś Wikinga, kładąc się na jego obliczu poszarpaną linią, z której sączyła się ciemność. W tej samej chwili coś gorącego i nieznośnie jasnego przeszło mnie, napelniając światłem i pochłaniając świat wokół mnie.

Przejrzawszy na oczy, zobaczyłem zbliżające się czoło Snorriego. Usłyszałem trzask całkiem innego rodzaju, niż poprzednio. Trzask łamanego nosa. Mojego. Świat znów zniknął.



Natychmiast po odzyskaniu przytomności oklepałem się sprawdzając, czy mam sakiewkę i medalion. To odruch. Gdy ktoś budzi się często w dziwnych miejscach i w towarzystwie, za które zwykle płaci... cóż, dobrze mieć pieniądze przy sobie. Łóżko było za twarde i zbyt nierówne, jak na mój gust. Co najmniej tak nierówne jak bruk. I śmierdziało jak gówno. Ten moment błogości, w którym unosisz się pomiędzy snem a jawą skończył się błyskawicznie. Przetoczyłem się na bok, łapiąc za obolały nos. Albo byłem nieprzytomny bardzo krótko, albo mój smród odstraszył żebraków. To, albo poruszenie nieopodal - rozerwani ludzie, płonąca opera, rozżarzona szczelina... Szczelina! Podniosłem się chwiejnie, spodziewając się, że ujrzę pęknięcie biegnące ulicą w moją stronę. Nic. A w każdym razie nic, co byłoby widoczne w blasku gwiazd i sierpa księżyca.

- Cholera. - Nos bolał mnie nieprzyzwoicie. Przypomniałem sobie groźne oczy pod grubymi brwiami, a potem te grube brwi walące mnie w twarz. - Snorri...

Wikinga dawno już nie było. Nie mogłem pojąć, dlaczego ściany nie są przyozdobione płonącymi kawałeczkami naszych ciał. Dobrze pamiętałem te dwie linie biegnące razem, krzyżujące się i rozchodzące, i te detonacje w miejscu każdego zetknięcia. Ciemna szczelina biegnąca przez Snorriego - widziałem ją na jego twarzy. A świetlista...

Obmaciałem się od góry do dołu, nerwowo szukając ran. Świetlista linia przebiegła przeze mnie. Podciągnąłem nogawki, ale na goleniach też nie było śladu po pęknięciach. Nie pozostało nic, prócz spustoszeń, jakie wyrządziły.

Otrząsnąłem się z myśli o złotym świetle. Przeżyłem! We wspomnieniach napłynęły do mnie krzyki dochodzące z opery. Ile osób zginęło? Ilu moich przyjaciół? Krewnych? Czy były wśród nich siostry Alaina? Oby był Maeres Allus! Oby był to jeden z tych wieczorów, kiedy udawał kupca i wykupił wstęp do kręgów dużo powyżej jego stanu. W tej chwili jednak najważniejsze było, żeby oddalić się jak bardziej od pożaru. Ale gdzie? Ścigała mnie magia Milczącej Siostry. Może starucha czekała na mnie w pałacu, żeby dokończyć robotę?

W razie wątpliwości, uciekaj.

Ruszyłem z kopyta. Biegłem przez nieznaną okolice, wiedząc jednak, że w końcu dotrę do rzeki i tam zorientuję się w terenie. Pędzenie na oślep może skończyć się złamaniem nosa, a ponieważ mój był już złamany, utrzymywałem rozsądne tempo. Z doświadczenia wiedziałem, że zostawienie za sobą kłopotów i zdystansowanie się od nich na kilka mil zwykle polepsza sytuację. Biegając, dyszałem przez usta, nabawiłem się kolki i w sumie czułem się coraz gorzej.

Z każdą chwilą narastał we mnie jakiś niepokój, aż wreszcie uformował się w paralizujący lęk. Zastanawiałem się nawet, czy to może tak właśnie odczuwa się wyrzuty sumienia. Nie żeby to była moja wina. Nie mógłbym nikogo ocalić, nawet gdybym próbował.

Zatrzymałem się i oparłem o ścianę, żeby odetchnąć i otrząsnąć się z tego czegoś, co mnie gnębiło. Serce trzepotało mi w piersiach, jakbym zaczął biec jeszcze szybciej, a nie właśnie przystanął. Każda cząstka mnie zdawała się jakaś dziwnie krucha, łamliwa. Ręce wyglądały dziwacznie, były zbyt białe i zbyt lekkie. Znow podjąłem ucieczkę, przyspieszając, a zmęczenie zostało za mną. Parował ze mnie nadmiar energii, grzechotał w środku, aż zęby mi wibrowały, a włosy zdawały się unosić wokół głowy. Coś było ze mną nie tak, działo się coś niedobrego, nie mogłem zwolnić.

Przedemną ulica rozwidlała się na dwie drogi prowadzące wzdłuż murów jednego budynku. Skręcałem to w jedną stronę, to w drugą, niepewny, którą obrać. Po lewej czułem się gorzej, moje ciało przyspieszało, machające ręce nieomal się jarzyły, głowa bolała, jakby miała pęknąć, a przed oczami migotały jaskrawe zygzaki. Gdy kierowałem się na prawo, odzyskiwałem okrusz normalności. Skręciłem w prawo. Nagle wiedziałem, jaki kierunek obrać. Coś przyciągało mnie od momentu, kiedy pozbierałem się z bruku. A teraz nieoczekiwanie, jakby zapaliła się jakaś lampa, wiedziałem, gdzie mnie to coś ciągnie. Gdy zbaczałem z drogi, moja tajemnicza przypadłość nasilała się. Gdy zmierzałem w odpowiednią stronę, symptomy słabły. Znałem już drogę.

Chociaż nie miałem pojęcia, dokąd prowadzi.

To chyba był mój dzień szalonych galopad ulicami Vermillionu. Droga wiodła mnie łagodnie pod górę ku Seleen, która w tamtym miejscu zwalniała bieg. Niedługo zacząłem mijać targowiska i ładownie na tyłach magazynów, zwróconych frontem ku dokom rzeczonym. Nawet o tej porze kręcili się tu robotnicy przenoszący skrzynie z wozów zaprzężonych w muły, ładujący furmanki, wyężdżający mięśnie, w nikłym świetle latarni, by przepchnąć towary przez wąskie arterie Vermillionu.

Ścieżka doprowadziła mnie przez wyludniony plac targowy śmierdzący rybami pod ścianę potężnego budynku, jednego z najstarszych w mieście, który przerobiono na wielki magazyn. Mur gmachu ciągnął się przez ponad sto jardów w

każdą stronę, ale nie ciągnęło mnie ani w jedną, ani w drugą. Tylko do przodu. Miałem podążać naprzód. Stamtąd coś mnie przyciągało. Parę jardów dalej zazgrzytały uchylające się drewniane wrota. Przyskoczyłem do nich, szarpnąłem za skrzydło i prześlizgnąłem się obok zaskoczonego fagasa, który stał z ręką gotową do pchnięcia drzwi. Korytarz prowadził na wprost, tam, gdzie mnie ciągnęło, zacząłem więc znów biec. Zza pleców dobiegły mnie okrzyki strażnika, który ruszył w pościg. Gmach oświetlony był kulami Budowniczych, jaśniejącymi zimnym światłem starożytnych. Nie zdawałem sobie sprawy, jak stary jest ten budynek. Ale biegłem i biegłem, mijając boczne przejścia wychodzące na galerie, na których zieleniły się rzędy ław i wysokich półek załadowanych gęstymi krzaczkami i oświetlone światłem Budowniczych. Kiedy w połowie długiego korytarza, tuż przede mną otworzyły się drewniane drzwi, blokując mi drogę, zdążyłem jedynie pomyśleć, że zderzenie z ver Snagasonem było boleśniesz. Potem straciłem przytomność.

Ocknąłem się znowu w pozycji horyzontalnej, obolały w tyłu miejscach, że pominąwszy chwilę błogostanu, przystąpiłem od razu do zadawania głupich pytań.

- Gdzie jestem? - Nosowo i niepewnie.

Jaskrawe, lecz migotliwe światło i cichy, mechaniczny pisk, pomogły mi sobie przypomnieć. Gdzieś, gdzie świeciły kule Budowniczych. Spróbowałem usiąść i zorientowałem się, że jestem przywiązany do stołu.

- Na pomoc! - Nieco głośniejszy. Spanikowany, gwałtownie sprawdziłem wytrzymałość więzów. Okazały się bardzo mocne. - Pomocy!

- Lepiej oszczędzaj siły. - Głos dochodził gdzieś z cienia przy drzwiach. Wyteżyłem wzrok. Przypatrywał mi się oparty o ścianę wielki zbir.

- Jestem księżę Jan! Każę cię za to skrócić o głowę! Rozwiąż mnie!

- Uhm, zapomnij. - Pochylił się. Przeżuwał coś. Łysa łepetyna odbijała światło.

- Jestem księżę Jan. Nie poznajesz mnie?

- Jakbym wiedział, jak wyglądają jacyś książęta! Nie znam nawet ich imion. Jak dla mnie to jesteś zwykłym menelem, który się upił i poszedł pływać w ściekach. I miał pecha, że tu zawinął. Ale Horace chyba cię skądś zna. Kazał mi cię tu trzymać i poszedł. „Pilnuj tego tu, Daveet”, powiedział. „Miej na niego oko”. Pewnie jesteś szychą, inaczej spływałbyś teraz rzeką z szerokim uśmiechem na szyi.

- Zabij mnie, a moja babka zrówna to miejsce z ziemią. - Czczą pogróżka, ale wypowiedziana z przekonaniem, poprawiła mi humor. - Jestem bogaty. Wypuść mnie, a będziesz ustawiony do końca życia. - Mam dar do kłamania, przyznaję. Znacznie mniej przekonująco brzmię, kiedy mówię prawdę.

- Forsa jest dobra, jasne. - Odepchnął się od ściany i zrobił krok w moją stronę. Blask wydobył jego brutalne oblicze.

- Ale jak cię puszcze bez zgody Horacea, nie będę miał palców, żeby ją przeliczyć. A jeśli okaże się, że naprawdę jesteś księciem, a my cię puścimy, brak palców będzie najmniejszym zmartwieniem i moim i Horace'a. - Wyszczrzył do mnie zęby, a raczej przerwy między nimi, po czym cofnął się do cienia.

Leżałem na stole, pojękując od czasu do czasu i zasypując go pytaniami, które ignorował. Na szczęście przynajmniej ten dziwny przymus, który wpakował mnie w te tarapaty, zelżał. Wciąż miałem to poczucie kierunku, ale potrzeba pędu zbladła i znów czułem się bardziej sobą. A w tych okolicznościach oznaczało to obłądną trwogę. Mimo wszechogarniającego przerażenia, zauważyłem jednak, że kierunek, z którego czuję pociąg, zmienia się, krąży, zaś potrzeba udania się tam, słabnie z każdą chwilą.

Odetchnąłem głęboko i rozejrzałem się wokół. Znajdowałem się w niewielkim pomieszczeniu, nie w jednym z tych długich bocznych tuneli. Ktoś tam uprawiał rośliny?

Bez sensu. Tu jednak nie było żadnych roślin. Chyba przez to zepsute światło. Byłem tylko ja, stół i oprych.

- Czemu... - Dziewiętnaste pytanie przerwało mi gwałtowne otwarcie drzwi.

- Boże, ale tu cuchnie! - Odezwał się spokojny i dobija-jąco znajomy głos. - Postawcie naszego gościa i spróbujcie splukać z niego trochę brudu.

Dwóch osiłków chwyciło za blat i mój świat obrócił się, zyskując prawidłową perspektywę. Stałem w pionie, choć nadal przywiązany do stołu. Chluśnięcie lodowatej wody zaparło mi dech w piersiach i oślepiło, zanim zdążyłem się rozejrzeć. Kolejne wiadro zimnicy zalało mnie prawie natychmiast. Stałem rżąc, usiłując złapać oddech - niełatwe zadanie, gdy się ma nos pełen zakrzepłej krwi i wody - a pod moimi nogami zaczęła się tworzyć brązowawa woniejąca kałuża.

- A niech mnie. Rzeczywiście, wydaje się księciem pod tymi nieczystościami. Klejnot w błocie, jak to mawiają. Aczkolwiek nisko karatowy.

Strząsnąłem włosy z oczu i oto ujrzałem, Maeresa Allusa, odzianego w strój godny wyższych sfer... i może nawet opery?

- O, Maeres! Liczyłem, że cię spotkam. Chciałem rozmówić się w sprawie naszej umowy, miałem dla ciebie co nieco. - Nigdy nie nazywałem tego długiem. Umowa brzmiała lepiej. Jakby nawet trochę stanowiła problem obopólny, nie wyłącznie mój.

- Naprawdę? - Leciusieńkie szyderstwo w uniesionych kącikach ust. Miał taką samą minę, kiedy jeden z jego zbirów łamał mi palec wskazujący. Ból pojawiał się nadal w zimne poranki, kiedy sięgałem po dzbanek z piwem, stawiany przez służbę przy moim łóżku. Teraz przebiegł przez ten sam palec, przywiązany wraz z ręką do stołu.

- Tak! - Nawet się nie zająknąłem. - Miałem to przy sobie w operze. - Według mojej oceny, interes ze Snorrim dał mi jakieś pół roku łaski, ale nigdy nie zawadzi udawać zapału do spłaty. Poza tym, w sytuacji przywiązania do stołu lepiej przypomnieć oprychom, że znacznie więcej jest się wartym w stanie odwiązania. - Miałem złoto w kieszeni. Musiałem zgubić je podczas tej paniki.

- Co za tragedia. - Maeres podniósł rękę i zwinął palce, a oprych spod drzwi wyłonił się z cienia i stanął przy jego boku. Jego ruchom towarzyszył szelest, który umilkł, gdy zbir się zatrzymał. Na moje oko oprych wyglądał na nazbyt ukontentowanego. - Kolejny pożar i znów nikt nie przeżył.

- No... - Nie chciałem kłócić się z Maerese. Przeniosłem spojrzenie na jego kompana. Maeres to drobny mężczyzna, pospolity, z tych, których widuje się pochylonych nad księgami w biurach kupców. Ułożone brązowe włosy, oczy ani dobrotliwe, ani okrutne. W zasadzie przypominał nawet mojego ojca, wiekiem i aparycją. Jego towarzysz natomiast wyglądał na takiego, co dla rozrywki topi kociaki. Jego twarz kojarzyła mi się z czaszkami, które widziałem w pałacowych katakumbach. Naciągnąć na taką skórę, wcisnąć jasne przenikliwe oczy i koleś Maeresa gotowy, szczerzący w nadto szerokim uśmiechu zbyt długie, białe zębiska.

Maeres pstryknął palcami, ściągając na siebie moje spojrzenie.

- To Jaśko Obrzyn. Mówiłem mu właśnie po drodze, jakież to niefortunne, że trafiłeś tu i zobaczyłeś moje przedsięwzięcie.

- P-p-przedsięwzięcie? - wyjąkałem. Sukces, że nie posrałem się przy tym w gacie. O Jaśku Obrzynie słyszeli wszyscy, ale mało kto mógł poszczycić się, że go widział. Jaśko Obrzyn wchodził do gry, kiedy Maeres chciał skrzywdzić delikwenta w bardziej kreatywny sposób. Kiedy nie podziałął złamany kciuk, obcięty paluch, albo porządne manto, a Maeres chciał zaznaczyć swoją władzę, odcisnąć piętno na jakiejś nieszczęsnej duszyczce, za robotę brał się Jaśko Obrzyn. Niektórzy nazywali to artyzmem.

- Mak.

- Nie widziałem żadnego maku. - Całe rzędy krzaczków rosnące przy światłach Budowniczych. Mój wuj, Hertert, nie-wątpliwy-następca, jak mawiał o nim ojciec, występował z wieloma inicjatywami mającymi na celu odcięcie dostaw maku. Wysyłał strażników miejskich na łodziach, by patrolowali Bóg wie ile mil rzeki Seleen, przekonany, że towar przybywa z Marsalii. A tu Maeres hodował swój mak. Tuż pod nosem Herterta, gotów robić to pod nosami całej reszty. - Nic nie widziałem. Natknąłem się na te drzwi przypadkiem. Pijany w sztok.

- Szybkość otrzeźwia! - Przytknął do nosa złoty flakonik na sole trzeźwiące, jakby mój smród go urażał. Tak zresztą pewnie było. - Tak czy siak, to nie ma znaczenia. Nie mogę tak ryzykować. A skoro już mamy się rozstać, zrobmy to z pompą, co? - Kiwnął w stronę Jaśka Obrzyna.

To wystarczyło, żeby puściły mi zwieracze. Nie żeby ktokolwiek zauważył,

w końcu i tak ociekałem i śmierziałem szczynami.

- D-daj spokój, Maeres, żarty sobie stroisz? Przecież wiszę ci kasę. Kto cię spłaci, jeśli... jeśli nie ja? - Byłem mu potrzebny.

- Widzisz, Jalandie, wic polega na tym, że prawdopodobnie nie jesteś w stanie mnie spłacić. Jeśli ktoś jest mi winien tysiąc koron, to ma problem. Jeśli sto tysięcy, to ja mam problem. Ty zaś, Jalandie, jesteś mi winien tysiąc sto sześć koron, minus jakaś tam częśćka za tego Wikinga. A to znaczy, że jesteś płotką, którą ani się nie najem, ani mnie nie poźre.

- Ale... mogę zapłacić! Jestem wnukiem Czerwonej Królowej. Jestem dobrym dłużnikiem!

- Jednym z wielu, Jalandie. Zbyt wiele pieniądza dewaluuje wartość waluty. Powiedziałbym, że w obecnych czasach „książęta” są w Czerwonej Marchii towarem przecenianym.

- Ale... - Zawsze uważałem Maeresa za człowieka interesu, owszem, bezwzględniego, nieprzejednanego, ale o zdrowych zmysłach. Teraz wyglądało, że w tych małych ciemnych oczkach czai się szaleństwo. Zbyt wiele krwi w wodzie, żeby tkwiący w niej rekin siedział sobie spokojnie. - Ale... Co ci przyjdzie z mojej śmierci? - Nie mógłby o tym nikomu powiedzieć. Zabicie mnie nie przyniesie mu korzyści.

- Ty już zginąłeś w pożarze, książę Jalandie. Wszyscy o tym wiedzą. Nie moja wina. Ale jeśli pojawią się plotki. Pogłoski, że może zginąłeś gdzie indziej, w mniej przyjemnych okolicznościach, z powodu długu... Cóż, czego nie zrobią moi dłużnicy, żeby nie rozczarować mnie w przyszłości? Może jakieś damy wątpliwej reputacji rozpoznają najnowszą bransoletkę Obrzyna i puszczą wieści w świat tak, jak same się puszczają. - Zerknął na Jaśka Obrzyna, który uniósł rękę. Jego przedramię okalały pierścienie wysuszonej chrząstki, które tarły o siebie, szeleszcząc. Miał ich całe tuziny, sięgały od przegubu aż za łokieć.

- C-co? - W pierwszej chwili nie zrozumiałem, co widzę. Albo może któraś część mojego umysłu rozsądnie powstrzymała mnie przed zrozumieniem.

Jasiek Obrzyn otoczył palcem usta. Jego trofea zaszemrały, kiedy poruszył ręką.

- Otwórz szeroko. - Jego głos ślizgał się, jakby nie należał do człowieka.

- Nie trzeba było tu przychodzić, książę Jalandie - rzekł Maeres, przerywając moje wywołane zgрозą oniemiaenie. -Doprawdy pech, że nie możesz odwiedzić mojego maku, ale cóż, świat jest pełen pecha. - Cofnął się, stając przy Dave-ecie. Tylko migot światła animował jego twarz, uśmieszek, brak uśmieszku, uśmieszek, brak uśmieszku.

- Nie! - Chyba po raz pierwszy w życiu nie chciałem, żeby Maeres odchodził. Wszystko było lepsze od pozostania sam na sam z Jaśkiem Obrzynem. - Nie! Nic nie powiem! Nikomu! Nigdy! - Włożyłem w to trochę gniewu, bo któż by

uwierzył w płaczące zapewnienia o sile? - Możecie mi wyrywać paznokcie, a nie powiem ani słowa. Rozżarzonymi szczypcami tego ze mnie nie wyciągną.

- A zimnymi? - Jaśko Obrzyn uniósł szczypce na krótkiej rączce, które przez cały czas trzymał w drugiej dłoni.

Ryknąłem, miotając się bezsilnie w więzach. Gdyby ludzie Maeresa nie przytrzymałby nóg stołu, wyrzuciłbym go, grzmocąc twarzą w posadzkę, co może i fatalnie brzmi, ale byłoby z pewnością mniej bolesne od losu, jaki gotował mi Jasiek Obrzyn. Wrzeszczałem i porykiwałem, a odgłosy te stawały się coraz bardziej płaczące i błagalne, gdy coś ciepłego ochlapało mi twarz. Starczyło, żebym odemknął powieki i przestał wyć. A choć przestałem wydawać z siebie dźwięki, hałas nie zmniejszył się ani na jotę, tyle że nie ja już krzyczałem. Zbyt pochłonięty własnym strachem, nie usłyszałem we własnym ogłuszającym wrzasku hurgotu otwierających się drzwi. Daveet stał samotnie obramowany framugą. Patrzyłem, jak się obraca, a z rozcięcia biegnącego od obojczyka po biodro, wypływają mu flaki. Kątem oka widziałem jakąś wielką postać krzątającą się na lewo ode mnie. Przekręciłem głowę, ale cała akcja przeniosła się akurat za stół. Kolejny wrzask i jasne ramię przystrojone bransoletami z ludzkich warg wylądowało na posadzce tuż obok głowy Daveeta, który upadł, poślizgnąwszy się na własnych wnętrznościach. Nagle zapadła cisza. Zmącił ją tylko odległy krzyk jakiegoś człowieka, odbijający się echem w korytarzu. Daveet chyba zabił się, upadając, albo zmarł z upływu krwi. Jeśli Jasiek Obrzyn nawet tęsknił za swoim ramieniem, robił to w milczeniu. W polu mojego widzenia leżał jeszcze jeden nieżywy oprych Maeresa. Możliwe że i reszta leżała gdzieś za moimi plecami, albo też wzięli ze mnie przykład, a co za tym idzie nogi za pas. Gdybym nie był przywiązany do stołu, właśnie przeganiałbym ich w tym braniu.

Nagle w zasięgu mojego wzroku pojawił się Snorri ver Snagason.

- Ty! - powiedział.

Szata z kapturem, którą miał na sobie, gdy na niego wpadłem, była teraz porozdzierana, jego tors i ramiona były skąpane we krwi, która również spływała po mieczu. Jeszcze więcej krwi spływało mu po twarzy w wyniku płytkiego skaleczenia na czole. Nietrudno byłoby go wziąć za demona z piekieł. W zasadzie trudno było go nie wziąć za demona w tym świetle, przy tej całej krwi i gorejących od walki oczach.

- Ty? - Elokwencja, jaką demonstrował w sali tronowej babki najwyraźniej całkiem go opuściła.

Wyciągnął ku mnie rękę, a ja skurczyłem się na tyle, na ile pozwalał mi ten cholerny stół. Wielkie łapsko zbliżało się do mnie, a ja czułem coraz wyraźniejsze mrowienie na policzkach, ustach, czole, coś jakby cierpięcie, narastający napór czegoś. On też to poczuł, widziałem, jak oczy zaokrąglają mi się jak spodki. Kierunkiem z którego coś mnie ciągnęło, celem do którego wiodła mnie narzucona

droga, był... on. Ta sama siła sprowadziła Snorriego tutaj, prosto na ludzi Maeresa. Obaj zrozumieliśmy to w jednej chwili.

Wiking coraz wolniej przysuwał rękę, aż zawisła cal czy dwa od mojej szyi. Skóra w tym miejscu zaczęła wibrować, nieomal strzelać... czymś nieokreślonym. Nie dotknął mnie, prawdopodobnie nie chcąc sprawdzać, co stanie się, gdyby nasze skóry się zetknęły. Ręka zniknęła sprzed moich oczu, a potem pojawiła się znów z nożem. Zanim zdążyłem zapiszczeć, już przecinał więzy.

- Idziesz ze mną. Zastanowimy się nad tym gdzie indziej.

Porzuciwszy mnie w stercie rozciętych pętli, skierował się ku drzwiom, zatrzymując się tylko raz, by nadepnąć na czyjeś gardło. Niestety tym kimś nie był Maeres. Wyrzwał przez drzwi, ale natychmiast cofnął głowę. Przypominało to szybkie skinienie. W otworze coś mignęło z sykiem, wiele cosiów.

- Kusze. - Snorri splunął na truchło Daveeta. - Nienawidzę kuszników. - Zerknął na mnie przez ramię. - Łap za miecz.

- Miecz? - Facetowi wydawało się najwyraźniej, że nadal tkwi w dziczy pośród swoich włochatych ziomków z północy. Potoczyłem wzrokiem po jatce i zajrzałem za stół. Jasiak Obrzyn leżał rozciągnięty na ziemi. Z kikuta ledwo co wypływała krew, a na czole czerwieniła się paskudna rana. Ani śladu Maeresa. Nie umiałem sobie wyobrazić, jakim cudem zdołał uciec.

Żaden z bandytów nie miał broni zaczepnej większej niż sześciocalowy nóż. Noszenie czegoś większego nie opłacało się ze względu na kłopoty ze strony straży miejskiej. Chwyciłem sztylet i kopnąłem parę razy Jaśka w głowę. Rozboleła mnie stopa, ale było warto.

Dzierżąc w dłoni zdobyczną broń, wykuśtykałem zza stołu i zostałem z miejsca zmiażdżony wzrokiem Wikinga. Podniósł wyłamane drzwi.

- Łap! - Nie bardzo mi się to udało. Podczas gdy skakałem na jednej nodze, trzymając się za twarz i przeklinając nosowo, Snorri odłamał nogi od stołu, chwycił za blat i ruszył w stronę korytarza, niosąc blat, jak tarczę. - Pilnuj tyłów!

Strach przed pozostaniem w tyle i dostaniem się znów w łapy Maeresa pobudził mnie do działania. Z niejakim wysiłkiem dźwignąłem drzwi i już razem wysunęliśmy nasze tarcze na korytarz, a dopiero potem weszliśmy pomiędzy nie. Bełty załomotały błyskawicznie o obie osłony, a metalowe groty przeszły częściowo przez drewno.

- W którą stronę...? - Snorri był już za daleko, żeby mnie usłyszeć, nawet jeśli zdołałbym przebić się ponad jego okrzyk bitewny. Pobiegł przed siebie, kiedy byłem odwrócony do niego plecami. Podążyłem za nim, usiłując przytrzymać drzwi na plecach i jednocześnie dotrzymać mu kroku, trzymać głowę nisko i nie wypuścić z garści drzwiowej tarczy. Wrzaski, które rozległy się z przodu wskazywały, że Snorri dopadł zniechęconych kuszników, a zanim się do niego dowlokłem ze strzelców została już tylko krwawa miazga. Główna trudność przez

chwile polegała na tym, by nie poślizgnąć się na ludzkich flakach. Kilka kolejnych bełtów wbiło się w moje drzwi z głuchym łupnięciem, a jeden świsnął pomiędzy moimi kostkami, uświadamiając mi, że zostawiłem tam nieosłonięte miejsce. Na szczęście do wyjścia brakowało mi tylko dziesięć jardów. Wlokąc za sobą po ziemi drzwi, z odkrytymi jedynie czubkami palców, wydostałem się na świeże powietrze. Niestety moja tradycyjna chwila napawania się triumfem znów została zniweczona, tym razem przez atletyczne ramię, które chwyciło mnie i szarpnęło w bok.

- Mam łódź - warknął Snorri. Zwykle gdy mówi się, że ktoś coś warknął, to tylko taka potoczna przenośnia, ale Snorri naprawdę wkładał w swój głos morderczą nutę.

- Co? - wyrwałem mu się, albo to on mnie puścił, w każdym razie żadnemu z nas nie spodobało się pieczenie na skórze w miejscu, gdzie mnie złapał palcami.

- Mam łódź.

- A jakżeby inaczej, w końcu jesteś Wikingiem. - Wszystko wydawało się raczej surrealistyczne. Albo być może oberwałem o jeden raz za dużo od czasu, gdy Alain dopadł mnie w operze. A było to ledwie godzinkę czy dwie temu.

Snorri pokręcił głową.

- Za mną! Szybko!

Zniknął w mroku nocy. Odgłosy zbliżających się ludzi przekonały mnie do pognania za nim. Przecieliśmy szeroki pas beczek i skrzyń, przemknęliśmy pod tuzinem rozwieszonych sieci i zostawiliśmy za sobą las masztów sterczących ponad murem nabrzeżnym. Wbiegliśmy na keję, a potem po schodach aż do wody, gdzie przycumowana do jednego z wielkich, osadzonych w ścianie żelaznych pierścieni, kołysała się łódka wiosłowa.

- O, masz łódź - stwierdziłem.

- Byłem już milę w dole rzeki, wolny jak ptak. - Snorri wrzucił miecz do łodzi, wszedł na pokład i chwycił wiosło. - Nagle coś mi się stało. - Zawiesił głos i przez chwilę wpatrywał się w rękę, w której trzymał jedynie ciemność. - Coś... Zachorowałem. - Usiadł i ujął drugie wiosło. - Wiedziałem, że muszę wrócić, wiedziałem dokładnie gdzie iść. A potem natknąłem się na ciebie.

Wciąż stałem na stopniu. To sprawka magii Milczącej Siostry. Pęknięcie przebiegło przez nas, świetliste przeze mnie, ciemne przez niego, a kiedy rozdzieliliśmy się ze Snorrim, jakaś tajemna siła usiłowała połączyć ponownie te dwie linie, ciemną i jasną. Oddaliliśmy się od siebie, rzeka uniosła Snorriego na zachód, a ukryte szczeliny zaczęły się poszerzać, rozdzierając nas, chcąc się połączyć i znów sunąć razem naprzód. Pamiętałem dobrze, co działo się, kiedy się łączyły. Działo się źle.

- Nie stój tam jak idiota. Odwiąż linę i wskakuj.

- Ale... - Łódka poruszyła się niesiona prądem, który próbował zerwać ją z

cumy. - Wygląda na mało stabilną. -Łodzie zawsze były dla mnie tylko kilkoma deskami odgradzającymi od śmierci przez utopienie. Jako człowiek rozsądny, nigdy nie zawierzyłem żadnej swego życia. Z bliska wyglądały na jeszcze bardziej niebezpieczne. Ciemna rzeka siorbnęła głośno wiosła, jakby była głodna.

Snorri wskazał na górne stopnie przy przejściu w murze nabrzeżnym.

- Lada moment stanie tam kusznik i przekona cię, że ociąganie się było błędem.

Na takie dictum wskoczyłem do łodzi tak gwałtownie, że Snorri musiał się wychylić, żeby zrównoważyć mój ciężar i zapobiec wywrotce.

- A lina? - zapytał. Ponad nami rozległy się coraz głośniejsze pokrzykiwania.

Dobyłem noża i zacząłem piłować cumę, omal nie upuszczając przy tym ostrza do wody. Spróbowałem znowu, rezałem nitkę po nitce, aż w końcu ostatnia puściła. Nurt uniósł nas w dół rzeki, a mur rozplynął się w ciemności, znikając wraz z resztą ładu.



- *Znowu będziesz rzygał?*
 - *A co, rzeka przestała płynąć? - zripostowałem.*
- Snorri prychnął.

- *Wobec tego tak. - Podkreśliłem oświadczenie, puszczając na ciemne wody Seleen kolejnego pawia. - Gdyby Bóg chciał, żeby człowiek włączył się po wodzie, dałby mu... - Poczułem się zbyt chory na cięte dowcipkowanie i zawisłem na burcie, wpatrując się w szary świt, który wstawał za naszymi plecami. - ...dałby mu to, co do tego trzeba.*

- *A wasz mesjasz, który chodził po wodzie, żeby wam pokazać, gdzie Bóg chce, aby poszli ludzie? - Snorri pokręcił tą swoją rasową głową. - Moi ludzie mają starszą wiarę niż ta, którą przyniósł Biały Chrystus. Aegir, który włada morzem wcale nie chce, żebyśmy po nim chodzili. Ale i tak to robimy. - Zadudnił basowo pieśń. - *My, Undorethowie, zrodzeni z walki. Wznieś młot, wznieś topór, wznieś okrzyk bitewny aż zadrżą bogowie.* - Wiosłował, nucąc swoją niemelodyjną melodię.*

Nos bolał mnie jak diabli, było mi zimno, wszystko mnie bolało, a kiedy udało mi się wciągnąć powietrze połamanymi nozdrzami, okazało się, że śmierdzą niewiele lepiej niż kupa łajna, która ocalała mi życie.

- *Nos... - Zamilkłem. Wymowa w moim wykonaniu brzmiała komicznie. „Nos mnie boli” wypowiedziałbym jako „Dos bnie boli”. A choć miałem wszelkie prawo do narzekań, mógłbym tym rozjuszyć Wikinga, a nie warto rozjuszać człowieka, który skacze po niedźwiedziu, żeby uciec z areny. Szczególnie, kiedy samemu się go na tę arenę wsadziło. Jak to mawiał ojciec: „Błądzić jest rzeczą ludzką, wybaczać boską... ale jestem tylko kardynałem, a kardynałowie to ludzie, więc miast ci wybaczyć, raczej pobłędzę ku zlanie cię tym kijkiem”. Snorri też nie wyglądał na miłosiernego typu. Poprzestałem na kolejnym jęku.*

- *Co? - Podniósł głowę znad wiosł. Przypomniałem sobie leżących pokotem ludzi, których zmiotł po drodze do mnie i kiedy opuszczaliśmy halę*

makową Maeresa. I to wszystko mając ranną rękę.

- Nic, nic.

Wiosłowaliśmy przez zielone połacie Czerwonej Marchii. To znaczy Snorri wiosłował, a ja leżałem jak jęczący worek kości. W zasadzie to głównie sterował, bo resztę roboty odwaliała Seleen. Rękojeść prawego wiosła plamiła jego krew.

Krajobraz przepływał obok nas zielony, monotony, a ja wisiałem na burcie, narzekając pod nosem i rzygając sporadycznie. Zastanawiałem się też, jakim cudem w czasie pomiędzy dwoma świtami zacząłem od przebudzenia obok nagich wdzięków Lisy DeVeer, a skończyłem w gównianej łódeczce z wielkim szalonym Wikingiem.

- Czekają nas kłopoty?

- Hm? - Łypnąłem na niego znad swojej udręki.

Snorri wskazał brodą dół rzeki, gdzie w wodę wchodziło kilka drewnianych pomostów, do których przycumowano łódki. Na brzegu kręcili się mężczyźni sprawdzający pułapki na ryby i reperujący sieci.

- Czemu mielibyśmy mieć... - Przypomniałem sobie, że przecież Snorri był daleko od swoich ojczystych stron, w krainie, której fragmenty widział tylko przez sztachety wozu niewolniczego. - Nie - odparłem krótko.

Mruknął i skierował łódź ku środkowi rzeki, gdzie prąd był szybszy. Może na fiordach mroźnej północy każdy obcy wędrowiec był zwierzyną, a obcym stawało się dziesięć metrów od progu. W Czerwonej Marchii panowały bardziej cywilizowane obyczaje. Oczywiście nie małą rolę odegrała w tym babka, każąc przybijać do drzewa każdego, kto popełnił poważny występki.

Przepływaliśmy obok różnych bezimiennych osad i miścin, które pewnie w ogóle to posiadały jakieś nazwy, ale oferowały tak mało rozrywek, że nie zadałem sobie nigdy trudu, by je poznać. Od czasu do czasu jakiś chłop wsparłszy brodę o trzonek motyki obserwował nas bezmyślnym, krowim wzrokiem. Dzieciaki goniły nas paręset jardów wzdłuż rzeki, ciskając kamieniami albo wystawiając na nas brudne gołe tyłki. Kobiety uderzające o kamienie zapasowymi koszulami mężów podnosiły głowy i pohukiwały z zachwytem na widok Wikinga prężącego mięśnie przy wiosłach. Wreszcie, kiedy słońce stało już wysoko i grzało mocno, wpłynęliśmy na rozlewisko, gdzie Seleen toczyła swe wody leniwiej. Snorri skierował łódź ku brzegowi, gdzie rosła rozłożysta wierzba. Drzewo pochylało się nad spokojną wodą długiej zatoczki, skrywając nas pod grzywą szerokiej korony.

- No? - odezwał się Wiking, kiedy wiosło uderzyło o pień wierzby. Rękojeść miecza zsunęła się z ławki i pokryty zakrzepłą krwią miecz, spadł na dno.

- Noo, wiesz... jeśli chodzi o te walki... to... - Większość poranka i dziewiczego spływu poświęciłem na obmyślanie gładkich wymówek, których właśnie nie byłem w stanie wydukać. W chwilach pomiędzy rzyganiem i jęczeniem powtarzałem sobie te kłamstwa dla utrwalenia, ale pod wzrokiem człowieka

ochoczo wyzynającego sobie drogę wyjścia z każdej sytuacji, jakoś zabrakło mi śliny, która przynosi je na język. Przypomniało mi się, jak patrzył z areny na Maeresa. -Dajcie większego niedźwiedzia? - Przypomniałem sobie też tamten jego uśmiech. Wybuchłem śmiechem, choć, cholera, piekielnie mnie to zabolalo. - Kto mówi takie rzeczy?

- Ten pierwszy był za mały - wyszczerzył się Snorri.
- A ten drugi już w sam raz? - Potrząsnąłem głową, usiłując zdławić śmiech. - Pobiłeś Złotowłosą na puenty o jednego niedźwiedzia.
- Złotowłosą? - Zmarszczył brwi.
- Nieważne. Nieważne. A ten Jaśko Obrzyn! - Odetchnąłem i poddałem się przyjemności rozpamiętywania, jak uszedłem spod ręki wyłupiastookiemu demonowi i jego nożom. Radość ze mnie kipiała. Zgiąłem się wpół, porykując salwami historycznego śmiechu i waląc rękami o burty. - O Jezusie! Odciąłeś mi ramię!

Snorri wzruszył ramionami, powstrzymując się przed ponownym wyszczerzeniem zębów w radosnym grymasie.

- Widać weszło mi w drogę. Kiedy Czerwona Królowa zmieniła zdanie i zamiast mnie wypuścić, wysłała na arenę, to jakby całe miasto wypowiedziało mi wojnę.

- Ale Czerwona Kró... - Zmitygowałem się. Sam przecież powiedziałem, że to jej rozkaz. Nie miał powodów, by w to nie wierzyć. W sztuce kłamstwa ważne jest, by pamiętać główne punkty zmyślonej historii. Normalnie jestem w tym mistrzem światowej klasy. To potknięcie było wynikiem okoliczności łagodzących. W końcu, jakby nie patrzeć, wyskoczyłem z gorącej patelni Alaina DeVeera, żeby dać susa w płonąca operę, a stamtąd w jeszcze gorsze tarapaty. - No tak, tak, to... paskudne z jej strony. Ale każdy wie, że moja babka to tyran.

- Twoja babka? - Wiking uniósł brwi.
- Um... - Cholera! Nie zauważył mnie w sali tronowej, a teraz już wiedział, że jestem księciem, cennym zakładnikiem. - Tak, jestem jej dalekim wnukiem, bardzo dalekim. W sumie dziesiąta woda po kisielu. - Złapałem się za nos. Przez te wybuchy śmiechu rozboleł mnie jeszcze bardziej.

- Weź oddech. - Snorri pochylił się ku mnie.
- Co?

Błyskawicznie chwycił mnie jedną ręką za kark, jak w imadło. Przez chwilę myślałem, że chce mi zmiażdżyć czaszkę, ale zaraz całe pole widzenia przysłoniła mi jego druga łapa, a świat eksplodował w oślepiającym bólu. Trzymając mój nos w żelaznych szczypcach palców, pociągnął i przekręcił. Coś chrupnęło i gdybym miał jeszcze cokolwiek w żołądku, zarzygałbym tym łódkę.

- Proszę. - Puścił mnie. - I z głowy.

Zawyłem z bólu i zaskoczenia, pod koniec wybuchu formułując spójny

okrzyk:

- Jezusie w dupę krzyża! - Słowa brzmiały wyraźnie, już nie nosowo. Mimo to jakoś nie umiałem się zdobyć na podziękowania, więc poprzestałem na wymownym „Uch”.

Snorri odchylił się do tyłu, opierając rękoma o burty.

- Więc byłeś wtedy w sali tronowej? W takim razie słyszałeś, co mówili więźniowie.

- No, w sumie... - Piąte przez dziesiąte.

- Więc wiesz, dokąd zmierzam - stwierdził.

- Na południe? - zaryzykowałem.

Wyraźnie zbiłem go z tropu.

- Wolałbym płynąć morzem, ale byłoby trudniej to zorganizować. Chyba będę musiał podążyć przez Rhone, Renar i Ancrath, a potem Conaught.

- Nie no, jasne... - Nie miałem bladego pojęcia, o czym mówi. Jeśli w jego historii tkwiło choć ziarno prawdy, nie chciałby wracać do domu. A jego marszruta wyglądała na drogę przez piekło. Najpierw Rhone, nasz północny sąsiad, na pewno było to miejsce, które lepiej omijać z daleka. Ale na Rhoneńczyka jeszcze bym nasikał, gdyby się palił. O Renarze w życiu nie słyszałem. Ancrath był ponurym królestwem leżącym na obrzeżach moczarów i zamieszkiwanym przez wsobnaczych przyglupów o morderczych zapędach. Zaś Conaught znajdowało się tak daleko, że musiało być z nim coś nie w porządku. - No to życzę ci dobrej drogi, Snagasonie, gdziekolwiek zmierzasz. - Wyciągnąłem rękę do męskiej przybitki, która miała zainicjować nasze rozstanie.

- Na północ. Do domu, uratować żonę, rodzinę... - Zawiesił głos, zacisnął usta, ale szybko się otrząsnął z emocji. - Jak ostatnio zostawiłem cię w tyle, nie skończyło się to najlepiej. - Snorri łypnął podejrzliwie na moją wyciągniętą dłoń, po czym ostrożnie wyciągnął swoją. - Nie czułeś tego? - Drugą ręką dotknął nosa.

-I to cholernie! - W życiu nie czułem chyba tak straszliwego bólu, ja, którego doświadczenie nauczyło, że lepiej nie skakać z sypialnianego okna wprost na siodło.

Przysunął swoją rękę do mojej i natychmiast poczułem nacisk, mrowienie i pieczenie. Nadal ją zbliżał, coraz wolniej, ale moja skóra zaczęła blednąć, nieomal jaśnieć, zaś jego pociemniała. Gdy znalazły się cal od siebie, w moich żyłach płynął lodowaty żar, dłoń jarzyła się, a jego wyglądała, jak zanurzona w czarnej wodzie, pokryta plamami jakby atramentu, który zbierał się w załamaniach i wypełniał każdy por. Moje żyły płonęły, jego poczerniały, a gdy czerń ta zaczęła parować z jego skóry jak mgła, nad moimi knykciami zaczęły unosić się jasne płomyki. Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Snorri zaciskał zęby z bólu, który był odbiciem mojego. Jasne oczy, zwykle niebieskie, zmieniły się w dziury do wewnętrznej nocy.

Pisnałem, jak zawsze mając nadzieję, że nikt tego pisku nie zauważy i gwałtownie cofnąłem rękę.

- Cholera jasna! - Potrząsałem nią, chcąc strząsnąć ból i obserwowałem, jak powoli wraca do normalności. - Przeklęta wiedźma! No dobra. Rezygnujemy z uścisku. - Wskazałem na kamienistą łachę na brzegu zakola. - Wyrzuć mnie tutaj. Wrócę jakoś do domu.

Snorri pokręcił głową, a jego oczy znów stały się niebieskie.

- Robiło się gorzej, kiedy byliśmy dalej od siebie. Nie zauważyłeś?

- Miałem inne sprawy na głowie. Ale owszem, przypominam sobie, czułem się jakoś niewyraźnie.

- Jaka wiedźma?

- Słucham?

- Powiedziałeś: „Przeklęta wiedźma”. Jaka wiedźma?

- To nic takiego... - Przypomniałem sobie arenę. Okłamywanie go w tej sprawie byłoby prawdopodobnie błędem. Właściwie chciałem to zrobić z przyzwyczajenia. Lepiej mu powiedzieć. Może znajdzie jakiś pogański sposób, żeby rozwiązać ten problem. - No wiesz, sam ją widziałeś. W sali tronowej.

- Ta stara völvva?

- Stara co?

- Starucha u boku królowej. To ta wiedźma, o której mówisz?

- Tak. Zwą ją Milczącą Siostrą. Ale większość jej nie widzi.

Snorri splunął do wody. Prąd uniósł plwocinę, okręcając ją leniwie.

- Słyszałem o tej Milczącej Siostrze. Völvvy z północy o niej mówią, ale nie na głos.

- No to teraz ją widziałeś. - Nadal mnie to zastanawiało.

Może fakt, że obaj mogliśmy ją zobaczyć miał coś wspólnego z tym, że jej magia nas nie zabiła? - Rzuciła czar, który miał zabić wszystkich w operze, w której byłem zeszłej nocy.

- Operze?

- Lepiej nie pytaj. W każdym razie uciekłem spod tego czaru, ale kiedy się wydostawałem, coś pękło i ta szczelina zaczęła za mną podążać. Dokładniej dwie splecione, ciemna i świetlista. Kiedy mnie złapałeś przeskoczyły na nas. I zatrzymały się.

- A kiedy się odsunęliśmy?

- Ciemna przebiegła przez ciebie, a świetlista przeze mnie. Wygląda na to, że kiedy je rozdzielamy chcą się wyrwać i z powrotem połączyć.

- A kiedy się połączą?

Wzruszyłem ramionami.

- Robi się kiepsko. Gorzej niż w operze. - Choć brzmiało to nonszalancko, a dzień był upalny, wspomnienie zmroziło mi krew w żyłach.

Snorri zacisnął szczęki w sposób, który, jak zauważyłem, znamionował rozważanie. Zacisnął ręce na wiosłach.

- Czyli że twoja babka skazała mnie na walki ku uciesze tłuszczy, a ty ściągnęłaś na mnie klątwę jej wiedźmy?

- Nie biegłem za tobą! - Nonszalancki ton za nic w świecie nie chciał wydobyć się z suchych ust. - To na tobie omal nie roztrzaskałem sobie czaszki, to ty mnie złapałaś! - Natychmiast pożałowałem, że wspomniałem o roztrzaskiwaniu czaszek.

- Jesteś człowiekiem honoru - powiedział w przestrzeń. Spojrzałem na niego, ale nie drwił, był całkiem poważny. Jeśli grał, zapragnąłem pobierać lekcje w tym samym miejscu, co on. Doszedłem do wniosku, że może napomina się o powinnościach, co było dość dziwne w ustach Wikinga, którego powinności tradycyjnie polegały na grabieniu i gwałceniu tudzież na gwałceniu i grabieniu. - Jesteś człowiekiem honoru - powtórzył, tym razem głośniej i patrząc prosto na mnie. Nie miałem bladego pojęcia, skąd nabrał sobie do łba takich głupot.

- Oczywiście - skłamałem.

- Powinniśmy rozwiązać to jak mężczyźni.

Już gorzej być nie mogło.

- Słuchaj, Snorri. - Zerkałem ukradkiem wokół, rozważając dostępne drogi ucieczki. Skok do wody. Niestety, łodzie zawsze były dla mnie tylko kilkoma deskami odgradzającymi od śmierci przez utopienie, zaś pływanie dokładnie tym samym, tyle że bez owych desek. Kolejną opcję stanowiło drzewo, tyle że wierzbowe witki średnio nadają się do wspinaczki, w każdym razie jeśli nie jest się wiewiórką. Wybrałem ostatnią możliwość. - O, co to? - Wskazałem na brzeg za Wikingiem. Nawet nie odwrócił głowy. *Szlag*. - Ach, coś mi się przywidziało. - W ten sposób zostałem pozbawiony perspektyw na ucieczkę. - Jak wspominałem. Chodzi o to. Problem w tym. Wiesz, to. - Musiało być jakieś „to”. - Yyy. Obawiam się, że gdy pozbawię cię życia, szczelina wyrwie się z ciebie, jak usiłuje to zrobić, gdy przestrzeń pomiędzy nami rośnie. A wtedy - bum! - i ja sam znajdę się na dużej przestrzeni. Więc choć kusi mnie próba moich książęcych sił z twoimi... jaki masz tytuł? Nie mówiłaś?

- Jestem hauldrem. Posiadam ziemię, dziesięć akrów, od brzegu Uulisk po wierzchołek grani.

- No więc choć kusi mnie przełamanie norm społecznych i skrzyżowanie miecza księcia Czerwonej Marchii z mieczem... hauldra, to obawiam się, że mógłbym nie przeżyć twojej śmierci. - Po jego zmarszczonym czole poznałem, że rozważa ryzyko z racji braku lepszych alternatyw, więc aby go od tego odwieść, dodałem: - Jednak tak się składa, że zawsze chciałem odwiedzić północ, żeby zobaczyć na własne oczy, jak wygląda to łupienie. Poza tym babka zamartwia się tymi twoimi duchami nieżywych ludzi. Uspokoiłaby się, gdybym załatwił tę

sprawę. Wobec tego pójdę z tobą.

- Będę podróżował szybko. - Mars na czole Snorriego pogłębił się. - I tak już za długo zamarudziłem, a droga daleka. I bacz, że gdy tam dotrzemy, będzie jatka. Spowolnij mnie, a... Ale właściwie to poruszałeś się nad wyraz szybko, kiedy na mnie wpadłeś. - Jego czoło wygładziło się, chmura zniknęła, a jego oblicze opromienił uśmiech, na wpół dziki, na wpół przyjazny, w całości niebezpieczny. - Poza tym znasz te strony lepiej ode mnie. Opowiedz mi o ludziach z Rhone.

W ten oto sposób zostaliśmy towarzyszami podróży. Przyłączyłem się do misji ratunkowo-odwetowej, gdzieś na końcu świata. Miałem tylko nadzieję, że to nie potrwa długo. Snorri szybko ocali bliskich, wybije wszystkich wrogów, trupy i nekromantów i będzie po sprawie. Jestem mistrzem w samooszukiwaniu się, ale nawet ja nie potrafiłem przekonać samego siebie, że wcale nie brzmi to jak najkoszmarniejsze samobójstwo. Pocieszałem się tylko, że na północ jest bardzo daleko i może gdzieś po drodze trafi się sposobność przełamania czaru, który nas związał i ucieczki.

Snorri ujął wiosła, zamarł na moment, po czym je odłożył.

- Wstań - nakazał mi.

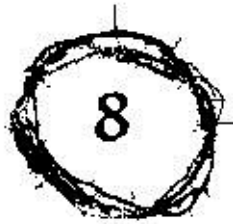
- No co ty?

Skinął na potwierdzenie. Dobrze utrzymuję równowagę na koniu i w ogóle nie utrzymuję jej na wodzie. Mimo to, nie chcąc zepsuć nastroju chwili rodzącego się między nami męskiego porozumienia, podniosłem się, wyciągając ramiona na boki. Snorri gwałtownie przechylił łódź, zrobił to celowo - a ja wpadłem do rzeki, usiłując się desperacko chwycić wierzbowych witek tak, jak tonący chwytą się brzytwy.

Nad moją głową rozległ się dudniący śmiech Snorriego. Mówił coś jakby „czysty” i „wspólnie”, ale dosłyszałem tylko urywki słów, ponieważ tonięcie jest procesem wysoce hałaśliwym. Kiedy wreszcie porzuciłem próby uratowania się przez wypicie całej wody z rzeki i zanurzyłem się pod wodę po raz trzeci, Wiking złapał mnie za kamizelkę i z niepokojącą łatwością wciągnął na pokład. Leżałem na dnie łódki, dysząc i miotając się jak ryba wyjęta z wody. Wyrzygiwałem z siebie tyle rzeki, że łódka groziła zatonięciem.

- Ty sukinsynu! - Wyrzuciłem z siebie pierwszą spójną wypowiedź zanim skojarzyłem jak wielki i groźny jest rzeczony sukinsyn.

- Okrutnie cuchnąłeś. Przecież nie mógłbym zabrać cię na północ w takim stanie! - zaśmiał się Snorri. Wierzba tęsknie pogładziła nas witkami na pożegnanie, kiedy wyprowadzał łódkę na środek nurtu. - W ogóle jak to możliwe, żeby mężczyzna nie umiał pływać? Czyste szaleństwo!



Rzeka

zabrała nas do morza. Podróż trwała dwa dni. Spaliśmy na brzegach poza zasięgiem chmar komarów. Snorri wyśmiewał się z moich narzekań.

- W lecie na północy krwiopicjów jest tyle, że ich chmury rzucają cień.
- Pewnie dlatego jesteście tacy bladzi - odciąłem się. -Brak opalenizny i utrata krwi.

Prawie nie spałem. Na gołej ziemi było za twardo, a jak ją sobie wyścieliłem, to wyściółka mnie drapała. Przypominało mi to Kampanię Scorrońską sprzed roku. Fakt, brałem w niej udział tylko trzy tygodnie, zanim nie wróciłem do domu jako bohater Przełęczu Aralskiej, żeby leczyć nogę nadwyręzoną podczas bitwy - a w zasadzie podczas uciekania na oślep z jednej bitwy w drugą. Tak czy owak leżałem na twardej, kłującej glebie, wpatrując się w gwiazdy, wsłuchując w szmer rzeki oraz trzaski, szmery i chrupoty jakichś stworzeń buszujących w zaroślach. Myślałem o Lisie DeVeer. Podejrzewałem, że czeka mnie niewiele nocy, kiedy nie będę miał okazji zadawać sobie w kółko pytania, jak to możliwe, że wpakowałem się w coś takiego. A już nad ranem, w przerwach pomiędzy użalaniem się, zastanawiałem się nawet czy Lisa i jej siostry przeżyły pożar w operze. Może Alain przekonał ojca, żeby ten zatrzymał je w domu w ramach kary za to, z kim się zadają.

- Czemu nie śpisz, Czerwony Marchito? - Z ciemności dobiegł mnie głos Snorriego.

- Jesteśmy w Czerwonej Marchii, jakbyś zapomniał. Nazywanie kogoś od miejsca pochodzenia ma tylko sens, gdy znajduje się on daleko od rodzinnych stron. Mówiliśmy już o tym.

- A co z tym spaniem?
- Myślę o kobietach.
- Ach. - Milczenie trwało na tyle długo, że już myślałem, iż porzucił temat.

- O jakiejś konkretnej?

- Generalnie o różnych. I tym, że nie ma ich tu na brzegu.
- Lepiej myśleć o jednej.

Przez długą chwilę obserwowałem gwiazdy. Mówią, że gwiazdy się kręcą, ale ja tego nie widziałem.

- A ty czemu nie śpisz?
- Ręka mnie boli.
- Takie małe zadrapanie? Takiego dużego Wikinga?
- Jesteśmy stworzeni z ciała, jak inni ludzie. Trzeba oczyścić ranę i zeszyć.

Porządnie, żebym zachował swoje ramię. Jak dotrzemy do delty, zostawimy łódź i pójdziemy wybrzeżem. Znajdę kogoś w Rhone.

Wiedział, że przy ujściu będzie port, ale z wyrokiem Czerwonej Królowej na karku szukanie tam medyka zakrawało na szaleństwo. Zachowałem dla siebie informacje, że królowa go ułaskawiła oraz że w mieście portowym Marsalia znajdowało się dopiero co odnowione centrum medyczne ze szkołą, która od trzech wieków kształciła najlepszych lekarzy w tym regionie. Mówiąc mu o tym, przyznałbym się do kłamstwa i odpowiedzialności za to, co go spotkało. Czulem się z tym kiepsko, ale i tak o niebo lepiej, niż gdyby skrócił mnie o głowę.

Wróciłem do fantazjowania o Lisie i jej siostrach, ale głęboką nocą to ogień rozpałał moje sny, barwił je na liliowo, a przez płomienie widziałem nie umierających w pożarze ludzi, a dwoje nieludzkich oczu w szczelinach maski. Jakimś cudem przełamałem zakłęcie Milczącej Siostry, uszedłem piekła i uniosłem ze sobą część magii. Zastanawiałem się jednak, co jeszcze mogło wydostać się tamtej nocy z opery i gdzie się teraz znajdowało. Naraz każdy szelest wydał mi się krokami potwora wężącego za mną w ciemnościach i mimo upału oblewał mnie zimny pot.

Ranek przyniósł obietnicę gorącego, słonecznego dnia. A raczej groźbę. Gdy siedzi się na zacienionej werandzie, popijając chłodne wino, a lato maluje w ogrodach Czerwonej Marchii żółte cytryny - wtedy jest to obietnica. Jeśli jednak musisz przez cały dzień wędrować w pyle, żeby pokonać odległość, którą na mapie można zakryć kciukiem, to groźba. Snorri spojrzał chmurnie na wschód i przerwał swój post, zjadając resztki czerstwego chleba, który ukradł w mieście. Niewiele mówił, jadł lewą ręką, bo prawa spuchła, a na czerwonej skórze pojawiły się pęcherze, takie, jakie miał na ramionach, tyle że nie od oparzeń słonecznych.

Woda niosła już ze sobą słonawy posmak powietrza, brzegi oddalały się i robiły błotniste, a krajobraz płaski. Staliśmy przy łodzi, około pięćdziesiąt jardów od lustra wody, cofniętego przez odpływ.

- Marsalia. - Wskazałem na mgłę na horyzoncie, gdzie daleko na linii błękitnego nieba i pomarszczonego morza, widać było ciemniejszą smugę.

- Duża. - Snorri potrząsnął głową. Wrócił do łodzi, skłonił się lekko i zaczął coś mrużyć pod nosem. Bez wątplenia jakieś pogańskie modły. Jakby ta skorupa potrzebowała podziękowań za nie utopienie nas. Kiedy skończył, odwrócił się i gestem kazał mi prowadzić.

- Do Rhone. Najszybszą drogą.
- Najszybsza to konno.

Snorri prychnął, jakby urażony tym pomysłem. I czekał.

I dalej czekał.

- No tak, tak - powiedziałem i zacząłem iść przodem, choć moja znajomość terenu kończyła się na wiedzy, że Rhone leży gdzieś głównie na północ i trochę na zachód. O tutejszych drogach nie miałem bladego pojęcia. W zasadzie jeśli chodzi o ziemie leżące za Marsalią, to z trudem mógłbym wymienić jakieś większe miasto. Kuzynka Serah wyrecytowałaby je z pamięci pełną, bujną piersią, a kuzyn Rotus zanudziłby na śmierć nawet bibliotekarza, wymieniając populację, zasoby i politykę każdej jednej wioski i osady. Moje zainteresowania skupiały się jednak bliżej domu i wymagały znacznie mniej wysiłku.

Przecieliśmy szeroki pas uprawianych obszarów zalewowych i pokonawszy parę skarp, przedostaliśmy się na suchszy teren. Po dotarciu na równinę Snorri ociekał potem. Znać było po nim wielki wysiłek - możliwe, że nieoczyszczona rana przyprawiła go o gorączkę. Ostre słońce szybko dało się nam we znaki. Po paru milach wędrówki po kamienistych nieckach i krzaczastych błoniach, buty zaczęły mnie cisnąć. Wróciłem do tematu koni.

- Wiesz, co by nam się przydało? Konie. Ot, co.

- Wikingowie przemieszczają się na łodziach. Nie jeździmy konno. - Snorri był albo zmieszany, albo tak działało na niego słońce.

- Nie jeździcie czy nie umiecie?

Wzruszył ramionami.

- A co tu umieć? Trzymasz wodze i jedziesz. Jak znajdziesz konie, to pojedziemy konno. - SPOCHMURNIAŁ. - Muszę się dostać do domu. Mogę nawet spać w siodle, jeśli tylko koń dowiezie mnie do celu, zanim Sven Złamane wiosło skończy robotę na Srogich Łodach.

Uświadomiłem sobie, że Wiking naprawdę liczy na ocalenie rodziny. Udawał się na północ na ratunek, nie po zemstę. A to gorzej, niż myślałem. Zemsta to działanie racjonalne, najlepiej smakuje na zimno. Ratowanie wymaga poświęceń, pakowania się w paszczę niebezpieczeństwa i te wszystkie sytuacje, których powinno się raczej unikać. A przez to kwestia przełamania zaklęcia stawała się jeszcze bardziej pilna. Tym bardziej, że stan jego dłoni pogarszał się z godziny na godzinę. Po widocznych pod skórą ciemniejących naczyń, poznać było, że zakażenie rozszerza się w błyskawicznym tempie. Nie chciałem sprawdzać, czy moje przewidywania, że śmierć jednego z nas może mieć tragiczne konsekwencje dla drugiego są realne. Mówiąc o tym zmyślałem, ale kłamstwo to wypowiedziane głośno zabrzmiało bardzo prawdziwie.

Wlekliśmy się w upale, przedzierając się przez suchy, duszny las iglasty. Po paru godzinach gąszcz uwolnił nas podrapanych i lepkich od żywicy i potu. Tyle

dobrze, że las wypuł nas prosto na szeroki trakt usiany resztkami starożytnego chodnika.

- Nareszcie. - Snorri jednym krokiem przedostał się na drugą stronę rowu.
- Bo już myślałem, że się zgubiłeś.

- Zgubiłem? - udałem dotkniętego. - Każdy księżę zna własne królestwo jak zakamarki swojej... swojej... - Oczyma wyobraźni ujrzałem Lisę DeVeer i zakamarki jej ciała, wklęsłości i wypukłości, po których ślizgały się cienie, gdy się poruszała. - Czegoś znajomego.

Droga zaprowadziła nas na płaskowyż pocięty szachownicą gajów oliwnych i pól tytoniu oraz kukurydzy, nawadnianych mnóstwem potoków, które kamienistymi korytami spływały ze wzgórz na wschodzie. Pomiędzy uprawami stały tu i ówdzie samotne gospodarstwa i skupiska przytulonych do siebie chat pokrytych dachami z łupków.

Pierwszym człowiekiem, na jakiego natknęliśmy się na drodze, był starzec popędzający witką jeszcze starszego osła, który ugiął się pod ciężarem dwóch wielkich stert chrustu.

- Koń? - mruknął Snorri, kiedy zbliżaliśmy się do starowin
- Chyba żartujesz?
- Ma cztery nogi. Lepsze to niż dwie.
- Znajdziemy coś solidniejszego. I nie jakiegoś konia pociągowego. Coś odpowiedniejszego.

-I szybkiego - dodał Snorri. Osioł kompletnie nas zignorował, a staruszek poświęcił nam niewiele więcej uwagi, zupełnie jakby codziennie mijał na drodze wielkiego Wikinga.

- Ahoj. - I już go nie było.

Snorri wyduł spękane wargi i szedł dalej, dopóki nie przystanął jakieś sto jardów dalej.

- To - zaczął, patrząc pod nogi - jest największa kupa łajna, jaką w życiu widziałem.

- No nie wiem - stwierdziłem powątpiewająco. - Widziałem większe. - A w jedną nawet wpadłem. Ale ponieważ ta spadła z zadu jednego zwierzęcia, musiałem się zgodzić, że w istocie, była imponująca. Można nią było załadować komplet talerzy obiadowych, jeśli ktoś miałby na to ochotę. -Rzeczywiście, jest wielka, ale widywałem już takie. I całkiem możliwe, że niedługo będziemy mieć coś wspólnego.

- Tak?

- Prawdopodobnie, mój przyjacielu, obaj będziemy mogli poszczycić się tym, że ocalała nas wielka kupa gówna. -Odwróciłem się do oddalającego starca. - Hej! - wrzasnąłem do jego pleców. - Gdzie jest cyrk?

Starzec nawet się nie zatrzymał, tylko wyciągnął kościste ramię w stronę

zbocza porośniętego gajem oliwnym.

- Cyrk? - zapytał Snorri, wciąż zafascynowany kupą gnoju.
- Niedługo zobaczysz słonia, mój drogi!
- A czy ten słony wyleczy mi rękę? - Uniósł rzezoną kończynę, krzywiąc się przy tym.

- Cyrk, to poza lazaretem najlepsze miejsce do leczenia ran. Cyrkowcy zonglują toporami i płonącymi żagwiami. Huśtają się na trapezach i chodzą po linach. W każdym cyrku jest co najmniej kilku ludzi, którzy potrafią zszyć ranę, a przy odrobinie szczęścia trafimy na taki, w którym jest nawet zielarz leczący inne dolegliwości.

Boczna droga prowadziła jakieś ćwierć mili prosto, a potem skręcała ku wzgórzu. Widać było, że niedawno pokonywała ją duża karawana - ubitą ziemię znaczyły koleiny, a niższe gałęzie były świeżo połamane. Obozowisko znajdowało się bliżej szczytu wzniesienia, duży krąg wozów i porozstawiane namioty. Nie było to miejsce docelowego postoju cyrku, a jedynie obóz postojowy. Spłacheć ziemi, na którym rozbija się trupa, otaczał murek z kamieni ułożonych bez zaprawy. Tego rodzaju ogrodzenia z wygrzebanych z ziemi kawałków skał, były w tych okolicach bardzo rozpowszechnione. Wyznaczały granice działek, albo okalały pastwiska. Na murku, przy zatarasowanym deskami przejściu siedział skwaszony, siwy karzeł.

- Mamy już siłacza. - Otaksował Snorriego krótkowzrocznymi oczkami i splunął siarczyście w pył na dróżce. Należał do tych gnomów, których głowa i ręce miały pełnowymiarowe gabaryty, zaś korpus był skrócony, a nogi cienkie i krzywe. Siedział i czyścił sobie paznokcie nożem z taką miną, jakby najchętniej poczęstował tym nożem obcych.

- No wiesz? Obrażasz Sally! - wskazałem na Wikinga. -Możesz powiedzieć, że macie też kobietę z brodą, ale nie uwierzę, że jest tak urodziwa, jak ta młódka.

Wzbudziłem w nim zainteresowanie.

- Wobec tego witaj, Sally! Gretcho Marlinki do usług!

Czułem, że stojący za mną Snorri zaraz urwie mi głowę.

Mały człowieczek zeskoczył z muru, łypnął pożądliwie na Wikinga i otworzył przejście.

- Wchodźcie. Niebieski namiot w kręgu po lewej. Pytajcie o Taproota.

Ruszyłem przodem. Dobrze, że Gretcho był za niski, żeby uszczypnąć Snorriego w tyłek, inaczej na wejściu bylibyśmy winni Taprootowi nowego karła.

- Sally? - zadudnił z tyłu Wiking.

- Współpracuj.

- Nie.

Większość cyrkowców prawdopodobnie uciniała sobie sjęstę, ale niemało ich kręciło się przy wozach. Naprawiali koła, uprząże, zajmowali się zwierzętami,

cerowali płótna, ładne dziewczęta ćwiczyły piruety, kobieta w zaawansowanej ciąży tatuowała plecy półnagiemu mężczyźnie, a nieustrudzony zongler podrzucał i łapał różne przedmioty.

- Strata czasu. - Kiwnąłem w stronę zonglera.
- Uwielbiam zonglerów! - Snorri uśmiechnął się szeroko, ukazując zęby bielące się w czarnej gęstwinie brody.

- O Boże! Pewnie jesteś z tych, co lubią klaunów?!
Uśmiech Wikinga poszerzył się bardziej, jakby bawiło go już samo wspomnienie klauna. Zwiesiłem głowę.

- Chodź.

Minęliśmy cembrowaną kamieniami studnię, poniżej której znajdowały się poustawiane nagrobki. Najwyraźniej całe pokolenia wykorzystywały to miejsce do odpoczynku. Niektórzy nawet wiecznego.

Nietrudno było znaleźć błękitny namiot, a w zasadzie szarawy, bo tak spłówiały był od słońca. Większy i porządniejszy niż reszta, stał pośrodku obozu, a przed wejściem do niego wbito podnieszczony znak z napisem:

ŚLYNNY CYRK DR. TAPROOTA

LWY, TYGRYSY I NIEDŹWIEDZIE, O RETY/

ZGODNIE Z UMOWĄ Z CESARSKIM SĄDEM W VYENE

Trudno pukać w klapę namiotu, pochyliłem się więc ku wejściu i zakaszlałem.

- ...nie możesz pomalować lwa w paski?
- No nie... Ale przecież możesz je wcześniej zmyć.
- Minęło trochę, odkąd ostatnio kąpałem lwa, ale...

Zadziałało dopiero powtórne, bardziej teatralne kasznięcie.

- Wejść!

Schyliłem się, Snorri jeszcze bardziej i weszliśmy.

Potrzebowałem chwili, żeby mój wzrok przywykł do panującego w namiocie błękitnego półmroku. Uznałem, że Dr. Taproot to kościsty człowiek siedzący za biurkiem, zaś bardziej krzepka postać pochylająca się nad nim, to przeciwnik kąpieli lwów.

- Ah! - powiedział siedzący. - Książę Jalan Kendeth i Snorri ver Snagason! Witajcie w moich progach. Zapraszam!

- Skąd u diabła... - Zmitygowałem się. To dobrze, że mnie znał. Właśnie się zastanawiałem, jak tu kogoś przekonać, że jestem księciem.

- Ach, jestem dr. Taproot, ja wiem wszystko. No, no!

Snorri wyminął mnie i klapnął na wolnym krześle.

- Wieści się roznoszą. Szczególnie te o książętach. - Wywarło to na nim mniejsze wrażenie, niż na mnie.

- No, no! - Taproot kiwnął ptasią głową osadzoną na chudej szyi. - Traktem Lexicon podróżują posłańcy, którzy oprócz zapieczętowanych wiadomości, wiozą ze sobą plotki. A to niesamowita historia! Naprawdę skoczył pan na niedźwiedzia polarnego, panie Snagasonie? Może mógłby pan tak zrobić z jednym z naszych? Dobrze płacimy. Ach, ale jest pan ranny! Zakrzywione ostrze, jak słyszałem? No, no!

Taproot mówił tak szybko i tak szybko się poruszał, że chwila mniejszej koncentracji i hipnotyzował rozmówcę.

- Właśnie, ta ręka - uchwyciłem się tego. - Macie tu balwierza? Mamy pewne problemy finansowe - Snorri skrzywił się na te słowa - ale jestem zasobny. Moje wydatki pokrywa królewska szkatuła.

Dr Taproot uśmiechnął się znacząco.

- Tak, stan twoich finansów jest otoczony legendą, mój książę. - Uniósł ręce, jakby pokazywał ich rozmiar. - Ale nie obawiajcie się, jestem przyzwoitym człowiekiem. My cyrkowcy nie zostawilibyśmy rannego bez pomocy! Poproszę naszą kochaną Wargę, żeby się tym zajęła. Może się napijecie? - Otworzył szufladę. - Możesz odejść, Waldecker. - Odesłał gestem mężczyznę o pobliznionej twarzy, który przysłuchiwał się naszej rozmowie z dezaprobatą. - Pręgi! No, no! Tylko porządne. Serra ma czarną farbę. Idź do Serry. - Odwrócił się znów do nas i wyłowił z szuflady niewielką butelkę z ciemnego szkła, w sam raz na truciznę. - Mam tu trochę rumu. Wiekowy, wyłowiony u wybrzeży Andoranu z wraku Łowcy Księżycy przez poławiaczy małży. Spróbujcie. - Wyczarował skądś trzy maleńkie srebrne kieliszki. - Lubię posiedzieć tak i pogadać. To moja słabość. No, no. W moich żyłach płyną plotki, czasem muszę oddać się nałogowi. Powiedz mi, książę, jak tam zdrowie babki? Co tam z jej sercem?

- Jakież chyba ma, o ile wiem. - Nie podobała mi się jego bezceremonialność. A rum śmierdział jak maść na odmrożenia. Teraz, mając pod tyłkiem krzesło, nad głową namiot i jako takie rozeznanie sytuacji, zacząłem wracać do siebie. Łyknąłem rumu naszego gospodarza i przekląłem go. - Nie wiem natomiast w jakiej kondycji. - Myśl o tym, że babka mogłaby cierpieć na jakieś schorzenie była mi obca. Babka była jak skała i miała szanse przeżyć nas wszystkich. Tak mawiał ojciec.

- A twoi starsi bracia? Martus i Darin, tak? Martus musi już mieć ze dwadzieścia siedem lat na karku. Kończy za dwa tygodnie, tak?

- Uhm. - Nie miałem bladego pojęcia, kiedy są ich urodziny. - Mają się dobrze. Martus tęskni za swoją kawalerią, ale przynajmniej ma za czym.

- No tak, no tak. - Ręce Taproota nie spoczęły ani na moment. Wymachiwał nimi, jakby wyszarpywał z powietrza skrawki informacji.

- A twój prawuj? Zawsze był słabowity.

- Garyus? - Nikt nie wiedział o jego istnieniu. Sam przez pierwsze lata odwiedzin w jego wieży nie wiedziałem, że jest krewniakiem. Wspinałem się do niego przez okno, żeby nikt nie widział, jak wchodzę i wychodzę. To właśnie prawuj Garyus dał mi medalik z portretem matki. Musiałem mieć wtedy pięć czy sześć lat. Tak, to było niedługo po tym, jak dotknęła mnie Milcząca Siostra. Wtedy zwałem ją ślepą staruchą. Przyprawiła mnie o lepsję. Cały miesiąc miałem napady drgawek. Na Garyusa natknąłem się przez przypadek, kiedy jako dzieciak wspiąłem się do komnaty na wieży. Z początku byłem przekonany, że jest pusta. Przestraszył mnie, kiedy się poruszył. Siedział skulony na swoim łożu, nienaturalnie powykręcany. Nie wydał mi się zły, tylko taki niewłaściwy. Prawdę mówiąc bałem się, że się zarażę. Domyślił się. Garyus znał zakamarki duszy ludzkiej.

I chłopięcej.

„Taki się urodziłem”, powiedział. Nie ostentacyjnie, ale gapilem się na niego jak na diabła. Jego czaszka była wykrzywiona, jakby przepelniona, niekształtna jak ziemniak.

Siedział podparty poduszkami, obok, na stoliku przy łóżku, w zasięgu ręki, stała czarka i dzban, na którą padały zapyłone smugi słońca. Nikt nie odwiedzał go w jego wieży, nikt oprócz pielęgniarki i czasem małego chłopca, który wlaził przez okno.

- Urodziłem się chory. - Każde zdanie wypowiadał z trudem, pomiędzy oddechami. - Miałem bliźniaka, a kiedy urodziliśmy się, musieli nas rozdzielić. Dziewczynka i chłopiec, pierwsze zrosłaki różnej płci, jak mówią. Rozdzielili nas. Ale przełamaliśmy się nierówno. Ja zostałem... taki. - Podniesienie ramienia było dla niego Herkulesowym wysiłkiem.

Powykręcaną ręką wydobyl coś z pościeli - śmiertelnego całunu, bo z tym mi się wtedy kojarzyła - i podał mi ten medalion. Tanią błyskotkę, ale wewnątrz był portret matki, tak piękny i szczegółowy, że patrzyła z niego jak żywa.

- Tak, Garyus - skinął głową Taproot, przełamując milczenie, którego nie byłem świadomy.

Otrząsnąłem się ze wspomnień.

- Ma się całkiem dobrze. - Nie twój zasrany interes, chciałem rzec, ale kiedy jest się z dala od domu, bez grosza przy duszy, lepiej schować dumę do kieszeni. Garyus był jedynym z rodziny, którego naprawdę miałem tylko dla siebie. Nie mógł opuścić swojej komnaty. Chyba że ktoś by go z niej wyniósł. Odwiedzałem go więc. I chyba była to jedyna rzecz, którą robiłem regularnie. - Całkiem nieźle.

- To świetnie. - Taproot potrząsał pięściami białych dłoni o zbyt długich palcach, jakby wyciskał swoje zadowolenie. - A jak tam na północy, hauldrze Snagasonie?

- Zimno i daleko. - Snorri odstawił kieliszek, oblizując zęby.

- A w Uuliskind? Pięknie jak zwykle? Czerwone mleczne kozy pasące się na zboczach Scraa, czarne wełniste na halach Nfflu?

Snorri spojrział na właściciela cyrku spod zmrużonych powiek. Może zastanawiał się, czy ten człowiek czyta mu w myślach?

- Byłeś w Uuliskind? Udoreci pamiętaliby cyrk, a ja dzisiaj pierwszy raz w życiu usłyszałem o słonym. A właśnie, muszę zobaczyć tę bestię.

Taproot uśmiechnął się, lekko naciągając wąskie wargi, za którymi kryły się równe zęby. Odkorkował flaszeczkę i napełnił znów kieliszki.

- Wybaczcie, sami widzicie, jak to ze mną jest. Wypyuję. Wyciągam informacje. Chłonę opowieści wędrowców. Zbieram każdy okrucuch wieści. - Postukał się w czoło. - Składam je tutaj. No, no!

Snorri ujął zdrową dłonią swój kieliszek.

- A tak. Czerwone kozy na Scraa, czarne na Nfflu. Lecz pewnie nikt ich już nie pasie. Przybyły czarne okręty. Martwi z Zatopionych Wysp. Sven Złamane Wiosło ściągnął na nas zagładę.

- Ach. - Taproot skinął, złożył dłonie w piramidę i wydał usta. - Ten z Hardassy. Twardy człowiek. Niedobry człowiek. - Gesty bladych dłoni podkreślały jego opinie. - Może kozy, te czerwone i te czarne, mają nowych pasterzy. Chłopców z Hardassy.

Snorri wypił rum. Położył opuchniętą rękę na stole. Z żywej rany sączyła się ropa.

- Ulecz mnie, a sprawię, że zmienisz swoją opowieść, cyrkowcu.

- Z pewnością. - Twarz Taproota zmieła się w krótkim uśmiechu. - Wykończ lub wylecz, to nasze motto. No, no. - Jego dłonie poruszyły się wokół rąk Wikinga, nie dotykając, ale okalając kontury rany. - Idź do wozu Vargi. To ten najmniejszy z czerwonym kręgiem na boku. Blżej wejścia na pole. Varga oczyści ranę, zeszyje, opatrzy. Robi najlepsze okłady. No, no! Wyleczy nawet zgorzel.

Snorri wstał, ja też, żeby iść za nim. Robiłem to już odruchowo.

- Może zostaniesz, książę Jaland? - Taproot nie spojrział na mnie, ale coś w jego tonie zatrzymało mnie na miejscu.

- Znajdę cię później - powiedziałem do Snorriego. - Lepiej oszczędzę ci wstydu, i nie będę patrzył, jak płaczesz, gdy ta Varga czyści ci ranę. I uważaj na słone. Są zielone i przepadają za smakiem Wikingów.

Snorri prychnął, schylił się i wyszedł w oślepiający dzień.

- Żwawy człowiek. No, no! - Taproot zerknął na klapę namiotu poruszoną przez wychodzącego Snorriego. Powiedz mi, Książę, jak to się stało, że wędrujecie

razem? Nie sądziłem, że należysz do tych, co lubują się w trudach podróży. Dlaczego Wiking nie zabił cię jeszcze za wysłanie go na arenę? I czemu jeszcze nie uciekłeś w domowe pielesze?

- Musisz wiedzieć, że dowiedziałem się co nieco o trudach na Scorrońskich Szczytach... - Coś w smutku, z jakim Taproot powoli pokręcił głową, pozbawiło mnie wiatru w żaglach. Zacząłem się obawiać, że wyśmieje mnie na wspomnienie bohaterskich wyczynów na Przełęczy Aralskiej. Westchnąłem ciężko.
- Tak naprawdę to jesteśmy związani pewnym zaklęciem. Piekielnie uciążliwym. Nie masz tu przypadkiem...

- Zmyślnego czarodzieja? Niewidzialnej ręki, która mogłaby was rozdzielić? No, no! Gdybym miał coś takiego, ten cyrk byłby kopalnią złota, a ja najbogatszym z bogaczy.

Spodziewałem się, że zaczniesz się śmiać, kiedy powiem o zaklęciu, więc ulżyło mi, kiedy wziął moje słowa na poważnie. Jednak na myśl o tym, jak trudne może być przełamanie czaru, radość osłabła.

Taproot opróżnił kieliszek i schował buteleczkę z powrotem do szuflady. - A mówiąc o bogaczach, może zechcesz posłuchać o Maeresie Allusie?

- Wiesz... - Oczywiście, że wiedział. Skoro wiedział o utrzymanym w tajemnicy bracie Czerwonej Królowej, zbyt chorym, by zasiąść na tronie. I skoro wiedział o kozach pasących się na stromiznach dalekich fiordów, trudno, żeby nie wiedział o Vermilliońskim królu zbrodni.

- No, no. - Taproot chudym palcem dotknął wąskiego nosa. - Maeres ma sekrety, których nawet ja nie znam. I nie pała do ciebie sympatią.

- Wobec tego może podróż na północ przysłuży się memu zdrowiu - stwierdziłem.

- Jak najbardziej. - Taproot odprawił mnie wielkopańskim gestem, jakbym był żonglerem, który przyszedł prosić o trociny do wysypania areny, a nie księciem Czerwonej Marchii. Nie zaprotestowałem jednak, bo człowieka, który wie, że szkoda na ciebie manier, lepiej nie drażnić.



Do

wozu Vargi zaprowadziła mnie ciężarna kobieta, która miała przerwę w tatuowaniu. Kołysała się przede mną, jakby miała pęknąć przy każdym kroku, choć zapewniała, że ma jeszcze kilka tygodni do rozwiązania.

- Daisy - rzuciła. Nie miałem pojęcia, czy się przedstawia czy mówiła, jak nazwie dziecko, jeśli to okaże się dziewczynką. Nie słuchałem zbyt pilnie. Właśnie mijaliśmy wóz, w którym kobieta w obcisłych jedwabiach siedziała z nogami skrzyżowanymi za karkiem. Ściągnęła na siebie całą moją uwagę.

- Daisy? Ładne imię. - Dla krowy.

Wreszcie zobaczyłem słonia. Stał za chylącym się ogrodzeniem, przywiązany łańcuchem do grubego pala. Grupka atletycznych i zwinnych cyrkowców skupiła się przy barze zrobionym z dwóch beczek i deski. Siedzieli w cieniu wyładowanego wozu z piwem i obserwowali słonia oraz ewentualnych przechodniów. Cyrki zawsze woziły ze sobą spory zapas piwa dla widzów. Pewnie łatwiej zabawiać podpity tłum.

Następnie przeszliśmy obok sfatygowanego namiotu, na którym na tle spłowiałego nieba wyszyte były księżyc, gwiazdy i znaki zodiaku. Obok namiotu, na trzynogim zydlu siedziała bezzębna, pokryta wątrobianymi plamami postać.

- Młody panku daj złocisza, prawdę powiem. - Trudno było orzec, czy pomarszczona istota jest mężczyzną czy kobietą.

- Nie ulegaj jej. - Daisy przyspieszyła kaczy drept. -Stuknięta starucha. Wróży tylko mrok i zagładę. Odstrasza klientów.

- Dopadnie cię - zawołała za nami starucha, a potem rozkaszała się, jakby miała wypluć płuca. - Dopadnie cię. -Nie wiedziałem, do którego z nas kierowała te słowa.

- Zachowaj swoje wróżby dla wieśniaków - krzyknąłem przez ramię, ale przeszedł mnie dreszcz. Jak zawsze. Pewnie dlatego wróżby się sprzedają.

Kaszel staruchy cichł za naszymi plecami. Śmiałem się, ale od opuszczenia miasta naprawdę czułem, jakby coś na mnie czyhało. Nie wiedziałem, co to by mogło być. Budziło we mnie większą grozę niż Milcząca Siostra czy nawet Maeres. To te oczy zza maski obserwowały mnie w chwilach odpoczynku.

Wystarczył ten jeden moment w operze, kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, a obraz tych oczu nie przestawał mnie prześladować.

- Tu mieszka Varga. - Daisy wskazała wagon zgodny z opisem Taproota. Odetchnęła głęboko, po czym odwróciła się i zaczęła iść, skąd przyszliśmy. Nie podziękowałem jej, pochłonięty studiowaniem grupki skąpo odzianych dziewcząt, które tłoczyły się przy wejściu do wozu. Sądząc po gibkich ciałach i jedwabnych skrawkach - tancerki.

- Panie. - Zbliżyłem się, błyskając do nich najlepszym uśmiechem. Wydawało się jednak, że wysoki, jasnowłosy książę Czerwonej Marchii przegrywa z wielkim wikingiem prężącym mięśnie, które przypominały skały upchane pod skórę ramion i nóg. Dziewczęta pokazywały sobie palcami mroczne wnętrza wozu, wymieniały pełne zachwyty uwagi i chichotały, zasłaniając usta dłońmi. Wyminąłem je i wszedłem po stopniu na okrytą płótnem furę.

- Nie musiałeś zdejmować koszuli - zauważyłem. - To ręki trzeba ci się pozbyć.

Snorri łypnął na mnie złowrogo z kozetki, na której pólleżał. Rzeczywiście miał zatrważającą anatomię - podzielony górami i dolinami mięśni brzuch, tors i ramiona wprost pękające od mocy i wydatne naczynia zaopatrujące w krew te maszyny wytwarzające siłę. Teraz to wszystko napinało się w bólu, o jaki przyprawiało go badanie rany.

- Zasłaniasz mi światło. - Varga odwróciła się od swoich brutalnych czynności. Była w średnim wieku, zaczynała siwieć i miała przyjemne oblicze, na którym odbijały się po równo współczucie i dezaprobata.

- Przeżyje? - zapytałem z całkiem egoistycznych pobudek.

- To paskudna rana. Ściągną są całe, ale jedna z mniejszych kości została złamana, a inne się przemieściły. Ale rana się zagoi, tyle że będzie to trwało i tylko pod warunkiem, że zakażenie się cofnie.

- Czyli że tak?

- Prawdopodobnie.

- To wspaniała wiadomość! - Odwróciłem się do dziewcząt. - Trzeba to uczcić. Pozwólcie, piękne panie, że postawię wam napitek, którym będziemy się raczyć w jakimś bardziej prywatnym miejscu. - Zszedłem pomiędzy nie. Pachniały szminkami, tanimi perfumami i potem. Czyli pięknie. - Nazywam się Jalaan, ale możecie do mnie mówić, książę Jala.

Nareszcie mój dawny urok zaczął działać. Nawet wspaniała rzeźba Snorriego ver Snagasona bledła wobec magicznego słówka „książę”.

- Cherri. Miło cię poznać, wasza wysokość. - Wychwyciłem odrobinę powątpiewania w jej tonie, ale i chęć uwierzenia, że spotkała prawdziwego księcia.

- Jestem oczarowany. - Uśmiechnęła się do mnie. Była całkiem ładna z tym zadartym nosem, szelmowskimi oczkami i pięknymi lokami przeplecionymi

jasnymi pasmami.

- Lula - przedstawiła się jej towarzyska, drobna, o krótkich czarnych włosach, bardzo jasnej karnacji i figurze jak z fantazji uczeniaka.

Z Cherri u jednego boku, Lulą u drugiego i grupką tancerek na ogonie, ruszyłem w stronę wozu piwnego. Snorri jęknął ostro pod płóciennym dachem Vargi. Życie było jednak piękne.

Popołudnie minęło w oparach przyjemności, odzierają mnie z ostatniej srebrnej korony. Cyrkowcy okazali się bardzo tolerancyjni wobec moich zakusów na ich kobiety, podobnie jak rzeczony kobiety. Leżeliśmy na poduszkach przy wozie z piwem, popijaliśmy wino i w miarę wydłużania się cieni, robiliśmy się coraz głośniejsi.

Irytowało mnie tylko to, że tancerki ciągle wypytywały mnie o Snorriego, jakby bohater Przełęcz Aralskiej nie był wystarczająco dobrym obiektem ich zainteresowania.

- Jest wodzem? - zapytała Lula.

- Jest taki wielki! - zachwyciła się rudowłosa piękność imieniem Florence.

- Jak się nazywa? - Wysoka Nubanka z miedzianymi kołami w uszach i ustami stworzonymi do całowania.

- Snorri - odparłem. - W ichniejszym języku znaczy Damski Bokser.

- Naprawdę? - Oczy Cherri zaokrągliły się jak spodki.

- Niestety! - udałem smutek. - Jest strasznie wybuchowy. Jeśli kobieta go zdenerwuje, tnie ją po twarzy. - Przeciągnąłem palcem po policzku.

- Jak wygląda ta północ? - Nubanka nie dała się tak łatwo zniechęcić.

Przytknąłem amforę do ust i dudląc wino, wyciągnąłem rękę, przechylając ją pod ostrym kątem.

- Tak. - Otarłem usta. - Sam lód. Ludzie północy ześlizgują się ku brzegom, gdzie budują małe wioski śmierdzące rybą. Po jakimś czasie robi się tam tłoczno, bo z góry zjeżdżają na tyłkach kolejni ludzie. Ci najbliżej brzegu muszą wtedy przenosić się na łódki. A potem odpływają. - Gestem pokazałem unoszące się na falach łódzie. Podałem Luli amforę. - A te rogi na hełmach? - Przyłożyłem palce do boków głowy. - To stąd, że są rogaczami. Nowi, którzy zjechali z góry sypiają z żonami pozostawionymi w tyle. Straszne miejsce. Nie radzę odwiedzać.

Mała dziewczynka i chłopczyk przyszli, żeby dla nas zaśpiewać. Dzieci miały niesamowite głosiki. Nawet słoń przysunął się, żeby ich posłuchać. Uciszyłem Cherri, żeby spokojnie posłuchać „High-Johna”, ale pozwoliłem jej chichotać podczas „Boogie Bugle”. Ich głosy bez ostrzeżenia uniosły się w arię, która przywołała wspomnienia opery ojca. Śpiewali czyściej i wkładali w to więcej serca niż tamci śpiewacy, ale świat i tak skurczył się wokół mnie i usłyszałem krzyki ginących w ogniu. A spod tych krzyków pamięć wydobyła inny dźwięk, niższy, głębszy, którego wtedy nie rozumiałem, inne wycie. Ryk wściekłości raczej

niż przerażenia.

- Dość - rzuciłem w dzieci poduszką. Chybiłem i porwał ją słoń.
- W nogi! - Warga dziewczynki zadrżała na moment, a potem maluchy czmychnęły.

- „...dajcie im to, czego pragną, moje drogie”. Tak właśnie mówi. Taprootowi tylko chodzi o cycki i tyłki. Nie dba wcale o artyzm. - Lula spojrzała na mnie znad glinianego kubka, szukając potwierdzenia.

- Szczerze, Lula, właśnie z tego się składacie, z cycków i tyłków - powiedziałem nieco bełkotliwie.

Zachichotały. Tytuł podlany mocno winem sprawia, że ludzie śmieją się z tego, co sprzedajesz im jako śmieszne. Nigdy mnie to nie mierziło. Z wozu Vargi dobiegło siarczyste przekleństwo. Objąłem Cherri jednym ramieniem, Lulę drugim i przyciągnąłem je do siebie. Baw się, póki możesz, to moja maksyma. Może i płytkie, jak na filozofię życiową, ale mnie starcza. Poza tym w głębiach można utonąć.

Pierwsze gwiazdy obserwowały mój chwiejny marsz na zwiedzanie wozu tancerek. Szedłem z Lulą po jednej i Cherri po drugiej stronie, choć nie wiem, kto kogo podtrzymywał. Wtoczyliśmy się do środka i dziwne może, ale w ciemności do zaspokojenia pragnień starczyły nam trzy pary rąk.

Głęboką nocą aktywności odbywające się w wozie zakłóciło jakieś poruszenie. Z początku zignorowaliśmy je. Cherri poświęcała się właśnie swoim poruszeniom, w czym żywo jej pomagałem. Udawało się nam ignorować świat, dopóki wóz nie przestał się nagle kołysać, zmuszając Cherri do nabrania tchu. Do tamtej pory nie słyszałem nic ponad jęki dziewczyny, trzeszczenie desek i osiek.

- Jalaan! - Głos Snorriego.

Niezadowolony, wytknąłem głowę przez klapy. Wiking przytrzymał wóz wielką łapą, unieruchamiając go.

- Skończyłeś?

Brakowało mi tchu, żeby ofuknąć go, że właśnie byłem na dobrej drodze. Wyszedłem na zewnątrz, zawiązując troczki wymagające zawiązania.

- Tak? - zapytałem, nie ukrywając irytacji.
- Chodź. - Poprowadził nas pomiędzy wozy. Dopiero teraz usłyszałem łkania. Płacz.

Snorri podążył z boczem, oddalając się od kręgu wozów i namiotu Taproota. Tam wokół jasnego ogniska przycupnęła grupa cyrkowców.

- Zmarło dziecko. - Snorri położył mi dłoń na ramieniu, jakby mnie pocieszał. - Nienarodzone.

- Tej ciężarnej? - Głupie pytanie. To musiało być jej. Przypomniałem sobie jej imię. Daisy.

- Pochowali je. - Skinął na mały kopczyk nieopodal ogniska, wciśnięty

pomiędzy dwa stare kamienie nagrobne. - Powinniśmy złożyć wyrazy szacunku.

Westchnąłem. Koniec zabawy na dzisiaj. Oczywiście było żal kobiety, ale problemy obcych nie dotyczyły mnie szczególnie. Mój ojciec, w jednej z nielicznych chwil trzeźwości, powiedział, że to symptom młodości. W każdym razie mojej młodości. Prosił Boga, by ten wlał we mnie współczucie, którego brzemie miałem nosić w życiu późniejszym. Byłem wtedy najbardziej pod wrażeniem tego, że mnie dostrzegł i choć raz ujrzał, jaki jestem. No i zadowolony, bo przecież kardynałowi wypadało raz na jakiś czas zwrócić się do Boga.

Usiedliśmy w pewnej odległości od gromadki, ale na tyle blisko, by czuć ciepło bijące od ognia.

- Jak twoja ręka? - zapytałem.

- Boli bardziej, ale jest lepiej. - Wyciągnął rzezoną kończynę i poruszył nią, lekko się przy tym krzywiąc. - Wyciągnęła dużo trucizny.

Dzięki Bogu Snorri oszczędził mi szczegółów. Niektórzy lubują się w drobiazgowych opowieściach o krwawych etapach swych chorób. Na przykład Martus uwielbia użalać się nad każdą kropelką ropy, wdając się w długie monologi, na które jedynym lekarstwem jest ucieczka.

Ognisko grzało, noc była ciepła, a ja zmęczony po niedawnych aktywnościach. Ogarnęła mnie senność. Położyłem się na ziemi, nie zwracając uwagi na jej twardość ani pył brudzący mi włosy. Przez chwilę gapilem się w gwiazdy, słuchając cichego szlochania. Ziewnąłem raz i zapadłem w sen.

Tej nocy nawiedziły mnie dziwne sny. Krążyłem po opustoszałym obozie cyrkowym, ścigany wspomnieniami tych oczu wyzierających zza porcelanowej maski. Znalazłem tylko tancerki. Siedziały na swoich łózkach i płakały, a kiedy chciałem ich dotknąć, rozpadły się na kawałki. Była tam Cherri i Lula, rozpekły się razem, wypowiadając słowa „Dopadnie cię”. Noc rozłamała się, szczeliny biegingy przez namioty, koła, beczki; niewidzialny w mroku słoń zatraił przeraźliwie. Moja głowa wypełniała się światłem, aż musiałem otworzyć oczy, żeby mnie nie oślepiło.

Wszystko zniknęło. Został tylko Snorri, siedzący obok z podciągniętymi pod brodę kolanami. Ognisko przygasło, drewna tliły się czerwonym żarem. Cyrkowcy odeszli, zabierając swą rozpacz. Ciszy nie mącił żaden dźwięk, prócz chrobotu owadów. Moje serce zwolniło. W głowie łupało nadal, jakby miała pęknąć, ale to był efekt kwarty wina wyżłopanej w upale.

- Śmierć dziecka sprawia, że cały świat płacze - Snorri zadudnił tak cicho, że ledwie zrozumiałem słowa. - Nawet Odyn w Asgardzie to widzi i mruga wszechwidzącym okiem.

Uznałem, że nie czas na uwagę, że mając jedno można je co najwyżej puścić.

- Każda śmierć jest smutna. - Wydało mi się, że takie stwierdzenie pasuje do chwili.

- Większość tego, kim człowiek jest, zapisuje się do czasu, gdy zaczyna swędzieć go broda. Niemowlę składa się z możliwości. Nie ma większej zbrodni od przerwania czegoś, zanim nadejdzie tego czas.

I znów ugryzłem się w język, żeby nie wytknąć, że właśnie to zrobił, wyciągając mnie z wozu tancerek. Nie powstrzymał mnie takt, ale obawa przed kolejnym złamaniem nosa.

- Chyba pewne rodzaje żalu dotyczą jedynie rodzica. -To gdzieś zasłyszałem. Chyba kuzynka Serah powiedziała to na pogrzebie swojego braciszka. Pamiętałem te siwe głowy potakujące i wymieniające opinie o niej. Pewnie wyczytała to w swoich książkach. Już jako czternastolatka knuła, żeby zdobyć przychyłność babki. I tron.

- Zmieniasz się, gdy zostajesz ojcem - rzekł Snorri, zwracając się do żaru.
- Zaczyna się inaczej widzieć świat. Ci, których to nie zmienia, nigdy nie byli prawdziwymi mężczyznami.

Przeszło mi przez głowę, czy aby nie jest pijany. Ja filozofuję tak nocami, kiedy sobie porządnie golnę. Ale przypomniałem sobie, że przecież Snorri jest ojcem. Jakoś nie umiałem sobie tego wyobrazić. Pędraki podskakujące na jego kolanach. Małe łapki szarpiące za brodę zaplecioną w wojenne warkocze. Ale i tak teraz, gdy mogłem wyobrazić sobie, co widzi w tym żarze, łatwiej było mi zrozumieć jego nastrój. Nie nienarodzone niemowlę, tylko własne dzieci uciekające w przerażeniu poprzez śniegi. To właśnie ciągnęło go na północ, wbrew wszelkiemu rozsądkowi.

- Czemu jeszcze tu siedzisz?

- A ty?

- Ja zasnąłem - oświadczyłem poirytowany. - Nie gapię się w noc! Właściwie to teraz, skoro już się obudziłem, pójdę poszukać jakiegoś lepszego miejsca do spania. - Może takiego z bardziej interesującymi kształtami i zadartym nosem. Wstałem z bólem w boku i potupałem, żeby przywrócić krążenie w nogach.

- Czujesz to? - zapytał Snorri, kiedy odwróciłem się, żeby odejść.

- Nie. - Ale kłamałem. Czuję, że coś jest nie tak. Jakby coś się rozpękło.
- Nic nie czuję. - Mimo to nie ruszyłem się.

Naraz wszystkie owady przestały chrzęścić. Dobiegł mnie niski dźwięk, przenikający przez podeszwy bosych stóp.

- Do diabła! - Ręce zaczęły mi się trząść, nie tylko ze strachu przez nieznanym, ale też przez coś innego, jakby wypełniało je popękane światło.

- Piekło się zbliża - powiedział Snorri, także wstając. W rękę dzierżył swój kradziony miecz. Miał go cały czas przy sobie czy też przyniósł go, kiedy spałem? Wskazał czubkiem na grób dziecka. Dźwięk wydobywał się stamtąd. Jakby coś rozpychało glebę, jakby przeciskały się w niej korzenie. Nagrobek po lewej przekrzywił się, kiedy ziemia pod nim się zapadła. Ten po prawej runął do przodu z

głuchym łupnięciem. Wokół małego kopczyka powstały wybrzuszenia i pęknięcia.

~ Uciekajmy - zaproponowałem zdziwiony, że jeszcze nie biegnę. Słowa „dopadnie cię” brzęczały mi w czaszce. -Co tam się dzieje?

Stałem zahipnotyzowany chorobliwą fascynacją, znieruchomiały jak królik w szponach jastrzębia.

- Coś się tworzy - powiedział Snorri. - Nienarodzony, który powraca, bierze, czego mu trzeba.

- Wraca? - Czasami zadaję pytanie, wcale nie chcąc usłyszeć odpowiedzi. Zły nawyk.

- Nienarodzonemu trudno jest powrócić. Nie jest taki, jak zmarli powstający z grobu. - Snorri zaczął kołysać trzymanym w lewej ręce mieczem, siejąc wokół odbłyskami ogniska, przecinając ze świstem powietrze. - To nie zwykli nieżywi. Ziemia musi pęknąć, żeby ich wypuścić, posiadają niezrównaną siłę. Martwy Król musi naprawdę bardzo nas chcieć.

Po tym stwierdzeniu odzyskałem wreszcie władzę w nogach i rzuciłem się do ucieczki. Ziemia uniosła się, a spod niej wyłoniła się jakaś ciemna postać, od której odrywały się bryły gleby i odpadały kamienie nagrobne. Ubiegłem jakieś pięć kroków, zanim nie potknąłem się o amforę, którą prawdopodobnie sam przyniosłem i runąłem jak kłoda, twarzą naprzód.

Przetoczyłem się i zobaczyłem obramowanego blaskiem gwiazd i luną żaru stwora, który stał po kolana w ziemi, a mimo to przewyższał Wikinga. Kościej, zlepek starych gnatów, strzępów szmat, rozkładał ramiona zakończone dłońmi o zbyt wielu szponiastych palcach. Na te suche, chrzęszczące szczątki zaczęło wpełzać coś wilgotnego, lśniącego, jakaś świeża tkanka zaczęła okrywać golema stworzonego z pozostałości ze starych grobów, przywierając do nich i zlewając się w bryłę.

Snorri wyryczał swój okrzyk bojowy, ale nie ruszył się, nie zaatakował wroga, który przewyższał go o co najmniej jard. Truposz wyciągnął ku Snorriemu kościane szpony i szybko cofnął ramię. Szara czaszka obleczona wilgotną masą pochyliła się na szyi, która była niegdyś całym kręgosłupem jakiegoś nieszczęśnika. Głos Nienarodzonego brzmiał jak zgrzytanie zębów, chrzęst kości, ale mimo to z odgłosów tych wyłaniały się słowa.

- Czerwona Królowa - powiedział.

Snorri cofnął się, unosząc miecz. Czaszka obróciła się i ohydne maziste dziury, które służyły stworowi za oczy, spoczęły na mnie, bosym, bezbronny, szorującym zadkiem po ziemi w gorączkowej próbie oddalenia się.

- Czerwona Królowa.

- To nie ja! W życiu o niej nie słyszałem! - Siły mnie opuściły i przestałem szarpać się w próbach ucieczki, choć tego właśnie pragnąłem najbardziej.

- Niesiesz jej wolę - zachrzęścił. - I magię jej siostry. -Przesunął głowę w

stronę Snorriego, a ja mogłem znów oddychać. - Albo ty - zazgrzytał. - A ty? - Nienarodzony znów na ranie spojrział. Stałem już o własnych siłach, ale pod tym wzrokiem znów zacząłem umierać. - Ukryta? - Czaszka przekrzywiła się pytająco. - Jak jest ukryta?

Snorri zaatakował, wykorzystując fakt, że uwaga nienarodzonego skupia się na mnie. Skoczył naprzód z mieczem w słabszej dłoni i ciął stwora w pół, nacinając kości, suchą skórę i starą chrząstkę. Postać szarpnęła się, zaskoczona, odzyskała równowagę i uderzyła go na odlew leniwym ruchem ręki, który poderwał Wikinga z ziemi i przewrócił na płask. Wypuszczony z dłoni miecz przeleciał obok mnie i zniknął w mroku.

W potyczce najważniejsza jest strategia, a każda strategia opiera się na priorytetach. A ponieważ priorytetem dla mnie był książę Jan, książę Jan, książę Jan i daleko, daleko za nim, na czwartym miejscu, zabójczy wygląd, wykorzystałem okazję, żeby podjąć ucieczkę. Głównym czynnikiem sukcesu jest natychmiastowe działanie. Bohater natychmiast rzuca się do ataku, a porządny tchórz do ucieczki. Reszta świata czeka na kolejny moment i staje się pożywieniem dla kruków.

Zdołałem przebyć jakieś dziesięć jardów, nim omal nie odciąłem sobie stopy na mieczu Snorriego, który sterczał wbity czubkiem w ziemię. Mimo grozy w lot pojąłem wartość posiadania przy sobie trzech stóp stali, zatrzymałem się więc, by wyszarpnąć ostrze. Siła rozpędu okręciła mnie i zobaczyłem, jak w blasku gwiazd, upiorna postać pochyła się nad Snorrim. Nawet pozbawiony broni nie uciekał, tylko trzymał nad głową nagrobek, jak jakąś tarczę. Kamień roztrzaskał się pod pięścią nienarodzonego, a zaraz później dłoń o wielu kościach opasała Wikinga w talii. Stwór albo zamierzał wypruć mu flaki, albo urwać głowę.

Od strony obozu szło coś ogromnego, co wyło niczym banshee. Obawiając się zmiżdżenia przez ogromną bryłę, pod którą drżała ziemia, rzuciłem się naprzód, obierając kierunek zgodny z aktualną pozycją. Musiałem biec ze wszystkich sił, żeby uniknąć zdeptania przez wielkie nogi, a biegnąc, darłem się jak opętany. W pełnym pędzie biegłem prosto na nienarodzonego, rozpaczliwie starając się znaleźć jakieś dodatkowe nogi, żeby zboczyć z niebezpiecznego kursu.

W ostatnim momencie, mocząc prawie gacie, rzuciłem się w bok, o włos mijając Snorriego i przetoczyłem się, tylko cudem unikając nadziania się na miecz. Podniosłem się i zagapiłem w oszołomieniu na przebiegającego obok mnie słonia, na którego karku podskakiwała Cherri. Nienarodzony padł przy akompaniamencie wilgotnego trzasku, zgniatany topornymi stopami wielkości puklerzy. Słoń pognął dalej, unosząc na sobie dziewczynę i trąbiąc tak głośno, że mógłby pobudzić umarłych, jeśli jeszcze jacyś leżeliby w swoich grobach.

Snorri wylądował obok z głuchym łomotem, od którego aż się skrzywiłem. Przez chwilę leżał bez ruchu, a potem podniósł się, podpierając grubymi

ramionami. Podąłem mu miecz.

- Dziękuję. Wziął ode mnie broń.

- Nie ma sprawy.

- Nie każdy rzuciłby się, aby znaleźć ostrze towarzysza, a potem sam jeden zaatakował nienarodzonego. - Wstał ze stęknieniem i zadarł głowę. - Słoń, co?

- Yhm.

-I kobieta. - Podeszedł do ogniska i nogą zgarnął żar na szczątki nienarodzonego.

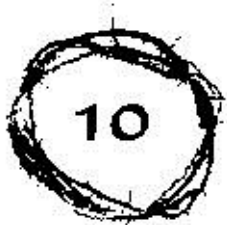
- Uhm.

W obozie zaroilo się od ciemnych sylwetek cyrkowców, biegnących w naszą stronę.

- Myślisz, że nic jej nie będzie?

Rozważyłem tę kwestię, biorąc pod uwagę własne doświadczenia z czasu spędzonego pomiędzy udami Cherri.

- Bardziej martwię się o słońca.



Oświcie obozowisko było już w połowie zwinięte. Nikt nie miał ochoty zostać w tym miejscu, podejrzewałem więc, że podczas następnej wędrówki tą trasą, dr. Taproot będzie musiał znaleźć jakąś inną łąkę na popas.

Czekałem na Snorriego przy wejściu, kiedy wróciła Cherri ze słoniem. Siedzieliśmy z karłem i usiłowaliśmy się oszukiwać w karty. Wstałem i pomachałem do nadjeżdżającej dziewczyny. Widocznie czekała na świt, żeby znaleźć drogę powrotną. Wyglądała na wykończoną. Jej twarz znaczyły smugi farby aktorskiej, a wokół oczu ciemniły się kręgi rozmazanego tuszu. Dżentelmen udaje, że nie widzi takich rzeczy, podbiegłem więc i zdążyłem złapać ją, kiedy schodziła z grzbietu zwierza. Przyjemnie było trzymać ją znów w ramionach, na tyle przyjemnie, że pożałowałem, iż musimy się pożegnać.

- Przyjmij moje wyrazy wdzięczności, pani. - Odstawiłem ją na ziemię i cofnąłem się od wielkiego cielska słonia. Bestia niepokoiła mnie na siedem sposobów, a do tego cuchnęła polem uprawnym.

- Dzielny chłopiec! - klepnąłem słonia po pomarszczonym boku i oddaliłem się szybko ku wrotom.

- To dziewczynka - sprostowała Cherri. - Nazywa się Nelly.

Aha. Jakżeby inaczej? - Uratowała mnie dziewczyna na słonicy. Raczej nie zamierzałem dodawać tego do opowieści o Bohaterze Przełęczu Aralskiej.

Cherri ujęła uwięź słonicy i poprowadziła ją do obozu, rzucając mi przez ramię figlarne spojrzenie, na którego widok naszła mnie ochota na spędzenie z nią jeszcze jednej nocy. Co najmniej jednej.

Snorri pojawił się chwilę później.

- Piekielne bestie. - Potrząsnął głową. - Te słonie.

- Może chciałbyś zabrać takiego do domu? - zapytałem.

- Mamy mamuty. Są nawet większe i mają futro. Nie widziałem żadnego na własne oczy, ale teraz chcę. - Popatrzył w stronę obozowiska. - Złożyłem kondolencje matce. Trudno coś powiedzieć w takiej chwili, ale lepiej cokolwiek, niż w ogóle. - Klepnął mnie bezceremonialnie po ramieniu. - Na nas czas, Jal,

przejedliśmy się im tu. No chyba że chcesz wymienić coś na konie?

- Co? - Wywróciłem kieszenie. - Oskubali mnie do czysta.

- Za ten medalion, którym się ciągle bawisz, można by kupić i dziesięć koni. - Wzruszył ramionami. - I to niezłych.

- Prawie go nie dotykam. - Aż zamrugałem. Zanotowałem sobie w duchu, że jest bystrym obserwatorem. Mógłbym przysiąc, że nie spojrzałem na medalion odkąd się spotkaliśmy. - Poza tym jest bezwartościowy. - Prawdopodobnie nawet ten starzec z drogi nie zamieniłby swojego osła na medalion i srebrnika.

Wiking znów wzruszył ramionami i ruszył przed siebie. Szturchnąłem go, kiedy mnie mijał.

- Taproot idzie nas pożegnać.

Dyrektor cyrku wydawał się czuć niepewnie na otwartej przestrzeni, oderwany od swojego biurka. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn prowadzących konie, bułanego wałacha i gniadą klacz. Jednym z nich był pogromca lwów, którego spotkaliśmy w niebieskim namiocie Taproota, a drugim potężny atleta, najwyraźniej cyrkowy siłacz, o którego wakat miałby, zdaniem Karła, starać się Snorri. Zastanawiałem się, czy Taproot zabrał obstawę, spodziewając się jakichś kłopotów z naszej strony.

- Doktorze Taproot. - Snorri skinął głową. Skradziony miecz wisiał mu teraz u pasa, przytroczony uprzężą ze sznurków i rzemieni.

- Ha! Moi wędrowcy! - Taproot otaksował siłacza, jakby przyrównywał go do Wikinga. - A więc zmierzacie na północ. No, no! - Żaden z nas nie odpowiedział, ale Taproot nie czekał na odpowiedź. - Prześladowani pechem? Może tego rodzaju pechem, który wypełnia i pustoszy groby? No, no! - Gestykułował rękami, jakby obrazował to, o czym mówił. - To byłaby cenna informacja. Jeszcze wczoraj warta byłaby sporej sumki. - Smutek, który wydłużył mu pociągłą twarz był zbyt perfekcyjny, nieomal karykaturalny. Niepokoiła mnie myśl, że nie jestem w stanie ocenić, czy śmierć niemowlęcia miała dla niego jakieś znaczenie, czy też nie. - No cóż, mleko się wylało - podsumował i odwrócił się do odejścia, ale natychmiast zatrzymał się i znów zwrócił się do nas. - Nienarodzony! - prawie krzyknął. - Sprowadziliście na świat nienarodzonego? Jak... - Wreszcie odzyskał równowagę i ciągnął już konwersacyjnym tonem. - Niedobrze. Bardzo niedobrze. Musicie stąd odejść. Daleko. I szybko. - Wskazał wierzchowce. Jego towarzysze postąpili o krok, podając nam wodze. Wziąłem wałacha. - Zapiszę dwadzieścia koron na poczet twojego długu, książę. - Taproot niemal niedostrzegalnie skinął głową. - Wiem, że będziecie o nie dbać.

Obejrzałem mojego wierzchowca, poklepałem go po szyi i grzbiecie. Sprawiał wrażenie przyzwoitej szkapy. Snorri stał jak posąg obok swojego konia, jakby się bał, że go ugryzie.

- Dziękuję - powiedziałem i wskoczyłem na siodło. Dwadzieścia

złociszów to niezła cena. Nieco wygórowana, ale niezła, biorąc pod uwagę okoliczności. Na siodle od razu poczułem się lepiej. Bóg stworzył konie, abyśmy mogli szybciej uciekać.

- Lepiej popędzajcie koni. Znalazłeś się w samym środku zawieruchy, młody książę, bez wątpienia. - Taproot kiwnął potakująco, jakbym to ja mówił, a on się ze mną zgadzał. -Wiele rąk macza w tym palce, wiele palców maci w tym kotle. Szara dłoń za tobą, czarna na twojej drodze. Pokop głębiej, a może nawet znajdziesz błękitną za czarną i czerwoną za szarą. A jeszcze dalej? Czy to sięga głębiej? Któż to wie? Niestety nie stary dyrektor cyrku. Może wszystko sięga głębiej niż głęboko, i jeszcze głębiej, bez końca. Ale ja jestem już stary, wzrok mnie zawodzi, widzę tylko tyle.

- Um. - To jedyne, co zdawało mi się odpowiednią reakcją na ten stek bzdur. Teraz już wiedziałem, kto szkolił cyrkową jasnowidzkę.

Taproot kiwnięciem docenił moją mądrość.

- Rozstańmy się jako przyjaciele, książę Jalandre. Kendethowie to dobra siła dla Czerwonej Marchii. - Wyciągnął chudą dłoń, a ja ująłem ją pospiesznie, bo pewnie niewygodnie mu było trzymać ją tak długo w powietrzu. - Ach! Zaboląła mnie wieść o śmierci twojej matki, mój książę. - Puściłem jego rękę. - Była taka młoda... Zbyt młoda, by zginąć od skrytobójczego ostrza.

Zamrugalem, zdziwiony, ale skinąłem na pożegnanie i skierowałem konia na gościniec.

- Dalej, Snorri - popędziłem Wikinga. - To jak pływanie łódką.

- Na początek ją poprowadzę - oświadczył Snorri i pociągnął swoją klacz za uwiąz.

Czułem odrobinę żalu, zostawiając za sobą cyrk. Polubiłem tych ludzi, atmosferę miejsca, nawet jeśli przenośnego. No i oczywiście tancerki. Mimo to uśmiechałem się lekko. Dobrze było wiedzieć, że nawet w tej składnicy informacji, jaką posiadał Taproot, zdarzały się błędy. Moja matka zmarła przecież na czerwonkę. Dotknąłem wybrzuszenia pod kaftanem, medalionu z portretem matki. Na czerwonkę. Dotyk świecidełka nagle obudził we mnie niepokój. Przestałem się uśmiechać.

Dotarłszy do drogi, zgodnie ze wskazówkami karła-szulera, skręciliśmy w stronę, z której przybyliśmy. Milczeliśmy aż do miejsca, gdzie natknęliśmy się uprzednio na słoniowe łajno, które naprowadziło mnie na obecność cyrku w pobliżu.

- A więc nie umiesz jeździć konno?

- Nigdy nie próbowałem.

- Nigdy nawet nie siedziałeś na koniu? - Nie mogłem w to uwierzyć.

- Za to dość ich zjadłem.

- To ci niezbyt pomoże.

- To nie może być trudne - stwierdził, ale nie uczynił żadnego gestu, żeby sprawdzić swoją teorię.

- Przypuszczam, że łatwiejsze od skakania po niedźwiedziach. Na szczęście jestem najlepszym jeźdźcem w Czerwonej Marchii i do tego świetnym nauczycielem. - Wskazałem na strzemię. - Wsadź tam stopę. Ale nie tę, o której pomyślałeś w pierwszej chwili, tę drugą. Podciągnij się. I nie spadnij.

Lekcja przebiegała powoli, ale trzeba przyznać, że Snagason nie spadł. Martwiłem się, że zmiażdży koniowi żebra tymi swoimi umięśnionymi udami, ale w końcu klacz i Wiking osiągnęli niepewne porozumienie i oboje, szczerząc zęby, mozolnie ruszyli naprzód.

Już przed upływem południa widać było, że Wiking cierpi.

- Jak tam twoja ręka?

- Lepiej niż uda - stęknął.

- Może rozluźnisz trochę mięśnie i dasz biednej klaczy oddychać... ?

- Opowiedz mi o Rhone.

Wzruszyłem ramionami. Do granicy mieliśmy dotrzeć dopiero następnego dnia wieczorem, a wszystko, co miałem mu do powiedzenia mogło potrwać najwyżej milę, ale chyba potrzebował oderwać myśli od bólu.

- A co tu opowiadać? Straszne miejsce. Fatalne jedzenie, gburowaci, nieokrzesani mężczyźni, zezowate dziewczki.

I wszyscy co do jednego złodzieje. Jeśli podajesz Rhoneńczykowi rękę, lepiej policz potem palce.

- Nigdy tam nie byłeś, prawda? - obrzucił mnie krótkim spojrzeniem, a potem gwałtownie wczepił się znów w siodło.

- Nie słyszałeś, co właśnie powiedziałem? Po co miałbym udawać się w takie koszmarnie miejsce?

- Nie rozumiem. - Zaryzykował jeszcze jeden rzut okiem. - To przecież Rhoneńscy królowie założyli Czerwoną Marchię, czyż nie? I to Rhoneńczycy wyratowali was od Scorrońskiej inwazji. I to dwa razy?

- Wypraszam sobie! - Jednakże, kiedy o tym wspomniał, coś mi zaświtało w głowie. Kojarzyło mi się z upalnymi dniami spędzonymi w Szarej Komnacie w towarzystwie guwenera Marcle'a. - Myślę, że księżę Czerwonej Marchii wie o historii swojego kraju więcej od jakiegoś... *hauldra* z zamarznionych zboczy fiordów. - Trzeba przyznać, że większość lekcji historii przespałem, ale przecież nie umknęłoby mi coś takiego? - Tak czy owak, to typy spod ciemnej gwiazdy.

Chciałem zmienić temat, a ponieważ za każdym razem, kiedy się za siebie oglądałem, wyobraźnia podsuwała mi czające się w cieniach potwory, postanowiłem wspomnieć o naszych prześladowcach.

- Kiedy na ciebie wpadłem, ta szczelina, wiesz, to pęknięcie, które biegło moim śladem... To efekt zaklęcia Milczącej Siostry.

- Mówiłeś. Rzuciła je, żeby zabić wszystkich, którzy znajdowali się w tej twojej operze.

- No, owszem, zakłęcie zabiłoby wszystkich, ale nie sądzę, żeby dlatego rzuciła klątwę na to miejsce. Możliwe, że wcale nie chciała nas zgładzić... Możliwe, że był tam jej cel, a resztę tylko zabiła przy okazji. Tak się zastanawiam, czy ten obiekt jej zainteresowania mógł przyjść za nami do cyrku?

Snorri uniósł brwi, potem je ściągnął, a w końcu potrząsnął głową.

- Nienarodzony z obozowiska dopiero co powstał z dziecka Daisy, nie mógł za nami podążać.

Dostrzegłem w tym iskrę nadziei.

- Ale... nie myślisz chyba, że to się stało przypadkiem? Czy te stworzenia nie należą do rzadkości? Ktoś musiał to zorganizować. Ktoś usiłuje nas zabić.

- Twoja Czerwona Królowa zbiera historie o umarłych. Wie, że zbliża się Ragnarok, ostatnia bitwa. Knuje jakieś plany przeciwko Martwemu Królowi, a on niechybnie knuje coś przeciwko niej. Martwy Król może o nas wiedzieć, może wiedzieć, że zmierzamy na północ, wlekąc za sobą magię wiedźmy. Może wiedzieć, że udajemy się na Srogie Lody, gdzie zbiera swoją armię umarłych. Może chce nas powstrzymać.

Choć udało mi się z sukcesem zmienić temat naszej konwersacji, to, co usłyszałem wcale mnie nie pocieszyło. Przez kilka kolejnych mil przeżuwałem w myślach wypowiedź Snorriego - miała bardzo gorzki posmak, ścigano nas, nie miałem co do tego wątpliwości. Ta istota z opery deptała nam po piętach, a uciekając przed nią, wpadliśmy prosto w matnię, którą na naszej drodze ustawił Martwy Król.

Nazajutrz natknęliśmy się na pierwszego z ciemnych typów rhoneńskich, przed którymi ostrzegałem Snorriego. W dużej gospodzie zbudowanej okraciem na granicy, siedział oddział pięciu żołnierzy rhonenskich. W tejże samej gospodzie posilali się żołnierze Czerwonej Marchii. Jak zazwyczaj, jedli razem, tyle że siedzieli na dwóch krańcach długiego stołu, przez który przebiegała linia graniczna zaznaczona rzędem lśniących gwoździ.

Uznawszy, że żaden z nich nie rozpozna we mnie księcia, a przekonywanie ich o mojej tożsamości mogliby poczytać za kiepski żart, przedstawiłem się jako zwykły szlachciura. Pewnie mógłbym pokazać im złotą koronę z podobizną babki na rewersie i wskazać rodzinne podobieństwo, ale nie posiadałem takowej monety. Srebrnej zresztą też nie. A na miedziakach zwykle tłoczono Wieżę Iax albo wizerunek króla Ghollotha, zasiadającego na tronie przed babką i całkiem do niej czy do mnie niepodobnego.

Snorri nie odzywał się zbyt wiele, wyraźnie spięty. Obawiał się pewnie, że ostrzeżono przed nim graniczne posterunki. Resztę moich miedziaków wydaliśmy na skromny posiłek składający się z kapuśniaku i tajemniczego mięsa. Po jedzeniu

wyruszyliśmy do Rhone, który wbrew moim obawom, przypominał bardzo Czerwoną Marchię, tyle że jego mieszkańcy irytująco gardłowo wymawiali głoskę „r”.

Przybycie do pierwszego miasta w Rhone zbiegło się w czasie z nadejściem naszego pierwszego wieczoru w tym kraju. Spore miasteczko nosiło nudną acz szlachetną nazwę Młyny. Jechaliśmy noga za nogą główną, błotnistą ulicą, przeciskając się przez tłum handlarzy, wędrowców i mieszkańców. Snorri pokierował klacz w stronę wychodzącej na ulicę kuźni, z której dobiegał stukot młota.

- Musimy się postarać o jakiś miecz dla ciebie, Jal. -Zwracał się do mnie „Jal”, nie „mój książę”, „książę Jalenie” czy nawet „Jalenie”, ale właśnie „Jal”. Nie okazywałem, jak bardzo mnie to irytuje, bo robiłby to równie często, tyle że z szerszym uśmiechem. - Jak sobie radzisz z mieczem?

- Lepiej, niż ty z koniem - odpaliłem.

Snorri parsknął, a kobyła wzięła z niego przykład. Nazwał ją Slejpnir, po jakiejś pogańskiej chabecie. Całkiem nieźle się zgrali, mimo że Wiking wyglądał jak wielki kloc wsadzony na siodło i ważył mniej więcej tyle samo, co jego wierzchowiec. Zsiadł, co wyglądało tak, jakby wspomniany kloc spadł z sąga.

- Pokaż. - Wyciągnął miecz i podał mi go rękojeścią.

Rozejrzałem się wokół.

- Nie można sobie tak machać mieczem na środku głównej ulicy. Przecież można komuś wybić oko! A i to jeśli wcześniej nie zwinie cię straż miejska.

Na obliczu Snorriego odbiła się konsternacja, jakby na zlodowaciałych zboczach północy, coś takiego było całkiem zwyczajną rzeczą.

- Przecież to kowal. - Wskazał na wystawione wyroby żelazne. - Kowal kuje miecze. Ludzie pewnie nimi tu cały czas machają. - Głowica miecza mało co mnie nie szturchnęła.

- Nie sądzę. - Nadal ścisnąłem w dłoniach wodze. Skinąłem na stragan, na którym leżały ostrza kos, sierpy, gwoździe i inne narzędzia gospodarskie. - Ale w tak dużym miasteczku może nawet jest jakiś płatnerz. Ale to nie ten tu.

- Ha! - Snorri wskazał na wiszący w cieniu wiaty miecz. - Płatnerz!

Zwabiony okrzykiem Wikinga kowal wynurzył się z kuźni.

- Szanowanie. - Był niski, spocony, miał potężne ramiona, ale zaskakującą aparycję mola książkowego.

- Chcę przetestować to ostrze - Snorri wskazał na wiszący miecz.

- Naprawa dla panicza Garsona - rzekł kowal. - Usuwam szczyrby, kładę nową krawędź. Nie na sprzedaż.

- Nie daj mu się podpuścić - zachęciłem kowala.

Rzemieślnik zagryzł wargę. Całkiem zapomniałem, że Rhoneńczycy tylko czekają na okazję, żeby przytrzeć nosa komuś z Czerwonej Marchii i że plebs

zawsze ma uciechę, kiedy ktoś złoł skórę wyżej urodzonemu. Za późno ugryzłem się w język. Snorri może i był obcokrajowcem, ale jego grzech był mniejszy, bo nie pochodził z sąsiedniego kraju.

- Pewnie Garson nie obrazi się, jak wyrównani pięć szczerb zamiast trzech. - Kowal wszedł pod wiatę i zdjął z haka miecz.

Zrezygnowany, zsiadłem z konia i ująłem rękojeść miecza, który Snorri mi podawał. Tak się złożyło, że nie jestem złym szermierzem, jeśli nie grozi mi utrata życia. Na ćwiczeniach z tępyimi ostrzami i miękkimi osłonami radziłem sobie całkiem dobrze. A nawet lepiej niż dobrze. Niestety tego dnia, gdy powinienem naprawdę użyć miecza, wszystkie te lekcje pobiegły w las. Na jednej nodze. Wpadając pomiędzy Scorrończyków na Przełęcz Aralskiej, równocześnie wpadłem w panikę, która wymiotła mi z głowy wszelkie nauki szermiercze. Tamci żołnierze byli prawdziwymi, wielkimi groźnymi facetami, chcącymi mnie posiekać na prawdziwe kawałeczki. Dopóki nie ujrysz otwartej rany i różnych różności wewnątrz rozciętego człowieka, nie uderzy cię świadomość, że te kawałki się nie zrosną, nie zarzygasz skał ostatnimi dwoma posiłkami... dopóty nie zrozumiesz, o co naprawdę chodzi w tym machaniu mieczem i - jeśli jesteś rozsądny - nie poprzysięgniesz trzymać się od tego z daleka. Nie pamiętam bitwy na Przełęcz Aralskiej poza zlepkiem obrazów i dźwięków - błysk stali, tryskająca krew, przerażone twarze, dławiącego się krwią człowieka, który się cofa... i oczywiście krzyków. Do dzisiaj je słyszę. Cała reszta potyczki tonie w mroku niepamięci.

Snorri ujął miecz od kowala w zdrową rękę i zrobił wypad. Odparowałem cios. Uśmiechnął się i przypuścił kolejny atak. Przez chwilę wymienialiśmy sztychy i parady, a brzęk stali sprawiał, że ludzie oglądali się na nas i przystawali. Zazwyczaj siła, choć istotna, nie jest w szermierce priorytetem, nawet w walce na ciężkie miecze, jakimi dysponowaliśmy. Walka na rapiery polega głównie na szybkości, ale nawet w przypadku długich mieczy, jeśli już ma się wystarczającą siłę, by je unieść, chodzi bardziej o zwinność niż mocarność. Dobrze wyszkolony szermierz więcej zyska ulepszając odrobinę technikę i szybkość ciosów, niż nabierając wiele siły. Koniec końców miecz to dźwignia. Jednakże w przypadku Snorriego siła była znaczącym czynnikiem. Stosował podstawowe ciosy, ale od parowania ich bolała mnie ręka, a pierwszym sztychem, do którego naprawdę się przyłożył, omal nie wytracił mi ostrza z dłoni. Mimo to od razu było widać, że posiadam więcej umiejętności szermierczych w prawej ręce niż Wiking w swojej lewej.

- Świetnie! - ucieszył się, opuszczając miecz. - Jesteś bardzo dobry.

Staralem się powściągnąć krygi.

- Babka wymaga, aby wszyscy członkowie rodu byli biegli w sztukach wojennych. - Czy tego chcieli, czy nie... Przypomniałem sobie niekończące się treningi, odciski na rękach od drewnianej rękojeści i lania, które spuszcza mi

Martus i Darin, uznając to za swój braterski obowiązek.

- Wobec tego zatrzymaj miecz - powiedział Snorri. -Lepszy zrobisz z niego użytek niż ja.

Wydałem usta. Nie miałem nic przeciwko zatrzymaniu miecza, przynajmniej dopóki nie musiałem go używać. No i długi miecz przy boku na pewno dodawał prezencji. Uniosłem ostrze, pozwalając się prześlizgnąć światłu po płazie. W jednym miejscu na krawędzi widniała ciemna plama. Chyba w tym, które zetknęło się z ciałem nienarodzonego, kiedy Snorri z nim walczył. Odepchnąłem niemile wspomnienie.

- A ty? - zapytałem, mając na względzie raczej własne bezpieczeństwo niż jego dobro.

- Kupię sobie coś innego. - Zwrócił się do kowala, który nie ukrywał rozczarowania faktem, że nie ujrzy, jak olbrzym mnie siecze.

- Przecież nie stać cię na inny miecz! - Ani na nic innego. Przez parę miesięcy, zanim uciekłem, był więźniem. To niezbyt popłatne zajęcie.

- Masz rację. - Snorri oddał kowalowi miecz. - Zresztą i tak nie jest na sprzedaż. - Skinął w stronę kowadła. - Masz jakiś porządny topór? Bojowy, nie taki do rąbania drewna.

Podczas gdy kowal wszedł do kuźni, żeby przejrzeć wyroby, Snorri wyjął spod koszuli sakiewkę, którą miał zawieszoną na rzemieniu u szyi. Przysunąłem się, żeby zajrzeć, co tam ma. Srebrniki! Przynajmniej pięć!

- Kogo zamordowałeś, żeby je zdobyć? - Zasepiłem się, ale bardziej z zazdrości, że jest ode mnie bogatszy, niż na myśl o mordzie i rabunku.

- Nie jestem złodziejem - zmarszczył brwi Snorri.

- No dobrze, nazwijmy to grabieżą - ustąpiłem.

Snorri wzruszył ramionami.

- Ziemie Wikingów są nieurodzajne, a zimy srogie. Niektórzy sięgają po dobra słabszych, to prawda. Ale my, Undoreci, wolimy odbierać silnym. Mają lepsze fanty. Na jedną długą łódź, która płynie do odległych brzegów, dziesięć i więcej przybija do sąsiednich. Wikingowie marnują swoje siły na potyczki z innymi Wikingami, tak było zawsze.

- Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Złupiłem silnego! - Snorri rozpromienił się radośnie i wyciągnął rękę po topór, który przyniósł mu kowal. - Pamiętasz tego siłacza, który przyszedł nas pożegnać z Taprootem? Zdumiewający Ronaldo! Cyrkowy siłacz. - Poczerniały ze starości topór nie przypominał broni Wikingów, był zwykłym toporem o jednym trójkątnym ostrzu, okutej żelazem jesionowej rękojeści. Takie topory zazwyczaj stanowiły broń plebejską, ale ten przynajmniej wykonano dla jakiegoś chłopca poborowego. Snorri zakręcił nim, przerażająco blisko straganu, mnie i kowala. - Zdumiewający Ronaldo wszedł ze mną w zakład, kto ma większą siłę. Nie wygrał.

Karzel mówił, że zaczęli go potem nazywać Zdumiony Ronaldo! - Snorri zważył topór, a potem przystawił ostrze do ucha, jakby się w nie wsłuchiwał. - Biorę.

- Trzy. - Kowal uniósł odpowiednią ilość palców, jakby Snorri nie znał Mowy Imperium.

- To rozbój w biały dzień! Trzy srebrniki za narzędzie rolnicze?!

Ale Snorri wręczył mu monety.

- Nigdy nie targuj się o cenę broni. Kupuj albo nie. Spory zachowaj na czas, kiedy będziesz ją już posiadał.

- Jak będziemy mieć pieniądze, musimy ci sprawić miecz - powiedziałem. Snorri pokręcił głową.

- Wolę topór. Miecz daje ci złudzenie, że możesz się bronić. Toporem możesz tylko atakować. Tak właśnie nazwał mnie ojciec. Snorri znaczy „atak”. - Uniósł topór nad głowę. - Przeciwnicy myślą, że mogą się przede mną obronić ale kiedy uderzam, krwawią.

- Co to w ogóle są ci nienarodzeni? - Od trzech dni chciałem zadać to pytanie. Dotarliśmy do Pentacost, miasta leżącego jakieś sto mil od granicy. Snorri nadal jechał jak kłoc, ale na szczęście zachowywał się również jak kłoc, co oznaczało, że się nie skarżył. Deszcz zaskoczył nas w drodze. Przez dziesięć mil jechaliśmy w ulewie, więc ze stajni przyszliśmy, ociekając wodą i teraz siedzieliśmy w małych kałużach, parując powoli przed pustym paleniskiem gospody Królewskiej.

- Jak to? Nie wiesz? - Snorri uniósł mokre brwi, przesunął ręką po posklejanych włosach i otrzepał wodę z palców.

- Nie. - To u mnie normalne. Mam zwyczaj wyrzucania z głowy nieprzyjemnych spraw. Robię tak od dziecka. Szczere zaskoczenie bardzo pomaga w zetknięciu z przykrymi obowiązkami. Oczywiście to nie dotyczy długów, bo w tym wypadku utrata pamięci może skutkować połamanymi palcami. Lub gorzej. Wydaje mi się, że to pewna forma kłamania, oszukiwania siebie. A jestem świetnym łgarzem. Mawiają, że najlepsi kłamcy wierzą częściowo w to, co mówią. To oznacza, że jestem mistrzem, bo wmawiam sobie rzeczy dotąd, dopóki uwierzę w nie nie tylko częściowo, a całkiem. - Nie wiem.

Podczas naszej podróży nudnymi, błotnistymi drogami pomiędzy niezliczonymi okropnymi małymi gospodarstwami, umiłałem sobie czas, wspominając wdzięki Cherri i ujmującą ciekawość Luli, natomiast incydentu na cmentarzu jakby nie było. Nic, prócz obrazu Cherri szarżującej na słoni. Po wielokroć przed oczyma stawały mi jej podskakujące piersi, kiedy przejeżdżała obok. Dopiero po trzech godzinach ociekania zwieńczających trzydniową podróż z odmętów mojej pamięci wynurzył się nienarodzony, a przykra świadomość jego istnienia zmusiła mnie do zadania tego pytania. Uznałem, że prawda nie może być gorsza niż to, co podsuwała mi wyobraźnia. W każdym razie na to liczyłem.

- Jak to możliwe? - nie dowierzał Snorri. Nie grzmotnął przy tym pięścią w stół, ale wiedziałem, że ma na to ochotę.

Snorri okazał się idealnym towarzyszem podróży dla kogoś takiego jak ja, czyli człowieka, który nie lubił roztrząsać błędów przeszłości i tym podobnych bzdur. Dla Snorriego wszystko, co ważne - cele, ambicje, miłość, niebezpieczeństwa - znajdowało się w przyszłości, a reszta, Czerwona Marchia, jej mieszkańcy, moja babka, Milcząca Siostra, nienarodzony, to, co spotkało nas na południu, należało zostawić za sobą, nie martwić się ani przyczynami ani konsekwencjami.

- Jak to możliwe, że nie wiesz? - powtórzył.
- Jak możesz nie wiedzieć, ile to jedenaście razy dwanaście?
- Sto trzydzieści dwa.

A niech to.

- Bo zajmują mnie przyjemniejsze rzeczy, Snorri. Jeśli nie można tego dosiadać, na ten czy inny sposób, nie gra w kości, karty, nie leje się z flaszki, to nie bardzo mnie obchodzi. Szczególnie, jeśli to coś z obcych krajów. Albo cos pogańskiego. Albo jedno i drugie. Ale ta... istota... powiedziała coś, co mnie dręczy.

- Dopadnie cię - skinął głową Snorri. - Został na nas nasłany.
- Przez? Wtedy mówiłeś, że przez Martwego Króla, ale może jednak przez kogoś innego? - Bardzo chciałem, żeby to był ktoś inny. - Przecież są nekromanci czy...

- Tylko Martwy Król może przywołać nienarodzonego w każdym miejscu. Oni mają za nic nekromantów.

- Hm. No to niech będzie Martwy Król. Słyszałem o nim.

Snorri rozłożył ręce, zachęcając mnie do dalszego dzielenia się wiedzą w tej kwestii.

- Brettański władca. Z zapomnianej przez bogów wysepki na Zatopionych Ziemiach. - Łyknąłem wina. Czerwonego, rhoneńskiego. Paskudztwo. Jakby ocet doprawiony pieprzem. Obce kraje nie byłyby takie złe, gdyby nie ci obcokrajowcy i te wszystkie cudzoziemskie rzeczy. Najlepszy przykład - Martwy Król.

-I to wszystko? Tyle tylko wiesz o Martwym Królu? „Jest z Zatopionych Wysp”? - Zdawało mi się, jakby para zaczęła wydobywać się z Wikinga coraz gwałtowniej.

Wzruszyłem ramionami.

- Czemu jakiś Brettańczyk miałby wysłać za nami potwory? Skąd w ogóle miałby o nas wiedzieć? Na pewno podpuścił go Maeres Allus. Sześć do dziesięciu, że to on. Maeres Allus!

- Pewnie! - Snorri opróżnił kufel, otarł pianę z wąsów i zdążył zamówić następne piwo, zanim przypomniał sobie o naszej biedzie. - To tak jakby płotka

rozkazywała wielorybowi, Jal. Ten twój Allus to nikt. Dziesięć mil od murów miasta nikt go nie zna.

Książę Jalandie, do diabła! Dziesięć mil od miasta i nikt też nie wie, że jestem księciem.

- Ale po co w ogóle nasyła te potwory?

- Martwy Król i ta Milcząca Siostra to ręce, które pocią. gają za sznurki w całym imperium. Oni i inni im podobni przestawiają królów i władców na swojej planszy. Kto wie, co chcą osiągnąć? Może odnowić imperium, posadzić na cesarskim tronie marionetkę, którą mogliby kierować, a może zmieść wszystkie pionki z planszy i zacząć grę od nowa. Nie wiem. W każdym razie nienarodzony powiedział, że niesiemy jej wolę, a potem, że niesiemy też magię. Co jest prawdą. - Dziabnął mnie opuszką w ramię, wywołując natychmiast tę nieprzyjemną energię, która iskrzyła, póki nie cofnął oskarżycielskiego palca.

- Ale to wszystko stało się przypadkiem! Nie jesteśmy niczymi posłannikami! A już na pewno nie mojej baki! -No chyba że ślepe oko Milczącej Siostry zajrzało w przyszłość i celowo wybrała ten mało prawdopodobny zbieg okoliczności. Niepokojąca myśl. Koniec końców chciała walczyć z umarłymi, a Snorri ciągnął i mnie i magię więdźmy na północ, gdzie jego wrogowie współpracowali z tru-poszami przywiezionymi z Zatopionych Wysp na czarnych okrętach. - To czysty przypadek!

- No to może nienarodzony się mylił i Martwy Król także. Może idą naszym tropem, oni, Milcząca Siostra i nawet ten twój Allus. A niech idą. Zobaczmy, na ile są wytrwali! Na północ daleka droga.

- To co to są ci nienarodzeni - wróciłem do pierwotnego pytania. - Z czymś mi się ta nazwa kojarzyła, z czymś, co słyshałem jeszcze przed tą koszmarną podróżą. Chyba kiedy ktoś o tym mówił, miałem nadzieję, że chodzi o wskrzeszone trupy, z którymi, biorąc pod uwagę ich gabaryty, łatwo można sobie poradzić. Nie żebym lubił deptać niemowlęta, martwe, czy nie, ale ta wizja wydawała się znacznie mniej groźna od tego, z czym mieliśmy do czynienia w obozie cyrkowców. - I jak coś, co nawet się „nie narodziło” może być takim wielkim grobowym potworem, na którego pokonanie trzeba słońca?!

- Nienarodzeni to stworzenia z możliwości. Czysty potencjał. - Snorri wziął pusty kufel, zajrzał w jego pustkę i odstawił naczynie. - Ten nasz nie był jeszcze taki niebezpieczny, bo krótko nie żył. Wszystkie możliwości, które posiada dziecko, na zmiany, na dorastanie, wszystko to przenosi się do zaświatów z chwilą śmierci nienarodzonego. Tam zostaje wynaturzone. Wykoślawione. Czas płynie tam inaczej, nic nie pozostaje młode. Nienarodzone dziecko zostaje skażone wolą innych, starszych. Istnieją stworzenia które zawsze były martwe, stworzenia zamieszkujące Krainę Poza Śmiercią i to te pradawne złe byty przejmują potencjał nienarodzonych, przejmują nad nimi władzę, pętają ich, pragnąc narodzić się w

świecie żywych. Im dłużej nienarodzony pozostaje w zaświatach tym więcej wchłania tamtejszej mocy, ale tym mniej może się zmieniać i tym trudniej mu wrócić. Byłe nekromanta nie jest w stanie przywołać nienarodzonego Podobno nawet Martwy Król może stworzyć niewielu i bardzo rzadko w wybranym miejscu. Służą mu za szpiegów, agentów, mogą przekształcać się, przybierać różne formy, niezauważeni chodzić pomiędzy ludźmi.

- Nowo umarli nie są tak niebezpieczni? - Uchwyciłem się tego i powtarzałem w kółko w głowie, puszczając resztę mimo uszu. - Gdyby nie słoń, rozszarpałby cię w mig! Miejmy nadzieję, że nie spotkamy żadnego innego, bo jakbyś nie zauważył, słonie nie biegają tu stadami. Chryste!

- Sam pytałeś. - Snorri wzruszył ramionami.

-I teraz żałuję. Na przyszłość przypomnij mi, żebym nie pytał. - Chlapnąłem spory haust wina, żalując, że nie posiadamy środków na kupno ilości wystarczającej do upicia się na umór i pogrzebienia tego wszystkiego w odmętach pijackiego zapomnienia.

- Wtedy w operze *coś* tam było. - Nie miałem ochoty o tym mówić, ale doszedłem do wniosku, że gorzej już być nie może.

- Ten twój demon, tak?

Przytaknąłem.

- Przełamałem zaklęcie. - Przedarłem. - W każdym razie to *coś* było tam z nami. Jakiś demon. Wyglądał jak człowiek. A przynajmniej jego ciało, bo twarzy nie widziałem. Ale było z nią coś nie tak. Widziałem to tak wyraźnie jak Milczącą Siostrę, którą wszyscy mijają, jakby nie istniała.

- Myślisz, że to był nienarodzony? - zasępił się Snorri. - I mówisz, że nas ściga? - Wzruszył ramionami. - Ale jakoś nie idzie mu ta pogoń. Bardziej martwiłbym się tym, co przed nami, a nie tym, co za nami.

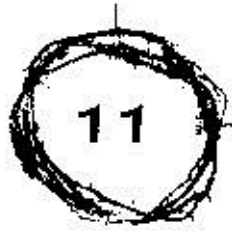
- Hm... - Przestać zamartwiać się deszczem, bo tuż tuż rynna? Może to i jakiś pomysł. Tyle że nie mogłem wyrzucić z głowy widoku tych oczu. - A co, jeśli nas dogoni?

- Byłoby fatalnie.

Wyrząłem na zewnątrz na deszcz, na zasnute burzonymi chmurami niebo, na zapadający zmrok. Snorri mógł sobie mówić, co chciał, ale ja wiedziałem, że gdzieś tam naszym tropem podąża istota, która nie pałała wobec nas przyjaznymi uczuciami. Nazwała nas zwierzyną. Podniosłem z podłogi mój mokry płaszcz.

- Powinniśmy jechać do następnego miasta. Nie ma co zwlekać. - Miło by było spędzić noc pod dachem, ale czas było ruszać w drogę.

Zostań w miejscu, a dopadną cię kłopoty. Może i nie wiedziałem zbyt wiele o nienarodzonych, ale na pewno wiedziałem dużo o uciekaniu!



- O, nie pada! - W pierwszej chwili nie zauważyłem. Nadal kuliłem się przed ulewą, ale ta noc była pogodna. Siedziałem przy ognisku na poboczu błotnistej drogi, wystarczająco blisko, by moje przemoczone ubrania parowały.

- Gwiazdy. - Snorri dziobnął palcem w granatowe niebo.

- Jeszcze pamiętam. - Nie tak dawno temu obserwowałem je w upalną noc, wychylając się z balkonu Lisy DeVeer i kłamiąc. „To gwiazdy kochanków” powiedziałem, wskazując na chybił trafił jakiś punkt na niebie. „Rom i Jula. Niełatwo je odnaleźć”.

„Przynoszą szczęście?” zapytała Lisa z na wpół skrywanym uśmiechem, po którym poznałem, że lepiej się zna na astrologii, niż sądziłem.

„Chodźmy sprawdzić”, zaproponowałem, obejmując ją. Tej nocy przyniosły szczęście. Ale i tak uznałem się za ofiarę babkowych nalegań na nauczanie wszystkich. Facet ma przekichane, jeśli kobieta, której chce zaimponować, posiada większą wiedzę niż on. Podejrzywałem, że kuzynka

Serah zna każdą konstelację i umie je nazwać jednocześnie pisząc sonet.

- Nie zostałem schwytyany na zboczach Uulisk - odezwał się Snorri.

Ściągnąłem brwi, usiłując zrozumieć, co mówi.

- Co?

- Po tym, co powiedziałem w sali tronowej, twoja królowa mogła uznać, że tak właśnie było.

- Że jak było? - Nadal nie mogłem zrozumieć, co to ma wspólnego z gwiazdami.

- Mówiłem, że Złamane Wiosło przyplłynął do Uulisk. Że napadł na naszą wioskę, że Undoreci zostali pokonani, a mnie schwytał, skuł i zabrał na statek.

- A, tak. - Usiłowałem sobie coś z tego przypomnieć. A pamiętałem głównie panujący w sali zaduch, to, że bolały mnie nogi, że tej nocy nie spałem i że dopadł mnie kac. Szczegóły historii Snorriego tonęły w zapomnieniu, przez które przebijało się tylko wrażenie, że kłamał. Teraz mówił mi, że miałem wtedy dobre przeczucie.

- Gdy do Uulisk nadchodzi wiosna, jest gwałtowna i waleczna - zaczął

Snorri, a potem ciągnął opowieść przy trzasku grzejącego ognia, w blasku niezliczonych gwiazd. Tkał ją z nocy, haftując głosem obrazy zbyt jasne, zbyt żywe, by odwrócić od nich wzrok.

Obudził się rano przy wtórze jęków lodu. Od wielu dni pośrodku fiordu połyskiwała już ciemna woda, ale tego dnia, wraz ze wschodem słońca roztopy ruszyły na całego.

Ciepłe promienie sięgały poprzez wysokie granie Uuliskind a lód na brzegach trzeszczał protestująco.

- Wstawaj, byku! - Freja ściągnęła z łóżka futra, pozwalając szczypiącemu chładowi dobrać mu się do rozgrzanej skóry. Snorri jęknął jak lód przy brzegu. Niektórym siłom natury nie da się oprzeć. Na zewnątrz lód stękał, ustępując wiosennej odwilży, a w chacie mąż ustępował matce gotowej wymieść zimowy kurz i pootwierać wszystkie okiennice. Jednego i drugiego nie dało się powstrzymać.

Snorri sięgnął po koszulę i spodnie, ziewając tak szeroko, że mało nie wywichnął sobie szczęki. Freja kręciła się przy nim, sprawnie wymykając się jego pożądlivym dłoniom.

- Zachowuj się, Snorri - zbeształa go żona i zaczęła zdejmować z legowiska skóry, a potem wrzosową wyściółkę. -Trzeba nareperować zagrodę na zboczu Pen. Wiosna idzie, kozły zaczną gonić kozy.

- Ten kozioł też pragnie swojej kozicy - wymruczał Snorri, ale posłusznie wstał i ruszył do drzwi. Freja miała rację. Jak zawsze. Ogrodzenie nie powstrzyma ani wilków przed wejściem, ani kozłat przed wyjściem. Nie w tym stanie. Nie po takiej zimie. Zdjął ze ściany piłę o żelaznych zębach. - Ver Magson będzie miał żerdzie. Obiecałem mu beczkę solonego morszczuka.

- Obiecałeś mu pół beczki - sprostowała Freja. -I sprawdź najpierw czy drewno jest porządne.

Snorri wzruszył ramionami i zacisnął usta w uśmiechu. Zabrał rulon foczej skóry, nóż i oselkę. - Gdzie dzieci?

- Karl łowi ryby z chłopakiem Magsona. Emy wyszła poszukać szmacianej lalki, a Egil... - Freja szturchnęła kupkę skór leżących na sienniku pod ścianą. - ...Egil jeszcze śpi, ale już wstaje! - Powiedziała głośnie i rozkazującym tonem, a sterta futer poruszyła się, mamrocząc żałośnie. Spomiędzy skór wyłoniła się ruda czupryna.

Snorri wzuł buty, zdjął z haka baranicę, poklepał zawieszony nad nadprożem topór bitewny i pchnął drzwi. Uderzyło go zimne powietrze, ale pozbawione już zimowej mroźności. W chłodzie czuło się wilgoć, a wkrótce wiosna miała złagodzić go jeszcze bardziej.

Od progu teren opadał skalistym zboczem, na którym aż po skutury lodem brzeg stały rozrzucone chaty. Zimujące łodzie rybackie tłoczyły się na podporach

utrzymujących je ponad śniegiem. W skorupę lodu wchodziło dumnie na sosnowych nogach osiem pomostów o deskach wypaczonych srogą pogodą. Od nich wzięło nazwę miasteczko, Osiem Pomostów, jeszcze w czasach, gdy była to liczba godna zazdrości. Znajdujące się sześć mil w stronę morza Einhaur miało ponad dwadzieścia pomostów, ale dawniej, gdy dziadek dziadka Snorriego założył osadę Osiem Pomostów, Einhaur było kawałkiem skalistego, skutego lodem brzegu.

Krawędzią najdłuższego pomostu wędrowała mała postać.

- Emy! - Krzyk Snorriego sprawił, że w drzwiach chat pojawiły się głowy, a w oknach uniosły się skórzane zasłony. Przestraszona dziewczynka omal nie spadła z kei, a właśnie groźba upadku wydarła z gardła Snorriego krzyk. Dziecko zachwiało się, ale w ostatniej chwili chwyciło rączkami złodowaciały słupek. Zasłona białych włosów opadła na twarz dziewczynki, która przechyliła się, sięgając do wody.

Wystarczyło, żeby się poślizgnęła i lodowate wody fiordu pochłonęłyby ją, mroząc jej oddech i odbierając siły.

Snorri rzucił narzędzia i zaczął biec po pomoście, pewnie i bez zastanowienia, skacząc tylko po stabilnych deskach. Całe życie biegał po tych pomostach.

- Głupie dziecko! Wiesz, że nie wolno... - Strach wyostrzył mu ton, gdy opadłszy na kolana, chwycił Emy w ramiona. Powściągnął gniew. - Mogłaś spaść, Einmyrio! - Dziecko undoreckie powinno być ostrożniejsze, nawet jeśli miało tylko pięć lat. Przyciskał ją do piersi, w której tłukło mu się serce, ostrożnie, żeby nie zgnieść drobnego ciała. Kiedy Emy ssła jeszcze pierś matki, Jarl Torsteff poprowadził Undorethów przeciwko Hoddofowi z Żelaznych Skał. W żadnym momencie tej bitwy, ani szarżując na ścianę tarcz, ani zbryzgany krwią Edrica ver Magsona, ani przyparty do palisady, broniąc się przed dwoma wojownikami Żelaznych Skał, Snorri nie czuł takiego lęku, jak widząc swoje dziecko wiszące nad ciemnymi wodami.

Snorri odsunął od siebie córeczkę.

- Co tam robiłaś? - zapytał łagodnie, prawie błagalnym tonem.

Emy przygryzła wargę, przelykając cisnące jej się do oczu łzy - oczu koloru chabrow, takich jak jej matki.

- Peggy jest w wodzie.

- Peggy? - Snorri szukał w pamięci dziecka o takim imieniu. Znał wszystkie dzieci z widzenia, ale... Kiedy zrozumiał, ogarnęła go fala ulgi, zmywając resztki gniewu. - Twoja lalka? Szukałaś lalki, którą zgubiłaś zanim spadły śniegi?

Emy przytaknęła, wciąż jeszcze bliska płaczu.

- Znajdź ją! Znajdź ją, tatusiu!

- Nie... Ona zginęła, Einmyrio.

- Ale ty możesz ją znaleźć. Możesz.

- Czasami da się odnaleźć zaginione rzeczy, a czasami nie. - Urwał, widząc w oczach córki przeblysłk zrozumienia, ten pierwszy raz, gdy dziecko pojmuje, że jej rodzice nie są wszechmocni, że czasami po prostu nie są w stanie czegoś zrobić, nie dlatego, że nie chcą. Przez chwilę klęczał przed nią w milczeniu, czując się mniejszy niż jeszcze przed chwilą, zdając sobie sprawę, że Emy właśnie uczyniła mały krok w stronę tej kobiety, którą stanie się w przyszłości.

- Chodź. - Wstał, podnosząc ją na ręce. - Wracamy do mamy. - Tym razem szedł ostrożniej, patrząc pod nogi i rozważnie wybierając deski, po których stapał. Niosąc córkę w ramionach po zboczach, Snorri czuł echo prastarego bólu, cierpienia rodzica, który traci dziecko, nieważne czy pochłonięte przez nienasycone głębinę czy oddalające się powoli rozbieżną ścieżką życia.

Przyszli nocą.

Snorri często mawiał, że Freja ocaliła mu życie. Wyrwała go z dzikiego gniewu, w którym hartował umiejętności topornika i włócznika, podsuwając mu w jego miejsce inne uczucia. Mawiał, że przydała jego życiu cel, kiedy szamotał się w zagubieniu, które jak większość młodych mężczyzn skrywał za fasadą działania. Może tej nocy znów ocaliła mu życie, przebudzając z głębokiego snu niewyraźnymi pomrukami.

Sam nie wiedział, dlaczego się ocknął. Leżał w ciemności nocy, w ciepłe okrycie, blisko Freji, ale nie dotykając jej. Przez moment słyszał tylko jej oddech i trzask pękającego lodu. Nie obawiał się napaści - jarlowie doszli do porozumienia w najważniejszych sprawach. Przynajmniej na razie. Zresztą tylko szalenie ryzykowałby wyprawę łupieżczą ledwie u progu wiosny.

Snorri położył dłoń na gładkim biodrze Freji. Zbyła go sennym pomrukiem. Uszczypnął.

- Niedźwiedź? - wymamrotała. Czasami pod osady podchodziły białe niedźwiedzie, żeby porwać kozę. Ojciec napominał go „nigdy nie zjadaj wątroby białego niedźwiedzia”. Mały Snorri zapytał dlaczego, czy jest trująca? „Tak”, odrzekł ojciec, „ale przede wszystkim chodzi o to, że kiedy spróbujesz, niedźwiedź już będzie zjadał twoją, a ma dużo większe zęby”

- Może. - *Nie, nie niedźwiedź.* Sam nie wiedział, skąd ta pewność.

Wyplątał się z okrycia prosto w chłód. Całkiem nagi, zdjął z haka topór, Hel. Dostał tę broń od ojca, pojedyncze szerokie ostrze o łukowatej krawędzi. „To początek drogi”, rzekł ojciec. „Posłał wielu do Hel, a pośle jeszcze więcej, zanim jego czas przeminie”. Z toporem w dłoni Snorri poczuł się, jakby był ubrany. Chłód nie tykał go nawet palcem, w obawie, że Snorri może mu go odrąbać.

Ktoś poruszył się na zewnątrz, ale nie na tyle blisko, by rozwiać wszelkie wątpliwości.

- Haggerson, to ty? Znow sikasz, gdzie nie trzeba? - Bywało, że Haggerson, po popijawie z Magsonem i Anufem Statkiem, zataczał się w drodze do domu, nie mogąc trafić do własnego, mimo iż ciężko nie znaleźć swojej chaty pośród zaledwie czterdziestu.

W oddali rozległ się cichy, ale przenikliwy krzyk. Brzmiał prawie jak głos nura, ale nie końca. Poza tym ptactwo milczało, aż łód nie odszedł od brzegów. Snorri ostrożnie odhaczył skobel, a potem z całej siły kopnął w drzwi. Ktoś zawył z bólu i zatoczył się w tył. Snorri wypadł na zewnątrz w ciemność bezksiężycowej nocy, oświetlonej jedną latarnią. Szybko zaczęły błyskać i inne. Ziemię zasnuwała gruba pokrywa śniegu. Padał ciężkimi, dużymi płatkami - wiosenny śnieg, nie te zimowe maleńkie kryształki. Bosy, Snorri omal nie poślizgnął się. W ostatniej chwili odzyskał równowagę, wziął zamach i zatopił ostrze w plecach człowieka, który trzymał się za rozbitą drzwiami twarz. Gwałtownym szarpnięciem wyrwał topór z kręgosłupa upadającego.

- Najazd! - ryknął. - Do broni!

Poniżej chybotliwe płomyki ognia usiłowały wczepić się w strzechę jednej z nabrzeżnych chat. W śnieżycy mignęły postaci, oświetlone na moment blaskiem, po czym przepadły znów w ciemności. A więc cudzoziemcy. Wikingowie podpalali chaty w osadach leżących w cieplejszych rejonach, ale nie traciliby na to czasu na północy.

Cienie runęły ku Snorriemu - trzy wybiegły zza chaty, jeden potknął się o stertę żerdzi i wywrócił. Jeszcze więcej napastników nadbiegało z dołu. Dziwne, małe, chude kształty, niepodobne do niczego. Snorri zwrócił się ku trzem najbliższym. Ciemność, płomień i ruchliwe cienie nie dawały szans na rozpoznanie broni wroga i wybór obrony. Snorri nawet tego nie próbował, wychodząc z założenia, że jeśli zabije się przeciwnika szybko, nie trzeba martwić się o tarczę, zbroję, odpieranie ciosów i uniki. Zamachnął szeroko, trzymając topór oburącz i okręcając się wokół własnej osi. Jednym ciosem rozłupał czaszkę jednemu, a drugiego trafił w bark z taką mocą, że prawie odjął mu ramię. Odepchnął się i obrócił w przeciwnym kierunku, czując na skórze ciepło i wilgoć tryskającej krwi. W ten sposób stanął na wprost napastnika, który przeklinając, gramolił się pomiędzy żerdzi. Piszczel Snorriego zderzyła się z twarzą niezdary, rozmach pozwolił wyszarpnąć topór, unieść go nad głowę i opuścić, tak, jak przy rąbaniu drewna. Efekt był podobny.

Coś świsnęło mu koło ucha. Już całe Osiem Pomostów rozbrzmiewało wrzaskami pełnymi przerażenia i odgłosami, jakie wydaje człowiek śmiertelnie ranny. Słyszał też jak Freja krzyczy w chacie do dzieci, żeby stanęły za nią przy palenisku. Coś uderzyło go pomiędzy łopatki, nie mocno, ale zakłuło. Odwrócił się i ujrzał na dachu Hendera postaci siedzące okrakiem, strącające z połaci miniaturowe lawiny, trzymające w rękach jakby patyki... Kolejna strzałka wbiła mu

się w bark. Była nie dłuższa od palca. Szarpnął ją, ruszając pędem w stronę drzwi Hendera, żeby ująć z pola widzenia istot. Pocisk nie chciał wyjść, ostre zadziory trzymały go w ciele. Mimo to rana nie bolała, była odrętwiała. Nie bacząc na powiększenie rany, Snorri wyrwał strzałkę.

Drzwi Hendera wisiały na jednym skórzanym zawiasie. Na końcu izby, w blasku dogasającego paleniska, widać było pochylającego się nad czymś człowieka w czarnych łachmanach. Wnętrze cuchnęło zgnilizną, odór zepsutego mięsa i bagiennego rozkładu był tak silny, że aż szczypał w oczy. Przed paleniskiem ciemniała się kałuża krwi a wokół niej ślady stóp.

Na zewnątrz rozległ się ryk i Snorri odwrócił się w progu. Przed chatą Magsonów Olaaf Magson wymachiwał mieczem zdobytym przez ojca w potyczce z conaughckim księciem. Obok z pochodnią w jednej i toporem w drugiej ręce walczył jego syn. Obiegała ich chmara łachmaniarzy, bez broni, z zapadniętymi miejscami ciałami, skórą pokrytą ciemnymi plamami, z włosami w czarnych strąkach. Atakowali nawet pozbawieni rąk, nawet z toporem Karla wbitym w nasadę szyi. Grupkę walczących wyminęła wielka postać. Na ramiona miał narzucone wilcze skóry, niósł dwusieczny topór i mały żelazny puklerz. Towarzyszyło mu dwóch wojowników.

- Złamane Wiosło - wydusił Snorri, przywierając plecami do ściany. Niewielu wojowników górowało nad Snorrim, a tylko jednego stać było na tak zdradziecki, nikczemny napad. Mimo to, jeśli ktoś powiedziałby, że Złamane Wiosło dopuści się zbrojnego napadu wspólnie z nekromantami, Snorri roześmiałby się delikwentowi w twarz. Aż do tamtej chwili.

Z szyi Olaafa Magsona sterczały małe strzałki. Snorri dostrzegł je w blasku pochodni, kiedy trzymający ją Karl padał pod naporem wroga. Magson usiłował drżącymi ramionami unieść miecz, ale i on zniknął pod nawałem napastników. Snorri sięgnął za plecy i z trudem wyszarpnął strzałkę spomiędzy łopatek. Nie zdawał sobie sprawy, że wcisnął ją głębiej, kiedy oparł się o ścianę. Mimo to czuł, że po jego ciele rozlewa się słabość.

Umarli ruszyli ku jego chacie, brnąc odmrożonymi stopami w śniegu. Sto metrów powyżej brzegu, pomiędzy chatami ver Lutenów stała grupka wojowników Złamanego Wiosła z uniesionymi pochodniami, a wokół, na pobliskich chatach czaiły się bagienne ghule z gotowymi do strzału dmuchawkami.

Od strony nabrzeża dobiegały głosy wydające komendy z dziwacznym akcentem, szczekliwym, jak u Brettańczyków. A więc Zatopione Wyspy. Najazdu dokonali mieszkańcy Zatopionych Wysp prowadzeni przez Złamane Wiosło. To nie miało sensu.

Pierwszy z umarłych położył poczerńiałą dłoń na drzwiach Snorriego. Tego ranka, widząc córkę z beztroską pięcioletką wędrującą po pomoście, Snorri przeżył chwilę największej grozy. W tamtym momencie jego dziecko znajdowało się

daleko, poza zasięgiem, sam na sam w sytuacji zagrożenia. Ale to nie wizja niebezpieczeństwa poraziła go tak mocno, a niemożność obronienia przed nim córki.

- Thorze, miej mnie w opiece. - Snorri nie poświęcał za wiele czasu bogom. Podczas uroczystości wznosił toast za Odyna, przeklinał na Hel, kiedy zszywano mu rany, ale ogólnie rzecz biorąc postrzegał ich jako idee wyznaczające zasady, a nie istoty, którym można się skarżyć czy wypłakiwać. Teraz jednak zaczął się modlić. A potem rzucił się na truposze zgromadzone u jego drzwi.

Pędząc naprzód słyszał jedynie własny okrzyk bitewny. Jego ryk zagłuszył szmery nabierania oddechów i świst strzałek. Prawie nie poczuł, jak pociski wbijają mu się w ramię, szyję i bark. Odrąbał głowę najbliższego napastnika, ramię, które ku niemu sięgnęło, dłoń, i znowu głowę. Ale Hel ciążyła mu coraz bardziej, jakby topór został wykuty ze skały. Ramiona mu osłabły, mięśnie przestały utrzymywać ciężar kości, a potem czarna pięść o odmrożonych knykciach grzmotnęła go w skroń. Ramiona powalonych wrogów oplotły mu nogi. Niektórzy walczyli mimo śmiertelnych ran. Snorri zachwiał się i zaczął przewracać. Ostatkiem sił wyrwał się z uścisku i przetoczył pod ścianę chaty. Napastnicy runęli zwartą grupą ku drzwiom, zostawiając za sobą odrąbane części ciała. Nawet przecięty prawie na pół trup zaczął czołgać się w jego stronę na samych rękach.

Po ciele Snorriego rozlewała się fala odrętwienia, jak gdyby zamarzały mu członki. Widział własne trupioblade ręce umazane resztkami soków, które wypłynęły z żył martwiaków, ale niczego nie czuł. Nie mógł się poruszyć, choć wkładał w to całą wolę. Dopiero dźwięk wyłamywanych drzwi pobudził zdradzieckie ciało do powstania. Ale natychmiast runął z powrotem przytłoczony masą śniegu. Na dachu jego chaty sadowiły się ghule, strącając przy okazji białe splechcie, które przygważdżały go miękko, lecz nieprzejednaną dłonią.

Leżał bezwładny, wyzuty z resztek sił, nagi, pogrzebany pod śniegiem, czekając na śmierć, czekając na ostateczny uścisk czarnych łap umarłych, wbijające się zęby ghuli albo ostrze topora jednego ze zbirów Złamanego Wiosła. Bez względu na to, za co mu zapłacono, Złamane Wiosło nie chciał zostawiać świadków swojej poruty.

Wysoki pisk przedarł się nawet przez jego śniegowy kokon. Emy! Potem krzyki Freji, jej okrzyk bojowy, wrzask rozwścieczonej matki. Każda cząstka jego duszy wyła, pragnąc zmusić ciało do działania, każdy okruch woli skupiał się na uniesieniu ramion, podkurczeniu nóg... Jednak ani jedno włókno mięśnia nawet nie drgnęło. Włożył w to cały straszliwy gniew, całą rozpacz, a spomiędzy sparaliżowanych warg wydobyło się jedynie słabe westchnienie i strużka śliny kapiąca na oślepiającą biel.

Obudziło go kapanie. Kap, kap, kap. Deszcz spływał z okapu, zmywając z niego śnieg, topiąc lód z powiek, aż mógł je unieść, otwierając oczy na światło

dnia. Odwrócił głowę, żeby wylać wodę z oczu. Leżał w resztkach zaspy śnieżnej, plamy po zimie, o ton jaśniejszej od jego alabastrowej skóry.

Śnieg to miękkie posłanie, ale nikt z niego nie wstaje. Tak brzmiało północne przysłowie. Snorri widział niejednego pijaka, który zasnął na śniegu i zamarznął. Dobrze więc wiedział, ile jest prawdy w tym powiedzeniu. Jęknął. Nie żył. Jego ciało powlecze się za armią umarłych, a uwięziony umysł wraz z nim. Nie sądził, że dobrzy ludzie mogą spoglądać oczami trupów zniewolonych przez nekromantów.

Ale woda rozbijała się o niego, spływając szarą kurtyną z deski okapowej wzdłuż całego dachu. Uderzała o uszy, płynęła po piersi prawie ciepła, choć skapywała z koronki sopli, które jeszcze opierały się odwilży. Przetoczył się po na wpół zamarznętej ziemi. Ruch zaskoczył go, nie wiedział, czy ma władzę nad ciałem, czy też nie.

Najazd! Umysł Snorriego także zaczął tajać, wsączając pamięć w świadomość. Natychmiast zerwał się na równe nogi, a deszcz zaczął zmywać z niego błoto. Przez chwilę stał niepewnie, drżąc, nagle czując zimno.

- Na bogów, nie! - Zatoczył się i machinalnie wsparł o ścianę, choć w dłoniach miał tak niewiele czucia, co w nogach.

Drzwi leżały przed chatą wyrwane ze skórzanych zawiasów, a wnętrze zasłane było skórą, potłuczonymi naczyniami i rozsypanym ziarnem. Snorri wszedł chwiejnie i zdrętwiałymi rękami, wstrząsany dreszczami, zaczął przeszukiwać sterty skór i przewracać meble, przerażony, że niczego nie znajdzie, przerażony, co może znaleźć.

Odkrył tylko kałużę krwi przy palenisku, ciemnej, lepkiej, rozmazanej stopami. Na białych palcach krew odzyskała swoją żywą czerwień. Do kogo należała? Ile jej było? Czyżby to wszystko, co pozostało po jego żonie i dzieciach? Jego uwagę przyciągnęła kępka rudych włosów, która utkwiała w szczelinie framugi i poruszała się na wietrze.

- Egil. - Snorri sięgnął zakrwawioną ręką ku puklowi włosów.

Naraz opadły go drgawki tak silne, że padł bezsilnie na skóry szarego wilka i czarnego niedźwiedzia.

Nie wiedział, ile leżał nieprzytomny zanim trucizna ghuli przestała działać. Jad, który zachował go pod śniegiem, spowolnił pracę serca i skurczył życie do maleńkiego okruchu, opuszczając ciało, ustępował miejsca odczuciom. Uwrażliwione zmysły wzmagaly ból powracającego krążenia, natężyły zimno, mimo okrycia skórą, a nawet potęgowały rozpacz, która i tak zdawała się nie do zniesienia. Rzucił się i miotał, ale ciepło i siły powoli powracały do jego członków. Ubrał się, zawiązując gorączkowo troki jeszcze zdrewniałymi palcami, wzuł buty, wrzucił do sakwy resztki zimowych zapasów, suszoną rybę, suchary z ciemnego chleba, woreczek z solą i gliniak ze smalcem. Założył skórzany kaftan z

dwóch warstw, wypełnionych puchem mewy i skórę wilka, szarej bestii, która podobnie jak ciemne niedźwiedzie przybywała latem na północ i odchodziła wraz z pierwszymi śniegami. Nie trzeba mu było więcej. Wiosna zwyciężyła swoją batalię, a podobnie jak letni wilk, Snorri mógł zawsze wrócić na północ po coś jeszcze.

- Odnajdę was - obiecał cichej izbie, pustemu miejscu na łóżku, gdzie sypiała jego żona, dachowi ponad głową, niebu ponad nim i bogom na wyżynach.

Snorri ver Snagason schylił się, przekraczając próg i ruszył na poszukiwanie zgubionego topora.

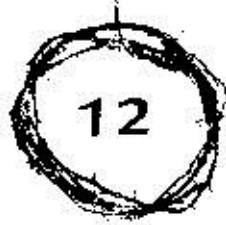
- I co, znalazłeś go? - zapytałem, wyobrażając sobie ojcowski topór leżący w topniejącym śniegu i Snorriego, który podnosi go z groźną, zaciętą miną.

- Nie od razu. - Wypowiedział te słowa z taką rozpaczą, że nie miałem serca go ponaglać. Po chwili jednak odezwał się sam. - Najpierw znalazłem Emy. Leżała porzucona na kupie gnoju, bezwładna jak szmaciana lalka. - Zapadła ciszę przerywało tylko trzeszczenie drew na ognisku. Nie chciałem, żeby mówił dalej, pragnąłem, żeby już milczał. - Ghule wyjadły jej prawie całą twarz. Ale zostawiły oczy.

- Tak mi przykro. - I naprawdę tak było. Snorri znów zaklął mnie swoim urokiem sprawiając, że poczułem odwagę. W tamtej chwili pragnąłem zasłonić dziecko własnym ciałem, obronić ją przed napastnikami. A w razie porażki ścigać ich na koniec świata. - Śmierć musiała być dla niej wybawieniem.

- Nie była martwa - rzekł drewnianym głosem. Pustym. Noc wokół nas zgęstniała, ciemność pogłębiła się w czerń, pochłaniając gwiazdy. - Kiedy wyjąłem dwie strzałki ghuli, zaczęła krzyczeć. - Położył się, a ogień przygasł, jakby stłumiony własnym dymem, choć na początku palił się czysto. - Śmierć była wybawieniem. - Wciągnął ze świstem powietrze. - Lecz żaden ojciec nie powinien być zmuszony wybawiać w ten sposób swoje dziecko.

Również się położyłem, nie dbając o to, że ziemia jest twarda, płaszcz mokry a brzuch pusty. Z kącika oka po nosie spłynęła mi łza. Czar, jaki rzucił na mnie Snorri, opuścił mnie. Jedyne, czego teraz pragnąłem to powrócić na południe, do wygod pałacu Czerwonej Królowej. Smutek Snorriego odbijał się we mnie echem, mieszając z moim własnym smutkiem. Możliwe, że uroniłem tę łzę nad Emy, a może nad sobą. Prawdopodobnie nad sobą, ale postanowiłem powtarzać sobie, że była dla nas obojga, z nadzieją, że pewnego dnia w to uwierzę.



Nazajutrz po nocnej opowieści o koszmarnych wydarzeniach na północy, żaden z nas nie podjął rozmowy. Snorri szybko otrząsnął się z ponurych myśli, a gdy wyruszyliśmy w drogę, był już w dobrym humorze. Wiking był dla mnie zagadką, ale w tym wypadku dobrze go rozumiałem. Wszyscy w pewnym stopniu stosujemy taktykę samooszukiwania, żaden człowiek nie jest w stanie znieść całkowitej szczerości przy każdej okazji, nie odnosząc przy tym ran. W umyśle ludzkim nie ma miejsca na zdrowe zmysły i jednocześnie każdą żalobę, zmartwienie i każdy lęk. Jestem świetny w grzebaniu takich rzeczy w ciemnej piwnicy swojego umysłu i życiu dalej. Demony Snorriego wymknęły się w tamtym momencie, gdy nocą spoglądaliśmy w gwiazdy, ale zdołał zagonić je z powrotem do swojej ciemnej piwnicy i zabarykadować za nimi drzwi. Na tym świecie jest wystarczająco dużo łez, by w nich utonąć, ale i ja i Snorri wiedzieliśmy, że aby działać, trzeba mieć wolną głowę. Snorri potrafił odsunąć od siebie dręczące myśli i iść naprzód.

Tyle że on szedł na północ gnany pragnieniem uratowania ukochanych i odpłacenia wrogom, ja zaś chciałem wrócić na południe do pięknych kobiet i wygodnego życia w pałacu.

Mijały kolejne dni w podróży, dni mokre, błotniste, ponure i wietrzne. Kolejne popasy na poboczach z niedoborem jedzenia i nadmiarem deszczu. Nazajutrz obudziłem się o świcie rozczarowany, że nadal leżę pod tym samym krzakiem i tym samym mokrym płaszczem, pod którymi drżąc z zimna zasypiałem wieczorem. Dręczyły mnie dziwne sny. Najpierw ten sam koszmar o demonie z opery, który w ulewie podążał naszym tropem. Potem w tym śnie pojawiło się rześiste światło i głos, który dobiegał do mnie z daleka, ze źródła tej jasności. Prawie rozumiałem, co mówił... a gdy uchyliłem powieki, w szarym świetle świtu, przez zasłonę rzęs ujrzałem anioła, rozkładającego skrzydła, obramowanego różowawym blaskiem i wreszcie dotarło do mnie, co mówił. *Baraqel*.

Po kolejnych trzech dniach jazdy w nieprzerwanej ulewie, która była typową letnią pogodą w Rhone, byłem gotów zawrócić i pogalopować ku licznym uciechom czekającym w domu. Tylko strach mnie przed tym powstrzymywał.

Bałem się tego, co zostawiliśmy za sobą i bałem się, co może się stać, kiedy oddalę się od Snorriego. Czy świetlista szczelina przebiegnie wzdłuż mnie od stóp do głów, a jej żar spali mnie na popiół? Bałem się też, że Wiking popędzi za mną. Wiedziałby, w jakim kierunku zmierzam, a choć ufałem, że moje umiejętności jeździeckie pozwolą mi umknąć na drodze, to nie ufałem że mury miejskie, żołnierze i strażnicy pałacowi obronią mnie przed Wikingiem, kiedy przestanę uciekać.

Dwukrotnie w ciągu trzech dni widziałem postać, niewyraźną sylwetkę na horyzoncie zniekształconą milami deszczu, ledwie czarny kształt na tle jasnego nieba. Rozsądek podpowiadał, że to jakiś pasterz albo myśliwy zajęty własnymi sprawami. Jednak każdym włókienkiem nerwowym przeczuwałem, że to nienarodzony, który wyzwolił się z zaklęcia Milczącej Siostry i ruszył za nami w pościg. Za jednym i drugim razem pogoniłem Rona do cwału, zmuszając Snorriego do wytrząsania sobie wewnętrznego, dopóki najgorszy mój lęk nie minął.

Kurczące się zasoby pozwalały na niewielkie posiłki kupione od chłopów, którymi normalnie nie pozwoliłbym nawet nakarmić konia. Jeszcze dwie bezsenne noce spędziliśmy skuleni pod prowizorycznymi osłonami z gałęzi i paproci, które Snorri ustawiał pod krzewami. Twierdził, że to wystarczające schronienie do spania i chrapał smacznie do świtu. Nieustającą ulewę określał jako „trochę wilgotną pogodę”.

- Na północ od Hardangeru dzieci biegają nago po takim ciepłym deszczyku. Nie zakładamy niedźwiedzich skór, dopóki morze nie zaczyna zamarzać.

Miałem ochotę go walnąć.

Lepiej spało mi się w siodle niż w jego szałasach, ale i tak za każdym razem, kiedy przymykałem oczy, dopadał mnie ten sam sen. Tkwiałem w jakimś wewnętrznym mroku, całkiem sam, spokojny, aż nagle wybuchło światło. Początkowo przesączało się przez cieniutką szczelinę w ścianach mojego ciemnego azylu, a potem pęknięcie powiększało się, rozchodziło, jasność porażała, a z zewnątrz, z tego osłepiającego blasku jakiś głos wołał moje imię.

- Jal. Jal.. Jal!

- C... co? - Poderwałem głowę, uświadamiając sobie, że siedzę mokry i zmarznięty w siodle.

- Patrz. - Snorri wskazał brodą przed siebie. - Miasteczko.

Szóstego wieczoru po opuszczeniu Pentacost dotarliśmy do bram niewielkiego, otoczonego murem miasta o dźwięcznej nazwie Chamo-Nis. Na pierwszy rzut oka mało obiecujące, okazało się wielkim rozczarowaniem, kolejną deszczową rhoneńską pipidówką, ponurą jak cała reszta. A co gorsza, jedną z tych, której mieszkańcy udają, że nie znają Mowy Imperium. Oczywiście tak naprawdę ją znali, ale ukrywali to, posługując się jakimś starożytnym czy innym językiem, jak gdyby byli dumni z własnego prostactwa. Cały wic polegał na tym, że trzeba

było zdanie powtarzać coraz głośniejsze, aż informacja do nich dotrze. Lata wojskowych ćwiczeń okazały przydatne przynajmniej w tym jednym. Potrafiłem dobrze wykrzykiwać. Nie był to ryk, jaki umiał wydać z siebie Snorri, ale przydatny do ochrzaniania służby, niesubordynowanych młodszych oficerów i, co najważniejsze, wykorzystania ostatniej szansy zastraszenia gotowego do ataku przeciwnika. Częścią sztuki przetrwania tchórze jest niedopuszczenie, aby tchórzostwo wyszło na jaw. Najlepiej jeśli udaje się wywinąć z niebezpiecznej sytuacji robiąc zamieszanie, a w tym tubalny głos ogromnie pomaga.

Snorri powiódł nas prosto do piekła czyli ziemiankowej mordowni o niskim dachu, przesyconej gęstym smrodem mokrych ludzi, piwka i dymu.

- Szczere wyrazy uznania - powiedziałem, przeciskając się w stronę zatłoczonego baru. - Jest krzyżem cieplej i odrobinę mniej mokro niż na zewnątrz. - Tubylcy, ciemnowłosi, smagli, szczerbaci bądź pobliźnieni mężczyźni, skupiali się przy niewielkich stolikach na zasnutych fajkowym dymem tyłach knajpy.

- Przynajmniej będzie tanio. - Rzucił miedziaka, prawdopodobnie naszego ostatniego, na mokrą od piwa ladę.

- *Quest-ce que vous voulez boire?* - zapytał szynkarz, ocierając czyjąś ślinę z kufła, w którym zamierzał zaserwować piwo.

- Keske-co? - Przechyliłem się nad barem. Zwykłą ostrożność splukały ze mnie strugi deszczu, przy okazji odsłaniając paskudny humor. - Dwa piwa! Najlepsze, jakie macie!

Szynkarz uraczył mnie doskonale pustym spojrzeniem. Nabrałem powietrza, żeby huknąć zamówienie głośniejsze.

- *Deux bieres s'il vous plait et que vous vendez repas?* - powiedział Snorri, podsuwając mu monetę.

- Co u diaska? - zdumiałem się, wcinając w odpowiedź szynkarza. - Jak to.. Ale co...?

- U nas nie mówi się Mową Imperium. - Snorri pokręcił głową z politowaniem i zabrał jeden kufel. - A jak już nauczysz się jednego języka, następne przychodzą łatwiej. Piana na powierzchni zebrała się w wyspę, jakby chciała przypomnieć mi o miejscu, gdzie nie słyszano o Czerwonej Marchii, a książąt traktowano bez należnego im szacunku, poczułem gorzkość w ustach jeszcze zanim łyknąłem piwa.

- Ludzie z północy mają talent do handlu, wiesz? - ciągnął Snorri, choć nie sądziłem, bym jakimkolwiek gestem zachęcił go do wynurzeń. - Więcej zdobyczy przyływa do nas na statkach handlowych niż na długich łodziach z wypraw grabieżczych. Wielu Wikingów zna trzy, cztery, a nawet pięć języków. Ja osobiście...

Zabrałem moje paskudne piwo do stolika, zostawiając Snorriemu i jego lingwistycznym talentom negocjacje dotyczące posiłku.

Znalezienie miejsca okazało się nieco problematyczne. Pierwszy z kmieci, do którego się zbliżyłem, nawet nie drgnął, ignorując wyraźnie moją pozycję społeczną. Pochylił się niżej nad miską czegoś, co wyglądało jak zupa z gówna, a śmierdziało jeszcze gorzej i wymamrotał pod nosem coś jakby „myrdt”, kiedy odchodziłem. Reszta gburowatych ciołków też nie zareagowała, musiałem więc usiąść przy kulistej kobiecie żłopiącej dżin z glinianego kubka. Wieśniak od zupy łypał na mnie złowrogo, równie złowrogo bawiąc się swoim nożem - sztucem zazwyczaj zbędnym przy spożywaniu zupy - dopóki nie podszedł do mnie Snorri, niosąc dwie miski parującej stawy.

- Suń się - burknął i nagle cały rząd kmieci przesunął się dalej, łącznie z falującą tłuszczem niewiastą, robiąc całkiem sporo miejsca nowemu gościowi.

Zajrzałem do stojącej przede mną miski.

- To wygląda jak to, co każdy przyzwoity rzeźnik usuwa z... - będę wspaniałomyślny - krowy, zanim odeśle ją do kuchni.

Snorri zaczął wiosłować łyżką w zupie.

- A to, co zostawisz będzie posiłkiem dla kogoś bardzo głodnego. Zajadaj, Jal.

Znów ten Jal! Postanowiłem sobie z nim porozmawiać na ten temat przy pierwszej lepszej okazji.

Snorri skończył w chwili, kiedy właśnie zdecydowałem, który z pływających w moim naczyniu fragmentów czegoś, wygląda najmniej groźnie. Wyjął zza pazuchy pajdkę chleba i zaczął nim czyścić miskę.

- Ten gość z nożem wygląda, jakby miał ochotę wsadzić ci go w oko, Jal.

- A czego innego spodziewałeś się po takim lokalu? -Próbowałem zabrzmieć burkliwie i męsko. - Dostajesz to, za co możesz zapłacić, a wkrótce nie będziemy mogli zapłacić nawet za coś takiego.

Snorri wzruszył ramionami.

- Twój wybór. Chcesz luksusów, sprzedaj ten swój medalik.

Powstrzymałem się, żeby nie wyśmiać jego barbarzyńskiej ignorancji. A zdawałoby się, że zawodowy łupieżca i rabuś będzie miał lepsze oko. W końcu musiał wybierać łup, który warto zagrabić.

- Co ty się tak czepiasz tego mojego medalionu?

- Nie brakuje ci odwagi, Jal, to pewne - stwierdził ni w gruszkę ni w pietruszkę. Wsadził do ust ostatni duży kawałek chleba i zaczął go przeżuwać.

Zmarszczyłem czoło, usiłując dojść, dlaczego to powiedział. Czyżby była to jakaś zawołowana groźba? Równocześnie zastanawiałem się, co takiego zwisa z mojego noża. Wreszcie uznałem, że może lepiej nie wiedzieć i zjadłem to.

Snorri w końcu przełknął wielki kęs.

- Wolaleś, żeby Maeres Allus złamał ci palec, niż mu zapłacić - wyjaśnił. - A przecież mogłeś go spłacić z nawiązką tym świecidełkiem. To był twój wybór.

Wybrałeś wierność pamięci o matce ponad własne bezpieczeństwo. Wierność rodzinie. To oznaka honoru.

- Brednie! - Ogarnął mnie gniew. Miałem za sobą paskudny dzień. Paskudny tydzień. Najgorszy ze wszystkich. Wyszarpnąłem medalion z małej kieszonki pod pachą. Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że to błąd. Niezdrowy również. Przez Snorriego jednak straciłem wszelki rozsądek. Przez Snorriego i deszcz. - To - machałem mu przed twarzą medalionem - to zwykła srebrna blaszka, a odwaga jest mi tak obca...

Snorri wyrwał mi medalion z ręki. Wisiorek poleciał szerokim połyskliwym łukiem i wylądował w misce kmięcia od zupy, ochlapując go wydatnie brązową cieczą.

- Skoro to nic nie warte, a ty nie jesteś odważny, to pewnie nie zadasz sobie zachodu, żeby go odzyskać.

Ku własnemu zdumieniu po pierwszych jego słowach byłem już w połowie drogi do kmięcia, który zerwał się bełkocąc coś w tym swoim dziwnym języku. Z jego wypowiedzi wyłowiłem tylko znów to samo „myrdt”. Z bliska jego nóż wyglądał jeszcze mniej przyjemnie, więc w rozpaczliwej próbie powstrzymania go przed wepchnięciem mi go we flaki, złapałem go za rękę, jednocześnie z całej siły uderzając w gardło. Niestety na drodze do osiągnięcia celu stanął mi jego podbródek. Jednak mężczyzna zatoczył się w tył, a w nagrodę za moje wysiłki, ściana uderzyła go w ciemię.

Na chwilę znieruchomieliśmy, ja oniemiały ze strachu, on plujący przez szczyrby w użębieniu krwią i zupą. Wczepiałem się w jego przegub jak tonący w brzytwę, zanim nie zdałem sobie sprawy, że przeciwnik wcale nie usiłuje mnie dźgnąć. Następną rzeczą, która do mnie dotarła, to że drugą rękę trzymam przy jego gardle, a w mojej pięści tkwi nóż, którym jadłem. Najwyraźniej do niego również to dotarło, bo gdy znów zagapiłem się wyczekując na jego uzbrojoną dłoń, ta rozwarła się, wypuszczając ostrze. Puściłem go i sięgnąłem błyskawicznie do jego miski, wyciągając z niej ociekający naszyjnik

- Jeśli masz jakiś problem, kmiotku, zwróć się z nim do tego, kto tym rzucił. Głos i ręka trzęsły mi się ze strachu, co, jak miałem nadzieję, obecni wezmą za objaw dzikiej wściekłości. Skinąłem na Snorriego.

Kopnąwszy nóż mężczyzny pod stół, odjąłem od jego gardła własną broń i wróciłem na miejsce, przysuwając plecy bliżej do ściany.

- Ty sukinsynu - syknąłem.

Snorri przekrzywił głowę.

- Trudno uwierzyć, żeby wojownik, który nie bacząc na nienarodzonego przyniósł towarzyszowi zgubiony miecz, bał się młynarza uzbrojonego w sztucce. Ale mimo wszystko zawahałbyś się, gdyby ta twoja błyskotka nie była nic warta.

Wytarłem medalion strzępem tkaniny, która opuściła Vermillion jako

chusteczka, a teraz była szarym gałganem.

- To portret mojej matki, ty głupku... - Spod warstwy zupy wyłoniły się szlachetne kamienie oprawne w platynę. -O! - Trzeba przyznać, że zamglonym wzrokiem ciężko było ocenić wartość klejnotu umoczonego w brązowej mazi, ale Snorri jednak miał oko. Dopiero w tamtym momencie przypomniałem sobie, jak prawuj wręczał mi medalion. Cacko lśniło, fasetki diamentów odbijały światło, skrząc się migotliwie. Platyna jaśniała tym srebrzystym ogniem, który sprawiał, że metal ten ceniono wyżej niż złoto. Wspomnienie to nie wypłynęło na wierzch przez te wszystkie lata. Byłem naprawdę świetnym kłamcą. Mistrzem. A żeby być mistrzem musisz wmawiać sobie kłamstwo, aż w nie całkiem uwierzysz, dopóki prawda, którą masz przed oczami nie wyda ci się kłamstwem. Dzień za dniem, rok po roku spoglądałem na medalion, widząc w nim tani bibelot, srebro i szkiełka. Za każdym razem, kiedy mój dług się powiększał, przekonywałem siebie, że wisiorkiem nie splacę nawet jego części. Wmawiałem sobie, że nie warto go sprzedawać, a czyniłem to dlatego, ponieważ obiecałem staremu Garyusowi, temu samotnemu, zdeformowanemu starcowi na wieży, że będę go strzegł jak oka w głowie. Zaprzeczałem wszelkim powodom, dlatego że skrywał portret matki. Każdego dnia kłamstwo niezauważalnie zyskiwało na prawdziwości, aż w końcu stało się tak autentyczne, tak odgradzone od rzeczywistości, że potrafiłem siedzieć i zaprzeczać Maeresowi Allusowi w żywe oczy i nawet, kiedy drań złamał mi palec, przez gęstą zasłonę nie przebił się żaden podszept, który popchnąłby mnie do złamania obietnicy, żeby ocalić skórę.

- Dlaczego, głupku? - zainteresował się Snorri bez urazy.

- Hm? - Podniosłem wzrok znad medalionu. Jeden z kamieni obluzował się, być może od uderzenia w miskę. Został mi w palcach. - Zjedzmy coś porządnego - powiedziałem, podnosząc diament. - Matka nie miałaby nic przeciwko. I tak się zaczęło.

Błysk naszyjnika i tak przyciągnął już uwagę. Stojący przy barze mężczyzna przypatrywał się nam z uwagą. Miał krótkie włosy, szpakowate po bokach i kruczoczarne na środku, jakby czas oszczędził to szerokie pasmo od czoła do karku. Kiedy gwałtownie schowałem medalion, uśmiechnął się, ale nadal patrzył, jakbym to ja od samego początku stanowił obiekt jego zainteresowania. Przez mgnienie wydawało mi się, że skądś go znam, choć mógłbym przysiąc, że widzę go po raz pierwszy. Deja vu zniknęło natychmiast, gdy puściłem medalion i zająłem się piwem.

Snorri szybko wydał resztę pieniędzy na większą miskę pomyj, kolejne piwo i kawałek miejsca na podłodze we wspólnej izbie do spania. Pomieszczenie wydawało się służyć za przechowalnię pijaków, którzy raz opuściwszy gospodę w poszukiwaniu miejsca do spania, mogliby znaleźć inną przystań piwną. Zanim zebraliśmy się do snu, stali bywalcy mordowni wyrykiwali przyśpiewki w

starorhoneńskim.

- Kiedy miód zaszumi w głowie! - zadudnił Snorri, podnosząc się z miejsca.

- Dobry masz chłopie głos - powiedział ktoś nieopodal. Klient trzymał cynowy kubek z jakąś ciemną cieczą. Przyjrzałem mu się. To on patrzył na mnie wcześniej, ten z granatowoczarnymi włosami pomiędzy pasami siwizny. -Edris Dean. Też w drodze. Ruszacie rankiem na północ? -Odepchnął się od baru i przysunął do nas, przekrzykując pijackie chóry.

- Na południe - rzekł Snorri, naraz poważniejąc.

- Na południe, mówisz? - Edris skinął i napił się z kubka. Wyglądał na twardego, mimo tych swoich uśmiechów. Ale jego uśmiech nie sprawiał wrażenia fałszywego, także oczy mu się śmiały, co jest niezwykle trudne do osiągnięcia, jeśli się udaje. A jednak widoczne pod brudem blizny na ramionach napełniły mnie niepokojem. One i ogólnie jego wygląd, solidna budowa, znoszone odzienie z czarnej skóry i noże u pasa, i to nie takie do jedzenia, raczej do wypruwania flaków z niedźwiedzia. Na policzku, wzdłuż jego kości jarzmowej, biegła szeroka stara szrama. To właśnie ona budziła we mnie najżywszą niechęć, choć nie umiałbym wyjaśnić, dlaczego.

Edris cmoknął i zawołał do dwóch kompanów, z którymi stał przy barze.

- Mówi, że idą na południe!

Mężczyźni podeszli do nas.

- Darab Voir i Meegan, moi towarzysze - przedstawił ich. Darab wyglądał, jakby w jego żyłach płynęło trochę afrykańskiej krwi. Śniady osiłek, wyższy o jakiś cal ode mnie, miał smolście czarne oczy, a na szyi układające się we wzór blizny rytualne, których reszta ginęła pod tuniką. Jednak to Meegan przerażał mnie najbardziej. Był najmniejszy, miał długie mizerne ramiona i jasne przenikliwe oczy, które skojarzyły mi się z Jaśkiem Obrzynem. Pod płaszczykiem zwykłego zainteresowania cała trójka przyglądała mi się denerwująco intensywnie. Snorriemu również. Zacząłem żałować, że Wiking zostawił swój topór przy koniach.

- Zostańcie, napijcie się z nami. Chłopaki dopiero się rozgrzewają. - Edris machnął w stronę rozśpiewanych stołów.

- Nie - powiedział Snorri bez uśmiechu. Snorri uśmiechał się nawet do niedźwiedzia, a teraz był ponury. - Nie przeszkadza nam to, i tak będziemy dobrze spali. - Z tymi słowami odwrócił się szerokimi plecami do trójki i odszedł. Skrzywiłem się przepaszająco, rozłożyłem ręce i wycofałem się za nim tyłem, instynktownie nie chcąc prezentować im swojej płaszczyzny między łopatkami.

Mimo mroku izby sypialnej łatwo znalazłem Snorriego -wystarczyło odszukać największą leżącą bryłę.

- O co chodzi? - syknąłem.

- Kłopoty. Najemnicy. Obserwowali nas przez pół nocy.
- Przez naszyjnik?
- Mam nadzieję.

Miał rację. Każda alternatywa rabunku przedstawiała się fatalnie.

- Czemu się pokazali? Po co się tak rzucać w oczy? -dziwiłem się.

- I tak nie zamierzali działać od razu. Może chcieli nas przestraszyć, żebyśmy zrobili coś głupiego, ale się nie udało, więc odczekają. Po dwóch bezsennych nerwowych nocach będzie im łatwiej nad dopaść.

Zrobiłem sobie miejsce, odkopując ramiona cuchnącej ludzkiej masy i nogi innej. Położyłem się z mocnym postanowieniem, że nazajutrz sprzedam diament i skończę z wybieraniem pomiędzy smrodem i wszami a zimnem i deszczem. Zwinąłem płaszcz i podłożyłem go sobie pod głowę.

- No - podjąłem. - Jeśli chcieli nas wystraszyć, to im się udało. - Gapiłem się w przejście do izby barowej, gdzie kręcili się ludzie. - Nie zasnę za żadne skarby świata. W ży...

Obok rozległo się dudniące chrapanie.

- Snorri? Snorri?



Nie

mając wcześniej do czynienia z sumieniem, nie wiedziałem, czego się spodziewać, tak więc gdy codziennie o świcie przez jedną czy dwie minuty jakiś szept namawiał mnie do stania się lepszym człowiekiem, uznałem, że to efekt wstrząsających przeżyć ostatnich dni. Moje sumienie miało imię -Baraqel. Nie przepadałem za nim.

Ocknąłem się gwałtownie, przerażony, że zasnąłem dwa kroki od Edrisa i jego zakapiorów i aż do wyjazdu z miasta nie przestawałem oglądać się przez ramię.

- Nie przegapisz ich - pocieszył mnie Snorri.

- Nie? - Liczyłem raczej na to, że oni przegapią nas.

- Będzie ich na to zbyt wielu. - Głos Snorriego zaciął się w rytm podskoków klaczy, która właśnie przyspieszyła kroku.

- A skąd wiesz? - prychnąłem z irytacją. Nie podobało mi się, że tak otwarcie przypomina o naszych kłopotach. Szczególnie że „nasze” były jego - na pierwszym, drugim i ostatnim miejscu. Wołałem taktykę zamiatania problemów pod dywan, aż nie będzie się dało po nim chodzić, a potem przenosiny do innego domu. Ale chwilowo odpadła nam przynajmniej jedna troska. Czułem ciężar pełnej sakiewki, która mogła zmniejszyć trudy podróży, a może nawet przemienić to nieprzyjazne miejsce w bardziej gościnne.

- Był zbyt pewny siebie, ten Edris. Musi ich być przynajmniej z tuzin.

- Szlag! - Tuzin! Ścisnąłem boki konia, popędzając go nieco. Nazwałem wałacha Ron po Zdumiewającym Ronaldo, który nierozważnym zakładem ze Snorrim sfinansował początek naszej podróży.

Telepaliliśmy się doliną w przyzwoitym tempie, na tyle szybko, by straszyć stada pasących się owiec, które wełnistą falą paniki przelewały się z pastwiska na pastwisko. Trzeba przyznać, że w przeciwieństwie do bezbarwnego Chamo-Nis, otaczające miasto tereny, rankiem, w czerwono- różowej oprawie wschodu robiły naprawdę duże wrażenie. Im dalej na północ, tym bardziej krajobraz Rhone stawał się pofałdowany. Wzniesienia zastępowały wzgórze, te z kolei góry, a już z Chamo-Nis widać było szczyty Alp, łańcucha gór tak wysokich i skomasowanych,

że dzieliły imperium skuteczniej niż ostrze. W pewnym sensie imperium zawsze było rozbite, przecięte Alpami niczym mieczem.

Godzinę później z wzniesienia mogłem zobaczyć pokonaną drogę z Chamo-Nis, a na niej ścigających nas ludzi.

- Do diabła, jest ich więcej niż tuzin! - A już z tuzinem nie mieliśmy szans. W zasadzie nawet gdyby byli to tylko Edris, Darab i Meegan, to i tak nadto. Żołądek mi się ścisnął w ciasny węzeł. Przypomniałem sobie Przełęcz Aralską Niemożliwe, by rozsądny człowiek nie czuł strachu, mając w perspektywie rozplatanie. Spojrzałem w górę na skały z nadzieją, że może uda mi się za którąś ukryć.

- Dwudziestu. Sporo. - Snorri obejrzał się przez ramię i popędził Slejpnira. Powiedział, że stworzenie, po którym nazwał konia, miało osiem nóg. Możliwe, że taka wielce ukończyniona bestia dałaby radę umknąć pogoni nawet ze Snorrim w siodle. Niestety zwykły wierzchowiec nie miał na to szans.

- Może gdybyśmy zostawili tu naszyjnik... - W trzy sekundy zrozumiałem, że to się nie uda. Mógłbym zostawić Snorriego w tyle i odsadzić bandę Edrisa. Wysforowałbym się, ale Ron nie był pierwszorzędnym rumakiem, a w górzystym terenie łatwo ochwacić konia, za bardzo go popędzając. W ten sposób musiałbym stawić czoła zbirom sam, zakładając oczywiście, że w ogóle przeżyłbym magiczne skutki śmierci Wikinga. Pozostawienie wisiora było najprostszym wyjściem.

Snorri roześmiał się, jakbym opowiedział dowcip.

- Powinniśmy jednego zachować przy życiu - stwierdził. - Chcę wiedzieć, kto ich na nas nasłał.

- A, jasne. - Szaleniec, podróżowałem z szaleńcem - Postaram się najmniejszego zachować na później. - Najwyraźniej Snorri potrafił zwieść siebie samego, co do wyniku zbliżającej się walki nie gorzej niż ja w sprawie medalionu. Może właśnie tym była odwaga - formą ułudy. Jeśli tak, to znacznie łatwiej mógłbym ją pojąć.

- Musimy znaleźć dogodne miejsce do walki. - Snorri rozejrzał się, jakby naprawdę mogło istnieć coś takiego. Mogłem uświadomić go brutalnie, jak wygląda prawda, ale postanowiłem wypróbować inną taktykę.

- Trzeba wjechać jak najwyżej się da - wskazałem na nagą część stoku, gdzie trawa ustępowała skale, a górską ścieżka wiodła ku niebiosom. - Będziemy musieli co prawda porzucić konie, ale oni także, więc nie będzie już miało znaczenia, że nie umiesz jeździć konno. - A jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, uda nam się zgubić bandę w labiryncie grani i parowów i później kupić jakieś inne, lepsze wierzchowce.

Snorri potarł krótką brodę, wydał usta, spojrzał za siebie na grupę zbirów i skinął akceptująco.

- Lepiej, żebyśmy wszyscy byli pieszo.

Pojechałem przodem, zjeżdżając z traktu i kierując Rona ku niedosięglym szczytom. Za nimi wznosiły się ośnieżone wierzchołki gór, odbijające migotliwe promienie słońca. Wiejący nam w plecy wiatr popychał nas w górę zbocza doliny i na chwilę nadzieja wbiła we mnie swe okrutne szpony.

Szorstka trawa ustąpiła połaciom piargów i rumowisk. Slepniur powinęła się noga na luźnych kamieniach. Klacz upadła, wierzgając. Przez chwilę naprawdę wyglądała, jakby miała cztery pary nóg. Snorri spadł ze stęknięciem, przywalony grzbietem konia, ale wy dostał się, jeszcze zanim klaczy udało się podnieść.

- To bolało. - Pomasaował udo przygniecione ciężarem konia, a potem wydlubał okruchy żwiru, który wbił mu się w skórę. - Odtąd pójdę już pieszo.

Przez pięć czy dziesięć minut jechałem, a Snorri kuśtykał za mną bez słowa skargi. Wreszcie podejście zrobiło się zbyt strome, nawet dla takiego eksperta jak ja. Nie czekając na upadek, który niechybnie posłałby i mnie i zwierzę kawał drogi w dół, zsiadłem.

- Zmykaj, Ronaldo. - Stromizna przed nami stanowiłaby wyzwanie nawet dla kozicy. Klepnąłem konia i ruszyłem znów, objuczony niewielkim dobytkiem. Najcięższy z tego był miecz od Snorriego, poza tym ciągle się o niego potykałem. Targałem go mężnie, głównie żeby sprawić radość Wikingowi, bo ostatecznie w razie potrzeby i tak zamierzałem się go pozbyć i błagać o litość.

Wyżej wiatr zrobił się znacznie mniej przyjazny. Zimny, zmienny, zdawał się z jednym porywem przygniatać nas do skał, a z następnym odrywać od nich z taką siłą, że omal nie stoczyliśmy się na dół. Jechali szybciej niż my i później zsiadli z koni. Zły znak. Byli zdeterminowani. Powyżej Snorri dotarł do grani, na którą się wspinaliśmy. Nadal kulał, ale z jego nogą nie było gorzej niż na początku.

- Cholera. - Przełęcz Aralska znajdowała się pomiędzy dwiema ogromnymi górami na pograniczu ze Scorrone. Zawsze wydawało mi się, że góry nie mogą być wyższe, bo dźwigające je skały nie byłyby w stanie udźwignąć ciężaru. Myliłem się. Ałpy za Chamo-Nis zwodziły oko. Dopiero pośród nich można było ocenić ich prawdziwy ogrom. Na zboczu największej góry całe miasto zdawałoby się ledwie okruchem. Za granią, na którą wdrapaliśmy się, pokonuje opór zabójczego wichru, znajdowała się następna, a za nią następna i następna. Przedziały je głębokie parowy o stokach pokrytych rumoszem albo niedostępnymi ze względu na stromiznę. Jedyna możliwa droga wiodła poprzez płytsze niecki zasłane głazami wielkości budynków, które w każdej chwili groziły upadkiem.

Snorri, który zaczął już schodzić, aż jęknął, poślizgnąwszy się na kamieniu. Wiedziałem, że porzucę go, jeśli zacznie mnie spowalniać. Nie żebym tego chciał i na pewno bym sobie to wyrzucił, ale wołałem czuć do siebie niechęć, niż spotkać się z bandą oprychów. Od razu zabrzmiało to lepiej. Rozsądniej. Dwudziestu najemników. Prawda była taka, że za nic w świecie nie stawiłbym czoła nawet

jednemu, ale dwudziestu brzmiało lepiej jako wymówka i powód porzucenia przyjaciela. Przyjaciela? Zastanawiałem się nad tym, schodząc w dół. Może raczej znajomego.

Kiedy dotarłem do kolejnego zbocza, na które musieliśmy się wspiać, byłem już cały obolały. Miałem niezłą kondycję, jeśli szło o jazdę konną, kiepską jako piechur i żadnej w wypadku wspinaczki.

- Cz-czekaj - dyszałem, usiłując wykraść wichrowi odrobinę powietrza, żeby nabrać tchu. Wiatr nie był już tak dokuczliwy jak w dolinie, ale nadal silny. Powietrze zdawało się rzadsze i nie chciało porządnie napełnić płuc. Snorri jakby tego nie zauważał, nie oddychał jakoś ciężiej niż na początku.

- Chodź - ponaglił mnie z uśmiechem, choć po drodze był ponury. - Lepiej stanąć wyżej. Lepiej dla walki, lepiej dla duszy. To będzie piękny koniec. - Spojrzał na grań, z której zeszliśmy. - Wczoraj miałem mroczne sny. Ostatnio miewam mroczne sny. Ale nie ma mroku w walce na wysokim szczycie, pod bezkresnym niebem. To, mój przyjacielu jak bitwa z legend. Walhalla czeka! - Klepnął mnie w ramię i odwrócił się ku stokowi. - Dzieci wybaczą ojcu, jeśli zginie, walcząc po drodze do nich.

Ruszyłem za nim, rozcierając sińca na ramieniu i kolkę pod żebrami. Jak dla mnie, te jego brednie o wojownikach pod bezkresnym niebem były bardziej niż mroczne, ale nie zamierzałem się o to kłócić, przynajmniej dopóki robiliśmy wszystko, by uniknąć spotkania z oprychami.

Miejscami musieliśmy prawie pełznąć. Szorując niemal czołami o skały, odnajdywaliśmy szczeliny w nierównej powierzchni, a potem podciągaliśmy się do góry. Mój oddech stał się urywany, a zimne powietrze kłuło w płuca. Obserwowałem, jak Snorri wybiera ścieżkę, pewnie, spokojnie, bez wysiłku, choć oszczędza ranną nogę. Nie musiał nawet mówić o tych snach. Sypiałem obok niego, słyszałem, jak mamrocze, jakby się z kimś sprzeczał, a tego ranka po przebudzeniu na podłodze karczmy, jego oczy, zwykle błękitne jak niebo, były smoliste czarne. Ponieważ jednak przy śniadaniu po zmianie nie było śladu, mogłem udawać, że to sprawka słabo oświetlonej izby. Ale nie przywidziało mi się to.

Byliśmy jakieś sto jardów od grani, na którą wspinaliśmy się, kiedy nasz pościg wyłonił się po drugiej stronie parowu. Byłem spokojniejszy straciwszy ich chwilowo z widoku. Kłopoty są kłopotliwe, nawet gdy się ich nie widzi. Liczyłem, że podejście będzie dla nich tak samo trudne, jak dla nas i przynajmniej kilku drani stoczy się w dół.

Na zboczach zaczęły kłaść się cienie. Ciało podpowiadało mi, że wspinałem się od co najmniej miesiąca, ale umysł był zaskoczony zbliżającym się zmierzchem. Miałem nadzieję, że w nocy będziemy mogli się zatrzymać i odpocząć. Nikt nie byłby w stanie pokonywać takiej drogi w ciemnościach.

Góry wyglądają z oddali pięknie, ale lepiej żeby pozostawały na horyzoncie. Jeśli trzeba zadzierać głowę, żeby je zobaczyć to znaczy, że znajdują się za blisko. Na szczyt trzeciej grani praktycznie wpełzałem. Wszelkie zdradzieckie myśli o porzuceniu rannego Snorriego już dawno wyparowały mi z głowy. W międzyczasie awansowałem Wikinga na najlepszego przyjaciela i człowieka, który niechybnie będzie mnie niósł. W miejscach mniej stromych czołgałem się ze zmęczenia. Moje płuca nie były w stanie zaczerpnąć wystarczająco powietrza, by zasilić kończyny. Pokonaliśmy parę szerokich półek skalnych zasłanych głazami wielkości człowieka, aż po takie wielkości małego słonia. Wędrowaliśmy wzdłuż nich, poszukując ścieżek, które pozwoliłyby wejść nam na następne.

- Chodź, to proste. - Snorri patrzył na mnie z góry, podając rękę. Zatrzymałem się w dwóch trzecich drogi na górę, przed stromizną zasypaną luźnymi kamykami. Powyżej znajdował się rozsadzony mrozem gład. Zrobiłem ku niemu krok, sięgając po wyciągniętą dłoń.

- Ku... - Chciałem zakląć, ale kiedy zacząłem się ześlizgiwać w dół słowo przemieniło się w jęk, a jęk w krzyk zakończony „uuuch!” i lądowaniem na tyłku.

- Jeszcze raz - poradził mi mój zawsze pomocny towarzysz.

- Nie dam rady - wymamrotałem, zaciskając zęby. Noga w kostce piekła ciekłym, ognistym bólem. Staw wyginał się pod nienaturalnym kątem. Możliwe nawet, że w okrzyku utonął chrzęst albo trzask, ale tak czy siak nie uśmiechało mi się oparcie ciężaru na tej nodze.

- Wstawaj! - ryknął Snorri, jakby komenderował żołnierzem na paradzie. Byłby świetnym sierżantem, bo zerwałem się na równe nogi zanim zdołałem ocenić, czy to dobry pomysł. W następnej chwili zwałem się na ziemię z krzykiem.

W przerwie, kiedy nabierałem tchu do kolejnych wrzasków, usłyszałem chrzęst kamieni, a potem świat przesłonił mi Wiking.

- Nie porzuca się towarzyszy - powiedział. - Chodź, pomogę ci.

Nie jestem facetem, który czerpie przyjemność z bliskości innego mężczyzny, ale w tamtej chwili przepakowane, spocone męskie objęcia były mi miłsze niż uściski Cherri czy Lisy. Snorri przerzucił mnie sobie przez ramię i zaczął iść. Bliskość sprawiła, że znów zaczęło się między nami budować to magiczne napięcie, ale uznałem, że to mniej ryzykowne niż zetknięcie się oko w oko z Edrisem i jego osiłkami.

- Dziękuję - wybełkotałem na wpół przytomny z bólu. -Wiedziałem, że mnie nie zostawisz. Wiedziałem... - Snorri zatrzymał mnie i postawił na jednej nodze, opierając o głaz. - Co?

- Nic. - Snorri przez chwilę studiował układ głazów na półce. - Może być. Tu zostajemy.

- Nie, nie zostawaj! - syknąłem przez zwarte zęby. -dalej, ty wielki

bałwanie. - *Tylko zabierz mnie ze sobą!* To ostatnie dopowiedziałem w duchu. Nie dlatego, że Snorri mógł o mnie źle pomyśleć, uznałem po prostu, że przez to nie zmieni zdania. Oczywiście gdyby się choćby ruszył, natychmiast podniósłbym kwestię mojego towarzystwa. Na razie jednak poprzestałem na zgrywaniu bohatera licząc, że dzięki temu chętniej mnie będzie bronił.

Snorri pomachał dla rozgrzewki toporem. Pewnie wolałby szersze półokrągłe ostrze nordyckie, którym łatwiej było odrąbywać kończyny. To, które posiadał, było masywniejsze i nadawało się bardziej do rozłupywania zbroi. Jeśli najemnicy zdołaliby dostać się tu w zbrojach, równie dobrze moglibyśmy od razu zrezygnować.

Nieopodal półka zwiężała się, a prawie całą szerokość blokował wielki głaz. Od strony urwiska dało się go obejść dwu- czy trzystopowej szerokości występem. Dno parowu leżało jakieś dziesięć jardów niżej. Snorri przycałił się za głazem tuż przy wążutkim przejściu.

- To twój plan? Zaskoczyć pierwszego, a potem zmierzyć się z dziewiętnastoma pozostałymi?

- Tak - wzruszył ramionami. - Szedłem tak wysoko tylko dlatego, bo wiedziałem, że zostaniesz ze mną, a nie chciałem cię mieć na sumieniu, Jal. Teraz jesteśmy w tym razem, widać bogowie właśnie tego chcieli od samego początku. - Na widok jego uśmiechu zaswędziała mnie ręka.

- Nie widzą nas. Możemy się gdzieś ukryć. Przejdą obok, rozproszą się, zgubią nas, poddadzą się. Nie dadzą rady śledzić nas na skałach. - Zmilczałem fakt, że musiałby mnie nieść.

Snorri pokręcił głową.

- Mogliby na nas zaczekać. Poniżej tych półek jest otwarty teren, zobaczyliby nas na zboczu. Tak jest lepiej.

- Ale... - *Jest ich dwudziestu, ty kretynie!*

- Są wykończeni, Jal. Porządny przywódca kazałby im się trzymać razem, ale są zbyt pewni siebie, zbyt chętni, żeby nas zabić. Czterech czy pięciu na przedzie wyprzedziło pozostałych co najmniej o ćwierć mili - Splunął na znak, że gardzi ich nędzną taktyką. Też bym splunął, ale miałem za sucho w ustach.

- Spokojnie, przemyślmy to jeszcze...

Snorri uciszył mnie syknięciem i gestem. W dole rozległ się chrzęst kamieni. Przekleństwo. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo spowalniałem Wikinga, pogoń była tuż za nami. Przywarłem do zimnego głazu. Czyżby to miało być miejsce mojego ostatniego spoczynku? Byłem przekonany, że zginę w promieniu jarda od niego. Krajobraz na tej wysokości niewiele miał wspólnego z otoczeniem, do jakiego przywykłem. Tylko naga skała, zbyt wysoko i zbyt nasłoneczniona nawet dla porostów czy mchu. Ani jednej gałązki, ani ździebełka, ani splachci zieleni, żeby zaczepić oko. W życiu nie widziałem równie osamotnionego miejsca.

Bliżej Boga, lecz zapomniane przez Boga.

Na zachodzie słońce skłoniło się niżej, czerwieniąc niebo ponad ośnieżonymi szczytami.

Snorri uśmiechnął się do mnie. Jego oczy były jasne, niebieskie, a wiatr targał mu włosy, smagając kruczymi kosmykami szyję i ramiona. Śmierć postrzegał jako wybawienie. Teraz widziałem to wyraźnie. Stracił zbyt wiele. Nigdy by się nie poddał, ale porywał się na niemożliwe. Odwzajemniłem uśmiech, bo cóż więcej mogłem zrobić? Poza odpęłnieniem.

Wiatr przyniósł odległe odgłosy nadchodzących. Przesuwające się pod podeszwami kamienie, szczęk broni, przekleństwa pod adresem towarzyszy i świata ogólnie. Spróbowałem stanąć i o mało nie odgryzłem sobie języka. A skoro o mało, znaczyło to, że kostka jest raczej skręcona niż złamana. Zrobiłem parę szybkich kroków i aż pociemniało mi przed oczami. Musiałem oprzeć się o głaz. Ścigany grozą, może i dałbym radę oddalić się kawałek, skacząc i zataczając się, ale wtedy bandyci dopadliby mnie bez Snorriego. Jednak czego bym nie zrobił, bez niego i tak nie miałem szans.

Odnajdź spokojne miejsce, Jalandre. Obskoczyłem mój głaz, starając się przypomnieć sobie ostatnie chwile z Lisą DeVeer. Kroki dały się słyszeć z przejścia nad urwiskiem. Ale upadek był najmniejszym zmartwieniem bandytów, choć jeszcze o tym nie wiedzieli. Kucnąłem, przełykając ból i wyjrzałem zza głazu, żeby zobaczyć ich przybycie. Zmoczyłem spodnie, ale górskie powietrze mocno odwadnia.

Pierwszy wychynął Darab Voir, dokładnie taki sam, jak go zapamiętałem ze spotkania w karczmie - łysy, smagły, poznaczony plemiennymi bliznami, lśniący od potu. Nie zauważył nawet Snorriego. Topór Wikinga zatoczył łuk równoległy do głazu, zza którego Darab się wynurzył. Zawsze wydawało mi się, że głowa to masywna część ciała, jednakże na widok tego, co się stało, musiałem zmienić zdanie. Krawędź ostrza wniknęła w czaszkę Daraba z tyłu od góry i pojawiła się pod podbródkiem. Twarz bandyty wybrzuszyła się i rozpadła na boki, kiedy ten bez słowa protestu runął w dół, obryzgując sobą kamienie.

Snorri ryknął. Zaciekłość, z jaką to uczynił, powstrzymałaby nawet słonia Taproota, ale nie ona budziła grozę. Najstraszniejsza była radość pobrzmiwająca w tym okrzyku. Snorri nie czekał na resztę. Sam okrążył głaz i zatopił ostrze w głowie kolejnego opryszka, uderzając nim o skalną ścianę. A potem ruszył na nich, w zasadzie przebiegł przez nich, rozdając szybkie razy toporem, jakby trzymał w dłoni rapier, lekki, niczym wierzbina. Dwóch, trzech, czterech mężczyzn zniknęło w dole lub grzmotnęło o skałę, każdy z dziurą wielką jak pięść.

Zza głazu dobiegły do mnie słowa, nie jakiejś pieśni wojennej Wikingów, ale starożytnych wersów „Pieśni o Rzymie”.

I rzekł dzielny Horacy,

Kapitan strzegący bram:

Każdemu na tej ziemi

Śmierć przeznaczona

Stęknienie z wysiłku, szczęk broni na skale i głuchy łomot upadających ciał.

A jakże lepiej odejść

Niż strachowi stawiając czoła

Za prochy ojców

Za świątynie bogów

Przeklęty barbarzyńca. Podobało mu się to szaleństwo. Miał siebie za Horacego stojącego na wąskim moście u wrót Rzymu, powstrzymującego w pojedynkę całą wielką armię Etrusków! Zacząłem się odczołgiwać. To wstyd nas zabija. Wstyd, ciężar nie do udźwignięcia, przykuwa do pól bitewnych. Na szczęście wstyd nigdy nie był moją przypadłością, jednakże zacząłem się obawiać, że recytujący kolejną zwrotkę Snorri może nie wytrwać tak bez końca. Przyjmując, że bandyci nie mieli ze sobą łuków... Oczywiście, jeśli ten Edris miał choć trochę oleju w głowie, powinien oskrzydlić wroga. A nikt nie jest w stanie walczyć z nieprzyjacielem nadchodzącym z dwóch stron. Ja zaszedłbym...

- Dzień dobry, a co my tu mamy?

Zadarłem głowę i spojrzałem wprost w jasne oczy Meegana, drugiego towarzysza, z którym Edris był poprzedniej nocy w karczmie. Promienie zachodzącego słońca obramowały go czerwienią. W tawernie na jego widok pomyślałem, że to ostatni człowiek, którego chciałbym spotkać w ciemnym zaułku. Podobnie jak Jaśko Obrzyn, miał postawę człowieka zdystansowanego do świata, jakby obserwował wszystkich zza przesłony konfesjonału. Tacy ludzie potrafią świetnie torturować.

U jego boku stał stary wyga o siwiejących włosach, trzymający w dłoni długi miecz. W czasie, gdy siedząc w kucki gapilem się na Meegana, półkę skalną przebyli kolejni bandyci.

Cokolwiek zamierzasz zrobić w sytuacji zagrożenia, zrób to szybko. Zawsze twierdziłem, że to, iż jesteś tchórzem nie znaczy, że nie możesz być w tym dobry. Ojciec niezmiennie zachęcał mnie do bycia najlepszym we wszystkim. A najlepszy tchórz to szybki tchórz. Jeśli zaś zamierzasz dać drapaka, nie zastanawiaj się nad kierunkiem, tylko ruszaj prosto przed siebie.

- Ouf! - Tyle zdążył wyartykułować Meegan, a i to nie z własnej woli, a przypadkiem taki odgłos wydobył się z jego gardła, gdy przepływało przez nie naraz dużo powietrza opuszczającego płuca. Odbiłem się zdrową nogą i staranowałem mikrego drania barkiem. W takich wypadach większe gabaryty dają przewagę. Opryszek stojący za nim zachwiał się i przewrócił.

Pozytywną rzeczą w przewracaniu się w górach, pozytywną, jeśli dotyczy innych ludzi, jest to, że zazwyczaj przy upadku trafia się głową na jakąś skałę.

Meegan nie wykazywał już chęci do zmiany pozycji horyzontalnej. Drugiemu udało się jednak wylądować na tyłku, więc zerwał się gwałtownie, przeklinając. Nagle obaj łypnęliśmy zezem na klingę, którą trzymałem w dłoni za rękojeść, a której ostry koniec ginał pomiędzy jego żebrami. Nie pamiętałem, żebym dobywał miecza, a co dopiero kierował ostrze w jego stronę.

- Wybacz. - Nie pytajcie, dlaczego przeprosiłem. W chaosie zapomniałem o bólu kostki i ruszyłem naprzód, wyszarpując klingę z ciała bandyty z obrzydliwym mokrym chrzęstem metalu trącego o kość. Ujrawszy nieopodal bandytów biegnących po kamienisku, odwróciłem się na zdrowej stopie i zacząłem kuśtykać ku miejscu zasadzki, gdzie ostatnio widziałem Snorriego.

Nadszedł z naprzeciwka. Albo raczej ja rzuciłem się plackiem na ziemię, kiedy wyłonił się zza skały, skąpany we krwi, z ostrzem przy uchu i trzonkiem przyciśniętym do piersi. Jego cicha determinacja była przerażająca. A potem ryknął ten swój okrzyk wojenny i cicha determinacja wydała mi się ze wszech miar pożądana. Dopiero ułamek sekundy później zrozumiałem, że krzyczę „Za tobą!”

Czterech oprychów było tuż za moimi plecami. Snorri wpadł pomiędzy nich, całkowicie ignorując bezpieczeństwo wszystkich, w tym własne i moje. Ostrze topora zatopiło się w splocie słonecznym jednego z napastników rozpoławiając mu mostek. Potem Snorri barkiem zaatakował drugiego, zwałistego gościa, zbijając go z nóg i miażdżąc o ostrą krawędź skały. Trzeci wyprowadził cios, ale olbrzyma jakimś cudem nie było już w miejscu, w które celował - sztych utknął pomiędzy łokciem i bokiem Wikinga. Snorri, kontynuując obrót, wyrwał ostrze z rąk przeciwnika. Z czwartym nie miał szans. W zwarciu z jednym wrogiem, bronią, która utkwiała w drugim, był odkryty na atak włócznika.

- Snorri! - wrzasnąłem, choć nie wiem, dlaczego. Przecież sam widział swoją sytuację jak na dłoni. Włócznik zawahał się na мгnienie. Nie podejrzewam, że to przez mój krzyk. Zatrwożył go raczej widok ociekającego krwią giganta o pokrytej juchą twarzy, która mięła się w dzikim, radosnym uśmiechu. Mgnienie nie powinno było starczyć na cokolwiek, ale Snorri z rykiem wydarł ostrze topora z piersi wroga, siejąc przy tym wokół różnymi kawałkami wnętrzości i w ostatniej chwili odrąbał włócznie tuż pod grotem.

Zamach w drugą stronę i włócznik runął z twarzą zmiażdżoną obuchem. I mógłbym przysiąc, że za przecinającym powietrze metalem snują się smużki mroku. Wicherki nocy na torze zamachu, które rozwiewały się jak dym. Ostatni z napastników, teraz pozbawiony miecza, okręcił się na pięcie i rzucił do ucieczki. Snorri odwrócił się do mnie z oczyma czarnymi jak węgle, zdyszany, warcząco, niewidzący.

Przetoczyłem się, wstając na nogi, a raczej na nogę i przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie. Ponad ramieniem Snorriego padały ostatnie promienie słońca zachodzącego za góry.

- Masz kawałek... - Pokazałem na migi, drapiąc się po brodzie. - Kawałek czegoś... To chyba płuco.

Bardzo powoli podniósł rękę, a jego oczy zaczęły się przejaśniać.

- Całkiem możliwe. - Stracił ochłap. Uśmiechnął się. Znow był Snorrim.

- Jest ich więcej? - zapytałem.

- Jest. Ale nie wiadomo, czy nadejdą. Zostało chyba ośmiu. - Otarł twarz, rozmazując krew. Fragmenty skóry, które wyłoniły się spod czerwieni były blade, zbyt blade nawet jak na Wikinga. Ciemna struga wypływająca z rany pod żebrami sugerowała, że nie cała krew należała do naszych wrogów.

- Edris?

Snorri pokręcił głową.

- Zapamiętałbym go. Pewnie zamyka tyły pilnując, żeby żaden z ludzi nie uznał zbocza za zbyt strome. - Oparł się o skałę z toporem w rękę. Pomiędzy czerwienią przebijały się białe fragmenty skóry pokryte dziwnymi ciemnymi żyłami.

- Powinniśmy im dać nieco do myślenia - powiedziałem. Lepiej niż inni znałem potęgę strachu, a Snorri zrobił przerażającą rzeź. Schyliłem się do człowieka, którego Snorri rozerwał, wyciągając topór, żeby obronić się przed włócznią. Lewy but wydawał się najmniej śliską częścią, za którą można było chwycić. Zacząłem wlec go w stronę krawędzi półki. Przeciągnąłem go jakieś sześć cali, kiedy odkryłem, że choć ślepe przerażenie jest potężnym anestetykiem, to gdy bezpośrednie zagrożenie mija, jego efekt znika błyskawicznie. Upadłem, łapiąc się za kostkę i tworząc całkiem nowe przekleństwo, które lepiej oddałoby moje cierpienie.

- Kurdemordebele.

- Chcesz przerzucić trupy na dół? - zapytał Snorri.

- Może się chociaż zastanowią. - Ja na pewno bym się zastanowił, a po zastanowieniu stwierdził, że wrócę kiedy indziej.

Snorri kiwnął potakująco, złapał dwóch leżących za kostki i zrzucił ich na niższą półkę. Wylądowali z chrzęszczącym młaśnięciem, na którego dźwięk przewrócił mi się żołądek. Prawdopodobnie właśnie tę ścieżkę obiorą najemnicy, tę samą, którą pokonaliśmy my. Meegan i reszta poszli inną, trudniejszą, zachęceni do tego odgłosami bitwy. Woleli rozsądnie uniknąć podejścia do Snorriego od frontu, wąską dróżką, pojedynczo i dlatego wybrali niebezpieczną, ale umożliwiającą zajście go z boku.

Siedząc na ziemi, złapałem ponownie trupa za przegub, zaparłem się zdrową nogą o kamień i zacząłem ciągnąć zwłoki cał za całem w stronę urwiska. Przesunąłem je o jard a w tym czasie Snorri pozbył się reszty.

- Ten jeszcze dycha. - Snorri pochylił się nad Meeganem i kopnął go w żebra. - Tyle że nieprzytomny. - Uśmiechnął się do mnie z uznaniem. - Jednak

zostawiłeś najmniejszego przy życiu, tak, jak obiecałeś.

- Jasne, taki był plan - burknąłem, przeciągając mojego trupa kolejne trzy cale. To był włócznik. Na szczęście leżał twarzą do ziemi. Zostawiał za sobą smugę czerwieni. Trzymałem go za przegub, nie chcąc dotykać ciepłych trupich palców.

- Zajmę się resztą. - Snorri poszedł w stronę bandytów, których zabił na samym początku, a którzy nie spadli wystarczająco nisko.

- Ależ dzięki, dam radę. Nie rób sobie kłopotu. - Żadnej odpowiedzi. Snorri był poza zasięgiem mojego głosu, a reszta widzów leżała nieżywa bądź nieprzytomna - i cały sarkazm na marne. -I raz! - Ciało przesunęło się. Martwe palce drgnęły jak odnóża dogorywającego pająka, muskając żyły i tętnice na moim nadgarstku. Prawie że udało mi się puścić, ale w ostatniej chwili palce te zacisnęły się w kleszczowym uchwycie, a trup uniósł głowę, zwracając na mnie twarz wykrzywioną w krwawym uśmiechu. Pomiędzy resztkami skóry i tkanek bieleły się kości czaszki. Strach dodaje siłę, najwyraźniej śmierć dodaje ich więcej. Szarpnąłem się, przesuwając włócznika cały jard, ale nie wyzwoliłem się, tylko przyciągnąłem go do siebie na tyle blisko, że mogłem chwycić mnie za gardło. Zdołałem tylko wydać zdławiony okrzyk, zanim jeszcze ciepłe trupie palce zacisnęły się na mojej szyi.

Nikt nie zdaje sobie sprawy, jakie to straszne, dopóki sam nie stanie się ofiarą duszenia. Nie trzeba ogromnej siły, aby odciąć dostęp powietrza, a siła truposza była ogromna. Kiedy nie można oddychać, oddychanie staje się natychmiast *jedyną* rzeczą, jaką pragnie się robić. Drapałem dłoń pod brodą, czepiałem się palców, ale jeśli ktoś po spotkaniu z toporem Snorriego może się jeszcze uśmiechać, paznokcie nie są dla niego wielką przeszkodą. Wsparłem się stopą o bark umarłego, i z całej siły się odepchnąłem. Poczulem, jakby gardło wydzierano mi z szyi, ale uchwyt nie zelżał. Czarne płaty wirujące mi przed oczyma zaczęły łączyć się w ścianę mroku. Przecięły je oślepiająco jasne pęknięcia, serce łomotało mi w piersiach, a nozdrza wypełnił odór palonego mięsa, mimo że nie mogłem wciągnąć powietrza.

A potem, tak nagle, jak mnie chwyciła, ręka zniknęła. Zamajaczył nade mną Snorri, który chwycił mnie pod pachy i pociągnął w tył. Gdyby pot przerażenia nie zapewnił nawilżenia szyi, pewnie ujrzałbym jej krwawe ochłapy w zaciśniętych dłoniach trupa.

Leżałem, dysząc ciężko i wciągając powietrze przez zgniecione gardło, a Snorri tymczasem uniósł topór do ataku. Trup wstał, unosząc dziwnie popalone, dymiące ręce. Snorri ruszył naprzód, ale w tej chwili dwie postaci złapały go od tyłu. Zachwiał się, rozpaczliwie usiłując odzyskać równowagę. Uwiesiło się na nim dwóch napastników, których poprzednio poczęstował toporem. Z koszmarnych ran trupów nadal sączyła się krew.

Zdyszany, osłabły, zacząłem wycofywać się, szurając tyłkiem po

kamieniach. Włócznie zbliżał się do mnie niespiesznie. Snorri też był w tarapatkach. Jeden z trupów wisiał mu na plecach, a drugi obejmował go w pasie, usiłując wygryźć dziurę w brzuchu.

- Pomocy! - zdołałem pisnąć cicho. Snorri pewnie nawet nie zauważył. Rzucił się do tyłu na ścianę leżącą nad nami półki, zgniatając napastnika pomiędzy szerokimi plecami a skałą. On może nie słyszał mojego wołania o pomoc, ale ja aż nadto wyraźnie usłyszałem gruchot miażdżonych żeber trupa.

- Mfgl. - Włócznie usiłował coś powiedzieć, zanim na mnie naskoczył. Rozerwane tkanki i pęknięta szczeka uniemożliwiły mu artykulację.

- Pomocy! - Udało mi się krzyknąć nieco głośniejsze i tym razem, spodziewając się kolejnej tury duszenia, chwyciłem włócznie za oba przeguby. Siła stwora była zaskakująca. Spalone ciało rozstępowało się i ślizgało pod moimi palcami.

Ponad głową mojego napastnika ujrzałem, jak Snorri rąbie zgniecionego wcześniej trupa, nie tyle odcinając mu głowę, a wręcz rozcierając szyję na miazgę dwoma silnymi ciosami. Po drugim we włócznie zaszła straszliwa zmiana. Jego siła z wielokrotnością się, a ręce, które do tej pory powstrzymywałem, wyrwały mi się i znów zacisnęły na mojej szyi. Pofragmentowana twarz zbliżyła się do mojej, język przesunął się po strzaskanych zębach, a oczy zaślniły dziwną inteligencją. Snorri złapał głowę swego ostatniego wroga w obie ręce i z siarczystym przekleństwem przekręcił. Wymagało to nadludzkiej siły, bo moc jego przeciwnika także wzrosła, a kiedy w końcu oderwał go od siebie, w szczękach trupa zwisały kawałki jego skóry i ciała. Snorri uniósł kolano, nadziewając nań twarz trupa, potem odepchnął go kopniakiem, a w końcu rzucił się za nim i roztrzaskał mu głowę wielkim kamieniem.

I znów, jakby moc nekromańska dzieliła się do tej pory na dwa stwory, spłynąwszy ze zniszczonego naczynia przelała się w pozostałe, podwajając siłę mojego napastnika. Włócznie wstał, podnosząc mnie jak piórko. Według wszelkich praw powinien mi w tamtej chwili złamać kark, ale choć siła jego ramion wzrosła, siła uchwytu zmalała.

Spojrzałem w dół, na moje dłonie, które żarzyły się białym światłem. Oślepiający blask wypływał spomiędzy palców, podświetlając ciemniejsze zarysy kości na tle różowego chaosu tkanek i pulsującej krwi. Tam, gdzie nasze skóry się stykały, ciało umarlaka paliło się, tłuszcz skwierczał, mięso czerniało, odsłaniając ścięgna, które tliły się i drżały.

Omaliem nie puściłem go, wstrząśnięty.

Snorri nadbiegł zwarty i gotowy. Wymierzył trupowi potężny cios w czaszkę, lecz ten oderwał jedną dłoń od mojego gardła i pochwycił topór poniżej ostrza. Trzonek uderzył o jego dłoń z głuchym łupnięciem. Snorri usiłował wyrwać broń, ale udało mu się tylko powlec parę jardów trupa trzymającego mnie wciąż za

gardło. Nie był w stanie odzyskać broni na siłę. Chwycił więc trzonek na samym dole i przekręcił, używając go jak dźwigni. Kości nadgarstka pękły z głośnym trzaskiem, ścięgna poddały się, tkanki zostały rozerwane. Snorri zostawił topór w połamanej ręce trupa, sięgnął po kamień i zaczął grzmocić nim w uśmiechniętą twarz.

Uwolniony, odtoczyłem się, z trudem łapiąc dech. Ręka, która mnie dusiła, sterczała przytwierdzona do dwóch poczerńiałych kości przedramienia. Powietrze wcale nie chciało przepływać przez wymęczone gardło. Ostatnia rzecz, dość abstrakcyjna zresztą, jaka przemknęła mi przez głowę, zanim zemdlałem, to że nie sądziłem nigdy, iż w przedramieniu człowieka znajdują się dwie kości.



- Obudź się.

Nie chcę.

- Obudź się. - Tym razem policzek. Możliwe, że za pierwszym razem też.

Nie, jeśli nadal tkwimy na tej przeklętej górze. Ktoś wpakował mi do gardła jeżyny. Czułem ból w klatce piersiowej.

- Już!

Uniosłem jedną powiekę. Na niebie nadal widać było echa dnia. Ze szczytów sphywał chłód. Cholera. Nadal góry.

- Szlag. - Cienko to wypadło. Snorri pozwolił opaść mojej głowie z powrotem na plecak i odsunął się.

- Co robisz? - Wydusiłem zbyt mały kawałek pytania, by dał mi na nie odpowiedź. Poddałem się, skupiając na wciąganiu powietrza do płuc. Poczerniała dłoń uniosła się do moich oczu. Pisałem, wzdrygając się, zanim uświadomiłem sobie, że to moja własna ręka. Dziwne uczucie oderwania narastało, kiedy usiadłem i zacząłem odrywać spalone kawałki skóry. Nie mojej, fragmenty tkanek trupa, który usiłował mnie zabić. Kawałki, częściowo suche, częściowo wilgotne, spadały pomiędzy kamienie, zbyt ciężkie, by wiatr mógł je unieść. Wspomnienia z walki były fragmentaryczne i nieprzyjemne. Usiłowania odepchnięcia ich spaliły na panewce. Ciągle miałem przed oczyma sączące się spod dłoni światło, oślepiające ale nie gorące. *Jak to pali bez ognia?*

- Co robisz? - Uznałem, że może Snorri pomoże mi się oderwać od niechcianych myśli. Tym razem udało mi się przemówić głośniejszym głosem i zwrócić jego uwagę.

- Oczyszczam ranę. Ten przeklęty stwór mnie ugryzł. Na skórze, ponad jego biodrem, widniały ślady zębów.

- Ta od miecza wygląda gorzej. - Czerwona szrama przecinała jego umięśniony brzuch.

- Ugryzienia to paskudne rany. Lepiej mieć przeszyte ostrzem ramię, niż dać capnąć się w dłoń psu. - Snorri ścisnął w palcach ranę, z której popłynęła świeża krew. Skrzywił się, sięgnął po manierkę i polał resztą wody miejsce ugryzienia.

- Co to u diabła było?! - Większa część mnie wcale nie chciała wiedzieć, ale usta najwyraźniej tak.

- Nekromancja. - Snorri wyjął z bagażu igłę i nić, które prawdopodobnie zdobył w cyrku. Jedno i drugie unurzane było w pomarańczowej mazi. Z pewnością jakiejś pogańskiej miksturze, która miała odganiać złe humory. - Tym razem nie nienarodzony. Ale tylko potężny nekromanta może ożywić trupy tak szybko po śmierci. - Kolejny szew. Zdjęły mnie mdłości. - I to na odległość! - Potrząsnął głową, a potem skinął na coś za moimi plecami. - Twój przyjaciel pewnie wie więcej.

- Kurdemordebele! - Przekręcenie głowy przypomniało mi, że ktoś przecież nasypał mi w szyję tłuczonego szkła. Powoli okręciłem się całym ciałem, trzymając głowę na wprost i nie ruszając nią ani w dół ani w górę. Wreszcie w polu mojego widzenia pojawił się Meegan. Łypał na mnie jasnymi oczyma wybałuszonymi nad kneblem. Snorri związał mu nogi i ręce, po czym posadził, opierając o głaz. Oprych ślinił się i trząśł ze strachu, zimna, a może jednego i drugiego.

- A jak chcesz go zmusić do mówienia? - zapytałem.

- Wytlukę z niego odpowiedzi. - Snorri zerknął znad zszywania. W jego wielkich łapach igła zdawała się śmiesznie mała, a jednocześnie zdecydowanie za duża i zbyt ostra niż cokolwiek, co chciałbym wbijać we własne ciało.

Wciągnąłem nosem powietrze. Wokół unosił się smród śmierci, którego nawet wiatr nie rozwiewał do końca.

- Edris! - Przypomnienie podziałało na mnie jak kubeł lodowatej wody. Sięgnąłem po miecz, ale nie mogłem go znaleźć.

- Uciekł - rzekł Snorri z nutką rozczarowania. - Trupy na dole wstały i wystraszyły jego bandę. Widziałem, jak uciekają.

- Niech to szlag! Jeszcze więcej tych stworów? - Wołałem już Edrisa od tych szczerzących się trupów, które nie chciały leżeć trupem, za to usiłowały mnie udusić.

Snorri przytaknął, po czym pochylił się, żeby przegryźć nitkę. Wypluł resztki. - Nie mogą tu wejść. I za życia nie byli dobrymi wspinaaczami, a co dopiero teraz.

Nie miałem ochoty wychylać się, żeby zobaczyć ich zadarte głowy i usiłowania wypełnienia na urwisko, zsuwanie się w dół i znów wczepianie się w kamienie zakrwawionymi palcami. Przypomniałem sobie widok oczu istoty, która mnie dusiła. W gardle urosła mi gula. Coś innego patrzyło na mnie spoza tych oczu, coś dużo gorszego niż to, co spoglądało nimi przez długie lata za życia.

Meegan może i przerażał mnie w karczmie, obserwując, jakbym był jakimś owadem, któremu chętnie powyrywałby odnóża, ale tu na górze zdawał się najmniejszym z naszych zmartwień.

- Ale jak będziesz go bił, to znów straci przytomność. Zresztą lanie w twoim wykonaniu szybko wykończyłoby i tura.

- Nie możemy go zabić - stwierdził Snorri. - Kto wie, w co by się zamienił.
- Ja wiem. - Wsparłem czoło na ręce, przypominając sobie, o ile większy jest ode mnie Snorri. - A teraz on także to wie. I to nie pomaga.

- Och. - Snorri założył kolejny szew, zbliżając do siebie brzegi rany na brzuchu. - No tak. Wybacz.

- Według mnie powinniśmy zdjąć mu buty i rozpalic pod stopami małe ognisko. Wie, że nogi są jego jedyną szansą na wydostanie się stąd. Szybko rozwiąże mu się język.

- Rozejrzyj się. - Snorri potoczył wokół nożem, którym przycinał bandaże. - Nie ma drewna. Nie rozpalimy ognia. - Zmarszczył brwi. - Ten ostatni trup, którego rzucałem - Jego ramiona były spalone. Jak to zrobiłeś? - Zmrużył oczy i zaczął przyglądać się moim dłoniom, nadal częściowo poczerniałym.

- To nie ja! - Prawie że zabrzmiało szczerze. Przecież to nie mogłem być ja. - To znaczy nie wiem.

Snorri wzruszył ramionami.

- Spokojnie. Nie jestem rzymskim Inkwizytorem. Pomyślałem, że mogłoby się przydać z tym tu Wytrzeszczem. - Wskazał nożem na Meegana.

W zamyśleniu przyglądałem się swoim rękoma. Mawia się, że tchórze są najlepszymi katami. Posiadają bujną wyobraźnię, wyobraźnię, która zadrecza ich koszmarami, grozą wszystkiego, co może im się przydarzyć. To zapewnia im ogromny arsenał, gdy przychodzi do torturowania innych. Niemalże znaczenie ma też zrozumienie mechanizmów strachu - pojmują lęk lepiej niż ich ofiary.

Możliwe, że to wszystko prawda, ale ja zawsze za bardzo obawiałem się, że któraś z ofiar może uciec, odwrócić sytuację i odpłacić mi pięknym za nadobne. Generalnie tchórze, którzy są dobrzy w torturach są mniejszymi tchórzami ode mnie. Ale tak czy owak Meegan potrzebował zachęty, ja zaś chciałem dowiedzieć się, co stało się trupowi włócznika. Snorri wspominał o Inkwizytorach, a ci bez wątplenia byli najlepszymi katami w całym Rozbitym Imperium. Jeśli chciałem uniknąć omawiania z tymi potworami mojego »czarowania«, lepiej, bym się o nim czegoś dowiedział i albo się tego pozbył, albo skutecznie ukrył.

Meegan był ranny. Paskudne cięcie czerwieniło się na rajeniu, poniżej barku. Musiał upaść na ostry kamień, który rozciął mu przeszywanicę i skórę. Sięgnąłem ku ranie. Najlepiej zaczynać od słabego punktu.

- Mum! Mum! - bełkotał poprzez knebel.

Trzeba przyznać, że czułem lekki dreszczyk - po całych tygodniach uciekania, sypiania w rowach przydrożnych strachu, wreszcie dostało mi się trochę władzy. W końcu miałem przed sobą wroga, z którym mogłem dać sobie radę

- Ależ będziesz mówił, będziesz! - Użyłem tonu, którym straszylem młodszych kuzynów, kiedy byli na tyle mali, że można nimi było pomiatać. - Będziesz mówił! - Z plaśnięciem zakryłem jego ranę dłonią. Pragnąłem, żeby

splonął na miejscu!

Efekty były... rozczarowujące. Na początku nie czułem nic prócz nieprzyjemnej miękkości i wilgoci rany. Meegan szarpał się i wykręcał. Wyglądało na to, że przynajmniej go boli, ale szybko okazało się, że więcej w tym było spodziewanego bólu niż autentycznego i wkrótce się uspokoił. Postarałem się mocniej. Skąd miałem wiedzieć, jakie to uczucie, kiedy posługuje się magią? W dzieciennych zabawach w pałacu, czarodziej -którym zawsze był Martus - ze względu na starszeństwo -rzucał czary z wytężoną miną, jakby cierpiał na zaparcie, jakby z całej siły starał się wypchnąć niechętną magię na świat przez małą... no, możecie to sobie wyobrazić. Z braku lepszych doświadczeń, wykorzystałem te zdobyte w dzieciństwie. Kucają na tej górze, z ręką na, jak liczyłem, przerażonym wrogu, wytężyłem się w próbach wyzwolenia wspaniałej mocy.

Kiedy to się stało, nikt nie był bardziej zaskoczony ode mnie. Poczułem łaskotanie. Jestem przekonany, że każda magia łaskocze - choć to oczywiście mógł być też przykurcz. Potem w opuszkach coś mnie dziwnie zaswędziało, a doznanie spłynęło z palców łącząc się w nadgarstku. To, co w pierwszej chwili wziąłem za bladeść skóry, zmieniło się w wyraźny blask. Światło zaczęło przesączać się spod mojej dłoni, jakbym zakrywał nią coś jaśniejszego od słońca. A potem poczułem ciepło. Meegan znieruchomiał, wpatrując się we mnie ze zgrozą. Napiąłem się jeszcze bardziej, chcąc wyrządzić sukinsynowi jak najwięcej krzywdy. Na wierzchu mojej dłoni pojawiła się siateczka linii.

Światło i ciepło zdawało się ze mnie wypływać, emanować z mojego wnętrza i zlewać się w jeden palący strumień. Wokół zrobiło się zimniej, skały wydawały się twardsze, a ból w mojej kostce i gardle bardziej dokuczliwy. Pajęczyna jaśniejących linii napełniła mnie lękiem, za bardzo przypominała pęknięcia, które ścigały mnie po przełamaniu zaklęcia Milczącej Siostry.

- Nie! - Szarpnąłem się w tył, a ogrom zmęczenia omal nie wtłoczył mnie w kamienie.

Z góry padł na nas cień.

- Złamałeś go? - zapytał Snorri, kucając z grymasem bólu.

Uniosłem głowę. Ważyła kilka razy więcej, niż powinna ważyć. Rozdarcie w przeszywanicy Meegana ukazywało brudną, ale jasną, zdrową skórę z delikatną blizną w miejscu rany.

- Cholera.

Snorri wyrwał jeńcowi knebel.

- Gotowy na spowiedź?

- Byłem gotów zanim jeszcze tu przyszedłem - mamroty Meegan, usiłując usiąść. - Przecież mówiłem! Nie trzeba było mnie przekonywać! Powiem wszystko, co wiem!

- O - podsumowałem lekko rozczarowany, choć na jego miejscu

uczyniłbym dokładnie to samo. - A potem mielibyśmy cię puścić, tak?

Meegan przełknął nerwowo.

- To byłoby fair. - Cały się pocił ze zdenerwowania.

- Tak samo fair, jak napadanie na dwóch we dwudziestu ludzi? - zagrział Snorri. Mówiąc, przesuwając palcem po ostrzu swojego topora.

- Hm, cóż. - Meegan znów z trudem przełknął ślinę. - To nie było nic osobistego. Za to zapłaciła. Zwykły interes. Edris rzucił na stół jej kasę i zebrał paru tutejszych chłopaków, chłopaków, którzy widzieli co nieco, którzy walczyli albo najmowali się już wcześniej do różnych robótek i takich tam.

- Ona? - Znałem parę kobiet, które chętnie zobaczyłyby, jak zbieram cięgi i nawet kilka, które chętnie by za to zapłaciły, ale dwudziestu ludzi to stanowcza przesada, a większość z owych nadobnych dam nie chciałaby prawdopodobnie, żeby kara była ostateczna.

Meegan skinął ochoczo. Ślina zasychała mu na twarzy, a pod nosem tworzyła się skorupa smarków.

- Edris mówił, że była ładna. Ale nie w tak grzeczny sposób, o nie.

- Ty jej nie widziałeś? - Snorri pochylił się ku jeńcowi-

Meegan zaprzeczył.

- Edris ubił interes. Nie jest stąd. Ale zna paru niebezpiecznych typów. Bywa tu czasem, raz, dwa razy w roku.

- To ona jest tym nekromantą. Ma jakieś imię, ta ona?-zapytał Snorri.

- Chella. - Meegan oblizał usta. - Napędziła Edrisowi stracha, oj tak. Nigdy wcześniej nie widziałem go wystraszonego. Sam nie chciałbym jej spotkać, po tym, jak go zobaczyłem. Nieważne jaka by nie była apetyczna.

- A nie wiesz może, gdzie teraz jest ta Chella? - Dłonie Wikinga zacisnęły się na trzonku topora, jakby wyobrażał gardło nekromantki.

Meegan potrząsnął głową, gwałtownie, jak pies otrząsający się z wody.

- Nie jest stąd. Edris mówił, że z północy. Miał od niej flaszkę, żeby oblać robotę. To był jakiś trunek z Gelleth, tak mówił Darab. Dziwnie palił w gardle. - Zacisnął usta. -Dziwnie splotywał. Ciągle chciało się go więcej. Pewnie jest z Gelleth ta kobieta. Może wróciła do siebie. Może patrzy na nas i teraz. Coś podniosło chłopaków, jak żeście ich powalili.

- To co robimy? - Nie podobała mi się myśl, że jakaś nekromańska wiedźma obserwuje nas, gotowa posłać za nami swoje trupy. Na dworze babki wszystkie te opowieści brzmiały śmiesznie. Byłem przekonany, że to brednie, a nawet jeśli tkwiło w nich ziarno prawdy, nie wydało się przerażające. Przegniłe truposze podrygujące za wystraszonymi wieśniakami wydawały się łatwym przeciwnikiem dla porządnych żołnierzy. Ale tu, całe mile od cywilizacji, i to rhoneńskiej cywilizacji, na obcej ziemi, w otoczeniu przeważającej liczby martwego wroga, rzeczy miały się całkiem inaczej. - Musimy coś zrobić.

- Z nim? - Snorri kopnął związane nogi Meegana.
- Z nią.
- Mój cel leży na północy. Jeśli coś wejdzie mi w drogę zrobię w tym dziurę. Jeśli nie, zostawię to za sobą.
- Zbieramy się i ruszamy na północ. Podoba mi się ten plan. - Jak każdy, który opierał się na ucieczce. - A co z nim? - Żadne rozwiązanie nie wydawało się właściwe. Nie chciałem puszczać Meegana wolno, nie chciałem go zatrzymać przy nas, a choć ciągle kogoś zabijałem, nie miałem duszy mordercy.
- Niech idzie do kamratów. - Snorri złapał za więzy Meegana i szarpnął, stawiając go na nogi.
- Ej, to nie fair. Chciał nas zabić...
- Snorri podszedł do urwiska, ciągnąc za sobą oprycha, po czym zrzucił go na dół.
- Do tych kamratów. - Rozpaczliwy krzyk Meegana zakończył się mokrym łupnięciem, po którym nastąpił tupot wielu stóp. Gapiłem się na Snorriego wstrząśnięty. - Zawsze staram się postępować fair, być honorowym człowiekiem - wyjaśnił - ale zbliż się do mnie uzbrojony, z zamiarem odebrania mi życia, a już nigdy nie będziesz chodził.



Noce spędzone w górach nie należą do przyjemnych. A już ciemne noce, pełne odgłosów trupów usiłujących wdrapać się na półkę, gdzie drżysz pod cienkim pledem -tym bardziej.

Wreszcie nadszedł ranek.

- Uleczyłeś tego człowieka. - Snorri prowadził nas wzdłuż zbocza, szukając drogi na dół, która nie byłaby dostępna dla umarłaków.

- Skądże. - Zaprzeczanie było polityką, którą wyznawałem od najmłodszych lat. - Kurde! - Omsknęła mi się noga i postawiłem stopę twardziej, niż zamierzałem. Rozżarzone igły bólu w kostce nie pozostawiały wątpliwości, że zejście będzie bolesnym procesem.

- Jego rana na ramieniu była głębsza niż moja na brzuchu.

- Ale skąd! Rozerwał tylko kaftan. Wielka dziura w kaftanie i lekkie zadrapanie. Mocno krwawił. Pewnie ilość krwi cię zwiodła. Głównie ją starłem i już. - Już widziałem, dokąd to zmierza. Snorri też pewnie chciał, żebym go uleczył.

Co to, to nie. I tak już rana Meegana wysssała ze mnie zbyt dużo energii. Cała noc z siostrami DeVeer by mnie tak nie wykończyła. Rana Snorriego wyzułaby mnie z resztek sił. -Przykro mi, ale... Au! Jezu Chryste! To bolało! - Lekko uderzyłem kostką o kamień.

- Masz rację - ustąpił Snorri. - Ktoś, kto potrafiłby uleczyć tak głęboką ranę, zająłby się już dawno swoją kostką. Myliłem się widać.

Zrobiłem jeszcze trzy bolesne kroki zanim dotarło do mnie, co powiedział. Usiadłem na pierwszym lepszym głazie.

- Boli jak diabli. Chyba spróbuję ją trochę rozmasować. -Usiłowałem działać ukradkiem, ale Snorri stał z założonymi na piersiach rękami i gapił się na mnie podejrzliwie. Mimo to myśl o schodzeniu na zdrowej nodze stanowiła pokusę nie do odrzucenia. Zaciśnąwszy zęby, otoczyłem kostkę obiema dłońmi i wyteżyłem się. Snorri uniósł brew. Sięgnąłem w głąb siebie, próbując wydobyć tkwiącą we mnie magię i wysiliłem się jeszcze bardziej.

- Hm, eghem, zostawię cię, jeśli potrzebujesz odrobiny prywatności. - Zaciśnięta linia ust w czarnej brodzie nie wskazywała, że się ze mnie naigrywa.

- Żartujesz sobie ze mnie?
- Owszem.

Puściłem kostkę i poruszyłem nią na próbę.

- Ojaciepierpapier... - Resztę słowa dowylem.
- Nie uleczona, jak rozumiem?

Podniosłem się powoli. Wyglądało na to, że cokolwiek zrobiłem Meeganowi, nie mogłem tego zrobić sobie. A całe to leczenie bandyty poszło całkiem na marne, bo Snorri zrzucił go z urwiska minutę później. Może to był jednorazowy występ? Taką miałem nadzieję.

- Chcesz, żebym spróbował? - Wskazałem na talię Snorriego.

Cofnął się gwałtownie.

- Lepiej nie. Jak się dotykamy, dzieją się złe rzeczy, a mam przeczucie, że teraz byłoby gorzej niż ostatnio.

Przypomniałem sobie, jak ześlizgując się ze zbocza, sięgałem po jego wyciągniętą rękę. Kiedy tak o tym pomyśleć, możliwe że uraz kostki był mniejszym złem. Gdyby udało mi się go chwycić, może oboje skończylibyśmy spaleni jak ten włócznik.

- Co się dzieje? - Wyciągnąłem przed siebie ręce, wnętrzem dłoni do siebie. - Ten truposz usmażył się tam, gdzie go dotknąłem. A ty. - Odwróciłem się do Snorriego zły, przestraszony, i całkiem obojętny, czy go urażę czy nie. -Ty! Z tobą też jest coś nie tak, Wikingu! Widziałem te twoje czarne oczy. Widziałem... Dym, nie, nazwijmy to po imieniu, widziałem mrok wirujący wokół ciebie, kiedy zabijałeś tych bandziorów, jakbyś toporem wycinał go z powietrza. -Elementy układanki wskoczyły na miejsce. Powinienem zobaczyć to wcześniej! - To właśnie siedzi w tobie, prawda? Mrok w oczach, mroczne sny. Mrok!

Snorri zważył w ręce topór, mierząc wzrokiem trzonek. Przez moment myślałem, że mnie uderzy, ale potrząsnął tylko głową i uśmiechnął się ponuro.

- Dopiero teraz to zrozumiałeś? To ta klątwa, którą na mnie ściągnąłeś. Na nas. Klątwa tej twojej wiedźmy, Milczącej Siostry. To złamane zaklęcie, te bliźniacze linie, które za tobą mknęły. Mnie dostał się mrok, tobie światło. Oba szepcą nam do uszu, oba chcą się z nas wydostać. Na północy mądre baby mówią, że świat jest jak płótno utkane z wielu nitek i rozciągnięte na tym, co rzeczywiste. Świat, który widzimy jest cienki. - Uniósł kciuk i palec wskazujący, które prawie się stykały. - Tam, gdzie powstanie rozdarcie, wydostaje się prawda. My jesteśmy jak to rozdarcie, Jal. Niesiemy w sobie niewidoczne rany. Niesiemy je na północ, a śmierć chce nas powstrzymać.

- Słuchaj, musimy zawrócić. Moja babka jest Czerwoną Królową, do licha. Może to wszystko naprawić. Wrócimy i...

- Nie - uciał Snorri. - Widzę, że choć wydostałem księcia z pałacu, ten pałac jest w nim głęboko zakorzeniony. Przestań wreszcie marudzić i jęczeć nad

każdą trudnością, przestać ganiać za każdą kobietą, którą ujrysz, skup się na przetrwaniu. Tam. - Machnął toporem w stronę czarnych sylwetek gór. - Tam musisz żyć chwilą. Obserwuj świat. Jesteś młodzieńcem, Jal, dzieckiem, które nie chce dorosnąć. Dorośnij teraz, inaczej zginiesz jako młodzieniec. Cokolwiek kryje się za tym pościgiem, miało swój początek w Vermillionie. Wojna, która tam się toczy, zbliża się ku porażce. Martwy Król chce nas zabić, bo zabraliśmy ze sobą moc Siostry i niesiemy ją na północ.

Wstałem.

- To przestańmy iść na północ! Wracajmy! Wyprostujmy to wszystko! To przecież jakiś nonsens. To był wypadek! Pech. Nikt nie mógł tego zaplanować. To jakaś pomyłka!

- Widziałem ją, Jal. Widziałem tę twoją Milczącą Siostrę. - Snorri oparł opuszek na krawędzi oczodołu. - Ma bielmo na jednym oku.

- Jest pół ślepa, tak. - Jedno mlecznobiałe oko. Zanim poznałem jej imię, nazywałem ją staruchą z bielmem.

Snorri skinął.

- Ona widzi przyszłość. Raz spojrzała za daleko i to ją oślepiło. Ale ma jeszcze jedno oko. Spojrzała na wszystko, co mogło się wydarzyć, sięgnęła na tyle daleko, że zobaczyła twoją ucieczkę, nasze spotkanie i to, że poniesiemy jej moc na północ.

- Do diabła! - Cóż innego można było na to powiedzieć.

Wreszcie znaleźliśmy drogę na dół, którą truposze nie mogły za nami pójść, choć trudno rzec, czy nie stanowiła dla nas większego zagrożenia niż umarłaki. Mówię „nas”, ale to Snorri prowadził. Moje rozeznanie w terenie ogranicza się do obszarów miejskich, gdzie zawsze niezawodnie potrafię znaleźć kryjówkę. W górach przypominam raczej wodę. Toczę się po zboczu, czasami zabierając nawet ze sobą kamienie.

W pośpiechu banda nie zabrała wierzchowców należących do poległych towarzyszy. Co lepsze, znaleźliśmy także Rona i Slejpnir. Nie były to co prawda konie najwyższej klasy, ale przywykły do nas. Załadowaliśmy na nie wszelkie przydatne przedmioty z bandyckich wierzchowców, które potem rozegnaliśmy. Slejpnir skubała leniwie nędzną trawkę, spokojnie poddając się manipulacjom Snorriego, który ładował na nią bagaż. Wzdrygnęła się tylko, kiedy sam na nią wsiadł. Moim zdaniem powinni się zmieniać - Wiking z pewnością nie miałby problemów z poniesieniem swojej klaczy przez jakiś czas.

- Powinniśmy wypatrywać Edrisa i reszty bandy - zauważyłem. Nie, żebym w którejkolwiek chwili przestał to robić. - I tej nekromanckiej suki. - Denerwowała mnie myśl, że jakaś zaprzysiężona śmierci piękność obserwuje nas zza skał. A jeszcze bardziej fakt, że wystraszyła Edrisa samym swym widokiem, że wskrzeszała zmarłych i mogła zakraść się niepostrzeżenie do naszego obozowiska

nocą. Choć oczywiście nie zamierzałem już nigdy zasnąć. Przenigdy. - Niewykluczone, że Maeres posłał za nami szpiega, a skoro te trupy wiedziały, gdzie...

- A może po prostu poszukamy sobie jakichś kłopotów? - zasugerował Snorri i ruszył na północ.

Kolejną noc spędziliśmy również na wyżynie. Było twardo i zimno jak poprzedniej nocy, a cienie budziły taką samą grozę. Co gorsza, o ile to w ogóle możliwe, kiedy zapadał wieczór Snorri zmieniał się, oddalał, robił jakiś obcy. Jego oczy spijały mrok, czerniejac bardziej, niż kiedy zabijał swoich wrogów i barwił zbocza czerwienią. To, w jaki sposób spojrział na mnie, zanim zgasł ostatni promień słońca, kazało mi rozważyć, czy nie lepiej odkuśtykać od niego jak najdalej, kiedy tylko uśnie. Na szczęście dziesięć minut później wrócił do siebie przypominając, że jeśli w nocy będę się udawał za potrzebą, mam obrócić się w dół zbocza.

Zostawiwszy górę na horyzoncie, ruszyliśmy wzdłuż granic, najpierw wzdłuż tej ze Scorrone. Ta wkrótce miała zmienić się w granicę z Gelleth. Snorri wpatrywał się w dal, zwracając zawsze oczy na północ. Ja oglądałem się za siebie, na południe, ku domowi, przy okazji wypatrując zagrożeń, które podążały naszym śladem. Wędrówka pograniczem była szybka, o ile podróżny nie zaczepiał lokalnych mieszkańców, niechętnych obcym, zajętych swoimi sprawami, sprawami sąsiadów, nie zatrzymywał ich i nie usiłował zbierać podatków. W okolicach tych lepiej jednak nie pozostawać nazbyt długo. Wiele moich najgorszych doświadczeń pochodziło z pogranicza ze Scorrone - w zasadzie wszystkie złe doświadczenia, jakie posiadałem, zanim spotkałem Snorriego.

W prowincji Aperleon królestwo Rhone styka się z księstwem Gelleth oraz księstwem Scorrone. Na wzgórzach pełno jest pomników poległych w setkach bitew, w zasadzie ruin pomników, ale ziemie te są żyzne, a ludzie szybko je na nowo zasiedlają, jak to ludzie mają w zwyczaju. Snorri wiodł nas do miasta Compere, znanego z cydru i pięknych gobelinów. Nie mam pojęcia, skąd czerpał swoją wiedzę, ale wiecznie wyciągał z rękawa nowinki i informacje zebrane od mijanych wędrowców.

Nareszcie nastąpiło lato. Podróżowaliśmy w jaskrawym słońcu, pocąc się pod podróżnymi ubraniami i oganiając od chmar much. Widzieliśmy niewielu ludzi, potem jeszcze mniej, a wszyscy schodzili nam z drogi, jakbyśmy nieśli ze sobą jakąś zarazę.

Im dalej tym tereny wydawały się coraz bardziej zaniedbane. Ron i Slejpnir dreptały mozolnie pomiędzy wysoki, mi żywopłotami, skóra Snorriego poczerwieniała od słońca a ja na chwilę poczułem spokój, ukołyszany ciepłem i monotonnym tempem wierzchowców. Chwila ta jednak nie trwała zbyt długo. Zaczęliśmy mijać zarośnięte, nieuprawiane pola, opustoszałe gospodarstwa, w

których nawet nie było zwierząt. W jednym miejscu ujrzelśmy spaloną ziemię, wyludnioną osadę, stada kruków. Mimo upału poczułem zimny dreszcz.

Zamek Przekleństwo Rewerda, starożytna siedziba rodu Waintonów, posadowiony został na stromej skale, wznoszącej się parę mil od miasteczka Compere. Wpatrywał się w nas pustymi ślepiami. Ściany miał poczerńiałe od ognia, a urwisko poniżej znaczyły rdzawe plamy, jakby z bram wydostała się fala krwi ostatnich obrońców, zalewając płaskowyż. Słońce zaczęło zniżać się poza twierdzę, podświetlając poszarpany kontur blanek i rzucając długi, ciemny cień, niczym oskarżycielski palec wyciągnięty w naszą stronę.

- To stało się niedawno. - Snorri wciągnął powietrze do nozdrzy. - Czuć jeszcze spaleniznę.

- I zgniliznę. - Pożałowałem, że tak głęboko nabrałem tchu. - Lepiej znajdziemy inną drogę.

Snorri pokręcił głową.

- Myślisz, że inna będzie bezpieczniejsza? Cokolwiek się tu stało, to już historia. - Wskazał na niewyraźny opar w oddali, gdzie znad pogorzeliiska unosiły się smużki dymu. - Płomienie już wygasły. Więcej znajdziesz spokoju w ruinach niż gdziekolwiek indziej. Reszta miejsc po prostu czeka, by stać się ruinami. Tutaj to już się wydarzyło.

Tak więc ruszyliśmy naprzód i przed wieczorem dotarliśmy do wyludnionego Compere.

- To była zemsta. - Mury zostały rozbite, nie zostały nigdzie wyższe niż na trzy kamienie. - Kara. - Przekroczyłem kupę gruzu. Z ziemi nadal biło ciepło. Poza lasem popalonych słupów rozciągał się dywan rozżarzonych węgli, który dalej niknął okryty dymem.

- Wymordowani. - Snorri stał nieruchomo za moim ramieniem.

- Nie zamierzali przejmować tego miejsca - stwierdziłem. - To mogły być oddziały z Gelleth, łupieżcy ze Scorronu, a nawet armia rhoneńska. W życiu czegoś takiego nie widziałem. - Wiedziałem, że po potyczkach Stu zniszczenia były ogromne, ale nie widziałem ich na własne oczy.

- A ja tak. - Snorri wyminął mnie, wkraczając w ruiny czegoś, co niegdyś było miasteczkiem Compere.

Obozowisko rozbiliśmy pomiędzy ruinami. Chmurki popiołu gryzły nas w oczy i drażniły konie, ale zbliżała się noc i Snorri nie zamierzał iść dalej. Tyle dobrze, że nie musieliśmy wybierać pomiędzy niebezpieczeństwem rozpalenia ogniska, a chłodem. W Compere płonęły gotowe ogniska. Głównie były to ogniska dogasającego żaru, ale dawały dużo ciepła.

- Widziałem gorsze sceny. - Powtórzył Snorri, odsuwając od siebie strawę, którą przygotował. - W Ośmiu

Pomostach Wyspiarze byli krótko, ale w Orlsheim, w górę Uulisk, nie

spieszyli się.

I tak w ruinach Snorri jeszcze raz powiódł mnie na północ, tkając swą opowieść na kanwie nocy.

Snorri brnął tropem najeźdźców poprzez topniejące śniegi. Statki odpłynęły, prawdopodobnie do jakiejś ustronnej zatoczki, aby ukryć się przed sztormami i wrogimi oczyma. Wiedział, że wrócą na Zatopione Wyspy po nekromantów, ich oddziały i jeńców. O tej porze roku, tak daleka północ była nieprzyjaznym miejscem. Złamane Wiosło na pewno im o tym powiedział. Snorri nie wiedział, ilu jeńców wróciło na statki, a ilu poszło z najeźdźcami. Tych ostatnich jednak mógł wyśledzić, a ci w końcu i tak doprowadziliby go do statków.

Orlsheim leżało trzy mile w głąb lądu na krawędzi Uulisk, gdzie fiord zwężał się, a sosnowy las schodził ku samej wodzie z boczem łagodniejszym niż to, na jakim znajdowała się osada Osiem Pomostów. Brettanie ciągnący wielu jeńców zostawiali za sobą szeroki ślad. Poza Emy w wiosce nie było wielu zmarłych, trzy niemowlęta, pogryzione i porzucone oraz Elfred Ganson, który stracił nogę i wykrwawił się na śmierć. Inni polegli w potyczce zasilili pewnie szeregi nekromańskiej armii i powędrowali ku Orsheim. Snorri nie umiał stwierdzić, w jaki sposób Elfred stracił nogę, ale z pewnością uniknął dzięki temu grozy trupiego życia.

Domy w Ośmiu Pomostach pobudowano z kamienia, ale te w Orsheim były drewniane. Niektóre proste z bali i plecionki, inne z zachodzących na siebie desek, skonstruowane na wzór długich łodzi. Opierały się pogodzie tak samo uparcie, jak łodzie Wikingów opierały się morzu. Dym ze zniszczonego Orsheim czuć było już w Ośmiu Pomostach, ale mimo to Snorri nie spodziewał się tego, co ujrzał w sąsiedniej wiosce. Nawet wielki dom uczt Bragi Solnego spłonął do gołej ziemi. Każda belka dachowa, każda z ośmiu kolumn, grubszych od masztów, rzeźbionych w sceny z legend, wszystko pochłonęły płomienie.

Snorri szedł naprzód, zostawiając za sobą brzegi Uulisk, gdy najeźdźcy skręcili, by obejść obrzeżem Wodinswood, gęsty, nieprzyjazny las, który rozciągał się na pięćdziesiąt mil aż do podnóży Jorlsbergu. Ludzie nazywali go Ostatnim Lasem. Poza nim na północ nie było już żadnych drzew. Mróz nie pozwalał im rosnąć.

Na obrzeżach tego lasu, do którego tak często chodził w poszukiwaniu reniferów ogryzających mech z pni drzew, Snorri znalazł swojego syna.

- Od razu wiedziałem, że to on.
- Co? - Potrząsnąłem głową, wyrwany ze snu, który utkał Wiking. Zwrócił się do mnie bezpośrednio, chciał odpowiedzi, reakcji, może tylko, żebym towarzyszył mu w chwili strasznego odkrycia?

- Wiedziałem, że to on, mój syn, Karl. Leżał jeszcze daleko. Z Uulisk brzegiem lasu prowadzi ścieżka wydeptana przez jelenie, wtedy błotnista, zryta

kopytami reniferów. Leżał przy niej. Rozpoznałem go po włosach, białych jak matki. Nie Freji, Freja urodziła mi Egila i Emy. Matka Karla była dziewczynką, kiedy byłem z nią, jeszcze sam byłem chłopcem. Mhaeri, córka Olaafa. Sami byliśmy dziećmi, ale splodziliśmy dziecko.

- W jakim wieku? - zapytałem sam, nie bardzo wiedząc, czy pytam o nich czy o ich syna.

- Mieliśmy może po czternaście lat. Umarła, wydając go na świat. On zginął na progu piętnastej wiosny. - Wiatr zmienił kierunek, pogrążając nas w gęstym dymie. Snorri siedział nieruchomo, z głową pochyloną na kolana. Kiedy dym się rozwiął, podjął: - Podbiegłem ku niemu. Powinienem zachować ostrożność. Nekromanta mógł porzucić go jako zasadzkę, na wypadek, gdyby ktoś ich śledził. Ale żaden ojciec w takiej chwili nie mógłby zachować ostrożności. Kiedy się zbliżyłem, ujrzałem tkwiącą w jego plecach strzałę.

- A więc uciekł? - zapytałem, chcąc oddać mu dumę z uczynku syna.

- Uwolnił się - przytaknął Snorri. - Wielki chłop, taki jak ja, ale myśliciel. Mawiano, że za dużo myśli, że to ja zawsze będę lepszym Wikingiem, bez względu na to, jak wielki on jeszcze urośnie. Ja uważałem, że zawsze będzie lepszym człowiekiem ode mnie, a to znaczy dużo więcej. Nigdy mu tego nie powiedziałem, teraz żałuję. Zakuli go w żelazne kajdany, ale uwolnił się.

- Żył? Rozmawiał z tobą? - dopytywałem się.

- Jeszcze tliło się w nim życie. Nie wykorzystał tego płomyka, żeby opowiedzieć, jak udało mu się uwolnić, ale na jego połamanych rękach widniały ślady kajdan. Nie da się z nich wyzwolić, nie łamiąc sobie kości. Wyrzekł do mnie tylko dwa słowa. Miał dla mnie dwa słowa i uśmiech. Najpierw się uśmiechnął, choć widziałem ten uśmiech przez łzy. Przelykałem przekleństwa, chcąc usłyszeć, co do mnie mówi. Wyrzucałem sobie, że mogłem przybyć wcześniej, że mogłem biec, mogłem znaleźć go parę godzin temu. A ja pakowałem się, zbierałem rzeczy i broń, jakbym wyruszał na polowanie. Mogłem zerwać się, biec od chwili, gdy zaspas mnie uwolniła. Mogłem... - Głos Snorriego pęczniał od emocji i wreszcie się załamał. Urwał w pół słowa, zacisnął szczęki, a jego twarz wykrzywił grymas. Opuścił głowę, pokonany.

- Co powiedział Karl? - Sam nie wiem, kiedy zacząłem przeżywać historię Wikinga. Nigdy nie byłem dobry w dzieleniu emocji. Może to przez parę tygodni wspólnej wędrówki, albo przez jakiś uboczny efekt zaklęcia, które nas połączyło, ale podzielałem jego ból i wcale mi się to nie podobało.

- Chcą klucza - rzekł do ziemi.

- Co?

- To właśnie powiedział. Ostatnim tchnieniem wypowiedział te słowa. Siedziałem z nim, ale nic więcej nie wyrzekł. Żył jeszcze przez godzinę, może mniej. Czekał na mnie, a kiedy przybyłem, umarł.

- Klucz? Jaki klucz? To jakiś obłąd! Kto zadałby sobie tyle trudu, żeby zdobyć jakiś klucz?

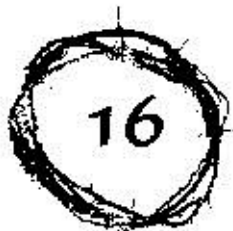
Snorri pokręcił głową i uniósł rękę, jakby błagał o zmiłowanie.

- Nie dzisiaj, Jal.

Wydąłem usta, popatrzyłem na niego, zgarbionego, i przełknąłem wszystkie pytania, które cisnęły mi się na język. Snorri albo mi kiedyś powie, albo też nie. Może nawet on sam nie wiedział jeszcze, co robi. Tak czy owak nie miało to dla mnie jakiegoś wielkiego znaczenia. Północ z minuty na minutę wydawała mi się coraz straszniejsza, a choć współczułem Snorriemu, nie zamierzałem wraz z nim ganiać po śniegu za trupami. Złamane Wiosło zabrał Freję i Egila na Srogi Lód. Snorri uważał, że jeszcze żyją i może nawet tak było. Ale nawet jeśli, była to sprawa pomiędzy Snorrim i Złamanym Wiosłem. Gdzieś w drodze pomiędzy obecnym miejscem, a lodami północy znajdował się sposób, by przełamać zakłęcie i rozdzielić się. W tym właśnie punkcie zamierzałem odejść szybciej, niż „Ż” zdoła opuścić ukryte wśród brody usta wypowiadające słowo „żegnaj”.

Siedzieliśmy w milczeniu. Albo prawie milczeniu, bo głos Baraęła majaczył gdzieś na granicy słyszalności, łagodny, śpiewny. Jakiś czas później położyłem się, składając głowę na plecaku. Sen zmorzył mnie dość szybko, ale na moment, zanim zmył moją świadomość i szepty, słowa stały się wyraźniejsze, prawie mogłem je zrozumieć. Głos mówił coś o honorze, odwadze, o pomocy Snorriemu w odnalezieniu spokoju...

- Chrzanić to - wymamrotałem w półśnie, ale szczerze.



Do

Ancrath dotarliśmy drogami wzdłuż granicy Rhone z Gelleth. Snorri posiadał wrodzoną ostrożność, która uchroniła nas przez kłopotami przy paru okazjach. Przeczekaliśmy w lesie przemarsz jakichś złachanych bitwą oddziałów, schowaliśmy się na polu kukurydzy przed bandą zbójców szukających okazji do zarobku. Nawet bardziej niż Snorri wołałem unikać takich spotkań, ale moje zmysły nastawione były na wynajdywanie oznak kłopotów podczas uczt w zatłoczonych komnatach lub pośród oparów w palarniach opium niż na otwartych przestrzeniach z końskiego grzbietu.

W Oppen, mieście leżącym parę mil w głąb Ancrath, nabyłem przyzwoite ubranie podróżne. Postarałem się o odzienie najlepszej jakości, które odzwierciedlałoby moją pozycję społeczną, choć normalnie prędzej padłbym trupem, niż założył toporne buciory i kaftan, którego jedyną zaletą była trwałość. Nie byłem w stanie przełamać się i pozwolić, by jakiś rhoneńczyk dobrał mi kapelusz i płaszcz, ale uznałem, że zdzierzę zabiegi ancrockiego krawca. Snorri tak parsknął i tupał podczas moich przymiarek, że w końcu musiałem odesłać go, żeby poszukał dla siebie jakiegoś odpowiedniejszego topora.

Kiedy wyszedł, natychmiast poczułem niepokój. Nie miał on nic wspólnego z naszą magiczną więzią, za to wszystko z przekonaniem, że nekromantka, która chciała pozbawić nas życia w górach nieopodal Chamo-Nis, nie porzuciła swoich zakusów. Ona, albo ten zamaskowany stwór z opery. To on musiał być celem zaklęcia Milczącej Siostry. Teraz byłem tego pewny. Gotowa była poświęcić życie dwustu ludzi, włączając w to elity Vermillionu - włączając w to mnie, do cholery! - żeby spalić tego jednego potwora. Mogłem tylko mieć nadzieję, że pęknięcie, jakie uczyniłem w jej zaklęciu, nie pozwoliło mu uciec. Oczywiście martwiłem się też innymi sługami Martwego Króla, którzy mogli czaić się za każdym rogim. Nawet za rogim u krawca!

Opuszczając Oppen, czułem ulgę. Wołałem być w ruchu, w drodze, tak bardzo do tego przywykłem, że wątpiłem, czy kiedykolwiek jeszcze zaznam spokoju w jednym miejscu.

Przejechaliśmy skrajem gór Matterack, posepnego łańcucha, nie mającego nic ze wspaniałości i wielkości Ałp, a potem skręciliśmy w stronę Rzymskiej Drogi, za którą optowałem od samego początku naszej podróży.

- Jest wybrukowana, bezpieczniejsza, co kawałek stoi tam zajazd, sklep, przebiega przez kilkanaście miast sporego...

- I łatwo obserwować na niej podróżnych. - Snorri skierował Slejpnir na starożytny kamień. Kopyta klaczy zaklekotały na bruku. Odgłos ten był dla mnie dźwiękiem cywilizacji. Na wsi wszystko tonie w błocie. Zdecydowanie wołałem stukot od tętentu.

- To czemu ryzykujemy akurat teraz?

- Spieszmy nam się.

- A to zrobi... - Ugryzłem się w język. Czy to zrobi jakąś różnicę? Snorriemu, owszem. Jego syn i żona byli jeńcami już od wielu miesięcy, zostali schwytani na długo przed tym, jak on został w kajdanach sprowadzony do Vermillionu. Jeśli nawet przetrwali, ciężko pracując nad zadaniem wyznaczonym im przez najeźdźców z Zatopionych Wysp, to parę dni wte czy wewte nie zrobi im różnicy. Nie mogłem mu tego jednak powiedzieć wprost. Głównie dlatego, że lubiłem swoje zęby, ale chodziło też o szepczącego mi do ucha anioła. Nie spodobałoby mu się to, a lepiej nie drażnić anioła, który siedzi w twojej głowie. To straszne istoty. - Nieźle nam szło, kiedy jechaliśmy sobie spokojnie. Czemu akurat teraz mamy się spieszyć? - Zawiesiłem głos, żeby sam to powiedział. Trudniej okłamywać siebie na głos i przy świadkach. Chciałem, żeby sam przyznał, iż wierzy w to, że jego żona i dziecko przeżyli.

- Przecież wiesz. - Spojrzał na mnie ponuro.

- I tak mi powiedz.

- Przez te głosy. Musimy się z tym uporać, zdjąć klątwę tej suki zanim ten głos, który podszeptuje, zacznie rozkazywać.

Zastygłem z rozdziawioną gębą. Ron stukotał sobie rytmicznie jeszcze ze dwadzieścia jardów, zanim ocknąłem się i zamknąłem usta.

- Chcesz powiedzieć, że nie słyszysz tego głosu? - Snorri pochylił się w siodle, łypiąc na mnie spode łba. Umiał łypać tak, że od razu człowiek sobie przypominał, że to ktoś, kto nadaje imiona swoim toporom.

Nie mogłem zaprzeczyć. Głos, który jeszcze w Compere szeptał do mnie na granicy słyszalności, stawał się wyraźniejszy z dnia na dzień, a jego podpowiedzi coraz częstsze. Co świt mówił głośniejsz. Na początku uznałem, że to, co kuzynka Serah miała na myśli, każąc mi słuchać głosu sumienia. Przyjąłem, że za dużo świeżego powietrza i za mało alkoholu otworzyły mnie na monolog sumienia. Jednakże te poranne świętoszkowate wykłady nasunęły mi pewne wątpliwości. Niemożliwe przecież, że każdy ma swojego podglądacza, który napomina go w każdej sekundzie życia. Nikt nie zostałby przy zdrowych zmysłach! I nikt by się

nie bawił.

- A co ten głos ci mówi? - zapytałem, nie przyznając się do niczego.

Snorri zwrócił wzrok przed siebie, pokazując mi szerokie plecy.

- Zakorzenił się we mnie mrok, Jal. Rozprzestrzenia się. Jak myślisz, jakie tajemnice podszeptuje noc?

- Hm... - Nie brzmiało to dobrze, choć szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciwko zamianie. I tak zawsze miałem w głowie nieprzyzwoite myśli. Większość ignorowałem z łatwością. Za to codzienne połajanki za niedoskonałości moralne doprowadzały mnie do szału. - Czy twój głos ma imię?

- Tak, moja nazywa się Aslaug.

- Ona? Dostała ci się babka?! - Nie byłem w stanie powstrzymać skargi w tonie. Zresztą wcale się nie starałem.

- Loki zległ z jötnar, pięknością o cieniu pająka. - Snorri mówił rzeczowo, nie tak, jak snuł te swoje opowieści. Wahał się, powtarzając nieznanne osobiście szczegóły. - Urodziła dwieście córek. Żyją w cieniu w różnych miejscach świata i nie wychodzą na światło. Tę historię opowiadała nam stara Elida. Teraz jedna z tych córek kroczy w moim cieniu.

- Więc ty masz piękną bezwstydnicę, a ja świętoszkowatego nudziarza? I gdzie tu sprawiedliwość?!

- Jak się nazywa?

- Baraquel. Ojciec pewnie bełkotał coś o nim z ambony, ale niech mnie drzwi ścisną, jeśli pamiętam to imię. - Baraquel na pewno z radością przedstawiłby mi swój rodowód, jeśli bym o to poprosił. Wydawał się być bezcielesnym głosem zakochanym w brzmieniu własnych wypowiedzi. Na szczęście jego obecność ograniczała się do paru minut tuż przed wschodem słońca, więc resztę czasu mogłem go spokojnie ignorować. A ponieważ byłem prawie w stu procentach grzesznikiem, poza pouczeniami mnie nie zostawało mu wiele czasu na inne sprawy.

- No widzisz - podjął Snorri. - Tym bardziej musimy się spieszyć i rozwiązać tę sprawę zanim Baraquel uczyni z ciebie przyzwoitego człowieka. A ze mnie Aslaug złego. Powinieneś wiedzieć, Jal, że ona cię nie lubi.

- Powinieneś posłuchać, co Baraquel ma do powiedzenia na temat mojego wyboru poganina na towarzysza podróży. - Nie najgorsza riposta, tyle że mój irytujący anioł wyśpiewywał co rano hymny pochwalne na cześć Snorriego, więc tak naprawdę lepiej, że Wiking tego nie słyszał.

Jechaliśmy cały dzień w pełnym słońcu. Ancrath najwyraźniej cieszyło się latem, którego tak bardzo brakowało nam w podróży. Może to właśnie przez pogodę, ale Ancrath wydało mi się przyzwoitym zakątkiem cesarstwa, pozbawioną rhoneńskiej zarazy żywną ziemią, którą uprawiali pokorni kmiecie i gdzie służalczy kupcy gięli się w pokłonach w pogoni za groszem.

Bardziej przyglądałem się Snorriemu, wypatrując w nim oznak złego, choć nie miałem pojęcia, co bym zrobił, gdybym takowe dostrzegł. Przerazająca była już sama przymusowa wędrówka z żadnym bitew Wikingiem w samobójczej misji ratunkowej. Teraz jeszcze zmuszony byłem wędrować z Wikingiem, który lada moment mógł zmienić się w jakąś mroczną istotę.

Dzień jednak minął spokojnie, a Snorri nie wykazywał żadnych inklinacji wobec tradycyjnie demonicznych działań, choć zdołałem sobie wmówić, że jego cień jest ciemniejszy niż cienie innych ludzi i zerkąłem nań raz po raz, wypatrując śladu obecności jego pięknej towarzyszki.

Moje własne błogosławieństwo Milczącej Siostry obudziło mnie przed świtem, kiedy koguty odchrząkiwały do pierwszego piana.

- Poganin został sługą ciemności. Powinieneś zadenuncjować go przy pierwszej okazji inkwizytorowi. - Baraquel mówił cicho, ale trudno zignorować głos rozbrzmiewający wewnątrz bębenków usznych. Poza tym miał irytującą barwę.

- C...co?

- Powinni go aresztować.

Ziewnąłem i przeciągnąłem się. Miło było obudzić się w łóżku, choćby i bez towarzystwa.

- Myślałem, że Snorri to twój złoty chłopiec. I powinienem brać z niego przykład.

- Nawet poganin może posiadać szlachetne cechy, choć w dziczy ciężko o dobre wzorce. Jednakże brak prawdziwej wiary naraził go na opętanie, a proces ten zaszedł już zbyt daleko, by dało się go zbawić. Teraz już największą szansą na oczyszczenie jest męka i ogień.

- Uhm. - Podrapałem się po jankach. Pchły to mała cena za wygodę łóżka. - Wątpię, żeby podziękował mi za tę przysługę.

- Pragnienia Snorriego nie mają tu znaczenia, książę Jalandre. Zło, które go opętało należy wypalić. Trzeba ją cisnąć w płomienie...

- Ją? A więc znasz towarzyszkę Snorriego? Twoja stara znajoma?

- Narażasz swą duszę za każdym razem, kiedy ze mnie kpisz, Jalandre. Jestem sługą bożym tu na ziemi, który zstąpił z niebios. Dlaczego...

- Dlaczego Bóg stworzył pchły? Mówił ci kiedyś? Ach! Mam cię, suko! - Zgniotłem insekta w palcach. - To co mamy na dzisiaj, Baraquelu? Powinieneś dowiedzieć się o czymś ważnym? Chcesz mi przekazać jakąś boską mądrość? - Nie to, że bym przeczył anielskości Baraquela, ani w ogóle przeczył istnieniu takowych istot - szyja nadal bolała mnie od uścisku truposza - po prostu uważałem, że mój osobisty anioł jest raczej poślednim przedstawicielem swego gatunku. Wiadomo przecież, że anioły powinny pojawiać się wielkie, skrzydlate, w złotym nimbie, mieć płonące ostrza i przekazywać mądrości w niezrozumiałych językach. Na pewno nie powinny się ukrywać i co rano budzić mnie głosem łudzaco

przypominającym głos mojego ojca.

Baraquel milczał przez chwilę, a potem kogut wypiał swoje powitanie nowego dnia i myślałem, że mój anioł już sobie poszedł.

- Czarni wędrowcy na drodze. Zrodzeni z płomieni. Księżę zesłał na nich ogień. Księżę zła, mroku, pomsty, księżę pioruna. Księżę cierni. To jego sprawka. Nadciągają posłańcy zagłady.

Słowa te znów mnie przebudziły.

- Tego rodzaju brednie spodziewałbym się usłyszeć za pół miedziaka od wieszczki Taproota. - Znów się podrapałem, ziewając szeroko. - Jaki księżę? Jaka zagłada?

- Ciernisty księżę. Ten, którego ród ściągnie niebiosą w piekło i rozedrze świat. Jego dar to śmierć aniołów, śmierć... - Na szczęście się zamknął. Gdzieś poza moim zatęchłym pokoikiem, słońce musiało wspiąć się na horyzont.

Przeciągnąłem się, ziewnąłem, przeciągnąłem, pokontemplowałem koniec rzeczy, po czym znów zapadłem w sen.

Opuściliśmy zajazd po zjedzeniu śniadania składającego się z wątroby, smażonych ziemniaków i kufelka piwa. Jak dotąd słynna kuchnia Ancrathu okazała się najmniej zachęcającym aspektem tej krainy, ale szereg dni spędzonych w siodle pobudza apetyt na tyle, by nabrać chęci na spróbowanie czegokolwiek jadalnego. Nawet konia.

Wjechawszy z piaszczystej dróżki od zajazdu na Rzymską Drogę, zapadłem w drzemkę na jawie, taką, przez którą łatwo zginąć w dziczy, ale na którą można sobie pozwolić w otoczeniu cywilizacji. Równocześnie zdałem sobie sprawę, że nie wiem, do jakiej istoty należała zjedzona przeze mnie wątroba i że z pewnością nie chcę jadać takowej na śniadania, szczególnie z czosnkiem.

Z myśli tych wyrwał mnie Snorri, który pognął do przodu, ku grupce wędrowców. Zmierzali ku Crath, tarasując drogę wózkami wszelkiej maści, dobytkiem i samymi sobą w łachmanach. Wszyscy byli brudni, pokryci jakąś sadzą, czy innym czarnym pyłem.

- Uchodźcy - powiedział Snorri.

Czarni wędrowcy. W mojej głowie odbiło się echo przepowiedni Baraquela.

Kiedy podjechaliśmy, zauważyłem, że wielu z nich było rannych. Ich rany krwawiły, a każdy mężczyzna, kobieta i dziecko, pokryci byli sadzą albo czarnym błotem, albo jednym i drugim. Snorri popędził ku nim Slejpnir. Pojechałem za nim, uważając, żeby żaden z nich mnie nie dotknął.

- Co wam się stało, dobry człowieku? - zapytał Snorri, pochylając się ku wysokiemu mężczyźnie z paskudną raną na czerepie.

Mężczyzna spojrzał na niego pusto.

- Najeźdźcy - wymamrotał.

- Gdzie? - Ale człowiek się od niego odwrócił.

- W Norwood. - Wyreczyła go kulejąca, siwiejąca kobieta. - Spalili je. Do gołej ziemi.

- Oddziały barona Kena? Czy Ancrath znajduje się w stanie wojny? - Snorri zmarszczył brwi.

Kobieta pokręcił głową i splunęła.

- Banda najeźdźców z Renaru. Wszystko spalone. Czasami to rycerze i żołnierze, czasami bandyci. Szumowiny. -Odwróciła się, pogrążając w żałości.

- Przykro mi. - Snorri nie próbował jej pocieszać, nie twierdził, że jej los się obróci, ale coś powiedział. To więcej, niż ja umiałem zrobić. Spiął konia i pojechał naprzód.

Przejechaliśmy przez kolumnę około trzydziestu uchodźców i przyspieszyliśmy. Z ulgą zostawiłem za sobą ten smród. Byłem biedny przez dzień czy dwa i wcale mi się to nie podobało. Ci, którzy uciekli z Norwood byli biedni już wcześniej, a teraz nie mieli nic, prócz potrzeb.

- Chcą się zdać na łaskę króla Olidana - rzekł Snorri. -To pokazuje ogrom ich rozpacz.

Nadal irytowało mnie, jak wiele Wiking wie o ziemiach leżących za morzami jego kraju. Oczywiście sam też słyszałem o Olidanie. Jego reputacja przeniknęła nawet do mojego przytulnego światka - babka nie raz narzekała na jego manipulantwo. Ale kto władał Kennick i jak układały się relacje Ancrath z błotnistym sąsiadem? O takich sprawach nie miałem pojęcia. Snorri zbeształ mnie za tak nikłą wiedzę o historii imperium, ale powiedziałem mu, że historia to stare nowiny, przebrzmiałe przepowiednie. Wołałem zajmować się sprawami aktualnymi. A liczyłem, że Crath zapewni mi przyzwoitą dozę ciekawych spraw. Miałem nadzieję na wino, kobiety i śpiew, czyli to wszystko, czego tak bardzo brakowało mi na drodze. Szczególnie na kobiety. Liczyłem też na znalezienie jakiegoś mędrca, który uwolniłby mnie z okowów zaklęcia Milczącej Siostry.

Rzymska Droga doprowadziła nas do celu szybciej niż rzeka i już niedługo spoglądaliśmy na podświetlone zachodzącym słońcem wieże, iglice i mosty Crath. Słyszałem, że stolica Olidana dorównywała wielkością Vermillionowi i że wydawano tu fortunę na budowę gmachów. Martus, który dwa lata wcześniej odwiedził Crath z misją dyplomatyczną twierdził, że pałac Ancrathu wygląda jak kikut wieży Budowniczych, ale mój brat zawsze kłamał, więc cieszyłem się, że niedługo sam będę mógł wyrobić sobie opinię o tej konstrukcji.

- Powinniśmy ominąć miasto. - Snorri został w tyle. Kiedy odwróciłem się, jego twarz skrywał cień i tylko na wypukłości czoła i kości policzkowych mienił się czerwony blask zachodu.

- Bzdura. Jestem księciem Czerwonej Marchii. Mamy układy z Ancrath i moim obowiązkiem jest odwiedzić tutejszego króla. - Obowiązek nie miał z tym nic wspólnego. Crath było moją najlepszą szansą na przełamanie czaru Milczącej

Siostry. Przy odrobinie szczęścia może nawet udałoby mi się namówić Olidana do pomocy. Może miał na usługach jakiegoś maga. A jeśli nie, w takim starożytnym mieście musiał żyć niejeden zaklinacz czy inny czarodziej. Wcześniej nie zwracałem uwagi na takie rzeczy. Gardziłem tym całym dymem, lustrami i starymi kośćmi. Ale nawet księżę musi czasem zmienić zdanie.

- Nie. - Widziałem w półmroku oczy Snorriego i przypomniałem sobie, że ta godzina długich cieni to pora, gdy przemawia do niego jego towarzysza, Aslaug, mroczny duch. Sączyła mu truciznę do ucha, kiedy słońce odchodziło, pogrążając świat w ciemnościach.

- Działanie bez przygotowania nie wyszło ci na dobre za pierwszym razem, prawda? Chcesz ocalić Freję? Małego Egila? Posiekać na kawałki Złamane Wiosło? Czas, byś zaczął korzystać z głowy, byś pomyślał, z czym mamy do czynienia i obmyślił plan. - Musiałem nim wstrząsnąć, nawet jeśli ryzykowałem sprowokowanie jego wewnętrznego Wikinga i narażalem się na konsekwencje. - To Crath. Jak sądzisz, ile mądrości ludzkiej ma źródło właśnie tutaj? Pokop głębiej w pierwszej lepszej legendzie, a okaże się, że bierze początek z dokumentu leżącego w skarbcu Loove. - Przerwałem, żeby nabrać tchu, choć właściwie przywołałem już całą wiedzę, jaką o mieście Crath wtłoczyli mi do głowy nauczyciele. - Myślisz, że stracimy tu czas? Nie dowiemy się niczego o twoich wrogach? A może uda nam się kupić antidotum na jad ghuli? Albo nawet zdjąć klątwę. Ryzykujesz jazdę Rzymską Drogą, pędzisz na północ na złamanie karku, licząc, że zdążysz, zanim mrok cię pochłonie... A rozwiązanie może kryć się za tymi murami! Milcząca Siostra to nie jedyna wiedźma w Rozbitym Imperium, o nie. Tu możemy znaleźć kogoś, kto nam pomoże.

Staliśmy teraz twarzą w twarz, końskim pyskiem w koński pysk. Czekałem na jego odpowiedź. Milczenie przedłużało się.

- Masz rację - rzekł w końcu Snorri i spiął klacz. Ulga, jaka mnie ogarnęła nie trwała długo. Przyszło mi do głowy, że przecież nie wiem, do kogo mówił. Do mnie czy do swojej demonicy? Odczekałem minutę, a potem wzruszyłem ramionami i popędziłem konia naprzód. Czy miało to jakieś znaczenie? Dostałem to, czego chciałem. Szansę. Koniec końców czego więcej trzeba? Miasta pełnego grzechu, zgnilizny moralnej i... szansy.

- Aslaug o tobie mówi - powiedział Snorri, kiedy się z nim zrównałem. - Że światłość cię przemieni, że staniesz mi na drodze. - Był wyraźnie znużony. - Nie wierzę, żeby córka Lokiego mogła wydobyć z siebie coś więcej niż pół-klamstwo, ale ma srebrne usta, a pół-klamstwo to również półprawda. A więc słuchaj, na wszelki wypadek... Nierozsądnie byłoby... słuchać rad kogoś, kto chce mnie powstrzymać.

- Ha! - Klepnąłem go w ramię i zaraz pożałowałem, bo dłoń zaskwierczała mi magicznym bólem. - Znasz kogoś, kto mniej chętnie słuchałby rad anioła niż ja?

Crath powitało nas z otwartymi ramionami. Jechaliśmy brzegiem rzeki, rozkoszując się ciepłem nocy. Po prawej stronie pylistą ulicę oświetlały latarnie karczm, a po lewej zacumowanych barek. Mieszkańcy pili przy stołach, beczkach, w grupach leżąc na trawnikach i na pokładach barek. Pili z glinianych kubków, cynowych naczyń, drewnianych kielichów, kufli, butelek, antałów, dzbanów - ile rodzajów napitków, ile gardeł, tyle sposobów na wlewanie w nie trunku.

- Wesoły lud, ci Crathanie. - Od razu poczułem się jak w domu. Wszelkie zamięłowanie do podróży uleciało ze mnie natychmiast, gdy poczułem tanie wino i tanie perfumy.

Jakiś rumiany parobek wytoczył się tyłem na drogę przed nami, jakimś cudem utrzymując kufel pod takim kątem, że nie rozlał ani kropli, mimo iż chwiał się jak marynarz w sztormową noc. Snorri uśmiechnął się na jego widok wesoło. Najwyraźniej minął mu już ponury nastrój, w jaki wprawiała go Aslaug.

Tłumek na pobliskiej barce piwnej zaczął śpiewać „Pieśń rolnika”, sprośną balladę opisującą w siedemnastu zwrotkach uciechy z pożycia z żywcem. Znałem tę piosenkę, choć w Czerwonej Marchii śpiewano ją o Rhoneńczyku, a nie góralu, który nie zazna spokoju, póki nie oskubie kogoś do gołego.

- To chyba jakiś festyn. - Snorri wciągnął w nozdrza powietrze przesycone zapachem pieczonego mięsiwa. Po całym dniu w siodle, taka woń może wywołać burczenie w brzuchu. Brzuch Snorriego wręcz ryknął. - Przecież chyba nie bawią się tak co wieczór?

- Wrócił zaginiony książę. Nie słyszeliście? - Przechodząca obok podchmielona kobieta sięgnęła ręką, żeby poklepać udo Wikinga. - Wszyscy słyszeli! - Zmieniła kierunek i zaczęła iść obok Slejpnir, nie zdejmując ręki z nogi Snorriego. - O rany! Sporo tu mięska!

Mąż albo alfons chwycił ją za rękę i odciągnął. Marszczył się groźnie, ale przecież nie mógł winić Snorriego. Na całe szczęście. Odprowadziłem ich wzrokiem. Kusząca, na swój sposób. Dobrze odżywiona, tłusta, można powiedzieć, ale wesoła. I z kurwikiem w oku. Miała nawet chyba większość zębów. Westchnąłem. Zbyt długo pozostawałem w drodze.

- Zaginiony książę? - Baraquel mamrotał coś o jakimś księciu.

Snorri wzruszył ramionami.

- Ty też jesteś zaginionym księciem. Od czasu do czasu wypływają tacy tu i ówdzie. Pewnie powrócił jakiś syn marnotrawny. A skoro raduje to mieszkańców, to nic, tylko korzystać. Wpadniemy, załatwimy swoje sprawy i wyjedziemy.

- Może być, jak dla mnie. - Oczywiście mieliśmy na myśli zupełnie inne sprawy, ale i tak brzmiało to dobrze.

Przejechaliśmy przez most Królewski nad Sane, szeroki, masywny, osadzony na wielkich przęsłach, które musiały przetrwać Tysiąc Słońc. Crath rozciągało się od portu w górę łagodnych zboczy aż pod mury Starego Miasta, gdzie mieszkała

zamożna część społeczeństwa, mająca widok na swoje włości. Pośrodku, nad miastem królował Wysoki Zamek. Jechaliśmy w górę ulicy, która doprowadziła nas do słabo oświetlonej dzielnicy, która cuchnęła ryszotkiem i gdzie pijacy zataczali się środkiem ulic, unikając cieni.

- Dzisiaj tutaj znajdziemy dla siebie jakieś miejsce - powiedziałem. - Najlepiej podejrzane i obskurne. - Następnego dnia zamierzałem być księciem i zapukać do drzwi Olidana. Tego wieczoru chciałem wykorzystać anonimowość i w pełni skorzystać z uroków cywilizacji. Uroków dekadentycznej cywilizacji. Skoro Baraquel miał i tak obudzić mnie o świcie na lekcję moralności, to równie dobrze mogłem mu podsunąć temat. Poza tym liczyłem, że jeśli znajdę jakąś jaskinię grzechu i obudzę się tak zeszmacony, jak miałem na to nadzieję, mój anioł odpuści.

- Tu? - Snorri wskazał na szeroką aleję, przy której z pewnością stały jakieś karczmy. Piętra trzykondygnacyjnych budynków wystawały jedno nad drugim ponad ulicę. Palec Wikinga kierował mój wzrok na szyldy.

- Upadły Anioł. Idealnie. - Ciekaw byłem, czy Baraquel to skomentuje. Odstawiwszy konie do stajni, weszliśmy do baru. Snorri musiał pochylić się, żeby nie potraćć wiszących nad drzwiami latarni ulicznych. Kiedy się odsunął, moim oczom ukazał się widok wnętrza. Zaiste, mordownia, wypełniona zgrają groźnych typów, jakich można było spotkać w przybytkach walk. A nawet na samych arenach. Instykt podpowiadał mi, żeby natychmiast okręcić się na pięcie i dać dyla w jakieś mniej groźne miejsce, ale Snorri szybko zajął stolik, a biorąc pod uwagę, że rozbił w perzynę bandę Edrisa, doszedłem do wniosku, że mam większe szanse z nim w knajpie niż samotnie na zewnątrz.

Anioł cuchnął swoim smrodkiem - potem, końmi, starym piwem i świeżym seksem. Kelnerki wyglądały na udręczone, barmani na zdenerwowanych, a dziwki siedziały na schodach, patrząc na salę pomiędzy tralkami z minami, jakby nie były pewne, że dobrze wybrały swój zawód. Wyglądało na to, że większość klientów nie należała do stałych bywalców. Wślizgując się na lawę obok Snorriego zauważyłem, że nocna klientela była tak różnorodna, jakby pochodziła z całego terenu pomiędzy krainą Wikingów a Czerwoną Marchią. Siedzący przy palenisku Nubańczyk zawędrował najpewniej najdalej od swego domu. Potężny, o skórze noszącej blizny plemiennych wzorów, z powagą obserwował otoczenie. Zauważywszy, że się na niego gapię, błysnął uśmiechem.

- Najemnicy - stwierdził Snorri.

Dopiero wtedy dostrzegłem, że niemal każdy z przebywających tu mężczyzn nosił broń, a większość po kilka sztuk i to nie jakieś eleganckie rapiery czy sztylety, ale wielkie miecze, topory, tasaki i noże do patroszenia niedźwiedzi. Przed Nubańczykiem leżała największa kusza, jaką kiedykolwiek widziałem. Paru najemników nosiło napierśniki, poczerniałe i powyginane przez lata używania, inni stare koszulki kolcze i przesywanice wzmocnione gdzieniegdzie płytkami z brązu.

- Może sprawdzimy to miejsce w dół ulicy, Czerwonego Smoka? - zasugerowałem, gdy Snorri uniósł rękę po piwo. -Może będzie mniej zatłoczone i...
- Uniosłem głos, żeby przekrzyczeć głośne toasty przy sąsiednim stoliku - mniej głośne?

- Tu mi się podoba - oświadczył Snorri, wyżej podnosząc rękę. - Piwa, kobieto, piwa! Na chwałę Odyna!

- Hmm. - Zobaczyłem kości i karty, ale coś mi mówiło, że krótko cieszyłbym się wygraną od któregośkolwiek z tutejszych klientów. Obok Snorriego swoje piwo sączył bezzębny starzec. Mimo że chęptał je ze spodka i tak udawało mu się oblewać nim siwy zarost na brodzie. Dalej siedział młodzik, któremu jeszcze wąż się nie sypał, szczupły, drobny, o wyjątkowo regularnych rysach, dzięki którym w odpowiednim oświetleniu można by nazwać go przystojnym. Rzucił mi nieśmiały uśmiech, ale i tak podejrzewałem, że ani on, ani jego kompanie są tymi, na kogo wyglądają. Trzymaj się z takimi, jak ci w Upadłym Aniele, a szybko zarobisz żelazem w brzuch, a pewnie i cały pakiet innych nieprzyjemności. Nasze ale zostało postawione tak gwałtownie, że piana popłynęła po krzywych ściankach gliniaków. Naczynia były byle jakie, tanie, takie, jakie kupuje się, przewidując ich krótki żywot. Łyknąłem z mojego gorzkawego piwa i otarłem pieniste wąsy. Siedzący po przeciwnej stronie wielki facet łypał na mnie złowrogo ponad morzem ludzkich ciał. Był uzbrojony w broń obuchową, którą z łatwością mógłby przebić się przez każde drzwi. Był tak wielki, że sąsiad sięgał mu do piersi. Rzeczony sąsiad był znów tak gruby, że trudno byłoby go wziąć za groźnego, a jednak kępki zarostu na wielu podbródkach i świńskie oczka świdrujące tłum budziły respekt. Na prawo od nich siedział jedyny z tej trójki mężczyzna o normalnych gabarytach. Wyglądał przy nich wręcz śmiesznie, a jednak to od niego trzymałbym się najdalej. Na pierwszy rzut widać było, że jest wojownikiem. Jadł i pił z takim zapamiętaniem, że wytrącało mnie to z równowagi. Skoro ktoś może wydać się straszny, siedząc po drugiej stronie sali i krojąc swoje mięso, to co dopiero, gdyby dobył broni...

- Wiesz, naprawdę uważam, że powinniśmy przenieść się do Czerwonego Smoka - powiedziałem, odstawiając w połowie pusty kubek. - Od razu widać, że to jakieś prywatne przyjęcie... Nie wydaje mi się tu zbyt bezpiecznie.

- To jasne. - Snorri uraczył tym samym niepokojącym uśmiechem, co na górze. -I właśnie dlatego tak mi się tu podoba. - Wzniósł kubek, o mało co nie oblewając pianą innego członka ponurej bandy, wąsistego gościa zaopatrzonego w ogromny arsenał noży. - Mięsa! Chleba! I więcej piwa! -Z łatwością przyszło mi wyobrazić sobie, jak na spotkaniu klanów w domu uczt swojego jarla wznosi róg do picia. Wyglądał na spokojnego, zrelaksowanego bardziej niż kiedykolwiek od czasu przygody na arenie.

Zauważyłem, że wielkolud znów łypie na mnie groźnie.

- Zaraz wracam - rzuciłem i zacząłem przeciskać się pomiędzy ławami na zewnątrz, żeby ulżyć pęcherzowi. Jeśli mój wielbiciel z przeciwnej strony sali wstałby nagle i podszedł, pewnie złałbym się w portki, więc wyjście za potrzebą wydawało się dobrym posunięciem.

Okazało się, że Upadły Anioł ma jednak klasę. Posiadał porządną ścianę do sikania, pod którą biegł mały rynsztok, a zużyte piwo spływało nim do większego rynsztoku, ulicznego. Choć obrazek nieszczęśnika wykrwawiającego się w owym rynsztoku psuł nieco sielankowe scenerie mniej porządnej ulicy Crath. Leżącego mijali robotnicy, przyzwoite żony, ich przyzwoici mężowie, sprzedawcy potraw na patyku. Przechodzili oświetleni jedną latarnią, potem ginęli w mroku, aby znów pojawić się w blasku kolejnej, minąć dostawczynie ulicznych przyjemności, zniknąć za rogiem i już nie pojawić się więcej.

Skończyłem i wszedłem do środka.

- ...myślisz, ale się grubo mylisz.

Nie było mnie zaledwie dwie minuty, może trzy, a kiedy wróciłem, otoczony najemnikami Snorri opowiadał im coś niczym dobrym kompanom. - Nie - ciągnął na w pół odwrócony ode mnie. - Mówię wam, że nie. Nie no, oczywiście nikt by nie pomyślał, patrząc na niego, racja. Ale sam wyciągnąłem go z tamtego miejsca, gdzie leżał uwiązany do stołu. Chcieli z niego coś wyciągnąć, były i noże w robocie. A nie mówimy o jakimś drapaniu, chcieli mu oderżnąć kawałki ciała, za którymi każdy z was by tęsknił. - Snorri opróżnił kufel. - I wiecie, co im powiedział? „Nie! Nic nie powiem! Nikomu! Nigdy!” Wykrzyczał im to w twarze. „Możecie mi wrywać paznokcie, a nie powiem ani słowa. Rozżarzonymi szczypcami tego ze mnie nie wyciągną” To się nazywa mieć jaja. Może i wygląda na fanfaron, ale w tym wypadku intuicja was zwiedzie. Odważny z niego gość. Sam w pojedynkę zaatakował nienarodzonego. Dwanaście stóp grozy, która wypełzła z grobu. Stwór pozbawił mnie broni, a tu Jal nadbiega, wywijając mieczem - Snorri zerknął w moją stronę. - Jal! Właśnie o tobie mówiłem! - Wskazał mi miejsce za stołem. - Zróbcie mu miejsce! - I tak zrobili. Dwóch ponurych bandziorów rozsunało się, żebym mógł między nimi usiąść. - Ci tu zaci kompani to brat Sim - wskazał na szczupłego chłopaka - brat Elban, brat Gains... - Starzec i świński blondyn. - Wszyscy to braciszkwowie. Jak ze świętego zakonu drogi, tyle że nie świętego. - Machnął ogryzonym gnatem na resztę. - Bracia Grumlow, Emmer, Roddat, Jobe... - Nożownik, srogi, gładko ogolony facet, i dwóch młodszych smagłych, jeden z blizną na policzku, drugi dziobaty. - Piwa! Więcej piwa! - Huknął w stół tak mocno, że aż naczynia podskoczyły.

Donośne krzyki Snorriego rozładowały napiętą atmosferę i Anioł powrócił do życia. Obsługa odetchnęła, dziewczyny zeszły na dół, żeby pohandlować wdziękami, popłynęły swobodnie śmiechy. Chyba tylko ja pozostałem nieszczęśliwy. W mojej naturze leży odrywanie myśli od niebezpieczeństw, a

weseli czy nie, ta banda braci wręcz pociła się groźbą. Poza tym magia Snorriego nie sięgała w każdy zakątek karczmy. Czułem na karku świdrujące, wrogie spojrzenie olbrzyma. Chwyciłem kubek z piwem i opróżniłem go duszkiem z nadzieją, że stępi moje odczucia.

Ulga była natychmiastowa. Przyjemna miękkość na mojej szyi zamiast uczucia bycia obserwowanym, ufarbowane loki na ramieniu, wąskie dłonie masujące mi barki i usztywniany fiszbinami gorset przyciskający mi się do pleców.

- A gdzie twój uśmiech, przystojniaku? - Kiedy się pochyliła, uwydatnione gorsetem wdzięki uwydatniły się jeszcze bardziej. Jasne dłonie zsunęły się po moim torsie i płaskim brzuchu. Trzeba przyznać, że tygodnie wymuszonego ruchu i głodówki pozbawiły mnie miękkiej wyściółki. - Na pewno uda mi się go znaleźć. Jej palce powędrowały niżej. Lata doświadczeń w takich sytuacjach pozwoliły mi podzielić uwagę pomiędzy podwójnie dekoncentrujące piersi, a miejsca ukrycia dóbr własnych. Kobieta pochyliła się i szepnęła mi do ucha. - Sally zadba o ciebie.

- Dzięki, ale nie skorzystam. - Sam siebie zaskoczyłem. Nadal była dość młoda, a jej twarz nosiła ślady niegdysiejszej urody, która zniknęła powoli rozwiana wiatrami doświadczeń wiejących na tyłach takich miejsc jak to. Nie znoszę jednak najlepiej zimnych potów, a każdy mój instynkt tchórza podpowiadał, że powinienem brać nogi za pas.

- Naprawdę? - Szepnęła mi w ucho, kołysząc biustem.

- Nie mam pieniędzy - powiedziałem i ciepło w jej oczach natychmiast zniknęło, ustępując miejsca zainteresowaniu innym rejonem karczmy. Jej uwagę oczywiście przyciągnął Snorri, ale wciśnięty w kąt, z taką zaciekłością atakował kawał mięsa, że Sally mogła mieć wątpliwości, czy da radę wygrać konkurencję. Wreszcie zniknęła, szeleszcząc spódnicami. Zdenerwowany czy nie i tak odwróciłem się, by odprowadzić ją wzrokiem i spojrzałem wprost na dwóch weteranów - szczupłych, siwiejących, ale zaprawionych w bojach jak stara skóra. Taksowali mnie obojętnymi oczyma, tak jak Jaśko Obrzyn. Wbiłem wzrok w talerz, choć straciłem zupełnie apetyt. Ktoś zawołał tych braci po imionach - Kłamca i Row¹. Nie chciałem wiedzieć, skąd wzięły się ich przydomki. Gromki śmiech Snorriego rozwiął nieco moje strachy, ale i tak wzdrygnąłem się, kiedy lupnął toporem o blat.

- Nie, *to* jest topór. To twoje to raczej siekiera.

Kiedy Snorri wygłaszał swą tyradę na temat długich łodzi, modeli toporów i cen solonych ryb rozejrzałem się na tyle dyskretnie, na ile dało się to uczynić znad krawędzi kubka z piwem. Poza siedzącym za mną trio wielki-opasły - śmiertelnie groźny, cała reszta zdawała się skupiać głównie na opróżnianiu kolejnych beczek piwa.

We wnęce po drugiej stronie sali przy stole rozmawiało dwóch mężczyzn. Te fragmenty zbroi, jakie jeszcze na sobie mieli, były znacznie lepszej jakości niż

pancerze braci.

Obaj wysocy o długich ciemnych włosach, jeden kręconych, drugi prostych. Starszy, może trzydziestoletni, miał szczerą twarz, do której nie pasowała ponura obecnie mina, młodszy możliwe że nie miał nawet osiemnastu lat, ale wyglądał na groźnego przeciwnika. Jeśli na widok reszty braci uruchamiały się wszystkie moje dzwonki ostrzegawcze, ten chłopiec o ostrych rysach wyrывał je z jarzm. Nasze spojrzenia skrzyżowały się na chwilę. Wyraz jego oczu, odległy, człowieka nawiedzanego koszmarami, sprawił, że wbiłem wzrok w talerz.

Piwo łało się strumieniami i powoli wrócił mi apetyt, a wraz z nim dobry humor. Piwo ma właściwości likwidujące lęki. Oczywiście następnego dnia znajduje się je z powrotem, owinięte wokół kostek z kilkoma dodatkowymi i bólem głowy na dokładkę, ale w jednym momencie piwo jest płynną odwagą, błyskotliwością i zadowoleniem. Nie minęło wiele czasu, a już wymieniałem opowieści o dziewczkach z wciśniętym obok mnie, małomównym bratem Emmerem. Prawdę mówiąc, była to wymiana nieco jednostronna, gdyż jak każdemu zdrowemu, młodemu człowiekowi i mnie temat rozgrzewa i rozwiązuje język. Kiedy podeszła kolejna dziwka, byłem gotów dać jej inną odpowiedź niż Sally. Mary miała gorset i spódnice dopasowane do siebie, a dodatek długich ciemnych włosów, filuternego spojrzenia i porcji lekkomyślności, którą zapewniło mi piwo, podniosły mnie na nogi. W tym momencie ujrzałem, jak olbrzym - bracia zwali go Rike'em - idzie w moją stronę z groźnym grymasem na twarzy. Klapnąłem z powrotem, udając wielkie zainteresowanie dnem pustego kubka.

Odetchnąłem, kiedy cień olbrzyma minął mnie i poruszał się dalej. Rike był o dłoń wyższy od Snorriego, a jego ramiona, choć brakowało im rzeźby, były grubsze od moich ud. Bracia rozpięchli się, dając mu dostęp do Wikinga -młody Sim dosłownie wślizgnął się pod stół, aby nie znaleźć się pomiędzy Snorrim i Rike'em - śliski typ, tak jak sądziłem. Mary również zniknęła jak kamfora. Snorri, całkiem niestropiony, odstawił swój kubek z piwem na sąsiedni stół i otarł usta oraz brodę z piany i resztek posiłku.

Zazwyczaj, gdy starcie jest nieuniknione, obie strony rozgrzewają się wcześniej. Rzucają jakąś obelżywą uwagę, riposta podnosi stawkę, czyjaś matka jest dziwką i dopiero potem - bez względu na to, czy profesja matki była faktem czy też nie - następuje rozlew krwi. Brat Rike szedł na skróty. Po prostu ryknął i runął na Snorriego.

W ostatnim momencie Wiking przesunął swój znaczący ciężar po nagle opustoszałej ławie, której krawędź grzmotnęła brata Rike'a pod podbródek. Nawet obciążona Snorrim ława szurnęła parę cali po podłodze, zanim zatrzymała napierającego olbrzyma. Snorri wstał, ława opadła, kiedy Rike uwolnił ją, zatoczywszy się w tył, a Wiking dopadł oszołomionego napastnika, chwycił go za głowę i huknął nią o kant stołu. Kubki podskoczyły, a piwo wylało mi się na

kolana. Rike osunął się na ziemię, zostawiając na deskach blatu smugę krwi zmieszanej z piwem.

Nad leżącym kompanem stał morderca - Czerwony Kent. Stał z dłonią na rękojeści toporka i namysłem w oczach.

- Ha! Niech nieborak to prześpi - uśmiechnął się do niego Snorri i usiadł. Brat Kent odpowiedział mu uśmiechem i wrócił na swoje miejsce przy grubasie.

Snorri rozsiadł się i sięgnął do sąsiedniego stolika po swoje piwo. Po tym wszystkim poczułem się znacznie lepiej. Nagły upadek Rike'a wypełnił mnie nieskończonymi pokładami dobrego humoru. Złapałem kolejne piwo z tacy kelnerki, rzucając w zamian miedziaka.

- No, bracie Emmerze - pociągnąłem haust, to taki styl picia podobny do łykania, ale skutkujący oblewaniem sobie gorsu piwem - nie wiem jak ty, ale mnie naszła chęć na bardziej horyzontalne rozrywki. - Jakby za sprawą czarów, u mego boku natychmiast pojawiła się uśmiechnięta Mary. - Witaj, o Mary, pełna gracji - powiedziałem, rozbystrzony alkoholem. - Mój ojciec jest kardynałem, wiesz? Może pójdziemy na górę podyskutować o ekumenicznych sprawach? - Mary zachichotała sumiennie, a ja wsparłszy się na ramieniu brata Emmera, dźwignąłem się na nogi. -Prowadź, o pani. - Zacząłem składać ukłon, ale zrezygnowałem odkrywszy, że opuściło mnie poczucie równowagi.

Ruszyłem za nią po schodach, zataczając się, ale szczęściem unikając rozlewania piwa braciom, co ustrzegło mnie przed wywołaniem zamieszania. Za każdym razem, kiedy zszedłem z kursu, wracałem nań naprowadzany kuszącym chichotem dziewczyny. U podnóża schodów Mary wzięła świecę, zapaliła ją i ruszyła po stopniach. Wyglądało na to, że zapoczątkowałem trend opuszczania stołów, bo na schodach za mną zadudniły czyjeś kroki. Drugie piętro dzielił długi korytarz, z szeregami drzwi po obu stronach. Mary skierowała kroki ku pomieszczeniu, do którego drzwi stały otworem. Wstawiła świecę do świecznika ściennego, odwróciła się i uśmiech zamarł jej na ustach, a oczy rozszerzyły się.

- Spadaj. - Przez moment zastanawiałem się, dlaczego to powiedziałem. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że głos dochodzi zza moich pleców.

Mary uskoczyła na bok i umknęła korytarzem, ja zaś zostałem, zmagając się z odwróceniem bez wywrotki. Zanim mi się udało, ktoś złapał mnie za włosy na karku i pokierował ku wnętrzu ciemnego pokoju.

- Snorri! - Męski okrzyk wzywający pomocy zmienił się gdzieś po drodze i dobył z moich ust jako piskliwy skrzek

- Nie potrzebujemy go. - Dłoń wepchnęła mnie do pokoju. Cienie poruszyły się wraz ze świecą, którą ktoś niósł za mną.

- Neeee... - Przerwa na zaczerpnięcie tchu, by mój głos wydał się grubszy. - Nie mam pieniędzy. Może miedziaka, czy dwa. Wiking trzyma naszą kasę.

- Nie chcę twoich pieniędzy, chłopcze.

Nawet beczka piwa ma ograniczone moce przydawania optymizmu. Kraweǳ ramy łózka wbiła mi się boleśnie w piszczele.

- Ja piernicę! - okręciłem się, wymachując pięściami. W migotliwym świetle świecy ujrzałem twarz brata Emmera, po czym silne pchnięcie posłało mnie na łózko. Młóciłem pięściami w powietrzu. Płomień świecy zgasł.

- Nie! - zawyłem. Zaplątałem się w pościel skropioną lawendą, by zabić smród potu. Rzuciłem się znowu, ale ramię uwięzło mi w kocach. Usłyszałem trzask zamykanych drzwi. Przygniótł mnie ciężar czyjegoś ciała.

- Emmer! Nie jestem taki! - Tym razem krzyk. - Jestem... - Przypomniałem sobie o nożu i zacząłem go szukać.

- Cicho bądź. - Łagodniejszy ton, tuż przy moim uchu. -Zachowuj się.

- Ale...

- Jestem Emma.

- Co?!

- Emma, nie Emmer. - Żelazne palce zamknęły się na moim przegubie w chwili, gdy odnalazłem nóż. Przygniatające mnie ciało było mniejsze niż ja, choć bardziej upakowane mięśniami, a z tak bliska rzeczywiście mogło być kobiece. - Emma - powtórzyła. - Ale piśnij choć słówko poza tym pokojem, przystojniaczku, a oderżnę ci język i zjem go.

- Ale...

- Uspokój się. Oszczędziłam ci pół srebrnika.

Zrobiłem, jak kazała.

1

Row - burda, awantura (przyp. tłum.).



- Unurzany w grzechu! - Irytująco oceniający głos rozzwonił mi się za uszami, rozsyłając po mózgu odłamki przeraźliwego bólu. - Jeszcze bardziej w uczynkach niż myślach. A nie sądziłem, że to możliwe!

- O Boże! - Ktoś wyrócił mi żołądek na lewą stronę i wypchał żywymi węgorzami. Nie miałem co do tego wątpliwości.

- Jak śmiesz wzywać Jego imię! - W gniewnym tonie Baraęła dźwięczała nutka satysfakcji, jakby nic nie radowało go bardziej, niż namierzenie nowego, jeszcze ciepłego grzechu do potępienia.

- Chcę umrzeć! - Przetoczyłem się. Wszystko mnie bolało. Musiałem spać z otwartymi ustami, bo sądząc z posmaku, szczury zrobiły sobie w nich toaletę.

- Jak stworzenie takie jak ty otrzymało światłość... - Wyobraźnia musiała zawieść Baraęła. Albo też elokwencja.

Uchyliłem jedną powiekę. Światło dzienne wbiło mi się w oko jak sztylet. Promyki przesączały się przez ciężkie zasłony, oświetlając brudną izbę. Dotknąłem piersi, przypominając sobie, że zostałem popchnięty. Goły? *Mój medalion!* Zerwałem się, ale żołądek zrobił to o sekundę wcześniej i przez chwilę walczyłem, żeby nie udekorować zagłówek. Moje ubranie leżało rozrzucone na podłodze. Wykonałem nieprzemyślany, gwałtowny ruch i nakryłem dłonią wypukłość w koszuli, którą nosiłem od wizyty u krawca w Oppen. Tym razem przegrałem walkę, wyrzygałem wszystko, co zjadłem poprzedniego wieczoru, a potem jeszcze wyrzuciłem z siebie posiłki kilku innych osób, na dodatek z garścią krojonej marchwi, choć nie pamiętałem, żebym ją jadł.

- Okryj się, człowieku! W pokoju jest dama! - Skrzywiłem się, bo głos anioła brzmiał jak skrobanie paznokciami po tablicy.

- Uuuuuże - wydusiłem ciętą ripostę. Otarłem usta i dźwignąłem się na tyle, by zajrzeć do łóżka.

Na drugim końcu, za morzem pomiętego, brudnego lnu i szarej wełny, Emma zakładała wysłużone skórzane spodnie. Mimo kiepskiego stanu nie mogłem nie podziwiać wyrazistych kształtów jej silnego, choć niezbyt czystego ciała, zanim

zostało całkiem ukryte. Odwróciła się, zapinając kaftan na ciasno opiętym biuście. Jej twarz wyrażała mieszaninę rozbawienia i lekkiej odrazy. Ocenilem, że zbliża się do czterdziestki. Mimo że miała krótkie włosy i złamany nos i tak dziwiłem się, jak mogłem nie dostrzec jej prawdziwej płci.

- Tajemnica - złapała się za krocze już bez śladu rozbawienia. - Piśnij słowo, a będziesz tam taki jak ja. - Naraz przestałem widzieć jakikolwiek ślad kobiecości.

- O jakiej tajemnicy mówisz, Bracie Emmerze?

- W porządku. - Rzuciła mi miedziaka, wyjęła nóż, którym zablokowała drzwi i wyszła.

Sam w obrzydliwej izbie, zadumałem się na moment.

- Diabeł, nie kobieta! - Wczołgałem się z powrotem do łóżka.

- Nagi jak szatan, odziany w grzech! - zawył Baraqel. A przynajmniej mnie wydawało się, że zawył. - Odnajdź księdza, księżę Jalandie i... - Gdzieś tam słońce oderwało się od horyzontu, zmuszając go do milczenia. Światło jeszcze mocniej przebijało się przez okiennice, naciągnąłem więc koc na bolącą głowę. Łupanie w głowie wzmogło się. Po kilku chwilach wypełnionych wierceniem się w cierpieniu, ściskaniem skroni, odkryłem, że istotna część łupania to uderzenia zagłówka o ścianę. Nakryłem głowę ramionami, a potem uznałem, że to zły pomysł, bo materac był daleki od czystości. Daleki na co najmniej kilka granic międzynarodowych. Wreszcie zatkałem uszy z nadzieją, że świat po prostu zniknie, a moi sąsiedzi, którzy tak dobrze się bawili, stracą wreszcie energię. Albo umrą.

Nieskończenie długo później smród izby wygnał mnie w końcu z barłogu. Okryty cienkim kocem, zataczając się jeszcze na wpół pijany, pozbierałem ubrania i miecz. A także miedziaka od Emmy. Żeby się nie zmarnował. Koszulę zostawiłem w prezencie kolejnemu mieszkańcowi - oczywiście bez medalionu.

- ...po królewsku wyjebany. - W drzwiach sąsiedniego pokoju stał przodem do izby mężczyzna. Mimo że widziałem go tylko od tyłu, rozpoznałem w nim starszego z dwóch najemników, którzy siedzieli poprzedniego wieczoru we wnęce głównej sali. - Gotowy do wyjścia? - zapytał.

- Powiedz im, że za godzinę. Będę gotów za godzinę. -To ten młodszy.

Starszy wzruszył ramionami i wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Zanim trzasnęły, usłyszałem jeszcze, jak jakaś kobieta w środku mówi coś o księciu. Mężczyzna z wnęki minął mnie. Na jego ustach igrał uśmiezek.

Uświadomiłem sobie, że mogę założyć ubranie, zamiast nieść je w rękach. Odziałem się bardzo ostrożnie, sycząc od czasu do czasu, kiedy urażałem któreś z obolałych miejsc, a potem zszedłem na dół.

Bar był dość opustoszały - tylko paru braci drzemało na stołach, a wśród nich Snorri atakował zawzięcie kopę bekonu i jajek na talerzu. Obok niego siedział ten starszy z wnęki.

- Jal! - Snorri rozłupał mi czaszkę gromkim okrzykiem i przywołał mnie machnięciem. - Wyglądasz strasznie! Wrzuć coś na ruszt.

Zrezygnowany, klapnąłem przy stole tak blisko niego, jak pozwalał mi na to żołądek i zapach śniadania.

- To Makin - wskazał załadowanym widelcem na towarzysza.
- Zaszczycony - wybąkałem kłamliwie.
- Również. - Makin skinął uprzejmie. - Widzę, że mają tu piekielne pchły.
- Omiótł wzrokiem mój tors i brzuch wystające spod rozchełstanego kaftana.

- Chryste na rowerze! - Coś mnie pogryzło! Zęby Emmy poznały mnie śladami, jakbym miał jakąś gigantyczną ospę.

- Jedna z kobiet wspominała, że miałaś problemy z bratem Emmerem? - Snorri wsunął do ust połowę świni i dopchnął bekon palcami.

- Podstępnik z tego Emmera - rzekł Makin, kiwając do siebie głową. - Szybki jak błyskawica. I bystrzacha. - Postukał się w czoło.

- Nie. - Udało mi się nie wyskrzeczec zaprzeczenia. -Nie było żadnych problemów.

Snorri wydał usta, łypiąc na ślady ugryzień. Zakryłem się połami kaftana.

- Nie oceniam - powiedział, unosząc jedną brew.

- Niech każdy kroczy własną ścieżką - poparł go Makin, pocierając brodę.

Zerwałem się na równe nogi i natychmiast pożałowałem, że zrobiłem to tak gwałtownie.

- Nie będę tu siedział i patrzył, jak zresz tę świnię jak... jak...

- Świnia? - podsunął Snorri. Podniósł talerz i zgarnął do ust kilka smażonych jaj.

- Idę się umyć, zjeść i znaleźć jakieś czyste ubrania. -Głowa pękała mi już wraz z całym ciałem i nienawidziłem świata. - Spotkamy się w południe u bram zamku.

- Już jest południe!

- Za trzy godziny! - zawołałem przez ramię i wytoczyłem się na światło dzienne.

Promienie słoneczne padały z zachodu, kiedy wspinałem się na zbocze ku zewnętrznej bramie Wysokiego Zamku. Odmoczyłem się ze smrodu drogi w łaźni, zostawiając po sobie czarną wodę, podciąłem włosy, ułożyłem je i łyknąłem proszek, który, jak zaklinał się golibroda, miał uśmierzyć ból, a także leczyć zarazę i puchlinę wodną. Wreszcie zakupiłem lnianą koszulę, dopasowaną za pomocą paru sprytnych szwów, płaszcz z aksamitu obszyty gronostajem czyli prawdopodobnie wiewiórką i spinany broszą w kolorze srebrnym z czerwonym szkiełkiem. Niezbyt to było książęce odzienie, ale starczało na pierwszy rzut oka.

Snorri nie pojawił się o wyznaczonym czasie. Zastanawiałem się, czy nie iść bez niego, ale odrzuciłem ten pomysł. Poza tym, że osobisty ochroniarz przydawał

mi powagi, to zazwyczaj posiadałem towarzysza ochraniającego moje dobra osobiste. No a ten tu był szaleńcem o sześciu i pół stopach wzrostu, opakowanym mięśniami i jeszcze osobiście zainteresowanym ochranianiem mojego życia.

Jakieś pół godziny później ujrzałem na ulicy barczystą sylwetkę Wikinga. Prowadził Slejpnir i Rona, ale na szczęście nie zabrał ze sobą żadnego z braci.

- Trzeba je było zostawić. - Nie zamierzałem ryzykować besztania go za spóźnienie. Roześmiałby się i odbił mi płuca radosnym klepnięciem.

- Myślałem, że w tym płaskim kraju tylko żebracy chodzą pieszo. - Snorri uśmiechnął się i przesunął dłonią po grzywie Slejpnir. - Poza tym polubiłem tę klaczkę. No i niesie moje rzeczy.

- Lepiej, żeby pomyśleli, że mamy gdzieś w stajniach porządne rumaki, niż zabierać ze sobą te szkapy i narażać się na litościwe spojrzenia gwardzistów.

- No...

- Nieważne, udawaj po prostu, że oba są twoje. - Ruszyłem przodem, zostawiając go, by szedł za mną w pełnej szacunku odległości.

Przedstawiłem się odpowiednio najstarszemu stopniem strażnikowi pełniącemu służbę przy ochrzczonej stosowną nazwą Potrójnej Bramie. Od szlachty oczekuje się pewnej dozy arogancji, a lata służby wyuczyły strażników odpowiednio na nią reagować. Mój brat, Martus, jest mistrzem patrzenia z góry nawet na najwyższych podwładnych, ale i ja jestem w tym niezły. Przywołałem swoje umiejętności i zacząłem emanować pogardą. Snorri często komentował moją wyniosłość - choć ujmował to w obrazową formę, że mam „berło w dupie” - ale do tej pory nie widział mnie w pełnym rozkwicie.

- Książę Jalan Kendeth z Czerwonej Marchii, potomek Czerwonej Królowej, dziesiąty spadkobierca tronu Vermillionowego i przynależnych mu włości. - Zawiesiłem głos, pozwalając wybrzmieć słowu „książę”. - Podróżuję na północ i zboczyłem z Rzymskiej Drogi, by złożyć wyrazy uznania królowi Olidanowi. Prócz zwykłych uprzejmości oferuję możliwość przekazania korespondencji związanej z niedawną wizytą mego brata, księcia Martusa. - Choć raz w życiu miałem okazję, żeby cieszyć się z podobieństwa rodzinnego pomiędzy mną a Martusem.

- Witaj w Wysokim Zamku, wasza wysokość. - Podeszedł ku mnie krzepki żołnierz, któremu spod hełmu wymykały się stalowosiwe włosy. Otaksował mnie przeszywającym wzrokiem czarnych oczu i spojrzął znacząco za mnie, jakby szukał mojej świty.

- Podróżuję w pośpiechu. Ten człowiek to mój osobisty strażnik. Zatrzymaliśmy się na Starym Mieście. - Wplotłem sugestię, jakoby więcej moich ludzi przebywało teraz w mieście.

- Oczywiście, książę... - Zmarszczył brwi. - ...Jalanie?

- Tak, Jalan. A teraz przekaż Olidanowi wieść o moim przybyciu. I

pospiesz się.

Wreszcie przyciągnąłem jego uwagę. Niewielu pominęłoby tytuł króla Olidana w rozmowie z jego strażami. Jeszcze mniej ryzykowałoby żądanie audiencji, uciekając się do oszustwa. Król Olidan nie należał do miłych ludzi.

- Natychmiast wyślę posłańca, wasza wysokość. Może zaczeka wasza wysokość w mojej izbie na bramie. Każę odprowadzić do stajni twoje... konie.

Pomyślałem, czy nie odmówić i nie zaczekać w cieniu murów. Noc zapowiadała się przyjemnie. Jednak jeśli mielibyśmy czekać za długo, narazilibyśmy godność na kpiny gapiów.

- Prowadź - rozkazałem. Lepiej znosić godnie siedzenie w prywatnym zaciszu, niż znosić publicznie godne stanie.

Minęliśmy bramę i weszliśmy w drzwi prowadzące do wnętrza muru. Schody prowadziły w górę, do pomieszczenia nad wrotami, wciśniętego pomiędzy straszną maszynę do opuszczania i podnoszenia wrót, oraz wnękę, gdzie mieściły się uniesione skrzydła. W czystej izdebce stał stół i krzesła. Niewielu zagranicznych książąt pewnie tam zapraszano, ale też niewielu przybywało niezapowiedzianych i bez świty.

Snorri wcisnął się za stół.

- Przydałoby się piwko...

Kapitan uniósł brwi i spojrzał na mnie. Skinąłem twierdząco. Nie żebym sam miał ochotę dotykać tego świństwa. Rankiem poprzysiągłem sobie całkowitą abstynencję do końca życia.

- Zobaczę, co się da zrobić - powiedział kapitan i wyszedł. Po chwili krzyczał coś do ludzi na dole.

- Wszystko chyba idzie dobrze? - Snorri sięgnął po pajdę chleba leżącą na blacie i zaczął zasypywać okruciami brodę.

- Uhm. - Nie martwiłem się niczym. Ryzyko miało mi się opłacić. Musiałem ufać tylko, że Olidan uzna, że jestem za mało ważny, jak na zakładnika i że nawet człowiek o reputacji okrutnika, jaką miał król Ancrathu, pomyśli dobrze, zanim narazi się na gniew mojej babki. Liczyłem na babkę. Krążyło wiele opowieści o tym, jak uczyniła z Czerwonej Marchii państwo, którego bali się sąsiedzi, a niektórzy z nich, choć trudno w to uwierzyć, przyprawiali innych o koszmary senne. Tak czy owak oszacowałem ryzyko wizyty na dworze Ancrathu i stwierdziłem, że jest warte szansy uwolnienia się od zaklęcia wiążącego mnie ze Snorrim i odejścia w swoją stronę, czyli na południe.

Piwo dostarczono nam w dwóch cynowych kuflach. Obserwowałem, jak Snorri opróżnia swój, a tymczasem mój żołądek wyczyniał różne akrobacje. Mimo pozornie zrelaksowanej pozy, w oczach Wikinga widziałem niecierpliwość.

Chciał już być znów w drodze, jechać pędem ku wybrzeżu, a ja zatrzymałem go w Ancrath.

Kapitan wrócił po około godzinie z informacją, że zostały nam przydzielone kwatery, a audiencja odbędzie się prawdopodobnie następnego dnia po południu. To była lepsza wiadomość, niż się spodziewałem. Jeszcze raz pokonaliśmy wąziutkie schody, a w podcieniu bramy kapitan przekazał nas pod opiekę odzianego w aksamity pazia. Wreszcie opuściliśmy tunel bramny i skierowaliśmy się ku Wysokiemu Zamkowi.

Wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że postawili go Budownicowie - był brzydki, graniasty i niezniszczalny. Tysiąc Słońc wypaliło ziemię w całym Rozbitym Imperium. W wielu miejscach gleba spopieliała aż do skały macierzystej, a skała zmieniła się w szkło. Ale Wysoki Zamek przetrwał. Fakt, że Ancrathowie uczynili sobie z niego siedzibę, wiele mówił o ich charakterze i intencjach.

Mur wokół podzamcza i budynki gospodarcze - koszary, kuźnia, stajnie i tym podobne - miały trzysta, czterysta lat, ale twierdza została zbudowana z płynnego kamienia tysiąc lat temu. Z lekcji pamiętałem, że Budownicowie nie używali budynków tak długo. Stawiali je, a potem burzyli, jakby były namiotami. Ale jak na tymczasowe konstrukcje spisali się cholernie dobrze.

Paź wiódł nas w stronę twierdzy pod uważnymi spojrzzeniami różnych strażników, wartowników na murach i mijających nas rycerzy. To oczywiście Snorri przyciągał ich uwagę - nie cholerny książę Czerwonej Marchii, który zdecydował się zaszczycić ich paskudne komnaty, ale jakiś przerośnięty Wiking posiadający dziesięć akrów lodowego zbocza. Coś w tych jego warkoczykach, albo arktycznym błysku w oku, albo może gigantyczny topór na plecach, skłaniały przechodzących do zastanowienia, czy przypadkiem obrona zamku nie została przełamana. Twierdza stała pośrodku placu podzielonego na pola do ćwiczeń z końmi i bronią. Miejsce to kontrastowało z pałacem w Vermillionie i podejrzewałem, że babka natychmiast zamieniłaby się z królem Olidanem. Ten zamek został zbudowany do prowadzenia prawdziwej wojny, a nie tylko tak, żeby na taki wyglądał. Z tego, co mówił Snorri, twierdza przetrwała wiele oblężeń i poddała się co najmniej jednemu - Ancrathowie nie byli pierwszymi, którzy zajęli to miejsce po tym, jak po zatrutej ziemi znów rozproszyły się ludzkie plemiona.

- Ładny zameczek - stwierdził Snorri, zadzierając głowę, gdy czekaliśmy, aż otworzą się przed nami dębowe, okute żelazem wrota.

Zamek był wysoki, to pewne, choć wyglądał na niedokończony, albo raczej częściowo zburzony. Konstrukcja jednak nie zwężała się ku górze ani nie posiadała zwieńczenia, jak wieże w obecnych czasach. Pięła się w niebo, sprawiając wrażenie, jakby przed Tysiącem Słońc nic poza ambicjami Budowniczych czy barierą chmur nie mogło jej powstrzymać.

- Widziałem lepsze - skłamałem.

Wreszcie wrota otworzyły się i jeden z rycerzy króla Olidana, odziany w lśniącą zbroję, złożył mi ukłon.

- Książę Jalandre, to wielki zaszczyt. Jestem Sir Gerrant z Treen. - Kiedy się prostował, cofnąłem się pół kroku.

Najwyraźniej postura Snorriego skłoniła ich do wystawienia nam na powitanie największego człowieka z szeregów, przystojną twarz postawnego, wysokiego i potężnego Sir Gerranta przecinała paskudna blizna. Rycerz rozłożył ramiona, zapraszając nas do wejścia. Uśmiech na przepołowionej blizną twarzy wydawał się wystarczająco szczery. - Wskażę wam drogę do komnat. Ty pójdziesz z nami, Stann - zwrócił się do pazia. - Książę będzie potrzebował pomocnika i posłańca.

Sir Gerrant wiódł nas szerokimi schodami i długimi korytarzami. Architektura robiła wrażenie obcej, jakby Budowniczowie, którzy postawili zamek tysiąc lat temu nie byli ludźmi.

Wszędzie widać było ślady późniejszych prac budowlanych, którymi usiłowało przystosować wnętrza do bardziej ludzkich warunków. Skuto posadzki, powiększono pomieszczenia, podwyższono je, dodano łuki i drewniane rzeźbione podpory, choć nic, co stworzyli Budowniczowie nie potrzebowało wzmocnienia.

- Miałem zaszczyt poznać księcia Martusa podczas jego wizyty zeszłego lata. - Sir Gerrant przytrzymał nam drzwi. - Wasze podobieństwo rodzinne jest zaiste niesamowite.

Ugryzłem się w język i skrzywiłem. To prawda, że bracia byli trochę do mnie podobni - podobieństwo to pochodziło od ojca, a przynajmniej złoty kolor włosów - bo wzrost po babce, a uroda po matce. Na szczęście, gdyż ojciec był niskim, przeciętnym człowieczkiem, któremu tak samo jak kapelusze kardynalskie, pasowałyby strój drobnego urzędnika.

Martusa wyciosała prymitywna dłoń. W przypadku Darina, dłoń ta posiadała odrobinę finezji. Do czasu moich narodzin artysta udoskonalił swój warsztat.

Przecieliśmy salę otoczoną galerią, z której przyglądały się nam damy. Podejrzałem, że Sir Gerrant został nakłoniony, by przeprowadzić nas tą drogą, gwoli poddania inspekcji. Podjąwszy dworską grę, udawałem, że nie widzę obserwujących nas kobiet. Snorri oczywiście gapił się na nie otwarcie z szerokim uśmiechem. Usłyszałem chichoty i teatralny szept jednej z dam: „Czyżby znów jakiś wędrowny książę?”

Moja komnata okazała się dobrze wyposażona, a choć może nie tak, jak mógł spodziewać się przybywający z wizytą książę, to i tak był to najwspanialszy pokój, jaki widziałem od pospiesznej ucieczki z sypialni Lisy DeVeer. To ostatnie wydawało się mieć miejsce wieki temu.

- Mogę wskazać twemu słudze drogę do izb czeladnych, albo Stann może to zrobić później - powiedział Sir Gerrant.

- Zabierz go ze sobą - odparłem. - Tylko niech go tam nikt nie zaczepia. Nie jest szkolony do służby w domu i mógłby kogoś uszkodzić. - Pańskim gestem

dłoni wygoniłem Snorriego na korytarz. Nie odezwał się, tylko wyszczerzył z irytacją i podążył za rycerzem.

Opadłem na miękki fotel. Ostatnio na czymś tak wygodnym siedziałem w innym życiu.

- Buty. - Uniosłem nogę, a paż podszedł i zaczął szarpać się z moim obuwiem. Tego najbardziej brakowało mi w podróży. Totalnego lenistwa. Ojciec był zbyt skąpy, żeby zatrudniać odpowiednią ilość służby, ale kiedy odwiedzali nas ważni goście, sprowadzał posiłki. Idealna sytuacja to taka, że gdy coś upuszczasz, pokojowka podstawia rękę zanim przedmiot spadnie na ziemię, a gdy swędzi cię coś, czego podrapanie wymagałoby zmiany pozycji, wystarczy o tym wspomnieć, a już czujesz skrobanie opłaconych paznokci.

But zszedł dość gwałtownie, dzieciak zatoczył się i wrócił, żeby zabrać się za drugi.

- Potem przynieś mi trochę owoców. Jabłek i gruszek. Tylko Konkensy, nie te żółte papkowate Marany.

- Tak, panie. - Drugi but został zdjęty i paż ustawił je pod drzwiami. Liczyłem, że ktoś je wyczyści przed świtem albo lepiej, wymieni na lepsze. Chłopak otworzył drzwi.

- Pójdę po owoce, panie - oznajmił.

- Zaczekaj - pochyliłem się w fotelu, przebierając palcami u stóp. - Nazywasz się Stann, tak? - Przyszło mi do głowy, że smarkacz może się przydać.

- Tak, panie.

- Owoce i trochę chleba. I dowiedz się, gdzie ten zaginiony książę, którego odnalezienie tak wszyscy świętują. Jak on to się nazywał?

- Jorg, panie. Książę Jorg. - Zniknął, nie czekając na odprawę. Nie zamknął też za sobą drzwi.

- Jorg, hm? - Nagle przypomniałem sobie coś dziwnego. Żaden z braci nie wspomniał wczoraj nic o królewskim synu, który powrócił na ojcowskie łono. Całe miasto świętowało odnalezienie latorośli króla, a my jakimś cudem trafmy do karczmy nieopodal Wysokiego Zamku, gdzie nikt na temat ani słowa nie pisał. Bardzo dziwne.

Z zadumy wyrwał mnie widok jakiegoś cienia przy drzwiach.

- Tak? - Czyżby młody Stann jednak uciekał *przed czymś*, a nie biegł po *coś*? Mężczyzna przy drzwiach nie wydawał się groźny, ale musiał być blisko, kiedy Stann tak pospiesznie wypadł z komnaty...

Człowiek stojący przede mną był tak przeciętny, że pobiliby przeciętnością nawet mojego ojca, gdyby nie to, że każdy cal skóry miał pokryty tatuażami, obco wyglądającymi gryzmołami. Wszystko, dłonie, szyję, głowę, litery i znaki wpelzały mu na twarz, pokrywały policzki i czoło.

Pomiędzy nami zawisła krępująca cisza. U siebie w domu z miejsca

skląłbym go i zażądał wyjaśnień bądź wyrzucił go z komnaty, pomagając sobie w ponagleniach przedmiotami znajdującymi się w moim zasięgu. Jednakże zbyt długo wędrowałem po drogach, gdzie pierwszy lepszy wieśniak mógł poczęstować mnie nożem za krzywe spojrzenie na jego siostrę i moje dawne odruchy zardzewiały.

- Tak? - Powtórzyłem mimo że powinien wyjaśniać swoją obecność sam z siebie, bez mojego zagadywania.

- Nazywam się Sageous. Doradzam królowi w bardziej... niecodziennych sprawach.

- Alleluja! - Być może nie takim okrzykiem powinno się witać na oko poganina, ale radość ze spotkania człowieka, który mógł zdjąć ze mnie klątwę przesłoniła moją niechęć do obcokrajowców, nawet jeśli czcili nieodpowiednie bóstwa. W końcu Snorri posiadał te same wady, a mimo to dowiódł, że może obok nich mieć również i zalety.

- Mało kto tak się cieszy na mój widok, książę Jalandie. -

Oszczędny uśmiech.

- Ach, bo pewnie nie każdy potrzebuje cudu. - Wstałem i podszedłem do gościa, tym bardziej zadowolony, bo okazało się, iż jestem od niego wyższy. Oceniłem go na czterdziestkę, a dzięki różnicy wzrostu mogłem odczytać litery wytatuowane na czubku jego czaszki. A przynajmniej mógłbym, gdybym znał ten język. Przypuszczałem, że pismo mogło pochodzić ze wschodu i może nawet południa. Dalekiego wschodu i południa. Miejsca, gdzie litery wyglądały jak kopulujące pająki. Widziałem podobne w komnatach matki. Sageous zadarł głowę, żeby spojrzeć mi w oczy i w tej samej chwili zapomniałem o dziwnych napisach, jego nędznej posturze, a nawet korzennym zapachu, który wiercił mnie w nosie. Nagle te jego przeciętne oczy stały się wszystkim, co się liczyło. Dwie kałuże spokoju, kontemplacji, brązu, zwyczajności...

- Książę Jalandie?

Potrząsnąłem głową i ujrzałem, jak przeklęty człowieczek pstryka mi przed twarzą palcami. Gdybym go nie potrzebował, kopnąłbym go w tyłek tak, że przeleciałby aż pod samą Potrójną Bramę. No i oczywiście gdyby nie był magiem. Takich nie wolno tykać w nieodpowiedni sposób. Ale w odpowiedni... Jak na przykład lampę Alladyna... Można nawet doczekać się spełnienia życzenia. Tyle przynajmniej, że przekonałem się, iż nie jest szarlatanem posługującym się lustrami, dymem i zwinnymi rękami.

- Książę Jal...

- Nic mi nie jest. Zakręciło mi się głowie. Wejdz, proszę Muszę z tobą porozmawiać. - Uszczyptałem się u nasady nosa i zamrugałem, żeby odzyskać ostrość widzenia, bo na fotel wracałem niezupełnie prostą drogą. - Siadaj. - Wskazałem drugie siedzisko.

Sageous podszedł do krzesła z wysokim oparciem, ale zamiast usiąść, jak zaproponowałem, stanął za nim. Opalonymi palcami przebiegał po ciemnym, prawie czarnym drewnie, jakby szukał znaczenia w polerowanych zakrętach i lśniących wypukłościach.

- Jesteś zagadkową układanką, książę Jalandre.

Znów ugryzłem się w język, żeby nie zbesztać go za zuchwalstwo.

- Układanką z dwóch części. - Poganin obserwował mnie tymi swoimi pełnymi spokoju oczyma. Zostawiwszy w spokoju krzesło, musnął palcami czoło, brwi, policzki, a w miejscach, gdzie opuszki dotknęły skóry, tatuaż ciemniał na mgnienie, jakby linie na jego ciele były szczelinami do jakiejś wewnętrznej czerni. Przekrzywił głowę, a potem zerknął w stronę korytarza. - A drugi kawałek znajduje się nieopodal.

- Nie spodziewałbym się mniej po doradcy króla Olidana. - Wyszczrzyłem się w uśmiechu pod tytułem „przyjacielski bohater otwarty wobec prostego ludu”. - Prawdę mówiąc, zostałem wplątany w pewien paskudny czar, który związał mnie z Wikingiem, moim towarzyszem podróży. Połączyła nas magia. Jeśli zanadto się od siebie oddaliśmy, źle się z nami dzieje. Pragnę, by ktoś nas rozłączył i abyśmy mogli ruszyć każdy w swoją stronę. Ktoś, kto by tego dokonał mógłby liczyć na moja książęcą hojność!

Sageous wyglądał na znacznie mniej zaskoczonego, niż się spodziewałem. Zupełnie, jakby słyszał już tę historię wcześniej.

- Mogę ci pomóc, książę Jalandre.

- Och, dzięki Bogu. To znaczy dzięki wszelkim bogom. Nawet nie wiesz, jak to jest być przywiązany do tego brutala. Już się bałem, że będę musiał iść z nim aż do samych fiordów. A nie przepadam za zimnem. Moje zatoki...

Sageous uniósł rękę, przerywając mój potok słów. To niesłychane, żeby tak przeszkadzać księciu, ale po prawdzie ulga rozwiązała mi zanadto język.

- Istnieje ku temu, jak w wielu przypadkach, łatwy sposób i trudny sposób.

- Łatwy sposób brzmi najłatwiej - powiedziałem, pochylając się, bo poganin mówił bardzo cicho.

- Trzeba zabić tę drugą osobę.

- Zabić Snorriego? - wyprostowałem się gwałtownie. - Ale myślałem, że jak...

- A z czego wyciągnąłeś ten wniosek, książę Jalandre? Rozsądny człek żywi obawy wobec pewnych możliwości, ale nie pozwala lękom zmienić się w pewność. Jeśli jeden z was zginie, klątwa zginie wraz z nim, a drugi będzie mógł odejść wolno.

- O. - Naraz moje wcześniejsze przekonanie wydało się głupie. - Ale nie mogę zabić Snorriego. - Wcale nie chciałem, żeby umarł. - To znaczy byłoby to niezwykle trudne. Nie widziałeś go, ale kiedy go ujrzysz, zrozumiesz.

Sageous wzruszył ramionami, niemal niedostrzegalnie.

- Znajdujesz się w zamku króla Olidana. Jeśli król każe kogoś zgładzić, ten ktoś ginie. Wątpię, by odmówił księciu takiego drobiazgu jak zabicie człowieka niskiego stanu. Szczególnie, gdy ten pochodzi z krainy śniegu, lodu i czi prymitywne bóstwa.

Wcześniejszy entuzjazm opuścił mnie w ciężkim westchnieniu.

- Powiedz mi, na czym polega ten trudniejszy sposób...



Obudziłem się zlany zimnym potem, choć w ciepłym łóżku. Przez moment zastanawiałem się, w którym jestem zajeździe. Przez mgnienie zdawało mi się nawet, że obok leży Emma, ale kiedy wyciągnąłem rękę, natrafiłem tylko na lnianą pościel. Len. Zamek. Przypomniałem sobie i usiadłem. Wokół panowała ciemna noc.

Ścigały mnie koszmary, jeden za drugim. Serce nadal waliło mi jak młot z wysiłku, choć nie pamiętałem szczegółów. Umysł nie podsunął mi niczego prócz wspomnienia lęku, czegoś strasznego podążającego za mną w ciemnych miejscach, tak blisko, że czułem jego oddech na karku, czułem, że mnie chwyta, że szarpie mnie za koszulę...

- Zamek. Jał, jesteś w zamku. - Mój głos zabrzmiał z echem, jakbym znajdował się w wielkiej, pustej przestrzeni.

Świeca, którą zostawiłem zapaloną, zgasła. Nie został po niej nawet zapach. Miałem krzesiwo i hubkę, ale w bagażu, który został z Ronem, który był Bóg wie gdzie.

- Taki duży chłopiec chyba nie boi się ciemności? - Strach w głosie przekonał mnie, że lepiej jednak milczeć.

Nasłuchiwałem przez chwilę, ale nie docierał do mnie żaden dźwięk, prócz szmeru własnego oddechu.

Opadłem na poduszki, naciągnąłem nakrycie i aby oderwać się od strachów, przebiegłem w myślach rozmowę z Sageousem.

- Trudny sposób? - powtórzył, jakby zaskoczony, że w ogóle rozważam tę opcję. - Trudny sposób polega na wypełnieniu się zaklęcia. Każdy czar to akt woli dążący do osiągnięciu rezultatu. Pragnienia tych, którzy posiadają moc, wypowiedziane na głos, żłobią z pomocą ich sztuki wzór w materii rzeczywistości, stając się żywymi istotami. Zaklęcie będzie skręcać, zwijać się, zmieniać, rozważać i spiskować dopóki nie osiągnie celu, dla którego go stworzono. Czar trwa, ponieważ cel istnieje nadal. Zniszcz cel, a zaklęcie, klątwa, która was wiąże, zniknie.

Pomyślałem o oczach zza maski.

- Zabić Snorriego, mówisz? - To wydawało się jednak znacznie łatwiejsze.

Oczy, które lśniły w szparkach porcelanowej maski prześladowały mnie w snach. Na samą myśl o nich czułem dreszcze. Lniana pościel, którą się okrywałem była dziecinną osłoną, bo nawet stalowa zbroja była niczym wobec tego koszmaru. Zabić Snorriego?

- To prosta sprawa, którą mogę dla ciebie zaaranżować, mój książę. - Wszystko, co mówił poganin wydawało się takie rozsądne.

- Nie, nie mógłbym. Snorri stał się czymś w rodzaju p... -Ugryzłem się w język. - Czymś w rodzaju zaufanego służącego.

Sageous pokręcił głową, a przed moimi oczyma rozmazały się linie tekstów na jego skórze.

- To szaleństwo, mój książę. Barbarzyńca wziął cię w jasyr, jesteś zakładnikiem jego losu. I jeszcze wciąga cię w straszliwe niebezpieczeństwo. Dawno temu pisał o tym pewien mędrzec, lord Sztokholm. W miarę upływu czasu zakładnik zaczyna postrzegać porywacza jako przyjaciela. Zapadłeś w jego sen, książę Jalanie. Czas się obudzić.

I leżąc tak w ciszy i mroku komnaty, oddzielony jedynie kawałkiem płótna od przekonania, że bezimienna groza z Vermillionu stoi w nogach mego łóża, usiłowałem się obudzić. Zacisnąłem zęby i ze wszystkich sił starałem się zasnąć albo obudzić - jednakże jedyną drogę ucieczki oferował głos Sageousa.

- Wystarczy, że poprosisz króla Olidana o ochronę. Sam przekażę mu wiadomość. Kiedy się obudzisz, twój Wiking będzie leżał w grobie dla biedaków w dole rzeki. Ty za to będziesz wolnym człowiekiem, będziesz mógł wrócić do życia, z którego zostałeś wyrwany. Będziesz żył, jak dotąd, jakby nic się nie stało.

Trzeba przyznać, że brzmiało to niezwykle kusząco. Nie przestawało mnie kusić nawet we wspomnieniach. Ale język nie chciał wymówić tych słów. Możliwe, że to przez tę chorobę Sztokholma.

- Ale on jest... jest lojalnym sługą. - A choć bez wątplenia byłem kłamcą, oszustem i tchórzem, nigdy, przenigdy nie zdradziłbym lojalnego sługi. No chyba że wymagałoby to szczerości, uczciwości, odwagi, bądź działania niedogodnego dla mnie w inny sposób. - Rozumiem, do czego zmierzasz, ale... musi być inny sposób. Nie możesz czegoś zrobić? Ty, z twoimi umiejętnościami?

I znów przeczące kręcenie głową, tak powolne, że nieomal mógłbym uwierzyć, że pełne żalu.

- Nie bez wielkiego ryzyka, mój książę, dla mnie i dla ciebie. - Sageous zwrócił na mnie te swoje łagodne oczy, a ja zatonałem w nich natychmiast, jakby potrafił wciągnąć mnie w nie, kiedy tylko chciał. - Jest i trzeci sposób. Krew osoby, która rzuciła na ciebie klątwę.

- Och, ale nie mógłbym... - Wspomnienie starej wiedzy wytrąciło mnie z równowagi tak samo jak wspomnienie istoty z opery. - Milcząca Siostra jest zbyt

przebiegła, a babka ma na jej punkcie bzika.

Sageous skinął, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Ma bliźniaczkę. Siostrę, którą los może postawić na twojej drodze. Krew bliźniaka zadziała tak samo. Ugasi ogień zaklęcia.

- Bliźniaczka? - Trudno było mi uwierzyć, że na świecie są dwa takie potwory. Bielmooka wiedźma wydawała mi się zawsze taka wyjątkowa.

- Nazywa się Skilfar.

- Niech to szlag trafi! - Słyszałem o tej Skilfar. A wszystko, co słyszałem, to samo zło. To najprawdziwsza prawda. Babka zwała ją Wredną Wiedźmą z północy i uśmiechała się przy tym, jakby mówiła coś błyskotliwego. - Niech to piekło pochłonie. - Zabicie Snorriego wydawało się trudne. Radośnie stawiałem jego życie w zakładzie na arenie. Ale teraz go znałem, a to stawiało rzeczy w całkiem innym świetle.

W zasadzie psuło smak całej zabawy na arenach. Każdy człowiek miał własne życie i wątpiłem, bym mógł z tą świadomością jeszcze bawić się beztrudno, oglądając walki. Życie ma sposoby, by zaleźć ci za skórę i popsuć proste przyjemności nadmiarem informacji. Młodość to najszcześniejszy okres, bo tarzamy się wtedy wszyscy w błogości niewiedzy.

- Twoje dawne życie, mój książę. Mógłbyś doń powrócić.

Moje dawne życie, rozkosze cielesne, rozkosze stołu hazardowego, czasami jedno na drugim... Płytkie życie, balansowanie na ostrzu maeresowego noża, ale bywa, że płytkie życie to wystarczająco pełne życie. W głębokim można utonąć.

- Prześpię się z tym - powiedziałem.

Tyle że nie mogłem spać. Leżałem zlany zimnym potem grozy, wpatrując się w noc. Śmierć Snorriego, zniszczenie potwora, krew Milczącej Siostry albo jej północnej bliźniaczki. Żaden sposób nie był łatwy. Każdy niósł ze sobą inne trudności.

- Poproś króla o głowę Wikinga - powiedział Sageous. - To najłatwiejszy sposób. *Przecież jesteś dobry w wybieraniu łatwych rozwiązań*, zdawało się mówić pismo na jego dłoniach. *Przecież jesteś dobry w uciekaniu*.

Gdybym naprawdę był dobry w uciekaniu, wiedziałbym, gdzie znajdują się te cholerne drzwi. Zazwyczaj zapamiętuję takie rzeczy, układam plany ucieczki, mam kłamstwa na podorędziu. Jednakże gdy tylko poganin opuścił komnatę, opadło mnie ogromne zmęczenie. Padłem na łożo jak kamień w najgłębszą wodę.

- Zabij Wikinga. - Za każdym razem brzmiało to coraz rozsądniej. Przecież śmierć oszczędziłaby Snorriemu odkrycia, że jego rodzina nie żyje. Miał przed sobą tylko ciężką drogę, na końcu której znajdowała się straszliwa wieść. Przecież cieszył się na każdą bitwę jak na widok starego przyjaciela. Pragnął śmierci. *Zabij Wikinga*. Nie wiedziałem już czy to ja mówię, czy Sageous.

Siedziałem w miękkim fotelu, słuchając mądrości poganina. Siedziałem?

Siedzę? Siedziałem teraz, a on stał za wysokim oparciem krzesła, przebiegając palcami po czarnych drewnianych szczebelkach, jakby były strunami harfy, na której można grać melodię.

- A więc poprosisz o jego głowę. - Nie pytanie. Te łagodne oczy, ojcowskie spojrzenie. Ojciec i przyjaciel. Choć Bóg wie, nie *mój* ojciec - mój zawsze wydawał się zakłopotany w sytuacjach ojciec-syn.

Tak, Sageous miał rację. Otworzyłem usta, by wypowiedzieć te słowa.

- Poproszę o...

Z chudej piersi Sageousa wyłonił się czubek miecza i to nie było jakiego miecza, a ostrza jaśniejącego niczym świt, niczym biała stal wyjęta z żaru paleniska. Sageous spojrzął na sztych zaskoczony, a ostrze wysuwało się i wysuwało, aż z piersi poganina wystawała stopa rozjarzonej stali.

- Co...? - Krew pociekła mu z kącików ust.

- To nie twoje miejsce, poganinie. - Skrzydła, które rozłożyły się za jego plecami wyglądały, jakby należały do niego. Białe skrzydła. Białe, jak letnie chmury, o orlich piórach, na tyle duże, by unieść pod niebiosa człowieka.

- Jak...? - wybulgotał Sageous, a krew zalała mu brodę.

Miecz został wycofany, a ponad głową poganina pojawiło się oblicze dumne i nieludzkie, ja te z rzeźbionych w marmurze posągów greckich bogów lub rzymskich cesarzy.

- On należy do światłości. - Ostrze błysnęło, odcinając głowę poganina z taką łatwością jak kosa żdźbło trawy.

- Obudź się. - Głos nienależący do anioła stojącego nad trupem Sageousa. Głos dochodzący spoza zamku, potężniejszy niż jakikolwiek dźwięk, wystarczająco głośny, by kruszyć mury.

- Obudź się.

To wszystko nie miało sensu.

- Co...?

- Obudź się.

Zamrugalem. Znowu zamrugalem. Otworzyłem oczy. Zamiast ciemności, szarość przedświt. Usiadłem, wciąż zaplątany w wilgotną pościel. Przez przesłonięte koronkowymi firanami okna widać było jaśniejące na wschodzie niebo.

- Baraquel?

- Byle kował snów nie będzie kował zaprzysiężonego światła! - oświadczył Baraquel chępliwie. A potem dodał poważniej - Widzę jednak dłoń, która nim kieruje. Dłoń, której dotyk jest bardziej śmiertelny... Dłoń o błękitnych palcach. Bł...

- To byłeś ty? Ale przecież jesteś taki... upierdliwy. - Wyszedłem z łóżka obolały, jakbym całą noc siłował się z koczkodanem. Komnata była pusta, anioł

wrócił do mojej głowy.

- Przemawiam głosem, który sam mi dajesz, Jalandie. Jestem ograniczony twoją wyobraźnią, uformowany twoimi fanaberiami. Każda z twych wad osłabia mnie, a jest ich tak wiele. Nie...

Ostatnia płonąca krawędź słońca wychynęła ponad horyzont, ozłacając cały las. I cisza stała się złotem. Chwila Baraęuela skończyła się. Wróciłem na wygodny fotel, ściągnąłem spodnie, ale odkryłem, że wcale nie mam ochoty siedzieć. Popatrzyłem na krzesło i wyobraziłem sobie, jak głowa stojącego za oparciem Sageousa zaczyna się staczać z karku. Chciał, żebym zabił Snorriego. Jego argumenty wydawały się rozsądne, ale choć straciłem większość pieniędzy przy tym stole, wygrałem. Spędziłem tak wiele czasu przy kartach, że wiedziałem, kiedy się ze mną pogrywa.

Kiedy skończyłem się myć i ubierać, słońce stało już wysoko na wschodzie, koguty skończyły piąć, ludzie zajmowali się swoimi obowiązkami, a poniżej Wysokiego Zamku budziło się miasto Crath. Nieśmiałe stukanie oderwało mnie od kontemplowania widoków za oknem.

- Czego?

- To ja, S-Stann, wasza wysokość. - Milczenie. - Potrzebuje, wasza wysokość, pomocy przy ubieraniu czy może...

- Idź po Wikinga, sprowadź go do mnie. Zjemy śniadanie tam, gdzie podają najlepsze posiłki.

Chłopak pobiegł, tupot jego stóp ucichł szybko. Usiadłem na łóżku i wyciągnąłem medalion. Po każdym sprzedanym kamieniu pozostawał pusty oczodół, łypiący na mnie ślepo, oskarżycielsko. Nawet pasowało. Sprawiedliwość jest ślepa. Miłość jest ślepa. Za kolejny klejnot mógłbym kupić wygodną podróż w karecie aż do Vermillionu. A jeszcze jeden powinien zapewnić mi wino i towarzystwo na każdym popasie. Dwa puste oczodoły patrzyłyby jak odjeżdżam, jak zostawiam przyjaciela leżącego w biedaczym grobie, jak powracam do płytkiego życia. Ciekaw byłem, czy Baraęel widział moją duszę, kiedy na mnie patrzył. Czy właśnie tak wyglądała? Wyprzedawana po kawałku każdego dnia, by wykupić kolejny skrawek ścieżki tchórza biegnącej po marginesie życia?

- Cóż - powiedziałem do siebie. - Lepiej wieść długie nędzne życie wypełnione płytkimi przyjemnościami niż krótkie heroiczne, zakończone szybkim ciosem. A to, że jeden człowiek pogrywa drugim nie znaczy, że razem im nie po drodze. - Pomyślałem o zimnej północy, pełnych koszmarów opowieściach Snorriego i zadrzałem.

- Jal! - Snorri przepełnił sobą futrynę, a jego twarz przepełnił uśmiech. - Gorzej wyglądasz po nocy w jedwabiach, niż po tej spędzonej w Aniele z tą twoją ostrożnością przyjaciółką.

Za jego plecami kręcił się Stann, usiłując znaleźć sposób, by wejść do

komnaty.

- Chodź. - Wstałem. - Niech chłopak zaprowadzi nas na śniadanie.

Podążyliśmy spokojnie za truchtającym Stannem.

- Posiłek może zostać podany w komnacie, panie - wy-dyszał chłopiec przez ramię.

- Lubię towarzystwo - powiedziałem. - I wasza królewska mość dla ciebie, chłopcze. A on jest... haldrem. Do osoby jego stanu należy zwracać się „hej, ty!”

- Tak, wasza królewska mość.

- Już lepiej.

Kolejny korytarz, kolejny zakręt i wreszcie łukowate przejście do wielkiej sali, w której ustawiono trzy długie stoły. Przy dwóch posilała się grupa mężczyzn, na oko goście albo zaniejsi mieszkańcy zamku. Nikt z rodziny królewskiej, ale i nie pospólstwo. Stann wskazał nam wolny stół.

- Wasza królewska mość. - Obrzucił spojrzeniem Snorriego, przygryzł wargę i zaczął przestępować niepewnie z nogi na nogę, prawdopodobnie powątpiewając, czy ranga Wikinga upoważnia go do zasiadania przy jakimkolwiek stole.

- Snorri zje ze mną - rozwiąłem jego wątpliwości. - Ma specjalne pozwolenie.

Stann odetchnął z ulgą i odsunął nam krzesła.

- Wezmę jajecznicę ze szczyptą soli i pieprzu, a potem rybę. Może być śledź lub makrela, wędzone. Wiking pewnie zje świnie, świeżo ubitą.

- Bekon - potwierdził Snorri. - I chleb. Im czarniejszy, tym lepiej. I piwo.

Chłopiec odbiegł, powtarzając pod nosem zamówienie.

Snorri odchylił się na krzesło, ziewając.

- Dobrze spałeś? - zapytałem.

Uśmiechnął się i spojrzał na mnie w zadumie.

- Dziwne miałem sny.

- Jak dziwne?

- Co noc śnię o córce Lokiego. Jeśli sen o Aslaug to norma, wyobraź sobie, co można nazwać dziwnym.

- No mów.

- Mały człowieczek pokryty napisami przez całą noc przekonywał mnie, że rankiem powinienem cię zabić. A potem przyszła Aslaug i go pożarła.

- Aha.

- Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Sługa przyniósł nam dwa dzbanki piwa i chleb.

- No i? - zapytałem, bardziej niż spięty. Pomiedzy nami, obok chleba leżał nóż.

- Postanowiłem tego nie robić. - Snorri wziął chleb i przełamał go na pół.

- To dobrze - odetchnąłem z ulgą.
- Lepiej zaczekać z tym, aż opuścimy zamek. - Wgryzł się w pajdę, ukrywając uśmiech. - A ty jak spałeś?

- Mniej więcej tak samo - powiedziałem, ale Snorri stracił już zainteresowanie. Jego uwagę przykuło coś przy wejściu. Odwróciłem się i ujrzałem młodą kobietę, która szła w naszą stronę. Wysoka, szczupła, ale nie krucha, o niepospolitej urodzie, podsuwającej mi niepospolite myśli. Obserwowałem, jak kroczy pewnie. Wysokie kości policzkowe, wyraziste usta i rude loki spływające na czoło i ramiona. Wstałem, gotów się skłonić. Snorri nie drgnął.

- Pani. - Popatrzyłem jej w oczy. Niesamowite oczy, zielone, odbijały więcej światła, niż na nie padało. - Jestem księżę Janem Kendeth, do usług. - Wskazałem Wikinga. - Mój człowiek, Snorri. - Jej suknia była prosta lecz uszyta z pietyzmem i przywiązaniem do jakości, które wskazywały na bogactwo.

- Katarzyna ze Scorronu. - Powiodła wzrokiem ode mnie ku Snorriemu i z powrotem. Po akcencie poznać było można jej teutońskie pochodzenie. - Moja siostra, Sareth, byłaby zaszczycona waszym towarzystwem podczas lekkiego obiadu.

- Z przyjemnością, Katarzyno - wyszczerzyłem się szeroko.

- Wobec tego do zobaczenia. - Zmierzyła mnie spojrzeniem. - Życzę miłego pobytu i dobrej podróży, księżę. - Obróciła się, szeleszcząc spódnicami i ruszyła w stronę korytarza. Nic w jej tonie czy minie nie wskazywało, by uważała, że moje towarzystwo mogłoby być przyjemne jej siostrze. Zauważywszy czerwone obwódki wokół jej oczu zacząłem się nawet zastanawiać, czy nie płakała.

Pochyliłem się ku Snorriemu.

- Wyczuwam w tym jakiś siostrzany konflikt! Starsza siostra chce zjeść obiad z księciem, a młodsza jest zazdrosna. - W takich sprawach przecucie rzadko mnie zawodziło. Wiele wiedziałem na temat siostrzanej rywalizacji. Snorri zmarszczył brwi - pewnie efekt podszeptów zielonookiego potwora. - Nie czekaj na mnie! - Zerwałem się, żeby pobiec za dziewczyną.

Wielka łapa chwyciła mnie za przegub i natychmiast puściła po ostrym trzasku energii. I tak wystarczyło, żeby mnie zatrzymać.

- Nie sądzę, żeby to było tego rodzaju zaproszenie.

- Bzdura. Wysoko urodzone kobiety nie dostarczają zaproszeń osobiście. Nie przysłałaby też pazia. W tym chodzi o coś więcej niż wspólny posiłek! - Musiałem wybaczyć barbarzyńcy jego brak obycia w dworskich subtelnościach. Katarzyna dotarła do wyjścia. To prawda, że w jej chodzie nie było tego zachęcającego kołysania, jak u kobiet takich jak w Upadłym Aniele. Mimo to uznałem jej ruchy za kuszące. - Uwierz. Znam dworskie życie. To moja zwierzyna. - Pospieszyłem za nią.

- Ale ma na ramieniu... - Snorri wołał za mną coś o jakiejś opasce.

Nie mogłem się nie uśmiechnąć na myśl, że jakiś wieśniak z chaty miałby mnie pouczać w sprawach damsko - zamkowych. Dziewczyna przyszła bez przyzwotki bądź rycerza i zuchwale obejrzała sobie, co też księżę ma do zaoferowania.

- Katarzyno! - Dogoniłem ją w korytarzu, jard od wejścia do sali. - Nie uciekaj teraz. - Zniżyłem głos do uwodzicielskiego pomruku. Złapałem ją za pośladek. Poczułem przez warstwy tafty, jaki jest gładki i jędrny.

Nie sądziłem, że w takim stroju można poruszać się tak szybko, a jednak. Odwróciła się do mnie, a w następnym ułamku sekundy przeniosłem się do miejsca wiecznego, oślepiającego bólu.

Zawsze uważałem, że umiejscowienie męskich jąder stanowi dobitny dowód na niedoskonałość inteligencji stwórcy. Fakt, że drobna kobieta może jednym kopniakiem zmienić bohatera Przełęcz Aralskiej w kupkę tarzającego się po posadzce nieszczęścia, świadczy jasno o wadach boskiego planu, nieprawdaż?

- Jal? - Jakiś cień w bielejącym żarze agonii. - Jal?

- Odejdź - wycedziłem przez zaciśnięte zęby. - Daj. Mi. Umrzeć.

- Chodzi o to, że tarasujesz przejście, Jal. Podniósłbym cię, ale wiesz... Stann, sprowadź ze dwóch strażników, żeby zanieśli księcia do jego komnat.

Przez ogrom cierpienia przebiła się do mnie świadomość ruchu. Czułem, jak piętami szuram po posadzce i słyszałem jak Snorri radośnie zagrzewa do wysiłku wlekących mnie ludzi.

- To jakieś nieporozumienie - zachichotał. Zachichotał! Istnieją przecież twarde zasady! Jeśli mężczyzna dozna tak potwornego urazu, inni powinni co najmniej skrzywić się, okazując współczucie. A nie chichotać! - Pewnie na południu robią to zupełnie inaczej...

- Straciłem rękę do kobiet... - zdołałem wydusić.

- Znając ciebie, Jal, to raczej wsadziłeś ją tam, gdzie nie trzeba. Nie widziałeś czarnej opaski na jej ramieniu? Dziewczyna jest w żałobie! -I znów chichot. - Gdyby nie to, pewnie spuściłaby ci porządne lanie! Charakterna dama. Od razu wiedziałem, jak ją zobaczyłem. Pewnie płynie w niej północna krew.

Jęknąłem tylko, pozwalając ciągnąć się bezwładnie do komnaty.

- Nie ma mowy, żebym spotkał się z jej siostrą. To pewnie jakiś potwór! - Zostałem dźwignięty na łożo.

- Ostrożnie, chłopcy - pouczał strażników Snorri. -Ostrożnie! - Ale jego ton wskazywał, że nadal jest nazbyt rozbawiony całą tą sytuacją.

- Przeklęta scorrońska suka! Aaa! - Zalała mnie kolejna fala bólu. - Za mniejsze zniewagi rozpoczynano wojny!

- W zasadzie znajdujecie się w stanie wojny, prawda? -Krzeseło zatrzęszczało pod ciężarem Snorriego. - Przecież ci żołnierze, których rozbohaterowałeś na Przełęcz Aralskiej byli właśnie Scorrończykami?

Tu mnie miał.

- Żałuję, że nie zabiłem ich więcej!
- Muszę ci powiedzieć, że siostra jest jeszcze ładniejsza.
- Skąd to wiesz, do diaska?!
- Widziałem je wczoraj na galerii.
- Tak? - Udało mi się przetoczyć na bok. Nie pomogło. -Jak dla mnie, może się iść powiesić. - Łypnąłem na niego na tyle paskudnie, na ile pozwalał mi grymas bólu.

Snorri wzruszył ramionami i wgrzył się w gruszkę, którą świsnął z mojego nocnego stolika.

- Ja tam się nie znam, ale uważam, że niebezpiecznie wyrażać się w ten sposób o królowej - wybełkotał z pełnymi ustami.
- Królowej?! - Przekręciłem się twarzą do ściany. - Cholera jasna!



Kuśtykałem za Stannem, który prowadził nas do prywatnych komnat królowej Sareth. Zastanawiałem się, dlaczego właśnie tam zaaranżowała spotkanie, choć nie wątpiłem, że jej cnota będzie dobrze strzeżona.

Uderzyło mnie, że szliśmy podziemiami zamku, po schodach w dół, a potem długim korytarzem, gdzie znajdowały się wielkie magazyny kuchenne. Ale z drugiej strony sam rozkazałem Stannowi prowadzić się najkrótszą drogą ze względu na chwilowe trudności w chodzeniu. Wreszcie wspięliśmy się wąskimi schodami, którymi prawdopodobnie służba dostarczała posiłki do królewskich komnat.

- Królowa prosi o dyskrecję w sprawie tej wizyty - rzekł Stan, oświetlając latarnią długi tunel bez okien.

- Wiesz, co to znaczy?

- Nie, panie.

Ciekaw byłem, czy odpowiedź pazia świadczyła o jego ignorancji czy dyskrecji.

Stann zapukał do wąskich drzwi. W zamku zazgrzytał klucz i weszliśmy. Nie od razu zorientowałem się, że drzwi otworzyła nam osobiście królowa. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jej dama dworu, ale kiedy odwróciła się, przepuszczając mnie, nie mogłem mieć wątpliwości co do jej osoby. Dama dworu nie mogła nosić tak wspaniałych szat, a poza tym Sareth była niezwykle podobna do swojej siostry. Oceniłem jej wiek na dwadzieścia parę lat. Była niższa od Katarzyny, miała łagodniejsze rysy i bardziej klasyczną urodę - pełne usta, falujące ciemno-rude włosy i także zielone oczy, choć nie tak świetliste jak u siostry.

Kolejny fakt, którego nie dałoby się ukryć, chyba że pod namiotem, to że albo połknęła właśnie prosię, albo była w zaawansowanej ciąży.

- Wskaż księciu Janowi krzesło, nalej mu wina, a potem nas zostaw. - Odpawiła pazia machnięciem ręki.

Chłopak poprawił poduszkę na wielkim krześle stojącym w odpowiedniej odległości od siedziska królowej, czyli w drugim końcu komnaty. W zasadzie gdybyśmy chcieli zachować naprawdę przyzwoitą odległość, musiałbym stać w

korytarzu, bo żadna królowa nie powinna zostawać sam na sam z obcym w zaciszu prywatnych komnat, a tym bardziej, jeśli tymże obcym byłam ja.

Podszedłem ostrożnie do krzesła, ułożyłem odpowiednio poduszkę i powoli opuściłem na nią siedzenie.

- Dobrze się czujesz, książę Jalandie? - Jej czoło zmarszczyło się lekko w wyrazie szczerej troski.

- Ach, to tylko... - Usadowiłem się wygodniej. - Stara rana wojenna. Czasami się odzywa. Szczególnie, jeśli zbyt długo pozostaję z dala od bitewnej wrzawy.

Stann, napełniający właśnie srebrny kielich winem z wysokiego dzbana, zacisnął usta. Kiedy skończył, wymknął się drzwiami dla służby, a jego kroki szybko ucichły w korytarzyku. Uświadomiłem sobie nagle, że gdybym został przyłapany sam na sam z królową, moje życie zależałoby od tego, co powie moja towarzyszka. A wydawało się wątpliwe, by potwierdziła zaproszenie. Do tego jej podstępna siostra z pewnością nakreśliłaby Olidanowi mój obraz na podstawie niedawnego zajścia. Uznałem, że należy przy pierwszej okazji wyplątać się z tej sytuacji.

- Jak znajdujesz Ancrath, książę Jalandie? - Akcent Sareth był jeszcze wyraźniejszy niż u jej siostry. Przypomni mi okrzyki scorrońskich żołnierzy, którzy chcieli zabić mnie na Przełęczy Aralskiej. Nie dodało mi to ducha.

- To piękny kraj - powiedziałem. - A Crath robi ogromne wrażenie. Kiedy przybyliśmy, całe miasto świętowało.

Skrzywiła się, wydymając usta. Najwyraźniej poruszyłem czułą strunę. W ciąży czy nie i tak była piękna.

- Scorrion jest ładniejszy, a Eisenschloss jest wspanialszą twierdzą - oświadczyła, jakby nieświadoma, że pochodzę z Czerwonej Marchii, gdzie Scorrończyków postrzegamy jako śmiertelnych wrogów. Ale nieważne, od dawna byłem orędownikiem miłości, nie wojny, choć często dzieliły one wspólne łóżko. - Ale masz rację, książę Jalandie, Ancrath ma wiele do zaoferowania.

- Zaiste. Obawiam się jednak, moja królowo, że czuję się nieco zagubiony. Może stosowniej byłoby omawiać te kwestie dzisiaj po południu podczas audiencji? Wieści o twojej urodzie docierają w najdalsze zakątki, nie chciałbym, by ktoś mylnie odczytał moje intencje... - Normalnie z przyjemnością przyprawiłbym rogi każdemu głupcowi, który zaniedbuje taką kobietę jak Sareth... ale Olidanowi? W życiu. Poza tym jej ciąża i mój uraz skutecznie zmniejszyły moje zainteresowanie skorzystaniem z okazji.

Twarz Sareth wykrzywił grymas niepokoju, dolna warga zadrżała. Królowa dźwignęła się z krzesła, a potem podbiegła do mnie i uklękła.

- Wybacz, książę Jalandie! - Ujęła moje opalone, pokryte odciskami dłonie w swoje białe i szczupłe. - Po prostu... to taki szok dla nas, pojawienie się tego

okropnego chłopaka.

- Chłopaka? - Mało spałem ostatnie dwie noce i to, co mówiła wydawało mi się pozbawione sensu.

- Jorga, syna Olidana.

- Ach, zaginionego księcia! - Rozkoszowałem się dotykiem jej dłoni.

- Szkoda, że nie pozostał zaginionym księciem. - Dostrzegłem twarde błysk za tą piękną zasłoną łez. Nagle nawet mój wymęczony brakiem snu umysł nie był w stanie dłużej nie dostrzegać problemu. Odnaleziony książę nie mógł być synem Sareth, była na to za młoda... A więc była drugą żoną, przekonaną do niedawna, że nosi w łonie następcę tronu?

- Ach. - Pochyliłem się, spoglądając na jej brzuch. - Rozumiem, że jego powrót może stanowić dla ciebie problem. - Jej twarz znów zmięta się z żalu. - No, nie płacz już, moja królowo. - Mogłem nawet jej dotknąć, jak to udawany bohater pocieszający damę w tarapatach i przesunąć dłonią po tych wspaniałych włosach.

- Ach, czemu nie pozostał zaginionym księciem tułaczem? - Podniosła na mnie oczy okolone wilgotnymi od łez rzęsami.

- Chłopiec, mówisz? - Nie wiem czemu, ale zaginiony książę wydawał mi się dorosłym mężczyzną. - A ile dokładnie ma lat...?

- Dziecko jeszcze! Jeszcze tydzień temu nie miał lat trzynastu! Nikt o nim nie pamiętał. Teraz osiągnął pełno-letniość i... - Kolejna fala łez i królowa złożyła mi głowę na ramieniu. - Och, przyniósł ze sobą tyle kłopotów. Wywołał taki chaos w sali tronowej.

- To trudny wiek. - Skinąłem dojrzałe i przyciągnąłem ją bliżej. To był odruch. Nie potrafiłem się powstrzymać. Pachniała cudownie bzem i kapryfolium, a ciąża wypełniła nie tylko jej brzuch, także z gorsetu wylewały się jej hojne dary natury.

- W moim kraju zwą cię Diabłem z Aralu - rzekła. - Czerwonym Księciem.

- Tak? - Powtórzyłem to słowo, tyle że bez zdumienia. - Ach tak.

Potakując ruch głowy na moim ramieniu.

- Sir Karlan wyszedł cało z bitwy z tobą i uciekł na północ. Na dworze opowiadał, że walczyłeś bez cienia lęku, jak szaleniec powalając wojownika za wojownikiem. Wśród nich Sir Gorta, syna kuzyna mojego ojca. Rycerza znanego ze swej waleczności.

- Noo... - Historie wzrastały z biegiem czasu, a nadmiar lęku mógł zostać omyłkowo wzięty za nieustraszoną. Tak czy siak królowa wręczyła mi dar, którego nie wypadało wręcz nie wydoić. - Moi ludzie zwą mnie bohaterem z przełęcz. Pewnie to naturalne, że wobec tego Scorrończycy zwą mnie diabłem. Będę nosił to imię z dumą.

- Bohater. - Królowa pociągnęła nosem i otarła łzy, wspierając się jedną dłonią o moją pierś. - Ty mógłbyś mi pomóc. - Ciche słowa, prawie że szept.

Zadrzałem, kiedy jej oddech owiał moje ucho.

- Oczywiście, moja pani. - Powstrzymałem się, zanim obiecałem zbyt wiele. - W jaki sposób?

- To bandyta, ten Jorg. Należy mu pokazać jego miejsce. Oczywiście jest zbyt wysoko urodzony, żeby byle kto mógł mu dać lekcję. Ale księżę mógłby rzucić mu wyzwanie. Musiałby podjąć rękawicę od księcia.

- No cóż... - Wciągnąłem jej słodki zapach i nakryłem dłonią rękę spoczywającą na moim torsie. Przypomniałem sobie, jak gonilem po operze tych przeklętych smarkaczy-nosiwodów. Skopałem wtedy parę tyłków! Złachane trzynastoletnie księżątko, które głód skłonił do przełknięcia dumy i powrotu do taty... już widziałem siebie, jak daję ostrą nauczkę chłoptasiowi. I odbieram dowody uznania od jego uroczej macochy.

Sareth przysunęła się jeszcze bliżej. Czulem na szyi jej wargi, a na piersi jej pełny biust.

- Powiedz, że się zgadzasz, mój księżę.

- Ale Olidan...

- Olidan to oziębły staruch. Teraz, gdy spełnił swój obowiązek prawie w ogóle nie chce mnie widywać. - Jej usta dotknęły mojej skóry, a dłoń zsunęła się na brzuch. - Powiedz, że mi pomożesz, Jalandie.

- Oczywiście, pani. - Przymknąłem powieki, poddając się jej staraniom. Spuszczenie lania aroganckiemu smarkaczowi na jego własnym dworze zapowiadało się na niezłą zabawę, a do czasu, kiedy opowiem tę historię w Vermillio-nie, księżę zdąży dorosnąć i wszyscy zapomną, że złołem skórę dzieciakowi.

- Nie mam nic przeciwko, żeby coś mu się stało. - Powiodła dwoma palcami po moim gorsie, bawiąc się guzikami.

- Wypadki się zdarzają - wymruczałem.

Słowa te okazały się prorocze, jakby zainspirowana nimi Sareth wzmogła swe manipulacje, przesuując dłoń niżej, na moje spodnie.

Jak każdy mężczyzna zraniony podczas pełnienia obowiązków, muszę powiedzieć, że efekty kopniaka w przyrodzenie nie mijają od razu. Czasami trzeba kilku dni zanim klejnoty książęce będą znów gotowe na inspekcję. Nazbyt pospieszne obmacywanki Sareth rozpały na nowo żar uprzedniej agonii i cóż, muszę przyznać, że mój okrzyk można było opisać mianem piskliwego. Możliwe, że nawet... dziewczęcego. Co wyjaśniałoby nagle wtargnięcie do komnaty dwóch gwardzistów pragnących ratować swoją panią przed napastującym ją szaleńcem.

Strach jest wspaniałym anestetykiem. Nieoczekiwane pojawienie się dwóch twardzieli w barwach Ancrath, z obnażoną stałą sprawiło, że ból przyrodzenia minął, jak ręką odjął. Nawet z pomocą katapulty nie wystrzeliłbym szybciej z krzesła, a kuchennymi schodkami zbiegałem zanim ktokolwiek zdołałby

wypowiedzieć „cudzołóstwo”.

Komnaty dopadłem zdyszany i spanikowany. Snorri przeniósł się z fotela, na którym go zostawiłem i leżał rozwalony na moim łożu.

- Szybko ci poszło - zauważył, unosząc głowę.
- Myślę, że powinniśmy opuścić zamek - oświadczyłem, rozglądając się za swoimi rzeczami, choć żadnych nie miałem.
- Dlaczego? - Snorri spuścił nogi i usiadł. Łóżko zatrzeszczało pod jego ciężarem.

- Um... - Wyjrzałem na korytarz, wypatrując gwardzistów. - Możliwe, że...
- Nie królowa, przecież? - Snorri wstał, a ja ponownie uświadomiłem sobie, o ile jest ode mnie wyższy. - Kto cię widział? - zapytał gniewnie.

- Dwóch strażników.
- Jej strażników?
- Tak.
- Przekupi ich. Pozbędzie się problemu.
- Byle nie pozbyła się przy tym i mnie.
- Nic ci nie będzie. - Widziałem, że zastanawia się nad spotkaniem z królem Olidanem, nad tym wszystkim, co powiedziałem mu o korzyściach z poznania wroga i o możliwości zdjęcia klątwy.

- Tak sądzisz?
- Tak. - Skinął głową. - Idiota.
- Możemy odjechać w każdej chwili. Wiesz. Rozmawiałem wczorajszej nocy z magiem królewskim i okazało się, że nie bardzo może nam pomóc...

- Ha! - Snorri usiadł z impetem. - Stary zaklinacz snów! Musimy gdzie indziej szukać pomocy, Jal. Jego moc została naruszona. Dwa dni temu chłopiec zniszczył jego talizman. To było jakieś szklane drzewo. Jorg rozbił je w sali tronowej, zasypując ją odłamkami!

- Skąd... skąd ty to wszystko wiesz?
- Rozmawiam z ludźmi, Jal. Podczas gdy królowa wsadzała ci język w ucho, ja swoje wykorzystywałem do słuchania. Księżę Jorg zuchwale odebrał moc Sageousowi. Ale musi być gdzieś inny mag czy mądra babka, którzy mogliby nam pomóc. Niemożliwe, żeby Sageous był jedynym w tak wielkim kraju. Ale aby zdjąć klątwę, musimy poradzić się króla Olidana.

- Ale...
- Ale co?
- Obiecałem królowej, że spuszczę łomot temu książątku. Mam nadzieję, że to nie popsuje naszych stosunków z królem... Jeśli jest przywiązany do dzieciaka, to może być problem.

- Czemuś to zrobił? - Snorri rozłożył wielkie ręce. - Nie rozumiem, dlaczego miałbyś obiecać jej coś takiego? - Na wszelki wypadek niepostrzeżenie

wsunąłem jego topór głębiej pod łóżko.

- Przecież sam ją widziałeś? Jak mógłbym odmówić takiej kobiecie? Snorri pokręcił głową.
- W życiu nie spotkałem mężczyzny, który tak mało rozumie kobiety i daje się im tak wodzić za nos.
- To co z tym chłopcem? Będzie jakiś problem, jak go potaroszę? - zapytałem. - Skoro już wiesz wszystko o Ancrath, to mów.
- Cóż. Ojciec nie darzy go miłością. To wiem na pewno.
- Co za ulga. - Uspokoilem się na tyle, by usiąść w fotelu.
- Wiem, że jesteś odważny, Jal i że jesteś bohaterem wojennym...
- Tak...?
- Ale na twoim miejscu nie wrywałbym się tak do tarmoszenia księcia Jorga. Przecież widziałeś go wczoraj w Upadłym Aniele?
- W jakim Aniele? O czym ty mówisz?
- W Upadłym. Wiem, że byłeś zajęty innymi sprawami, ale chyba zauważyłeś, że cała karczma była pełna jego bandy. Braci.
- Co?! - Fotel przytrzymał mnie, kiedy spróbowałem wstać.
- Książę też tam był. Siedział w wykuszu z Sir Makinem.
- O Boże. - Przypomniałem sobie te jego oczy.
- A potem ruchał Sally w pokoju obok twojego. Miła z niej dziewczyna. Z Totten, na południe od Lure.
- Rany boskie! - Myślałem, że towarzysz Makina ma jakieś osiemnaście lat. Na pewno miał ponad sześć stóp wzrostu!
- I oczywiście wiesz z jakiego powodu wyrusza na kolejną wyprawę mimo że właśnie wrócił do Wysokiego Zamku?
- Przypomnij mi, proszę. - Wydawałoby się, że zrobienie sobie śmiertelnego wroga z maga snów było wystarczającym powodem, by ruszyć w daleką drogę.
- Jorg zabił czempiona królewskiego, kapitana straży Sir Galena. To po nim siostra Sareth nosi żałobę.
- I pewnie nie chcesz mi powiedzieć, że uczynił to, wrzucając mu truciznę do miodu?
- Pojedynekowali się.
- Wynosimy się stąd! - zawołałem z korytarza.



Nikt

nie otrzymał rozkazu, by powstrzymać goszczącego księcia przed wybraniem się na przejażdżkę po mieście przed audiencją. Zabraliśmy Rona i Slejpnir i pogalopowaliśmy do miasta. I nie przestawaliśmy galopować. Jazda konna okazała się wybitnie nieprzyjemna, więc kręciłem się w siodle, usiłując znaleźć dogodniejszą pozycję. Przeklinałem przy tym Scorrończyków na czym świat stoi, a szczególnie ich piekielne baby

- Obie miały za blisko osadzone oczy... Poza tym nigdy nie przepadałem za rudymi. Jestem pewien, że młodsza miała...

- Miała coś w sobie, to pewne - wszedł mi w słowo Snor-ri. - Wyobrażam sobie, że mogłaby wędrować daleko i dokonywać wielkich czynów. Na taką wyglądała.

- Skoro tak ci się podobała, czemu nie uderzyłeś do niej? - Prowokowałem go, żeby oderwać myśli od bólu. - Może miała ochotę na ostrzejszą przygodę.

Snorri wzruszył ramionami i poprawił się w siodle. Jechaliśmy znów Rzymską Drogą.

- Przecież to jeszcze dziecko. A ja jestem żonaty.

- Miała co najmniej siedemnaście lat. Myślałem że wy, Wikingowie, żyjecie według kodeksu pod żaglami.

- Pod żaglami? - Snorri uniósł brwi. Crath było już tylko plamką w przestrzeni poza nami.

- Jeśli docieracie gdzieś na statkach, zasady nie istnieją - wyjaśniłem.

- Aha. - Lekko zmrużył oczy. - Jesteśmy ludźmi, jak inni. Niektórzy są dobrzy. Niektórzy są źli. Większość pomiędzy.

Dmuchałem przez wargi.

- Ile ty masz w ogóle lat, Snorri?

- Trzydzieści. Tak jakoś.

- Trzydzieści! Jak będę miał tyle, to nadal chcę się bawić. Znowu wzruszenie ramion i lekki uśmiech. Snorri się nie obrażał. Na całe szczęście.

- Tam, skąd pochodzę, dożycie trzydziestki to nie byle co.

- Czy w krainach północy jest w ogóle coś dobrego? Cokolwiek? Choć jedna rzecz lepsza niż w ciepłych krajach?

- Śnieg.

- Nie, nie. Śnieg to popsuta zimna woda.

- Góry. Są przepiękne.

- Góry to kłopotliwe kupy skał, stojące ludziom na drodze. Poza tym, jak chcę gór, mam Alpy na wyciągnięcie ręki.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Ruch na Rzymskiej Drodze przerzedził się, ale na prostych odcinkach w oddali widać było wozy, konnych, a nawet piechurów.

- Moja rodzina - odezwał się Snorri.

Choć nie uważam się za mędrca, byłem na tyle mądry, żeby się nie kłócić.

Wędrowaliśmy na północ, a lato, które powitało nas poniewczasie w Ancrath, zostawało za nami w tyle. Pewnego pachnącego jesienią dnia, nieopodal miasta Hoff, leżącego pomiędzy gotowymi na zbiory polami, Snorri skręcił z Rzymskiej Drogi na wschód.

- Moglibyśmy wsiąść na statek w Conaught - zasugerowałem.

- Ludzie z prawdziwej północy nie cieszą się tam sympatią. Często odwiedzaliśmy to miejsce. - Snorri skierował Slejpnir na zaniedbany, poźłobiony koleinami trakt prowadzący na wschód ku górcom północnego Gelleth.

- W Thurtanach będzie lepiej?

- Nie, byłoby tak samo kiepsko - przyznał. - Ale w Ma-ladon czeka nas cieplejsze przyjęcie.

- Rzadziej odwiedzaliście?

- Zostaliśmy tam. Wsiądziemy na statek w Maladon. Mam tam kuzyna.

- Mam nadzieję, bo bardziej na wschód nie idę. - Na wschód od Maladonu leżało Osheim, a nikt nie podróżował do Osheim. W Osheim Budowniczości postawili Krąg i każda bajka, która zmieniała się w koszmar, zaczynała się słowami „Pewnego razu, nieopodal Kręgu Osheimu”. Snorri skinął z powagą.

- Maladon. Wsiądziemy na statek w Maladonie.

Góry uniosły nas poprzez jesień w zimę. Mimo ciepłych ubrań i zapasów kupionych w Hoff, przeżywaliśmy ciężkie chwile. Bardziej niż zwykle żał mi było wydawać pieniądze, bo wiedziałem, że za ten kawałek srebra mógłbym dotrzeć do ciepłego Vermillionu.

Pośród wyżyn Gelleth zacząłem tęsknić za tą odrobiną luksusu, której dane nam było zaznać w noc spędzoną w Wysokim Zamku. Nawet śmierdząca prycza z Upadłego Anioła była lepsza od obozowania pomiędzy wietrznymi skałami na zboczu jakiejś bezimiennej góry. Zasugerowałem, żebyśmy szli bardziej okrężną, ale mniej uciążliwą drogą przez Czerwony Zamek. Merl Gellethar, mieszkający tam ksiązę, był siostrzeńcem babki i ze względu na więzi rodzinne musiałyby

udzielić nam pomocy.

- Nie.
- Czemu, u diabła?
- Za daleko - burknął Snorri poirytowany, co nie zdarzało mu się często.
- Wcale nie o to chodzi. - Zawsze złościł się, kiedy kłamał.
- Nie.

Czekałem.

- Aslaug mnie ostrzegła - warknął.
- Aslaug? Czy Loki nie jest przypadkiem ojcem kłamstwa? A skoro ona jest jego córką... - Odczekałem, przekonany, że zaprzeczy. - To znaczy że jest wcielonym... kłamstwem?

- Tym razem jej wierzę.

- Hmm. - Nie spodobało mi się to. Gdy twój jedyny towarzysz podróży jest wielkim szaleńcem wywijającym toporem, można się zaniepokoić na wieść, że zaczyna słuchać podszeptów diabła, który przychodzi do niego o zmroku. Mimo to nie naciskałem. Baraquel rankiem powiedział mi to samo. Może też powinienem zacząć wierzyć w to, co anioł szepcze mi o świcie.

Tej nocy śniłem o Sageousie. Uśmiechał się łagodnie pod nosem, obserwując planszę, na której znajdowałem się ja, przepychany z czarnego pola na białe, z ciemności w światło... Obok mnie Snorri przesuwiał się tak samo, a wokół okryte cieniem fragmenty ułożone w jakiś zawiły wzór. Szara dłoń przesuwała swoje pionki - czując dotyk Milczącej Siostry postąpiłem krok naprzód z czarnego pola na białe. Poza nią majaczyła inna, większa, o barwie głębokiej czerwieni, ręka Czerwonej Królowej, rozgrywającej swą najdłuższą partię. Nad planszą pojawiła się czarna dłoń, a ponad nią zawisła większa, niebieska, która nią kierowała. Prawie widziałem sznurki. Razem, Błękitna Dama i Martwy Król zbliżyli się do rycerza i nieoczekiwanie stanął przede mną nienarodzony. Od szaleńczej grozy oddzielała mnie tylko biała porcelanowa maska. Obudziłem się z krzykiem i już bezsennie doczekałem świtu.

W Thurstanach trzymaliśmy się na uboczu, omijając zajazdy i miasteczka. Sypialiśmy po krzakach, piliśmy wodę z rzek, których mnóstwo dzieliło kraj na wiele pasów. Granicę pomiędzy Wschodnim i Zachodnim Thurstanem porastał bór zwany Gowfaugh, ogromna połać porośnięta sosnami, mroczna i złowroga.

- Może pojedziemy drogą? - zaproponowałem.

- Lepiej przekroczyć granicę pod osłoną drzew. - Snorri obrzucił wzrokiem linię lasu. - Thurtańscy strażnicy takim jak my zapewniają miesięczny pobyt w celi i odbierają kosztowności jako zapłatę za gościnę.

Spojrzałem na drogę, którą pokonaliśmy od wzgórz, nikłą linię przecinającą posępne wrzosowiska. Gowfaugh nie wyglądał zachęcająco, ale to groźba czająca się za nami martwiła mnie bardziej. Czułem, jak depcze nam po piętach.

Obawiałem się kłopotów, odkąd opuściliśmy Crath i to nie ze strony króla Olidana zaniepokojonego, że ktoś mógł splamić honor królowej. Martwy Król już dwukrotnie starał się nas powstrzymać, a do trzech razy sztuka.

- Naprzód, Jal. Patrz przed siebie. Wy, południowcy, wiecznie oglądacie się za siebie.

- Bo nie jesteśmy głupi. Zapomniałeś już o nienarodzonym w cyrku? Edrisie i jego najemnikach? I o tym, czym się stali, kiedy ich zabiłeś?

- Ktoś rzuca nam kłody pod nogi, żeby nas zatrzymać, ale nie ściga nas.

- Ale ten potwór w Vermillionie... Uciekł. Sageous mówił, że spotkamy go jeszcze, mówił...

- Mnie mówił to samo. Trudno mu wierzyć, ale chyba ma rację. Stwór uciekł. Podejrzewam, że wtedy w operze widziałeś nienarodzonego, tyle że starego, silnego i że to on był celem zaklęcia Milczącej Siostry. Pewnie to jakiś ważny porucznik Martwego Króla. Może nawet dowódca jego armii.

-I mówisz, że nie idzie za nami? - Wiedziałem, że nas ściga.

- Nie słyszałeś, co mówił ten zaklinacz snów?

- Mówił sporo... Ale głównie o zabiciu ciebie i jak potem będę mógł wrócić do domu.

- Ale o klątwie, o zaklęciu Milczącej Siostry. Dlaczego nadal trwa?

Coś mi zaświtało.

- Bo nienarodzony nie został zniszczony? Czar jest aktem woli. Musi się wypełnić, osiągnąć cel. - Skrzyżowałem ramiona, bardzo z siebie dumny.

- Właśnie. A kiedy podążamy na północ, zaklęcie nie sprawia nam problemów.

- No tak. - Zmarszczyłem czoło. Nie podobało mi się, dokąd to zmierza.

- Nienarodzony wcale nas nie ściga, Jal. To my podążamy za nim. Stwór kieruje się na północ.

- Do diabła! - Staralem się uspokoić. - Ale... Ale daj spokój. Jakie są szanse na to, że jedziemy w to samo miejsce?

- Milcząca Siostra widzi przyszłość. - Snorri dotknął oka opuszką palca. - Jej magia jest skierowana ku przyszłości. Zaklęcie szuka sposobu, by osiągnąć nienarodzonego. Znalazło drogę, żeby ktoś je zabrał, a raczej ktosie je zabrały, w to samo miejsce, do którego zmierza jego cel.

- Cholera! - Tym razem nie wiedziałem, co jeszcze powiedzieć.

- Yhm.

Jechaliśmy brzegiem lasu, dopóki nie znaleźliśmy szlaku. Był zbyt szeroki jak na ścieżkę wydeptaną przez jelenie, ale i zbyt wąski jak na przecinkę drwali. Po zastanowieniu, kiedy już ujechaliśmy kawałek, prowadząc ostrożnie konie i starając się unikać wybicia oczu przez gałęzie, Gowfaugh nie wydawał się miejscem przyjaznym ani dla jeleni, ani dla drwali.

- Lasy - pokręcił głową Snorri, rozcierając zadrapanie na bicepsie. - Chciałbym się już wydostać z tej gęstwiny.

- Lasy to miejsca, gdzie można polować na jelenie, dziki. Tak, jak u nas, w Czerwonej Marchii, z normalnymi drzewami, nie tylko sosnami, z węglarzami, drwałami, czasami niedźwiedziem czy wilkiem. Ale te lasy na północy... - Machnąłem na zwartą ścianę pni i gęszcz splecionych gałęzi, przez które można by się przedostać jedynie z pomocą siekiery. - Martwe miejsca. Nic tylko drzewa i drzewa i drzewa. Nawet ptaki nie śpiewają, słyszysz?

Snorri przepychał się niestrudzenie naprzód.

- Muszę ci przyznać rację, Jal. Na południu są lepsze lasy.

Parliśmy krętymi ścieżkami, a nasze kroki tłumiała warstwa suchych igieł zaścielających ziemię. Nie trzeba było wiele, żeby się zgubić. Nawet słońce nie dawało wskazówek, co do kierunku. Światło ledwie przenikało rozproszone pomiędzy niskimi chmurami.

- Nie chcę tu spędzić nocy. - Ciemności byłyby nieprzeniknione.

- W końcu natkniemy się na jakiś potok i wydostaniemy się stąd, idąc z nurtem. - Snorri złamał gałąź tarasującą mu drogę. Szpilki opadły szepczącym deszczem. - Jakiś powinien być niedaleko. W końcu to Thurtany. Nie zrobisz tu trzech kroków, żeby nie wleźć po kostki w jakiś strumień.

Nie odezwawszy się, podążyłem za nim. Brzmiało to sensownie, tyle że Gowfaugh był suchy jak pieprz. Przypuszczałem, że płatanina korzeni wysysa każdy strumień po pół mili jego biegu. Las zdawał się napierać na nas z każdej strony. Bezduszny, nieustępliwy, powolny wzrost drzew zagłuszał inne życie. Zmierzch zapadał tu szybko, więc brnęliśmy w półmroku, choć ponad wierzchołkami drzew świeciło jasne słońce.

- Dałbym złocista za polankę. - Zapłaciłbym tyle za kawałek miejsca wystarczający do rozprostowania ramion. Ron i Slejpnir wlokły się za nami z opuszczonymi łbami, podrapanymi bokami, żalose, jak to tylko konie potrafią.

Gdzieś w górze słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Wraz z nim spadła temperatura. Przedzieraliśmy się w dusznym zmroku, torując sobie drogę w zwartej ścianie gałęzi. Dźwięk, który rozległ się nieopodal był zaskoczeniem. Rozdarł nieoczekiwanie drzewną ciszę, do której tak bardzo przywykliśmy.

- Jeleń? - zapytałem bardziej z nadzieją niż przekonaniem. Było to na pewno coś dużego i mniej ostrożnego od jelenia. Poruszając się, łamało gałęzie.

- Niejeden. - Snorri wskazał brodą w drugą stronę, z której również dobiegał coraz głośniejszy trzask.

Wkrótce zostaliśmy otoczeni z obu stron. Przez blade cosie. Wysokie cosie.

- Musiały czekać na zmrok. - Wyplułem suche igły i z trudnością dobyłem miecza. Nie liczyłem na to, że będę mógł się nim zamachnąć.

Snorri przystanął i odwrócił się. Nie widziałem jego oczu, ale dziwne

znieruchomienie kazało mi sądzić, że są czarne, pozbawione uczuć i duszy.

- Mądrzej zrobiłyby przychodząc za dnia. - Usta Wikinga poruszały się, ale głos nie należał do niego.

Naraz straciłem wiarę, że to ścieżka jest dla mnie najbezpieczniejszym miejscem w Gowfaugh. Jeden ze stworów zbliżył się. Ujrzałem jasne ramiona i ludzkie nogi, nagie, bladozielone. Mignięcie białego oblicza, dziąsła i zęby obnażone w groźnym grymasie, lśniąca ślepia, w których malował się straszliwy głód.

- Truposze! - Możliwe, że to ja wyskrzeczalem.

- Jeszcze nie całkiem. - Snorri zamachnął się toporem, ścinając wokół gałęzie. Założyłbym się, że nawet wyostrzona na brzytwę stal Budowniczych nie dokonałaby czegoś takiego. Kolejny zamach. Odskoczyłem w tył, wpadając na pochylony łeb Rona. Snorri zaczął nucić pieśń bez słów, a może ze słowami w jakimś obcym języku, ale jeśli, to nie ludzkim. Oczyszczał przestrzeń, aż musiał iść z jednej strony polanki na drugą cztery kroki, pięć, sześć... Karcze, niektóre grubsze od mojego ramienia, sterczały teraz wysokie do kolan, pośród morza powalonych drzew. Na oczyszczonym poletku, mimo że powyżej widać było ciemne niebo i wieczorne gwiazdy, panował mrok głębszy niż w borze. Czerń znaczyła miejsca, gdzie topór przecinał powietrze.

- C...Co to? - Snorri zatrzymał się, dysząc ciężko. Zmierzch pogłębił się. Słońce zaszło. Aslaug wróciła do piekła, które zamieszkiwała. Snorri spojrzał na swoją broń. -To topór bojowy, a nie siekiera, do cholery!

Przysunąłem się do niego w obawie, że czające się w cieniach istoty mogą mnie dopaść.

- Daj tu światła, Jal, ale szybko!

Zacząłem gorączkowo grzebać w bagażu. Snorri stał mi nad głową, konie parskwały nerwowo, a wokół rozlegał się trzask gałęzi pod stopami podchodzących coraz bliżej stworów.

- Wychodźcie! Założę się, że łatwiej was będzie rąbać niż drewno! - Wołał do nich Snorri. Zaskoczony, wyłowilem z jego tonu nutkę strachu, coś, czego nigdy wcześniej nie słyszałem. Uznałem, że bór wyprowadzał go z równowagi bardziej niż czający się w nim wróg. Wreszcie znalazłem krzesiwo i hubkę, upuściłem je i odnalazłem po omacku trzęsącymi się palcami. Zapach żywicy sosnowej wokół nas był coraz wyraźniejszy, coraz silniejszy, duszący.

Krzesalem skrę na hubkę, kiedy Snorri rzucił się na pierwszego z przeciwników.

Ze wszystkich stron dobiegał chrzęst łamanych gałęzi -nadchodziło ich coraz więcej. Nieopatrznie spojrzałem do góry. Napastnicy byli chudzi, nadzy, jak bladozielone duchy w mroku. Topór Snorriego zagłębił się w stworze, rozcinając go od lewego biodra po prawy sutek poprzez jelita, żebra, mostek i płuca.

Najwyraźniej ostrze nie stępiło się podczas karczowania. Ranny sosnowy człowiek szedł naprzód, mimo iż z bezkrwistej bruzdy w ciele wylewały się wnętrzności i wydobywał przejmujący odór żywicy. Wreszcie potknął się o jeden z karczcy i runął na ziemię, zmieniając się w warczącą stertę flaków i gałęzi. Ale Snorri w tym czasie już zajmował się innymi problemami.

Udało się! Iskra zmieniła się w blask, blask w dym, a dym w płomyk. Jeszcze miesiąc wcześniej wykrzesanie ognia zajmowało mi pół godziny. Tu zaś skulony na ziemi, ze Snorrim wymachującym nade mną toporem i kwiczącymi ze strachu końmi, zdołałem zapalić jedną ze smolnych szczap, którą kupiłem w Crath w pobliżu wejścia do miejskich katakumb.

- Podpalaj! - U moich stóp wylądowała drgająca kończyzna.
- Co?!
- Podpalaj! - Stęknęcie i zaraz po nim przytoczyła się do mnie odcięta głowa. Sosnowy człowiek wskoczył Snorriemu na plecy.
- Ale co mam podpalić? - wrzasnąłem.
- Wszystko! - Snorri przewrócił się, nabijając napastnika na sterczące pieńki.
- To szaleństwo! - Przecież my również spłonęlibyśmy.

Zagranie Snorriego, choć genialne na krótką metę, odsłoniło mnie i przynajmniej czterech sosnowych ludzi wyskoczyło spomiędzy drzew na polankę, a za nimi tłoczyli się kolejni. Wyraz ich oczu wzbudził we mnie większy lęk niż ogień. Przytknąłem pochodnię do leżącej nieopodal kupy gałęzi.

Płomienie wystrzeliły nieomal natychmiast. Sosnowi ludzie zrobili jeszcze dwa, trzy kroki, a potem zatrzymali się z twarzami oświetlonymi blaskiem ognia. Walczący za mną Snorri uwolnił się od przeciwnika i podniósł się ze stęknieniem.

- Za końmi!

Ogień szerzył się coraz bardziej, pożerając trzaskające z gorąca szpilki, skacząc po powalonych konarach, podsypany krwią sosnowych ludzi. Przerażone konie rzuciły się do ucieczki, taranując sosnowych ludzi i przeskakując płomienie. Idąc za przykładem Snorriego, przetoczyłem się, o mało co przy okazji nie nabijając się na kikuty cienkich pniaczków.

Konie rwały naprzód, przebijając się przez gąszcz. Miałem nadzieję, że nie powybijają sobie oczu, ale ślepotą zdawała się i tak lepszą opcją niż spalenie żywcem. Snorri pognał za nimi, a ja, zataczając się, zamykałem pogoń. Za moimi plecami ryczał ogień, mieszając się z krzykami bólu wydawanymi przez sosnowych ludzi.

Na chwilę zostawiliśmy pożar w tyle, pędząc na oślep za wierzchowcami. Zdyszany, zatrzymałem się na moment i obejrzałem za siebie. Cały bór jaśniał żółto-pomarańczo-wą poświatą, na tle której czerniły się niezliczone kolumny pni drzew.

- Szybciej! - wrzasnałem, bezsensownie marnując oddech, zamiast samemu posłuchać własnej rady.

Piekło przeskakiwało konary z niesamowitą prędkością. Przemieszczało się z korony na koronę szybciej niż na ziemi i parę razy biegliśmy pod ognistym sklepieniem, poganiani rykiem płomieni. Drzewa wybuchały, gdy tylko pochłonęło je piekło. Dosłownie pękały na kawałki w fontannach żarzących się fragmentów. Ogień mknął po iglastym pobyciu niczym wichur, pożerając na swej drodze wszystko. Na plecach czułem gorącą dłoń, zmuszała mnie do jeszcze większego wysiłku. Ron w pewnej chwili oddzielił się od Slejpnir - wybrałem drogę na lewo. Sto jardów dalej, ujrzałem mojego konia pomiędzy drzewami, jak wpada w coś, chyba w ciernisty krzew. Wiele trzeba, by utrzymać konia w pułapce, a Ron, nie dość, że silny, to jeszcze mocy dodawało mu przerażenie. Ale utknął w gęstwie, a ja, przeklinając, biegłem naprzód. Pocieszałem się, że ogień przyniesie mu szybką śmierć. Zwierzę będzie kupką popiołu zanim zorientuje się, że płonie żywcem.

Z przodu dojrzałem oświetlonego łuną Snorriego. Slejpnir opadała z sił. Oboje wspinali się z trudem po stromym zboczu.

- Biegnij! - Jęk, niewiele głośniejszy niż mój chrapliwy oddech.

Dotarliśmy na szczyt przed pożarem, choć w koronach drzew ponad nami tańczyły już płomyki.

- Chwała Hel. - Snorri oparł się o pień, dysząc ciężko. Staliśmy na wzgórzu, którego stok przed nami był równie stromy jak ten, który pokonaliśmy, pędząc pod górę. Zbocze porastał las, który jednak rzedł ku dołowi, a tam, gdzie teren wyrównywał się, rozciągało się bezkresne morze zalanych poświatą księżycą łąk.

W morzu traw Thurtanu można utonąć. Marszczona wiatrem, falująca zieleń ciągnie się całymi milami w każdą stronę. Zdaje się, jakby dryfowało się w bezkresnych przestworzach błoni i podmokłych łąk.

Pożar za naszymi plecami stanowił punkt odniesienia dla odległości i kierunku. A na trawiastych przestrzeniach łatwo stracić poczucie jednego i drugiego. Szliśmy, a Snorri opowiadał mi o sosnowych ludziach, którzy nawiedzali bory takie jak Gowfaugh już od wielu pokoleń. Legendy różniły się co do pochodzenia tych stworów, ale wiadomo było, że zasilają swoje szeregi, pozbawiając ofiary krwi i zastępując ją sokami najstarszych drzew rosnących w puszczech. Były w pewnym stopniu inteligentne, ale jeśli ktoś nimi rządził, poza ich własnym głodem, to opowieści o tym milczały. Ciężko mi było jednak uznać, że Martwy Król nie maczał palców w pojawieniu się ich na naszej drodze.

- Mam dość lasów - oświadczyłem.

Snorri otarł pot z czoła i przytaknął.

Wędrowaliśmy jeszcze jakąś milę, po czym zatrzymaliśmy się u stóp niewielkiego pagórka. Siedząc, wpatrywaliśmy się w słupy płomieni i dymów unoszące się nad płonącym lasem. Wydawało się nie do pomyślenia, żeby piekło, które wyrzucało w niebo żar i osmałało chmury, rozpętało się od jednej małej iskierki krzesanej moim krzesiwem i podsycanej moim tchem. Ale możliwe, że właśnie tym jest życie, tym jest świat - zderzeniem pożóg, które wybuchły z niczego. Można powiedzieć, że cała ta moja przygoda zaczęła się od kości, na której powinno wypaść pięć lub dwa, a która potoczyła się i stanęła na jednym oczku, jednym otchłannym ślepiu, które obserwowało jak wpadam w głębiny długu u Maeresa Allusa.

- Było blisko - stwierdziłem.

- Tak. - Snorri przyciągnął kolana pod brodę i zapatrzył się w ogień. Nieobecny ruchem wyjął z włosów jakąś zaplątaną gałązkę.

- To nie może tak trwać. Następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia. - Przecież musiał dostrzegać sens w tym, co mówiłem. Dwóch ludzi nie mogło iść naprzód wbrew takim przeciwnościom. Sam nie raz grałem o wysokie

stawki, stawiając na szali majątek, nie własne życie - ale nigdy nie podejmowałem takiego ryzyka przy tak nikłych szansach, jak czynił to Snorri. I to bez nadziei na wygraną, bez konkretnego powodu.

- Chciałbym zrobić Karlowi taki stos pogrzebowy. - Snorri wskazał na łunę na horyzoncie. - Jego ustawiłem nieopodal Wodinswood z chrustu. Drzewa były jeszcze zbyt ciężkie od zimowego śniegu, żeby się zapalić, ale gdybym mógł, spaliłbym je wszystkie. Mój Karl powinien spocząć w łodzi. Długiej łodzi. Ułożyłbym go przy maszcie z toporem ojca przy boku i piękną zbroją, która dobrze służyłaby mu w Walhalli. Ale nie było na to czasu, a nie mogłem zostawić go na pastwę trupów. Już lepiej byłoby go zostawić wilkom na pożarcie.

- O jakim kluczu mówił? - zapytałem. Snorri wspomniał o tym w ruinach Compere, ale potem zamilkł. Liczyłem że teraz, milę od lasu płonącego tym samym ogniem, który obrócił w popiół Compere, podejmie temat. Jego najstarszy syn połamał kości, by wyzwolić się z kajdan, by w ostatnich słowach powiedzieć ojcu o kluczu.

W ciemnościach zalegających ponad łąkami, z płonącym Gowfaughem za placami, Snorri znów zaczął snuć swoją opowieść.

- Ojciec opowiadał mi legendę o Olaafie Rikesonie i jego wyprawie na Srogie Lody. Słuchałem jej wiele razy, siedząc przy palenisku. Ojciec tkął ją w najgłębsze noce zimy, kiedy lody Uulisk jęczą ścinane mrozem. Trzeba więcej niż wojownika, czy nawet generała, by poprowadzić dziesięć tysięcy ludzi na Srogie Lody. Dziesięć tysięcy ludzi, którzy nie byłiby Wikingami zginęliby zanim dotarliby do celu, a dziesięć tysięcy tych, którzy wiedzieliby, jak przetrwać, wiedzieliby również, że nie należy tam iść. Nie ma tam nic dla ludzi. Nawet Inoweni trzymają się brzegów i morza lodu. Tylko wieloryby, foki i ryby mogą zapewnić tam człowiekowi przeżycie.

Możliwe że nigdy wcześniej żaden jarl nie posiadał tylu długich łodzi, co Olaaf Rikeson, ani też żaden nie przewiózł tylu skarbów przez Morze Północne, kosztowności wydartych ogniem i toporem od słabszych ludzi. Mimo to trzeba było więcej niż jego słowa, by zebrać dziesięć tysięcy wojowników z ponurych brzegów fiordów, gdzie i setka stanowi armię i powieść ich na Srogie Lody.

Olaaf Rikeson miał wizję. Bogowie stali u jego boku. Mędracy powtarzali jego słowa. Runy przemawiały do niego. Ale nie tylko to. Miał też klucz. Do tej pory völvy sprzeczą się, jak wszedł w jego posiadanie, ale w opowieści ojca Snorriego sam Loki dał mu klucz, kiedy Olaaf spalił katedrę Białego Chrystusa w Yorku i zabił dwie setki mnichów. Nie wiadomo jednak, co Olaaf musiał obiecać mu za ten klucz.

Snorri był zawsze rozczarowany faktem, że darem od boga był klucz, ale przecież Loki był między innymi także bogiem rozczarowania, jak również kłamstwa i oszustwa. Snorri wolałby, żeby legenda mówiła o taraniu. Wojownik

nie otwiera drzwi, forsuje je. Ale ojciec mówił, że klucz był talizmanem. Otwierał każdy zamek, a co więcej, otwierał ludzkie serca.

Najstarsze legendy głosiły, że Olaaf pomaszerował aż do wrót Niflheim i zaskoczył lodowych olbrzymów w ich legowisku, ażeby zawstydzić bogów i ich oszukańczy Ragnarok wielu słońc i sprowadzić prawdziwy koniec świata w ostatniej bitwie. Ojciec Snorriego nigdy nie podważał prawdziwości legendy, ale powiedział, że jedna rzecz może skrywać inną, jak markowany cios w walce. Ludzi, mówił, zwykle napędzają podstawowe pragnienia - głód, chciwość, żądza. Opowieści wyrastają z ziarna i rozrastają się jak chwasty. Może bogowie naprawdę dotknęli Rikesona, a może jakiś krwawy łupieżca zebrał kilkuset mężczyzn i wyprawił się na Inowenów, a z jego porażki zrodziły się opowieści, które bardowie utkali w sagę i umieścili ją w skarbnicy wspomnień północy. Prawda, jaka by nie była, zaginęła gdzieś w odmętach czasu.

Snorri zostawił stos pogrzebowy syna, kiedy dopalały się jeszcze ostatnie bierwiona, a ciepło stopiło krąg śniegu, odkrywając czarną ziemię Wodinswood. Kiedy odchodził, za jego plecami dym wraz z iskrami unosił się ku niebu. Wędrował przez wzgórza w głębi lądu, oddalając się od Uulisk, tropiąc Svena Złamane Wiosło i ludzi z Zatopionych Wysp po pokrytych gładzami połaciach Törnu, gdzie porywiste wiatry rzeźbiły skały. Za Törnem leżały Wyżyny Jarlsona, a za nimi Srogie Lody.

Snorri nie wiedział, co zrobi, kiedy dopadnie wroga. Liczył jedynie na dobrą śmierć. Trawiły go żal, poczucie winy i gniew. Każde z tych uczuć pojedynczo prawdopodobnie zniszczyłoby go, ale razem, w konflikcie każde z każdym, osiągnęły pewnego rodzaju równowagę, dzięki czemu zachował siłę do działania.

Najeźdźcy narzucili szybkie tempo i Snorri martwił się, że Freja i dziesięcioletni Egil nie będą w stanie go dotrzymać. W ponurych wizjach widział ich martwych, maszerujących w szeregach niezmordowanych trupów, takich, jak te, które przybiły do brzegów Ośmiu Pomostów. Ale Karl przecież żył - zakuwali jeńców w kajdany. Ciągnięcie ich ze sobą nie miało sensu, ale nekromanci najwyraźniej potrzebowali ich żywych.

Zatrzymywał się tylko na noc. Blask dnia gasł szybko, jeszcze nieprzyzwyczajony do świata po zimowych ciemnościach, które przez wiele miesięcy skuwały lodem ziemię. Bez światła nie mógł podążać tropem. Po ciemku mógłby jedynie złamać sobie nogę, bo w głębi lądu tereny są zdradliwe dla wędrowca, kamieniste podłoże oblodzone i spękane.

Noc zdawała się trwać wiecznie, zimna, pełna strasznych obrazów rzezi w Ośmiu Pomostach. Karla, połamanego, umierającego w Wodinswood, Emy... Jej krzyki ściagały Snorriego przez pustkowia, a wiatr powtarzał je przez długie godziny aż do świtu.

Wraz z dniem nadszedł śnieg. Spadał ciężkimi płatami z ołowianego nieba,

choć Snorriemu wydawało się, że jest za zimno na śnieg. Krzyczał ku niebu. Wymachiwał toporem na chmury i złorzeczył każdemu bogu, którego potrafił nazwać. Ale śnieg padał nadal, obojętny, wypełniał otwarte w krzyku usta i oślepił oczy.

Straciwszy ślad, od tej pory Snorri musiał iść na wyczucie, zagubiony w białej przestrzeni. Cóż więcej mu pozostało? Obrął kierunek, którym podążała jego zwierzyna i trzymał się go w bezkresnych pustkowiach.

Po kilkugodzinnej wędrówce natknął się na martwego człowieka. Jednego z wyspiarzy, trupów przybyłych na pokładzie statku, który przepłynął Morze Północne i przybił do gardzieli Uulisk. Po takim czasie nie był ani mniej martwy ani mniej głodny. Miotał się bezskutecznie zagrzebany po pierś w zaspie puchu, która złapała w pułapkę jego martwe ciało, a potem uwięziła w twardym jak skała śniegu ubitym wysiłkami wydostania się. Wyciągnął ku Snorriemu palce poczerńiałe od zamarznętej pod skórą krwi. Ostrze miecza rozplątało mu twarz od oka po brodę, odsłaniając szczękę oplecioną skostniałymi mięśniami, roztrzaskane zęby i odmrożone, pociemniałe tkanki. Jedyne oko wpatrywało się w Snorriego nie ludzko przenikliwie.

- Powinieneś zamarznąć. - Snorri widywał już trupy pod śniegiem. Ich kończyny sztywniały i twardniały na lód. Przyglądał się przez chwilę martwiakowi. - Nie należysz do tego świata. - Uniósł topór, zaciskając palce na trzonku, aż pobieły mu knykcie. - To jest Hel. Ale nie przyszedłeś od niej i nie odeśle cię ona do rzeki mieczy.

Truposz wpatrywał się w niego, szarpiąc się bezładnie w śniegu, nie posiadając na tyle inteligencji, by kopać.

- Nawet lodowe olbrzymy cię nie zechcą. - Snorri odrąbał trupowi głowę i patrzył, jak ta odtacza się, obryzgując śnieg, oślizgłą, na wpół zmarzniętą zepsutą krwią. Wokół rozszedł się dziwny chemiczny zapach, jakby oleju do lamp, ale inny. Snorri wycierał ostrze topora o śnieg, dopóki ostatni ślad mazi nie zniknął, a potem ruszył dalej, zostawiając za sobą drgające w zaspie ciało.

Zanim człowiek dotrze do Srogich Lodów, musi pokonać śnieżne przestworza, idąc dzień za dniem po świecie wypełnionym jedynie odcieniami bieli. Musi przewędrować przez połacie lodu, gdzie nie ujrzy ani drzewa, ani źdźbła trawy, głazu, kamienia, pogrążony w samotności nie usłyszy żadnego dźwięku prócz drwiącego zawodzenia wichru. Uwierzy, że na świecie nie ma miejsca bardziej okrutnego, mniej zdatnego do życia. A potem ujrzy Srogie Lody.

Miejscami Srogie Lody pokryte są pagórkami śnieżnymi rozmiarów gór, gdzie indziej wznoszą się na nich strzeliste lodowe wieże o stromych ścianach rzeźbionych ostrymi stopniami lodowych półek, czasem o barwie mroźnej bieli, innym razem błękitno-lodowej, przejrzyste niczym szkło. Gdy blask nocnego słońca pada na taką powierzchnię, przebija się w głąb i odsłania zamknięte w niej

kształty, jakby lód połknął i uwięził w swych trzewiach przepastny ocean pełen wielorybów i jeszcze większych lewiatanów, które na wieczność tkwią pod grubym na milę lodowcem. Bo właśnie tym są Srogie Lody, ogromnym lodowcem pokrywającym kontynent, posuwającym się naprzód i cofającym się w rytmie, przy którym życie ludzkie jest krótkie jak życie jętki.

Snorri nie mógł uwierzyć, że Złamane Wiosło dałby się wypuścić na środek wysokich lodów bez względu na to, jakie szaleństwo owładnęło wyspiarzami i ich trupami. Złamanym Wiosłem kierowała chciwość i dla niej zaryzykowałby, ale na pewno nie popełniłby samobójstwa. Uzbrojony w taką ocenę, Snorri wędrował krawędzią lodowych klifów, głodny, zdrętwiały z zimna jak po jądzie ghuli.

Gdy ujrzał w oddali ciemną plamkę, myślał, że umiera, że pustka mąci mu już wzrok. Ale plamka tkwiła w miejscu i powiększała się, z każdym jego chwiejnym krokiem. Aż stała się Czarną Warownią.

- Czarna Warownia? - powtórzyłem.
- To prastara twierdza zbudowana na krańcu Srogich Lodów. Teraz znajduje się całe mile w głąb. Postawiono ją w czasach, gdy było tam jeszcze zielono.
- A co... Kto tam mieszka? Była tam twoja żona?
- Nie dzisiaj, Jal. Nie mogę o tym mówić. Nie dzisiaj. Snorri zwrócił twarz ku łunie na zachodzie. Siedział tak zalany blaskiem pożaru, a ja widziałem, jak daje się ponieść wspomnieniom do Wodinswood, gdzie spalił swego syna.



Maladon to północna kraina. Po przejściu Wschodniego Thurtanu widać ją niemal od razu. Charakterystyczne dla tego rejonu pomniki, grubo ciosane głązy, emanowały mocą i pięknem, którego trudno się było doszukać w przydrożnych kapliczkach Thurtanu. Wiele pokrytych torfem dachów miało okapy na kształt dziobów, dla upamiętnienia długich łodzi, na których przodkowie tutejszych mieszkańców przybili do brzegów. Możliwe, że niektóre z belek pochodziły z rozebranych na plażach łodzi.

- Czyli to Wikingowie? - zapytałem, kiedy mijaliśmy pierwszych maladońskich chłopów zginających grzbiety przy zbiorach.

- *Fit-firar*. Ludzie ziemi. Z dobrych rodów, odważni, ale morze ich wypłuło. Prawdziwy Wiking zna ocean jak kochankę.

- I to mówi człowiek, który wolał tysiąc mil przejechać konno, niż przepłynąć łodzią.

Snorri zbył moje słowa prychnięciem. Nie wspomniałem, że teraz nawet nie jedzie konno, a idzie piechotą. Choć oba konie w zasadzie należały do mnie, bo ja za nie zapłaciłem, czułem, że Slejpnir ledwie mnie toleruje i ma ochotę zrzucić mnie z siodła, a przynajmniej obśmiać za bycie kwękającym o obolałych nogach południowcem.

Po zeszłonocnej przeprawie przez bór klacz miała głębokie zadrapania na szyi, piersi i łopatkach. Większość poranka wyciągałem jej drzazgi i czyściłem rany. Oczy miała pokaleczone i zaropiałe. Zrobiłem, co w mojej mocy, ale obawiałem się, że i tak w końcu straci lewe. Później zająłem się wydłubywaniem drzazg z własnych rąk, w tym dwóch szczególnie bolesnych, które utkwily pod paznokciami. Może i wiele brakuje mi do bycia porządnym człowiekiem, ale uważam się za wyśmienitego jeźdźcę, a ci zawsze w pierwszej kolejności zajmują się swymi wierzchowcami. Nie oddaję się zwykle modlitwom, ale odmówiłem jedną za Rona, kiedy wyszliśmy na łąki i wcale nie wstydzę się do tego przyznać.

W oddali zauważyłem na niebie złowróżbny żółtawy poblask.

- Jakieś miasto? - zapytałem. Niebo ponad Crath miało podobny kolor od dymów z tysięcy kominów, a przecież byliśmy tam latem, więc kopciły tylko piece do gotowania i paleniska rzemieślników. Nie przypuszczałem, że na północy

znajdują się tak wielkie miasta.

- To Heimrift.

- Aha.

- Nie wiesz, co to, prawda?

- Pobierałem nauki u najlepszych nauczycieli, włącznie z Harramem Lodtem, słynnym geografem, który wyrysował mapę świata wiszącą w prywatnej bibliotece papieżycy.

- Wiesz czy nie?

- Nie.

- To łańcuch wulkanów.

- Ogniste góry! - Byłem prawie pewien, że tym właśnie są wulkany.

- Tak.

- Widzisz? Najlepsi nauczyciele.

Przebyliśmy jakąś milę czy dwie, gdy na poboczu traktu natknęliśmy się na prymitywne odwzorowanie młota Thora, wykutego w pięciostopowym stojącym głazie. Snorri jednak wydawał się bardziej zainteresowany leżącymi wokół młota kamykami. Przyglądał się im, pochylony, musiałem więc albo zatrzymać Slejpnir albo zostawić Wikinga kucającego na poboczu. Stałem pośrodku drogi, bo duma nie pozwoliła mi sprawdzić, co też tam znalazł ten hauldr.

- Jakieś ciekawe kamyki? - zapytałem, kiedy wreszcie do mnie wrócił.

- Kamienie runiczne. Zostawiają je czarownicy i völvy. To coś w rodzaju systemu wiadomości.

- I co? Umiesz je odczytać?

- Nie - przyznał Snorri z rozbrajającym uśmiechem. - Ale te tu niosą jasny przekaz.

- I?

- I okazuje się, że nasz przyjaciel tkacz snów chyba miał rację. Kamienie mówią, że Skilfar jest w swym maladońskim siedlisku. Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz była na południu.

- To bliźniaczka Milczącej Siostry, uważam, że powinniśmy trzymać się od niej z daleka. Nie chcę mieć z nią do czynienia.

- Nawet jeśli mogłaby zdjąć z nas klątwę? - Cofnąłem się gwałtownie, kiedy wyciągnął do mnie rękę.

- Sam w to nie wierzysz - stwierdziłem. Sageous nie miał powodu, by powiedzieć nam prawdę, a są tacy ludzie, których prawda pali w język. Mnie też trochę piekła.

- Wiara w to, że jest jej siostrą bliźniaczką oznacza, że może nam pomóc. Wiara w to, że nią nie jest oznacza, że nie ma się czego bać. Tak czy owak warto się z nią spotkać. Nawet jeśli Sageous kłamał, Skilfar to słynna völva. Nie znam sławniejszej. Jeśli ona nie zdoła przełamać klątwy, to nie dokona tego nikt inny. A

jeśli nie będzie mogła pomóc nam z zaklęciem, to na pewno będzie wiedziała coś o nekroman-tach i o tym, co robią na Srogich Lodach. - Snorri przesunął palcem po ostrzu topora. - Ostatnim razem zaatakowałem na ślepo i nic nie zyskałem. Mówią, że wiedza to potęga, może tym razem potrzebuję innego ostrza.

Splunąłem na drogę.

- Niech szlag trafi tę twoją barbarzyńską logikę. - Nie zdołałem wymyślić lepszego argumentu.

- No to ustalone. Idziemy do wiedźmy. - I Snorri z uśmiechem pomaszerował naprzód.

Popędziłem za nim Slejpnir.

- Ale skoro jest taka sławna, to pewnie nie przyjmie byle kogo?

- Nie jesteśmy byle kim, Jal - zawołał Snorri przez ramię. - Ja jestem hauldrem z Uuliskind. Obaj niesiemy w sobie niezwykłą magię, a Slejpnir jest potomkinią legendarnego konia. - I po dziesięciu krokach. - No i jesteś jakimś tam księciem.

Już do końca życia nie chciałem oglądać na oczy żadnej wiedźmy - wcześniej też wcale nie chciałem - ale opcje się kurczyły, a przede mną majaczyła straszna wizja przeprawy łodzią przez pogańskie morze i poszukiwań dowódcy armii Martwego Króla.

Zrównałem się z Wikingiem.

- No to jak ją znajdziemy?

- To najłatwiejsza część - odparł Snorri. - Złapiemy pociąg.

Nie miałem pojęcia, co to jest pociąg, ale nie zamierzałem narażać się znów na drwiny Wikinga, więc podążyłem za nim bez słowa.

Minęliśmy kilka obejść, w których rolnicy ładowali na wózki zbiory na sprzedaż i do przechowania na zimę. Nie było człowieka, który by nas nie zauważył, szczególnie zwracali uwagę na Snorriego, a choć nadal irytowało mnie, że plebejusz, w dodatku z północy, przyćmiewa prawdziwego księcia Czerwonej Marchii, ucieszyłem się, że jego postura wzbudza tu takie samo zainteresowanie jak na południu. W duchu martwiłem się, że wszyscy na północy są zbudowani tak jak Snorri i że będę tam karłem pośród olbrzymów.

Niektórzy spośród fit-firar usiłovali zagadać do Snorriego w starym języku północy, ale on odpowiadał im w mowie imperium, wesoło dziękując za uprzejmość. Każdy napotkany mówił nam to samo o Skilfar. Völva przybyła bez zapowiedzi miesiąc wcześniej i nie widział jej nikt poza śmiałkami, którzy wyruszyli jej szukać. Snorri zapytał o najbliższą stację i uzbrojony we wskazówki, powiodł nas na północ przez pola i łąki.

Stacja okazała się być szerokim rowem osłoniętym z jednej strony kamiennym nawisem. Dotarliśmy do niej, kiedy niebo szarzało i zaczynało mżyć.

- Skilfar mieszka w rowie? - Słyszałem, że trolle mieszkają pod mostami, a

wiedźmy w pieczarach...

- Teraz pójdziemy śladem torów - rzekł Snorri i ruszył wzdłuż rowu, który skręcał na północny wschód.

Wkrótce rów stał się płytszy, potem zniknął w ogóle, ale my szliśmy przez wrzosowiska i łąki, aż odnaleźliśmy znów linię, tym razem prowadzącą nasypem, wzniesionym jakiś jard ponad powierzchnię ziemi. Dopiero jednak na wyżynach zrozumiałem, jak strasznym potworem musiał być ten pociąg, który zostawiał za sobą takie ślady. Tam, gdzie człowiek szukałby okrężnej drogi bądź wspinał się po zboczu, pociąg szedł na wprost. Raz musieliśmy iść jarem głębokim na jakieś trzydzieści jardów, wyłobionym w litej skale.

Wreszcie teren zaczął się wznosić seria coraz wyższych pagórków, lecz mimo to pociąg szedł na wprost. Przed nami ciemniała się okrągła dziura wybita w zboczu. Miała jakieś dziesięć jardów średnicy i była czarna jak grzech. Deszcz zaczął padać mocniej, zimne krople spływały mi za kołnierz, dodając udręki.

- Ta... Ja tam nie wchodzę, Snorri. - Jerzy może i wszedł za swoim smokiem do jaskini, ale ja nie zamierzałem nurkować za pociągiem w trzewia ziemi.

- Ha! - Snorri grzmotnął mnie pięścią w ramię, jakbym opowiedział właśnie świetny dowcip. Zabolało. Obiecałem sobie nie żartować nigdy w zasięgu ręki Wikinga.

- Mówię poważnie. Poczekam tutaj. Opowiesz mi wszystko, jak wrócisz.

- Jaj, pociągów już dawno nie ma. Nie zostały po nich nawet kości. - Powiódł wzrokiem po surowym krajobrazie za nami. - Ale oczywiście możesz tu zostać sam, kiedy pójde szukać Skilfar. - Wydał wargi.

Na dźwięk słowa „sam”, wypowiedzianego w tym bezludnym miejscu zmieniłem zdanie. Nagle nie miałem już ochoty stać tutaj w deszczu. Poza tym wolałem usłyszeć na własne uszy, co na temat kłątwy ma do powiedzenia Skilfar, bo przecież Snorri mógłby coś zapomnieć albo ukryć przede mną. Weszliśmy więc w paszczę wszyscy, Snorri na przedzie, ja zaś za nim, prowadząc Slejpnir.

Wystarczyło sto jardów, żeby światło z otworu stało się wspomnieniem.

- Mamy jeszcze dwie pochodnie - powiedziałem, sięgając do bagażu.

- Lepiej zostawić je na później. Przed nami tylko jedna droga.

Oczywiście natychmiast podążyły za nami potwory. A właściwie za mną. Wyobrażałem sobie sosnowych ludzi kroczących bezszelestnie za moimi plecami albo czających się po bokach.

Szliśmy i szliśmy, całe mile. Snorri sunął patykiem po ścianie, żeby nie odejść od niej za daleko, a ja podążałem za odgłosem drapania. Slejpnir klekotała podkowami za mną. Miejscami sklepienie przeciekało, albo zwisały z niego warkocze jakiegoś śluzu. Co pięćset jardów pojawiał się szyb prowadzący do góry, nie szerszy od człowieka, w którym widać było skrawek nieba. Wokół tych tuneli gromadziły się dziwne rośliny, wyciągające ku światłu wielopalczaste liście. W

innych miejscach musieliśmy wspinać się po stertach gruzu. Kopyta Slejpnir wzbudzały na nich małe lawiny strzaskanych kamieni. Dalej drogę prawie całkowicie blokował wielki kawał kamienia Budowniczych, zostawiając tylko z boku wąskie przejście. Snorri pozwolił mi zapalić pochodnię, żebyśmy mogli pokonać przeszkodę, ale kazał zgasić ją w wielkiej kałuży po drugiej stronie. Nie protestowałem - oba łuczywa już dawno wypaliłyby się po drodze, a to, co odkryło światło było nudne. Żadnych potworów, czaszek czy nawet kawałka kości.

Naraz zostałem pochwycony w jakieś sztywne ramiona. Wrzasnąłem tak głośno, że aż dziw, iż nie zawaliło się nam na głowy sklepienie. Runąłem na ziemię, miotając się szaleńczo. Wokół rozległy się puste uderzenia.

- Jal!
- Złaż! Złaż ze mnie, do cholery!
- Jal! - Snorri zawołał mnie tym razem głośniej, ale całkiem spokojnie.
- Ty popierdoleńcu! - Coś dziabnęło mnie w oko, po czym mój napastnik zsunął się ze mnie z łoskotem.

Zapadła cisza, przerywana jedynie nerwowym klekotem podków Slejpnir.

- Wy sukinsyny! - Dobyłem noża i na wszelki wypadek ciąłem nim kilka razy powietrze.

- Pochodnia!
- Mam... Tu gdzieś jest. - Po chwili bezładnej szarpaniny z rzemieniami i grzebanią w plecaku, udało mi się wykrzesać iskrę. Pochodnia zapłonęła natychmiast. - Jezu Chryste!

W tunelu przed nami tłoczyły się jasne postaci, szereg za szeregiem. Posągi mężczyzn i kobiet, większość przeciętnych rozmiarów, wszystkie nagie, pozbawione genitaliów. Wokół mnie postaci leżały roztrącone, a mój napastnik pośród nich, blady, wskazujący wyprostowaną ręką w górę.

- Armia Hemroda - rzekł Snorri.
- Co?! - Niektóre z posągów miały wymalowane oczy i włosy, ale większość była łysa, bezoka, a wiele bez rysów twarzy i konturów do tego stopnia, że palce były jakby stopione, a twarze puste. Wiele stało w dziwacznych, nonszalanckich pozach, pasujących raczej próżnym szlachcicom niż wojownikom. Pomędzy szeregami dawało się przejść i Snorriemu jakoś się to udało, podczas gdy ja wpadłem już na pierwszą linię.

- Hemroda - powtórzył Snorri.
- Wsadź sobie te swoje hemoroidy, gdzie ich miejsce. - Złapałem za wyciągniętą rękę posągu i postawiłem go na nogi. Prawie nic nie ważył. Został zrobiony z czegoś dużo lżejszego od drewna. Postukałem weń. - Pusty?

- To przedmioty Budowniczych. Chyba posągi. Hemrod rządził tymi terenami zanim powstało imperium. Został tu pogrzebany, a razem z nim armia tych plastekowych wojowników, mająca strzec go i służyć mu w zaświatach.

Prawdopodobnie czekają razem z nim w Walhalli na Ragnarok.

- Pfff. - Wstałem i otrzepałem się. - Ja wolałbym lepszych żołnierzy. Patrz, nawet walcząc na oślep powaliłem aż siedmiu.

Snorri skinął potwierdzająco.

- Tak, ale przecież pomagała ci ta krzycząca dziewczynka. - Spojrzał w tunel za moimi plecami. - Ciekawe, gdzie uciekła.

- Udław się gnojem, Wikingu. - Ruszyłem naprzód pomiędzy szeregami.

- Ktoś musi je postawić, wiesz? - dobiegł mnie z tyłu głos Snorriego.

Zatrzymałem się i przełożyłem pochodnię do drugiej ręki. Ramię rozboleło mnie od niesienia jej w górze, a kapiąca smoła parzyła mi palce.

- Po co?

- Stoją tu z jakiegoś powodu. Stały tak przez pięćset lat, a nawet więcej. Nie możesz tak tego zniszczyć.

- Po co zawracać sobie tym głowę?

- Z powodu magii. - Snorri wypuścił powietrze przez wydęte wargi. - To stare zaklęcie, ochrona. Mawiają, że stara magia sięga najgłębiej. Nie bez powodu Skilfar właśnie to miejsce wybrała na swój dom, kiedy przybywa na południe.

- No cóż, *ja* na pewno nie wrócę tam, żeby je poustawiać. - Uniosłem wyżej pochodnię. - Patrz, jakieś pomieszczenie przed nami.

Kiedy się zbliżyliśmy, okazało się, że bardziej pasowałoby do niego miano hali. Ogrom przestrzeni sprawiał, że dalej ciemność pochłaniała światło mojej pochodni. Jak okiem sięgnąć wszędzie wypełniały ją posągi Budowniczych ustawione tyłem do jakiegoś centralnego punktu i wskazujące na zewnątrz. Posadzkę pokrywała rdza, a wokół widniały otwory tuneli. Statuy jakby maszerowały w stronę ciemnych wejść. Jeśli cała hala wyglądała, jak oświetlony kawałek, musiało z niej odchodzić jakieś osiem, może dziesięć tuneli. Niegdyś musiała to być jaskinia pociągów. Zapewne wiły się tu niczym ogromne węże.

Snorri trącił mnie i zacząłem ostrożnie iść pomiędzy szeregami posągów. Lubieżna część mojego umysłu, zawsze na straży, zanotowała, że większość postaci to kobiety, a wszystkie w dziwacznych pozach. Blask mojej pochodni prześlizgiwał się po setkach, jeśli nie tysiącach sterczących, plastikowych biustów.

- Robi się coraz zimniej - zauważył Snorri nad moim ramieniem.

- Tak. - Zatrzymałem się, wręczyłem mu pochodnię i obszedłem jedną z nagich plastikowych kobiet, ustawiając się za nią. - Wikingowie przodem. To w końcu twoja Wredna Wiedźma z twojej północy. - Echo poniosło słowa „wredna wiedźma” i długo nie milkło.

Snorri wzruszył ramionami i zaczął iść naprzód.

- Zostaw tu konia.

Koncentryczne szeregi posągów gęstniały ku środkowi i niedługo Slejpnir zaczęłyby je roztrącać. Puściłem wodze.

- Zostań tu.

Łypnęła zaropiałym okiem - drugie było całkowicie zaklejone wydzieliną - i spuściła łeb.

Temperatura spadała z każdym jardem. Na plastikowych ramionach posągów lśnił szron. Skuliłem się z zimna i wypuściłem z ust kłęb pary.

Pośrodku sali wznosiło się okrągłe podwyższenie o czterech stopniach, a w centrum na pokrytym mrozem krzesło siedziała Skilfar - wysoka, kanciasta, o białej skórze obciągniętej na sterczących kościach, odziana w skóry lisów polarnych. Z jej kończyn unosiła się biała mgiełka, jakby było na tyle zimno, że kruszała stal. Skupiła spojrzenie oczu barwy zamrożonego oceanu na pochodni i ogień zgasł, zastąpiony chłodnym gwiazdowym poblaskiem, który bił ze zmrożonych kończyn jej pradawnych strażników.

- Goście. - Przekręciła głowę przy wiorze dźwięku kruszonego lodu.

- Witaj, Skilfar - skłonił się Snorri. Stałem za nim zastanawiając się, co starucha porabia w tych ciemnościach, kiedy jest sama.

- Wojownik. - Skinęła głową. - I księżę. - Lodowate oczy spoczęły na mnie. - Dwóch połączonych zakłębieniem Siostry, jak ucieszenie. Naprawdę lubi te swoje małe żarciki.

Małe żarciki? Gniew zepchnął na bok sporą dozę mojego racjonalnego lęku.

- Twoja siostra, pani? - Ciekaw byłem, jak zimna jest jej krew.

- Powiedziałyby, że jest siostrą wszystkich. Gdyby przemówiła. - Skilfar wstała ze swego siedziska, a biała mroźna mgła spływała z niej niczym mleko na podłogę. - Czuję od was smród fałszywych snów. - Zmarszczyła nos. - Czyja to zmaza? Niedbalstwo.

- Czy jesteś bliźniaczką Milczącej Siostry? - wycedził Snorri przez zaciśnięte zęby, poruszając toporem.

- Ma ona bliźniacze rodzeństwo, to pewne. - Skilfar podeszła do skraj platformy, zatrzymując się metry od nas. Twarz zaczęła szczypać mnie od mrozu. - Nie chcesz zadać mi ciosu, Snorri ver Snagasonie. - Wskazała białym palcem na jego topór wzniesiony teraz nad bark.

- Nie chcę - zgodził się, ale jego postawa nadal zdradzała gotowość do ataku.

Naraz zorientowałem się, że sam zbliżam się do niej z uniesionym mieczem, choć nie pamiętałem, że bym go dobywał i na pewno nie miałem chęci podchodzić do wiedzy bliżej. Wszystko działało się jak we śnie. Przed oczyma stanęła mi wizja czarownicy przebitej moim ostrzem.

Skilfar zagarnęła do siebie powietrze, wciągając je w nozdrza.

- To Sageous dotknął waszych umysłów. Twego szczególnie, księżę. Niedbała robota. Zwykle potrafi działać subtelniej.

- Zrób to! - Słowa same wyrwały mi się z gardła. - Teraz, Snorri! -

Zasłoniłem dłonią usta, żeby nie pograżyć się jeszcze bardziej.

Dwoma susami dopadł stopnia poniżej Skilfar i zamieżył się na nią toporem. Potężne mięśnie napięły się, gotowe opuścić go i rozłupać jej kościste ciało. Ale nie zadał ciosu.

- Zadaj właściwe pytanie, dziecko. - Skilfar odwróciła wzrok od Wikinga. Nasze spojrzenia skrzyżowały się ponad morzem posągów. - Lepiej sam zrzucić z siebie urok Sageousa. Tak będzie bezpieczniej dla ciebie, niż gdybym ja musiała to uczynić.

- Ja... - Przypomniałem sobie łagodny wzrok Sageousa, sugestie, które zmieniały się w prawdy, kiedy je rozważałem. - Kto... Kto jest bliźniakiem Siostry?

- Pfff. - Skilfar wypuściła powietrze, które białą wstęgą okoliło jej szczupłą pierś. - Myślałam, że dokona mądrzejszego wyboru. - Wyciągnęła ku mnie szponiastą dłoń, z jej paznokci wyrastały lodowe pazury.

- Zaraz! - krzyknąłem i nagle przed oczyma stanął mi obraz medalionu, kompletnego, ze wszystkimi kamieniami na miejscach. - Ja... Kto... Garyus! Kim jest Garyus?!

- Lepiej. - Dłoń rozluźniła się, ale oblicze wiedźmy nie złagodniało. - Garyus jest bratem Siostry.

Przypomniałem go sobie, mojego prawucha, koślawego starca zamkniętego w wieży, z medalionem w dłoni. „Miałem bliźniaka.” Powiedział mi kiedyś. „Rozdzielili nas. Ale przełamaliśmy się nierówno.”

Stojący na stopniu poniżej Skilfar Snorri opuścił topór, mrugając, jakby strząsał z powiek resztki snu.

- I jego krew może przełamać klątwę? - Pytanie zawisło przede mną w białej chmurce.

- Zakłęcie jego siostry można przełamać - potwierdziła Skilfar.

- Czy są inne sposoby?

- Znasz je.

- A ty nie możesz tego zrobić? - Usiłowałem wykrzesać z siebie uśmiech nadziei, ale zamarznęta twarz nie chciała współpracować.

- Nie chcę. - Skilfar powróciła na swoje siedzisko. - Nie ma wśród nas miejsca dla nienarodzonych. Martwy Król rozgrywa niebezpieczną grę. Chcę zobaczyć, jak jego plany obracają się wniwecz. Wiele niewidzialnych rąk obróciło się przeciwko niemu. Możliwe, że wszystkie poza ręką Błękitnej Damy, a jej gra jest jeszcze bardziej niebezpieczna. A więc nie, książę Jalandre, niesiesz w sobie cel oraz magię, którą utkała, by zniszczyć najpotężniejszego sługę Martwego Króla. Nie chcę zabierać jej od ciebie. Martwemu Królowi trzeba przyciąć szpony. Jego moc jest jak pożar lasu. - Zastanowił mnie jej dobór słów. - Ale jak pożoga wypali się, a las przetrwa. Chyba że oczywiście wypali las do nagiej skały. Zniszcz nienarodzonego, w ten sposób wypełnisz cel a magia zniknie. Nie ma dla ciebie

innego wyboru, księżę Jalandre, a gdzie brak wyboru, wszyscy są tak samo odważni.

- Jak? - zapytałem, choć wcale nie chciałem wiedzieć. - Jak zniszczyć nienarodzonego?

- A jak żywi pokonują śmierć? - Uśmiechnęła się oszczędnie, chłodno. - Każdym uderzeniem serca, każdą kroplą gorącej krwi. Prawda o zaklęciu Siostry pozostaje przede mną ukryta, ale zanieś je tam, gdzie cię zaprowadzi i módl się, by okazało się skuteczne. Tym celom służysz.

Snorri zszedł ze stopni, ciężko stawiając nogi, po czym stanął u mego boku.

- Mam własne cele, Skilfar. Ludzie nie służą völvm. - Okrył ostrza topora skórzaną osłoną, którą wcześniej zerwał.

- Wszystko czemuś służy, Snorri ver Snagasonie. - W głosie wiedźmy nie było żaru. Jeśli już coś, to jeszcze zimniejszy chłód.

Aby zapobiec sprzeczce tych dwojga, zadałem kolejne pytanie, podnosząc głos.

- Modlić się, aby okazało się skuteczne? Modlitwa jest dobra i pewnie potrzebna, ale nigdy nie pokładałem w niej wiary. Milcząca Siostra musiała zaatakować swego wroga z zaskoczenia. Musiała malować swoje runy, powoli tkając sieć. A mimo to jeden nienarodzony umknął, kiedy przerwałem jeden znak... Załóżmy więc, że znajdziemy sposób, by uruchomić zaklęcie, jak mogłoby pokonać choć jednego nienarodzonego, nie mówiąc o kilku?

Skilfar zmarszczyła na moment czoło, jakby się zastanawiała.

- Mawia się, że wino w butelce staje się z czasem lepsze.

- Wino? - Zerknąłem na Snorriego sprawdzając, czy rozumie słowa wiedźmy.

- Taka magia nie mogła być niesiona przez dwóch przypadkowych ludzi - rzekła Skilfar. - Magia wymaga odpowiednich odbiorców. Coś w tym zaklęciu, w was dwóch, pasuje do siebie. Ty jesteś z jej krwi, księżę Jalandre, a i Snorri ma coś w sobie, coś, co czyni go doskonałym do tego zadania. Możesz się modlić albo i nie, ale jedyną twoją nadzieją jest to, że zaklęcie wzmocni się w was, dzięki temu, kim jesteście, dzięki waszej wędrowności, a kiedy nadejdzie właściwy czas, będzie silniejsze, niż było na początku.

- Nie pójdę na północ jako sługus wiedźmy - warknął Snorri. - Udaję się tam, bo mam własne cele i nie...

- Czemu milczy? - zapytałem, trącając łokciem Wikinga, żeby się zamknął i wymyślając temat, który mógłby oderwać oboje od bulgoczącej pod powierzchnią kłótni. - Dlaczego Siostra nie mówi?

- To cena, jaką płaci za spoglądanie w przyszłość. - Skilfar oderwała wzrok od Snorriego. - Nie może o niej mówić. Dlatego nie mówi w ogóle, aby układ nie został zniszczony przez przypadek czy przejrzyczenie.

Wydałem usta, potakując z zainteresowaniem.

- Hm... To brzmi całkiem sensownie. No, ale musimy już iść. - Szarpnąłem Snorriego za pasek. - Ona nam nie pomoże - syknąłem.

Ale Snorri zaparł się, że nikt nigdzie nie będzie go ciągnął.

- Spotkaliśmy człowieka imieniem Taproot. On również mówił o niewidzialnych rękach. Szarej za nami i czarnej, która stoi na naszej drodze.

- Tak, tak. - Skilfar zbyła jego słowa machnięciem dłoni. - Siostra pchnęła was na waszą drogę, a Martwy Król stara się was powstrzymać. Rozsądne posunięcie, biorąc pod uwagę, że zostaliście wysłani, aby przeszkodzić mu w zebraniu armii trupów spod lodu.

- Nikt nas nigdzie nie posyłał! - powiedział Snorri znacznie głośniej, niż przystoi w obliczu wiedzy. - Ja uciekłem! Idę na północ, by ocalić...

- Tak, tak, rodzinę. Skoro tak twierdzisz. - Skilfar spojrzała mu w oczy i to Snorri odwrócił wzrok. - Ludzie, którzy dokonują wyborów zawsze mają wrażenie, że kierują własnym losem. Niewielu zastanawia się, kto stworzył i podsunął im te wybory. Kto trzyma marchew, za którą, we własnym przekonaniu, sami postanowili pójść.

Gdy Snorri wspomniał o Taproocie, a Skilfar przydała bajaniu cyrkowca znaczenia, przypomniałem sobie jeszcze coś, o czym mówił.

- Błękitna ręka za czarną, czerwona za szarą. - Samo mi się jakoś wyrwało. Lodowe oczy zwróciły się na mnie i poczułem, jakby okrywała mnie zima.

- Elias Taproot powiedział te słowa?

- Um, tak.

- No, no, najwyraźniej przygląda się temu wszystkiemu bystrzej, niż myślałam. - Podparła białymi palcami kanciasty podbródek. - Czerwona i Błękitna. To bitwa twoich czasów, książę Jalandre. Błękitna Dama kontra Czerwona Królowa. Twoja babka pragnie imperatora, książę. Wiedziałaś o tym? Chce, by Rozbite Imperium na powrót stało się całością. Chce, by zasklepiły się pęknięcia, te widoczne i te niewidoczne. Pragnie imperatora, bo on... cóż, taki człowiek mógłby przekreślić na powrót koło. To pragnienie Czerwonej Królowej, ale Błękitna Dama tego nie chce.

- A ty, völvur? - zapytał Snorri. Ja zapytałbym „jakie koło”.

- Ha, obie drogi wymagają ogromnych ofiar i obie obciążane są wielkim ryzykiem.

- A jest jakieś trzecie wyjście?

Skilfar potrząsnęła przecząco głową.

- Rzucalam runy, aż popękały, ale nie widziałam nic prócz czerwieni i błękitu.

Snorri wzruszył ramionami.

- Co mnie obchodzi jakiś tam cesarz. To dla żony i syna, Freji i Egila, idę na północ. Chcę ujrzeć, jak umiera Sven Złamane Wiosło, chcę sprawiedliwości.

Możesz mi powiedzieć, czy nadal jest w Czarnej Warowni?

- Nadal trzymasz się swojej marchwi, Snorri ver Sna-gasonie. Spójrz poza nią. Spójrz naprzód. Czy kiedy Uuliskindowie płyną łodzią, to sterują nią, patrząc na wodę pod dziobem? Może powinieneś zapytać, dlaczego w ogóle się tam znalazł? Czy rozkuwają lody tylko po to, by wydobyć spod nich więcej trupów? A jeśli nie, to czego jeszcze poszukują i w jakim celu?

Dźwięk podobny do warkotu, tylko straszniejszy, zawibrował w gardle Wikinga.

- Złamane Wiosło...

- Idziemy! - Szarpnąłem Snorriego bardziej zdecydowanie w obawie, że obaj padniemy ofiarami jego temperamentu.

Snorri zwiesił wielkie bary i skłonił się sztywno.

- Niech bogowie mają cię w swej opiece, Skilfar. - Przepuściłem go, po czym sam złożyłem znacznie głębszy ukłon. Status społeczny statusem społecznym, ale zawsze uważałem, że piekielnym wiedźmom należy się tyle ukłonów i pochlebstw, ile trzeba żeby nie zostać zamienionym w ropuchę-

- Przyjmij moje podziękowania, pani. Odchodzę z nadzieją, że twa armia ochroni cię przed wszelkim złem. - Zerknąłem odruchowo na wyjątkowo smakowicie ukształtowaną młodą plastekową kobietę i odwróciłem się, aby odejść.

- Stąpajcie po lodzie ostrożnie - zawołała za nami Skilfar, jakby nadal miała widownię. - Dwóch bohaterów, jeden kierowany niesfornym fiutem, drugi wiedziony na północ sercem. Żaden nie podejmuje ważnych decyzji mózgiem. Nie oceniamy ich surowo, moi żołnierze, bo nic nie jest naprawdę głębokie, nic nie jest prawdziwie ważne. Pragnienia rodzą się z prostych emocji i to one sterują poczynaniami ludzi, one kierowały Budowniczymi, kierowały bogami ku prawdziwemu Ragnarokowi, ku końcu wszech rzeczy. Pokój. - Nie mogła odmówić sobie komentarza. Pewnie nawet najmędrszym trudno powstrzymać się od popisywania się swoją mądrością.

Jej słowa podążyły za nami w tunel. Zatrzymałem się wkrótce, żeby zapalić pochodnię.

- Ragnarok. Tylko o tym myślą wszyscy mieszkańcy północy? Ty też tego pragniesz, Snorri? Wielkiej bitwy, końca świata i śmierci? - Nie mógłbym go za to winić. Nie po tym, przez co przeszedł przez ostatni rok. Jednak niepokoiłaby mnie świadomość, że zawsze pożądał takiego końca, nawet zanim czarne statki przybiły do Ośmiu Pomostów.

Blask płomienia rozkwitłego na pochodni złapał go w połowie wzruszenia ramion.

- A ty nie pragniesz raj, który wasi kapłani malują na sufitach katedr?

- Też racja.

Odpuściliśmy sobie dalsze teologiczne dysputy. Kiedy łuczywo zaczęło

gasnąć, odpaliłem ostatnią pochodnię. Miałem dość zderzania się twarzą ze śluzowatymi linami, potykania się o plastikowe nogi, włożenia w zimne kałuże i obijania sobie stóp o kawałki gruzu, które odpadły z powały. Niepokoiła mnie także możliwa obecność duchów. Mimo odwagi, jaką wykazałem się w sali wiedzy, wędrówka tunelami napędzała mi stracha. Jej strażnicy wydawali mi się z minuty na minutę coraz groźniejsi. Cienie tańczące na ich kończynach sprawiały wrażenie ruchu. Kątem oka ciągle widziałem jakiś ruch, ale kiedy się odwracałem, szeregi posągów stały sztywno.

Nigdy nie lubiłem ciemności. Wydawało się, że nasze źródło światła nie przetrwa do końca podróży. Trzymałem pochodnię wysoko, modląc się, żebym ujrzał światło na końcu tunelu, zanim płomień zamrze.

- No dalej. Dalej. - Mruczałem pod nosem zdyszany, prąc naprzód. Plastikowi żołnierze już dawno zostali za nami, ale byłem przekonany, że idą za nami, trzymając się tuż poza granicą blasku. - Jeszcze trochę.

Pochodnia jakimś cudem nadal się paliła.

- Dzięki Bogu! - Wskazałem tak długo wypatrywany krąg światła dziennego. - Nie przypuszczałem, że będzie się tyle paliła.

- Jal. - Snorri postukał mnie w ramię. Rozejrzałem się. a potem podniosłem wzrok na to, na co patrzył, czyli na moją uniesioną rękę.

- Jasna chol... - W dłoni trzymałem wypalony kikut smolnego łuczywa, który nawet już nie dymił. Ale moje zaciśnięte na nim palce emanowały żywym, wewnętrznym blaskiem. Przynajmniej do czasu, kiedy Snorri zwrócił mi na to uwagę. Bo w tym momencie zamigotały i zgasły, pogrążając nas w ciemnościach. Wobec czego postąpiłem tak, jak postąpiłby każdy rozsądny człowiek. Rzuciłem się na złamanie karku ku wyjściu z tunelu.

Na zewnątrz czekała na nas burza.



Port

Den Hagen leży u ujścia rzeki Oout do Karlsruater, przestworzy słonych wód, które ludzie z północy zwą Żarłocznym Morzem. Na wschodnim zboczu przycupnęła grupa dużych domów, w każdym razie dużych jak na tę okolicę, gdzie każdy budynek jest niski, mocno osadzony w podłożu, aby nie zmiotła go pogoda, która przychodzi z mroźnych pustkowi. Chaty z bali, okrągłaki, gospody, piwiarnie i targi rybne schodziły aż na brzeg, gdzie wielkie magazyny okalały port niczym wargi otwartej paszczy. Większe jednostki stały zakotwiczone na spokojnych wodach zatoki, a mniejsze tłoczyły się przy przystaniach, tocząc przepychanki na maszty i takielunki. Mewy krążące nad nimi zawodziły żałośnie, a w dole ludzie dołączali swe głosy, wykrzykując ceny, wzywając pomocników do załadunku i rozładunku, wydając komendy, dzieląc się żartami, przeklinając, wzywając bogów Asgardu bądź wiernych do małej, pokrytej solą kaplicy na brzegu.

- Co za dziura. - Odór zepsutych ryb unosił się aż na szczyt zbocza, gdzie droga wiła się w dół od zachodu.

Snorri, który szedł przede mną, burknął coś bez słów. Pochyliłem się, żeby poklepać Slejpnir po szyi.

- Niedługo się rozstaniemy, moja jednooka.

Wiedziałem, że będę tęsknił za klaczą. Nie lubiłem chodzić pieszo. Gdyby Bóg chciał, żebyśmy chodzili na nogach, nie stworzyłby koni. Wspaniałe zwierzęta. Wyobrażałem je sobie jako słowo „ucieczka” na czterech nogach i porośnięte sierścią.

Zaczęliśmy schodzić ku Den Hagen. Przy drodze wznosiły się chałupki, które wyglądały, jakby pierwszy poryw zimy miał je zmieść ze zbocza. Na wzniesieniu siedem kamiennych trolli obserwowało fale. Dla mnie wyglądały jak bezkształtne głązy, ale Snorri upierał się, że to trolle. Rozpiął nawet kurtkę i podniósł wszystkie warstwy koszul, żeby odsłonić umięśniony brzuch i pokazać mi biegnącą przezeń straszną bliznę.

- Troll - powiedział i wskazał jeszcze kilka szram na ciele od biodra po bark. - Miałem szczęście.

Trudno mi się było z nim spierać w sytuacji, kiedy po świecie chodziły trupy, nienarodzeni wstawali z grobów, a w lasach straszili sosnowi ludzie.

Na ostatniej prostej minęliśmy trzy czy cztery głązy w kształcie młota, ustawione na cześć boga grzmotu. Snorri obszedł je, szukając kamieni runicznych, ale znalazł tylko samotny czarny okrągłak, płaski, duży jak jego dłoń, na którym wyryto jedną runę. Możliwe że resztę kamieni pozabierały dzieci.

- Thuriaz. - Rzucił kamyk z powrotem na ziemię.
- Hmm?
- Ciernie. - Wzruszył ramionami. - Bez znaczenia.

Miasteczko nie było otoczone murami, a wjazd obserwowało paru dość żalonych kupców. Nie żeby był tam jakiś wjazd, raczej miejsce, od którego domy stały gęściej. Ale po kilku tygodniach bezdroży i ciężkiego życia wędrowca, nawet miejsce takie jak Den Hagen miało swój urok. Każda część mojej odzieży była przemoczona po ulewie, w której jechaliśmy przez dwa dni po wrzosowiskach otaczających wyjście z siedziby Skilfar. Woda wyciśnięta z moich spodni mogłaby spokojnie zaspokoić czyjeś pragnienie. Choć delikwent musiałby być bardzo zdesperowany, żeby zaryzykować.

- Może wstąpimy gdzieś i sprawdzimy, czy tutejsze piwo smakuje lepiej? - Wskazałem na pobliską knajpę, przed którą wystawiono beczki, na których można było postawić kufle. Nad drzwiami wisiała deska z wymalowanym miecznikiem.

- Piwo w Maladonie jest w porządku - stwierdził Snorri, przechodząc obok wejścia.

- Byłoby, może, gdyby go nie solili. - Paskudztwo, ale czasem paskudztwo musi wystarczyć. W Goaten zamówiłem wino, a popatrzyli na mnie, jakbym zażyczył sobie pieczone niemowlę na kolację.

- Chodź. - Snorri obrócił się ku morzu, odganiając gestem sprzedawcę suszonych ryb. - Najpierw sprawdzimy port. - Im bliżej brzegu, tym bardziej był spięty, a kiedy ze szczytu wysokiego wzgórza ujrzeliśmy morze, opadł na ko łana i zaczął mamrotać pogańskie modły. Od kamiennych trolli szedł tak szybko, że musiałem wciąż poganiać Slejpnir, żeby za nim nadążyć.

Przy nabrzeżnych cumownicach kołysało się kilka łodzi, w tym jedna, która nie wymagała ani załadunku, ani rozładunku.

- Długa łódź - szepnąłem pod nosem, rozpoznając charakterystyczny kształt, który Snorri musiał dostrzec już z drogi. Zsiadłem z konia. Snorri, który ruszył od razu w stronę łodzi, ostatnie kilkadziesiąt jardów pokonał biegiem. Nawet taki szczer łądowy jak ja nie mógł nie zauważyć, że statek musiał wiele przejść. Czubek masztu był ułamany, a żagle porwane.

Snorri dotarł do brzegu i nie zwalniając skoczył i zniknął, prawdopodobnie na niewidocznym z góry pokładzie łodzi. Rozległy się wrzaski i pokrzykiwania. Przygotowałem się na widok jatki.

Podszedłem powoli na skraj nabrzeża i wyjrzałem, zachowując najwyższą ostrożność człowieka, który nie chce dostać włócznią pomiędzy oczy. Spodziewałem się spływającego krwią pokładu zaścielonego odrąbanymi członkami. Zamiast tego jednak zobaczyłam Snorriego stojącego pomiędzy ławkami wioślarskimi, rozpromienionego, otoczonego kilkoma bladokórymi brodatymi mężczyznami, z którymi witał się przyjaznymi łupnięciami. Cały tłumek jazgotał jeden przez drugiego w zapomnianym przez Boga języku, który brzmiał, jakby wydobywał się z ludzkich trzewi.

- Jal! - zawołał Snorri na mój widok. - Złaż na dół!

Rozważyłem propozycję, ale zdawało się, że nie ma przed nią ucieczki. Przewiesiłem wodze Slejpnir przez jakąś linę okrętową i zacząłem szukać sposobu zejścia, który nie skutkowałoby połamaniem nóg.

Po pokonaniu wątlej drabinki z pokrytego solą sznura i przegniłych deszczulek, stanąłem oko w oko z ośmioma Wikingami. Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła, nie była tradycyjna „powitalna pięść”, a fakt, że załoga składała się w większości z niemal identycznych ludzi.

- Ośmioraczki? - zapytałem policzywszy ich.

Snorri objął dwóch z pięciu niebieskookich blondynów o brodach znacznie krótszych niż zwyczajowe nordyckie kłęby, w których z łatwością można zgubić dziecko.

- Drażliwy temat, Jal. To synowie Jarla Torsteffa. Atta ucztuje już przy stole Odyna, w Walhalli, razem z Sexem i Sjau. - Łypnął na mnie srogo, więc zachowałem powagę. - A to Ein, Tveir, Thrir, Fjórir i Fimm.

Zdawało mi się, że właśnie otrzymałem lekcję liczenia do ośmiu po wikińsku, a jednocześnie dowód na ubogą wyobraźnię Jarla Torsteffa. Postanowiłem nazywać ich pięcioraczkami. Wydawało mi się to mniej makabryczne.

- A to Tuttugu. - Snorri grzmotnął w bark niskiego grubasa. Rude bokobrody powiewały mu zamasyście po obu stronach twarzy, ale nie spotykały się na policzkach. Ten był starszy, mógł mieć ze trzydzieści pięć lat, dziesięć więcej niż pięcioraczki. - I Arne Martwe Oko, nasz najlepszy strzelec! - Ostatni z Wikingów był najstarszy, wysoki, szczupły, o melancholijnej minie, zepsutych zębach, łysiejący z siwiejącą czarną brodą. Gdybym zobaczył go w polu, uznałbym za zwykłego chłopca.

- Ach - powiedziałem z nadzieją, że ominie mnie wymiana krwi albo spluwanie sobie na ręce. - Miło mi was poznać. - Siedmiu Wikingów gapiło się na mnie jak na nieznaną rybę, którą właśnie złowili. - Wpadliście w kłopoty? - Wskazałem na maszt. Jednakże jeśli reszta z trzydziestu wioślarzy niezbędnych, aby wypełnić miejsca na ławach nie stukała się teraz kuflami solonego piwa w Mieczniku, kłopoty te z pewnością nie ograniczały się do skrócenia masztu i

podarcia żagli.

- Kłopoty z Zatopionych Wysp! - Jeden z pięćoraczków, możliwe, że Ein.
- Nie ma już naszej wioski na Umbrze. - Inny pięćoraczek zwrócił się do

Snorriego.

- Teraz to Martwe Wyspy. — Tuttugu pokręcił głową, trzęsąc obwisłymi policzkami.

- Nekromanci przegnali nas na statki. Sztormy przegnały nas na południe.

- Arne Martwe Oko spojrział na odciski na swoich rękach.

- Rozbiliśmy się na Brechie. Naprawy zajęły miesiące. A miejscowi? - Pięćoraczek splunął na bok, trafiając - co było niezwykle, biorąc pod uwagę dystans - prosto do morza.

- Od tamtej pory przybijamy to tu, to tam do brzegów, próbując wrócić do domu. - Arne potrząsnął głową. - Unikając marynarki normandzkiej, patroli Strzały, piratów conaughckich... Aegir nas nienawidzi. Zsyła sztorm za sztorem, żeby nas cofnąć.

- Spodziewałem się już węży morskich, nawet lewiatana. - Tuttugu wyrócił oczyma. - Ale jakoś dotarliśmy tu.

Na przyjazne wody. Jeszcze kilka napraw i będziemy mogli przepłynąć Karlwater! - Huknął któregoś z pięćoraczków w plecy.

- To nic nie wiecie? - wyrwało mi się.

Snorri zmarszczył czoło, podszedł do burty i wychylił się, patrząc na pełne wody.

- Czego nie wiemy? - Padło z wielu ust, a wszystkie oczy zwróciły się na mnie.

Zrozumiałem swój błąd. Nie przynoś na pokład złych wieści. Bo możesz opuścić go szybko i to nie po trapie.

- Wiemy, że do Den Hagen nikt nic nie wie o Undorethach - powiedział pięćoraczek Ein, z blizną w kącie oka. - Nie dotarły żadne długie łodzie. Opowieści z portów Hardangeru mówią o najazdach na wioski wzdłuż Uulisk, ale nic konkretnego. Jesteśmy tu od czterech dni i tyle się dowiedzieliśmy. Wy wiecie coś więcej?

- Niech Snorri wam opowie. Ja usłyszałem to od niego, a nie chciałbym czegoś przeinaczyć. - Wszystkie oczy natychmiast zwróciły się na Snorriego.

A on stał, górując nad nami wszystkimi, posępny, z dłonią wspartą na toporze.

- Te sprawy będą wymagać toastów za poległych, bracia. - Podszedł do ściany nabrzeża i wspiał się na górę po paru wystających kamieniach, które ja przeoczyłem.

Snorri powiódł nas do portowej tawerny, gdzie siedząc przy stole miało się widok na długą łódź. Nie uważałem, by była warta kradzieży, ale może słusznie

postępował, nie chcąc tego sprawdzać. W końcu taka zapadła dziura, jak Den Hagen każdego potrafiłaby w krótkim czasie przyprawić o gwałtowną potrzebę ucieczki, więc może i byli tu ludzie zdesperowani na tyle, by odpłynąć stąd czymkolwiek, nawet taką przeciekającą łupiną, jaką przybili tu Wikingowie.

Zamykałem pochód razem z Tuttugu.

- Myślałem, że długie łodzie będą, no wiesz, dłuższe.
- To snekkja.
- Aha.
- Najmniejsza z łodzi. - Tuttugu skwitował moją ignorancję nieobecny uśmiechem. Jego myśli musiały krążyć wokół tego, co miał do powiedzenia Snorri.
- Dwadzieścia ław. Skei ma dwa razy tyle. Nasza nazywa się *Ikea*, po tym smoku, wiesz?

- Tak, tak. - Nie wiedziałem, ale kłamstwo było łatwiejsze, niż wysłuchiwanie sążnistych wyjaśnień. W zasadzie w ogóle nie byłem zainteresowany ich łodzią, ale wyglądało na to, że mogę znaleźć się na jej pokładzie i to szybciej, niżbym chciał. Nawet dwa razy większa łódź nie wydawała mi się wielkim statkiem, ale siła północy leżała w szybkich łodziach, zawsze mieli ich masę. Musiałem modlić się z nadzieją, że przy takim doświadczeniu te skorupy okażą się przynajmniej zdatne do żeglugi.

Przysunęliśmy sobie stołki do długiej ławy. Kilku miejscowych wykazało się rozsądkiem i przeniosło do innych stołów. Snorri zamówił piwo, zasiadł u szczytu ławy i zapatrzył się ponad nią na żagle snekkji, które łopotały ponad murem nabrzeża. Niebo ponad nimi było łaciate od ciemnych i ponurych chmur, niektórych zwiastujących deszcz, podświetlonych ukośnie padającymi promieniami popołudniowego słońca.

- Walhalla! - Snorri zmiotł kufel z tacy kelnerki.
- Walhalla! - Łomotanie w stół.
- Wojownik boi się tylko bitew, w których nie uczestniczy. Bardziej niż walki, w której bierze udział obawia się tych, które go ominęły, które skończyły się bez niego, których wyniku nie mógł zmienić swymi czynami. - Snorri skupił ich uwagę i zamilkł. Przytknął kufel do ust i pił długo, dużymi haustami. - Nie walczyłem w Einhaur, ale słyszałem o tej bitwie od Svena Złamanego Wiosła, choć nie wiem, czy jego kłamliwy język może wymówić choć słowo prawdy. - Załoga Ikei wymieniała spojrzenia i pomruki. Ich ton wskazywał, że dzielali kiepskie mniemanie Snorriego o Złamanym Wiosle. - Walczyłem za to w Ośmiu Pomostach. To była raczej rzeź niż bitwa. Każdego dnia wstydę się tego, że przeżyłem. - Znów łyknął piwa, a potem roztoczył swą opowieść.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, cienie wydłużały się, świat się kręcił, ale wszystko to pozostawało niezauważone. Snorri rzucił na nas czas swego głosu i nawet ja sączyłem piwo, nie smakując go, zaśluchany, choć znałem już tę

historię. Przynajmniej do momentu, kiedy ujrzał Czarną Warownię.

Gdy ujrzał w oddali ciemną plamkę, myślał, że umiera, że pustka mąci mu już wzrok. Ale plamka tkwiła w miejscu i powiększała się, z każdym jego chwiejnym krokiem. Aż stała się Czarną Warownią.

Zbudowana z wielkich bloków wydobytych z bazaltowych pól leżących teraz pod śniegami, Czarna Warownia opierała się zakusom Srogich Lodów, choć zdawała się niewielka w porównaniu z rozległymi, wysokimi urwiskami lodowca, który widniał pięć mil na północ. Na przestrzeni długich lat istnienia twierdzy lód zbliżał się i oddalał i znów zbliżał, ale nigdy nie sięgnął czarnych murów, jak gdyby Warownia była ostatnim bastionem u bram krainy lodowych olbrzymów.

Widok Czarnej Warowni dodał mu sił i Snorri ruszył dalej, otulając się ciasniej białym od śniegu foczym płaszczem. Zerwał się wiatr od wschodu i Snorri musiał iść pochylony w paszczę zawieruchy, która kradła mu resztki ciepła. Każdy krok groził upadkiem, z którego już by się nie podniósł.

Gdy bryła twierdzy zablokowała wicher, omal nie runął na ziemię, pozbawiony oparcia. Nie widział, że jest już tak blisko, nie wierzył, że zdoła dotrzeć do celu. Na murach nie było wartowników. Wszystkie okiennice wąskich okien były zamknięte i zasypane śniegiem. Nikt nie stał na straży u wielkich wrót. Snorri stał niepewny, z odrętwiałym ciałem i umysłem. Nie miał żadnego planu, szedł napędzany pragnieniem, aby zakończyć to, co zaczęło się w Ośmiu Pomostach i tam powinno mieć swój koniec. Przeżył dwójkę swoich dzieci. Nie chciał przeżyć również Egila czy Freji, pragnął tylko o nich walczyć.

Ledwie żywy, wiedział, że osłabnie tylko stojąc w śniegu. Nie dałby rady wspiąć się na mury, równie dobrze mógł porwać się na pionowe urwiska Srogich Lodów. Ujął Hel w obie ręce i toporem ojca zaczął walić we wrota Czarnej Warowni.

Wieki później na górze otworzyło się okienko, obsypując mu głowę śniegiem. Zanim jednak spojrział do góry, zamknęło się na powrót, więc dalej łomotał we wrota. Wiedział, że jego umysł tonie we mgle powolności i bezmyślności, jaką sprowadza zimno, nie był w stanie wymyślić nic innego.

- Ej, ty! - rozległ się głos ponad nim. - Ktoś ty?

Snorri zadarł głowę i ujrzał opatulonego w wilcze futra, wychylonego Svena Złamane Wiosło. Twarz Svena ginęła pod zasłoną złotorudych włosów.

- Snorri... - Odrętwiałe wargi odmówiły mu posłuszeństwa.

- Snorri ver Snagason? - zadudnił Złamane Wiosło zdumiony. - Zniknąłeś! Mówili, żeś uciekł. Och, to ci dopiero. Sam ci otworzę wrota. Zaczekaj. Nie uciekaj znowu.

A więc Snorri stał, zaciskając pobieliałe dłonie na toporze i starając się rozpalić gniew, któryby go ogrzał. Ale zimno wsączyło się w jego kości, wysysając siłę, wysysając wolę, a nawet wspomnienia. Chłód ma swój smak. To smak

przygryzionego języka. Owija się wokół ciebie, wnika, jak żywa istota, bestia, która chce cię zabić, ale nie przemocą, nie szponem czy kłębem, tylko łaską poddania się, łagodnym odejściem w długą noc po całym tym trudzie dźwignia brzemienia bólu i niedoli.

Szuranie otwieranych drzwi wyrwało go z zamroczenia. Odsunął się gwałtownie. Dwóch mężczyzn stękało z wysiłku, ciągnąc ogromne drewniane skrzydła po oblodzonym kamieniu. Gdyby zostawili go tak stojącego przed twierdzą, mógłby się już nigdy nie poruszyć.

Dziesięć jardów w głębi, na dziedzińcu za grubymi murami, stał Sven Złamane Wiosło z toporem w jednej urękawiczonej dłoni i małym żelaznym puklerzem w drugiej.

- Mogłem przebić cię włócznią z murów albo zostawić na pastwę śniegu, ale zwycięzca z Żelaznych Pól zasługuje na lepszą śmierć.

Snorri chciał powiedzieć, że człowiek honoru, człowiek, który przejmuje się tym jak powinien czy nie zginąć wojownik, powinien przybyć do Ośmiu Pomostów w świetle dnia, dmąc w róg u wejścia fiordu. Chciał wiele powiedzieć. Chciał opowiedzieć o Emy, o Karlu, ale lód skuł mu usta, a resztkę sił, które mu pozostały wolał zużyć na zabicie stojącego przed nimi wroga.

- Wejdz - zaprosił go Złamane Wiosło. - Daleko zaszedłeś. Grzechem byłoby powstrzymać cię od zrobienia tych paru ostatnich kroków do celu podróży.

Snorri podjął próbę chwiejnego biegu na odmrożonych stopach. Sven Złamane Wiosło zaśmiał się i ten śmiech był ostatnią rzeczą, jaką Snorri zapamiętał zanim maczuga zderzyła się z jego potylicą. Ludzie, którzy otworzyli wrota zaczęli się za nimi i napadli na niego, kiedy wszedł do twierdzy.

Ocknął się, płonął. Żar pełgał po wyprostowanych nad głową ramionach, wypalał mu nogi, parzył w twarz. Ból. Ból krążył w całym jego ciele.

- C...

Jego oddech zamienił się w biały obłok. W brodzie nadal tkwiły kryształki lodu, z których kapała mu na pierś woda.

Ani nie wrzątek, jak mu się wydawało, ani nie tak zimna, jak była naprawdę.

Podniósł głowę i uderzywszy raną o szorstki kamień, zaklął. W sali znajdowało się kilkunastu mężczyzn skupionych wokół małego ogniska na gigantycznym palenisku u końca długiego kamiennego stołu. Ludzie Svena Złamane Wiosło, Czerwoni Wikingowie z Hardanger, terenów leżących jeszcze dalej od Srogich Lodów niż brzegi Uulisk, ziemie Undorethów.

Snorri ryknął na swoich oprawców, wyrzucając z siebie gniew, przeklinał ich, wrzeszczał, aż zdarł sobie gardło i zaniemówił. Ignorowali go, nawet na niego nie spojrzeli, aż wreszcie rozsądek zwyciężył wściekłość. Zgasła w nim wszelka nadzieja. Wisiał żaloszny na ścianie, związany i obrzucał ich groźbami. A miał

przecież szansę, by działać. I to dwa razy. I zawiódł.

W progu drzwi nieopodal paleniska pojawił się Złamane Wiosło. Przez chwilę ogrzewał sobie dłonie nad ogniem i rozmawiał ze swymi ludźmi, a w końcu zostawił ich i podszedł do Snorriego.

- To było głupie. - Potarł brodę kciukiem i palcem wskazującym. Nawet z bliska trudno było określić jego wiek. Mógł mieć czterdzieści lat, może pięćdziesiąt? Pokryty bliznami, ogorzały, chudy, wyższy nawet od Snorriego. Grzywa rudozłotych włosów nadal była gęsta, a w kącikach ciemnych, sprytnych oczu rysowały się kurze łapki, kiedy taksował swego więźnia.

Snorri milczał. To prawda, że zachował się głupio.

- Spodziewałem się więcej po bohaterze tyłu opowieści powtarzanych w miodosytniach.

- Gdzie moja żona? Mój syn? - Snorri nie rzucił już gróźb. Złamane Wiosło wyśmiały go.

- Powiedz, dlaczego uciekłeś. Snorri ver Snagason okazał się głupcem, nie dziwi mnie to. Choć spodziewałem się po tobie więcej. Ale że jesteś tchórzem?

- Twoje stwory, ich jad mnie powalił. Upadłem i okrył mnie śnieg. Gdzie mój syn? - Nie chciał już wspominać Fre-ji przy tych ludziach.

- Ha. - Złamane Wiosło spojrzał po towarzyszach, którzy pilnie nastawiali uszu. W Czarnej Warowni brakowało rozrywek. Nawet węgle, przy których się grzali trzeba było wlec na saniach przez śnieżne pustynie. - Są bezpieczni. W każdym razie dopóki ty nie stanowisz zagrożenia.

- Nie powiedziałem ci, jak ma imię. - Snorri szarpnął się w więzach.

Złamane Wiosło lekko uniósł brwi.

- Myślisz, że syn Snorriego ver Snagasona nie rozpowiadał wszem i wobec, kim jest jego ojciec i jak to wedrze się tutaj z armią, by go uratować? Według niego masz odrąbać nam głowy toporem i stoczyć je ze zboczy fiordu.

- Po co ich przetrzymujesz? - Snorri spojrzał mu w oczy. Ból pozwolił mu oderwać myśli od Egila, który pokładał nadzieje w ojcu, który go zawiódł.

- Cóż. - Sven Złamane Wiosło przysunął sobie krzesło i usiadł, składając topór na kolanach. - Na morzu człowiek jest niczym, a jego łódź znaczy niewiele więcej, targana kapryсами pogody. Uciekamy przed sztormami. Wznosimy się i opadamy na falach. Chudy rybak z wybrzeży Afriki znaczy tyle samo, co wielki Wiking, który pokonał setkę ludzi na Żarłocznym Morzu. Jeden i drugi zdany jest na łaskę wiatrów. Widzisz, Snorri ver Snagasonie, wiatr się zmienił. Wieje teraz od wysp, gdzie nowy bóg włada pogodą. Nie jest to dobry bóg, nie ma czystego serca, ale nie nam to zmieniać. My unosimy się na morzu, pochylamy karków, wykonując nasze zadania i staramy się pozostać na powierzchni. Wyspami rządzi teraz Martwy Król. Złamał on potęgę Jarla Torsteffa, a także Żelaznego Jarla i Czerwonych Jarłów z Hardanger. Wszystkich zagnał do ich portów. A potem

przybył do naszych domów z trupami, z trupami naszych poległych w swych szeregach i wraz z potworami z zaświatów.

- Mogliście z nimi walczyć! - Snorri znów szarpnął się, napinając pęta.

- A tobie jak idzie, Snorri? - Wzrok Złamanego Wiosła stwardniał, pojawiła się w nim gorycz i coś jeszcze, coś nieodgadnionego. - Walcz z morzem, a utoniesz. - Złamane Wiosło przesunął topór, jakby ciężar broni go uspokajał. - Martwy Król potrafi być przekonujący. Gdybym przyprowadził tu teraz twoją żonę i syna, zbliżył do ich twarzy rozgrzane żelazo, też uznałbyś mnie za przekonującego, nieprawdaż?

- Wikingowie nie walczą za pomocą dzieci. - Snorri wiedział, że poniósł porażkę. Lepiej dla niego, żeby zamarł, niż przybył tu i zawiódł rodzinę.

- A wojownicy Undorethów pozostawiają żony i sieroty swoich wrogów przy życiu? - Rozległy się drwiące parsknięcia od strony paleniska. - Snorri Czerwony Topór adoptował córki i synów ojców, których wysłał w ostatnią podróż?

Snorri milczał.

- Gdzie oni są? Po co wam jeńcy? Dlaczego właśnie tu?

Złamane Wiosło tylko pokręcił głową. Wyglądał przy tym starzej, prędzej na pięćdziesięcio- niż czterdziestolatka.

- Lepiej będziesz spał, nie wiedząc.

- Śniłem. - Snorri podniósł głowę. Z jego oczu wyczierała Aslaug. Lśniły niczym paciorki gagatu, krwawym poblaskiem ostatnich promieni zachodzącego słońca. Można je było sobie wyobrazić, jak połyskują z pajęczyny i uwierzyć w opowieść o Lokim, bogu kłamstw, uwiedzionym pięknem jötnar, której prawdziwą naturę zdradzał jedynie pajęczy cień. - Te sny - Snorri spojrzał na mnie. - Trudno by mogły być mroczniejsze.

Poczułem, jak Baraqel porusza się pod moją skórą i zacząłem obawiać się, że moje zadrapania po przeprawie przez Gowfaugh rozbłyszczą światłem, a blask zacznie się sączyć spod moich paznokci. Ponad stołem zaczęła zbierać się trzeszcząca moc, ta sama, która uwalniała się przy naszym dotyku. Teraz wiedziałem już, że to zderzenie energii Aslaug i Baraqela, awatarów mroku i światłości, gotowych na starcie.

Miałem ochotę zapytać dlaczego, powtórzyć pytanie, które Snorri zadał Złamanemu Wiosłu - po co? dlaczego? Chciałem wiedzieć, jak to się stało, że w końcu został sprzedany. A najbardziej pragnąłem, żeby Aslaug przestała się we mnie wpatrywać. Dlatego spuściłem wzrok i ugryzłem się w język. Wikingowie również spostrzegli, bądź wyczuli dziwne napięcie swego ziomka i także milczeli - choć może ich cichość wyrażała też żal za Undorethów.

- Einhaur też padł? - zapytał pięcioraczek, burząc nastrój chwili.

- Przed Ośmioma Kejami? - Inny.

- A co z Czarnymi Szumami? - Tuttugu.
- Pewnie wszystkie poległy. - Arne Martwe Oko wbił wzrok w stół. - Inaczej do tej pory usłyszelibyśmy o tym już nie raz.

Wszyscy Wikingowie poza Snorrim podnieśli kufle i opróżnili je.

- Wróg nadal tam jest, za Czarną Warownią - odezwał się Snorri. Wokół niego zgęstniał zmrok, ciemniejszy, niż powinien, bo słońce jeszcze nie zniknęło połknięte całkiem przez morze. - Pójdziemy tam. Zabijemy ich wszystkich. Zniweczymy wszystko, co zrobili. Ukażemy im piekło ciemniejsze niż śmierć.

Wikingowie opuścili kufle i zapatrzyli się w Snorriego z pełną niepokoju fascynacją. Spojrzałem jeszcze raz na morze, gdzie płonący rąbek słońca zdobił jeszcze horyzont rubinowymi klejnotami. Z każdą chwilą było ich coraz mniej i mniej, aż zniknęły.

- My, synowie Undoreth, zbrukamy śnieg czerwienią Hardangerskiej krwi!
- Uwolniony zachodem słońca Snorri odzyskał jasność spojrzenia i zerwał się na nogi, potrącając stół. - Odzyskamy tych, których kochamy, nauczymy Czerwonych Wikingów, jak wykrwawia się na śmierć! - Uniósł topór ponad głowę. - Myśmy z ludu Undoreth, Dzieci Młota. W naszych żyłach płynie krew Odyna. Zrodziła nas burza!

I tam, gdzie Aslaug nie zdołała poruszyć Wikingów swymi mrocznymi groźbami, Snorri ver Snagason porwał ich w gnieniu oka. Razem wykrzykiwali ku niebu swój gniew, walili w stół aż pryskały drzazgi i podskakiwały kufle.

- Więcej piwa! - Snorri usiadł wreszcie, jeszcze raz waląc w stół. - Pijmy za poległych!

- Pójdiesz z nami, książę Jalandre? - zapytał Tuttugu, odbierając od kelnerki dzban piwa pieniącego się pianą białą, jak pięcioraczki. - Snorri mówił, że w swoim kraju jesteś bohaterem, a wrogowie zwą cię „Diabłem”.

- Obowiązek nakazuje mi odstawić Snorriego na jego ziemię - przytaknałem. Kiedy los zmusza cię do obrania niechcianej drogi, należy to z wdziękiem zaakceptować i dość z tego, co się da, aż do chwili, kiedy nadarzy się pierwsza okazja wyplątania się z bałaganu. - Niech ścierwojady z Hardanger przekonają się, co wart jest wojownik z Czerwonej Marchii. - Liczyłem, że znajdę wcześniej jakiś sposób, by nie zostać trupem.

- A dlaczego mamy sądzić, że w dziewięciu powiedzie nam się lepiej niż Snorriemu w pojedynkę? - Arne Martwe Oko otarł pianę z wąsów. Jego ton nie wyrażał lęku, a raczej zaspokojenia. - Złamane Wiosło ma tylu ludzi, że dał radę zrównać z ziemią Einhaur i resztę wiosek wzdłuż Uulisk.

- Mądrze pytasz. - Snorri wskazał na Arnego. - Po pierwsze, w Czarnej Warowni znajduje się niewielki oddział. Takiego miejsca nie da się w pełni obsadzić. Każdy posiłek trzeba tam przywieźć przez lody. Każde polano czy worek węgla również. I co tam jest do obrony? Niewolnicy kopiący w Srogich Lodach

tunele w poszukiwaniu legendy?

Po drugie pójdziemy tam lepiej przygotowani, nie w łachmanach zebranych naprędce w zniszczonej wiosce. Pójdziemy z jasnymi myślami, a żądzę mordu zamkniemy w sercach, dopóki nie nadejdzie jej czas. I po trzecie. Co jeszcze nam pozostało? Jesteśmy ostatnimi wolnymi Undorethami. Reszta naszego ludu, wszyscy, którzy pozostali przy życiu, znajdują się tam, na lodach, w rękach wrogów. - Przerwał, oparł się na szeroko rozłożonych na stole rękach i spojrzał na rozcapierzone palce. - Moja żona. Mój syn. Całe moje życie. Każda dobra rzecz, jaką w życiu zrobiłem. - Usta mu zadrgały, a kiedy wstał, dobyło się z nich niskie warczenie, które jeszcze raz przerodziło się w ryk. - Nie obiecuję wam zwycięstwa ani też powrotu do dawnego życia, ani też że zbudujemy je od nowa. Będzie za to krew, ból, czerwień ostrzy, szansa wspólnej walki z wrogiem, po raz ostatni. Co wy na to?

Oczywiście szaleńcy ryknęli uradowani, a ja wraz z nimi bez przekonania załomotałem pięścią w stół, cały czas myśląc, jak by tu wykręcić się z tego bajzlu. Jeśli Sageous nie mylił się ani nie kłamał, może udałoby mi się zacząć gdzieś na tyłach i poczekać, aż Snorri padnie w walce, a potem umknąć, wolny od zaklęcia. Tyle że w oddziale złożonym z dziewięciu wojowników trudno byłoby o jakieś tyły. a Czarna Warownia zdawała się leżeć niedogodnie daleko od jakiegokolwiek bezpiecznej przystani dla uciekiniera.

Uznałem więc, że najlepszą taktyką na tę chwilę będzie upicie się do nieprzytomności w nadziei, że jutro przyniesie lepszy dzień.

- Najważniejsze jednak - udało mi się wtrącić w chwili, gdy Wikingowie zajęli gardła łykaniem piwa. - Najważniejsze, to nie działać w pośpiechu. Kluczem jest plan. Strategia. Ekwipunek. To wszystko, czego brakowało Snorriemu, kiedy niecierpliwość pognąła go na lody. - Im dłużej zwlekaliśmy, tym większa szansa, że klątwa minie albo przydarzy się jakaś okazja, żeby dać nogę. Prawdziwie ważne było to, żeby Ikea nie odpłynęła, zanim nie wykorzystam wszelkich możliwości uniknięcia wejścia na jej pokład. Wzruszywszy ramionami osuszyłem kufel i zawołałem o kolejny.

Czasami kac jest tak straszliwy, że wydaje ci się, iż cały świat kołysze się i buja, a ściany trzeszczą w rytm jego poruszeń. Innym razem jest całkiem znośnie, bo koniec końców okazuje się, że to banda Wikingów rzuciła cię na zwój lin na pokładzie swojej łodzi i wypłynęła w morze.

- Sukinsyny! - Uniosłem powiekę i ujrzałem łopoczący żagiel, a wyżej mewy krążące na tle obłoczystego nieba.

Usiadłem, zwymiotowałem, wstałem, potknąłem się, zwymiotowałem, podczołgałem się do burty, puściłem wielkiego pawia, przepełzłem na drugą stronę i jęknąłem na widok cienkiej ciemnej linii na horyzoncie, wspomnienia po świetle, który znałem i którego prawdopodobnie miałem nie ujrzeć ponownie.

- A, znaczy nie żeglarz - podsumował Arne Martwe Oko, obserwując mnie z ławki, na której ćmił fajkę.

- To Wikingowie palą? - Dziwnie to wyglądało, jakby zaraz miał sobie podpalić brodę.

- Ten tak. Nie dostajemy podręcznika z zasadami.

- Pewnie nie. - Otarłem usta i zawisłem na burcie. Pięcioraczki wyczyniały skomplikowane rzeczy z żaglem i liną. Tuttugu obserwował fale z dziobu, a Snorri trzymał rumpel na rufie. Po jakimś czasie poczułem się na tyle silny, żeby dźwignąć się i klapnąć na ławce obok Arnego. Na szczęście wiatr unosił dym w drugą stronę, inaczej miałby Wiking okazję zobaczyć, czy jeśli się postaram, wyrzucę z siebie części posiłków z poprzedniego tygodnia.

- Jakie inne zasady spisane w podręczniku, którego nie dostajecie, łamiesz? - Potrzebowałem oderwać się o tego ciągłego kołysania i falowania. Najwyraźniej trafiliśmy na jakiś sztorm, choć trochę dziwny, bo niebo było dość czyste, a wiatr łagodny.

- Cóż. - Arne wypuścił dymek. - Nie przepadam za ucztowaniem i śpiewami w miodosytniach. Wolę posiedzieć na łodzi i sobie połować.

- Zdawałoby się, że człek twych talentów będzie raczej tropił zwierzynę, żeby zabić ją strzałem, a nie przesiadywał nad dziurą w łodzi, mocząc haczyk w wodzie. - Pokładałem wielkie nadzieje na przeżycie właśnie w Arnem Martwym Oku. Najwspanialsze w łucznicach jest to, że kłopoty trzymają się od nich w

pewnej odległości. Takich właśnie lubię się trzymać w bitwie, jeśli kolej rzeczy zniweczy moją szansę na odgalopowanie w dal. - Hej, gdzie mój cholerny koń?!

- Tu i tam, pewnie po całym wybrzeżu Den Hagen. - Arne udął przeżuwaniem. - W gulasiku, kielbaskach, smażonej koninie, pieczonej koninie, zupie ozorkowej, wątróbce z cebulką, duszonej koninie. Mniem. Dobry w każdej postaci.

- Cooo?!... - Resztę tyrady wygłosił mój żołądek. Była długa, składała się głównie z samogłosek wypowiedzianych w większości przez burtę do falującego morza.

- Snorri zabrał ją rankiem na targ i sprzedał. - Zawołał Arne do moich pleców. - Więcej dostał za siodło niż za szkapę.

- Do diabła. - Wytarłem szybko ślinę z brody w obawie, że wiatr udekoruje mnie nią całego. Wróciłem na ławę i odsiedziałem chwilę z głową ukrytą w dłoniach. Zupełnie, jakbym zatoczył koło. Ten cały koszmar zaczął się od łódki pełnej Wikinga i mnie na jej pokładzie. A teraz to samo. Większa łódź, więcej wody, więcej Wikingów i tyle samo koni.

- Martwe Oko, hm? - Liczyłem, że pewność bezpieczeństwa w cieniu Arnego podniesie mnie na duchu. - Jak zyskałeś ten przydomek?

Arne wypuścił chmurę paskudnego dymu, którą natychmiast rozszarpał wiatr.

- Są dwa sposoby na trafienie w mały cel z wielkiej odległości. Umiejętność i szczęście. Nie żebym był złym strzelcem, tego nie mówię. Jestem lepszy od przeciętnego, to pewne. Szczególnie teraz, kiedy nabyłem tyle praktyki. Ciągłe tylko „Niech Martwe Oko strzela”, „Dajcie łuk Arnemu”. Ale tego dnia, na weselu Jarla Torsteffa... - Arne wzruszył ramionami. - Wojownicy ze wszystkich stron brali udział w zawodach. Rzucanie toporem, dzwiganie głazów, zapasy i tak dalej. Łucznictwo nigdy nie było naszą mocną stroną, ale i tak zgłosiło się wielu chętnych. Jarl ustawił monetę, daleko za daleko i nikt nie mógł zestrzelić tego przeklętego pieniążka. Kiedy przyszła moja kolej zapadał już zmrok.

Udało mi się przy pierwszej próbie. Ale nie koniec na tym. Widzisz, chłopcze, tak to już jest na tym świecie. Zacziesz jakąś opowieść, historyjkę, która powinna umrzeć śmiercią naturalną, na moment spuścisz ją z oka, a ona rośnie za twoimi plecami i pęcznieje, aż staje się na tyle wielka, by schwycić cię w zęby i potrząsnąć. Tak to się dzieje. Życie każdego człowieka jest taką historią. Niektóre niosą się i rosną przy każdym opowiadaniu. Inne powtarzane tylko między nami a bogami, mamrotane raz po raz, ale i te rosną i te trzęsą nami zaciekle.

Jęknąłem i położyłem się na ławie. Przez chwilę usiłowałem znaleźć pozycję, która pozwoliłaby przechylić szalę definicji z „narzędzia tortur” na „łóżko”. Położyłbym się pomiędzy ławami, ale każdy przechył wzbudzał fale śmierdzącej wody z zęby chlupoczącej w przejściu w rytmie w jakim targało nami

morze.

- Obudź mnie, kiedy sztorm minie.
- Jaki sztorm? - Padł na mnie czyjs cień.
- Pewnie zaraz powiesz, że to tak zawsze, prawda? - Zmrużyłem oczy na czarną postać na tle jasnego nieba. Promienie słońca załamywały się na konturach, żądłac mnie w oczy. Wysoki, irytująco atletyczny. Jeden z pięcioraczków.

- Ależ nie. - Usiadł na ławce naprzeciwko. Jego dobry humor był jak kwas dla mojego kaca. - Rzadko jest tak spokojnie.

- Grrrr. - Żadne koherentne słowo nie oddałoby odpowiednio mojego spojrzenia na tę kwestię. Ciekaw byłem, czy Skilfar przewidziała, że moim przeznaczeniem jest zarzycanie do pełna długiej łodzi i utopienie się we własnych rzygowinach.

- Snorri mówi, że radzisz sobie z ranami. - Bez zaproszenia zaczął podciągać rękaw. - Jestem Fjórir, ciężko nas odróżnić, jak jesteśmy razem.

- Jezu! - Skrzywiłem się, kiedy Fjórir odwinął brudny bandaż z przedramienia. Rana była bardzo głęboka i miała poszarpane brzegi. Opuchnięta, prezentowała wszystkie odcienie od fioletowego brązu po czerni. Resztę dopowiadał smród. Kiedy rana zaczyna wydzielać odór, wiadomo, że człowiek jest na dobrej drodze na cmentarz. Może odjęcie ramienia ocaliłoby mu życie - ale skąd miałem to wiedzieć? Poza oceną ryzyka podczas zakładów na arenach nie miałem do czynienia z ranami. To prawda, że podobne nieprzyjemne widoki były moim udziałem na pograniczu scorrońskim, ale skutecznie wyparłem te wspomnienia. A przynajmniej do czasu, kiedy gnijące ramię Wikinga przywołało ich falę. Tym razem przynajmniej udało mi się wychylić, zanim puściłem pawia w ciemne otchłanie wód. Jakiś czas wisiałem na burcie, podtrzymując głośną, lecz pozbawioną słów konwersację z morzem.

Kiedy wyprostowałem się, z pustym żołądkiem i drżący, Fjórir nadal siedział tam, gdzie przedtem. Łodzi nadal groziła wywrotka na każdej fali, ale nikt oprócz mnie zdawał się tym nie przejmować.

- To... To paskudna rana - wykrztusiłem.
- Nadziałem się na harpun podczas sztormu przy Thur-tanach - powiedział Fjórir. - Zapaskudziła się. Nie daję mi spokoju.

- Przykro mi. - I naprawdę było mi przykro. Lubilem pięcioraczki. Porządne chłopy. A wkrótce miały zostać czworaczkami.

- Snorri mówił, że dobrze sobie radzisz z ranami. - Fjórir wrócił do tematu. Wydawał się niezwykle radosny, jak na to, co go czekało, choć nie dałbym mu więcej niż tydzień.

- Nie bardzo. - Spojrzałem na zgniliznę z niezdrową fascynacją. - Ale ty wydajesz się mniej zatroskany niż ja.

- Bogowie zabierają nas w kolejności. Od najmłodszych. - I znów ten

szeroki uśmiech. - Attę zabiły ghule, w Ullaswater. Potem w Fenmire martwiak wciągnął Sjau do bagna. Sex oberwał strzałą od conaughckiego łucznika. Następny jest Fimm, nie ja.

Naraz zdjęła mnie zgroza. Rozumiałem Snorriego. Nie podzielałem jego pasji czy odwagi, ale pojmowałem je jako silniejsze bądź słabsze wersje moich własnych emocji czy przekonań. Człowiek siedzący przede mną z wierzchu wyglądał jak wszyscy, ale w środku? Bogowie stworzyli ośmioraczki Torsteffa innymi. A przynajmniej tego jednego. Możliwe że część, której mu brakowało posiadał podwójnie inny z braci. A może kiedy zaczęli umierać, odchodzący pozostawiali żywych niepełnych. Fjórir tryskał życzliwością, od pierwszej chwili wiadomo było, że można na nim polegać, ale trudno było ocenić, jaki brak kryje się za tym radosnym uśmiechem i tymi wielkimi lodowo-błękitnymi oczyma.

- Nie wiem czemu Snorri tak powiedział, ale nie jestem lekarzem. Nawet nie wiem...

- Mówił, że spróbujesz się wykręcać. Powiedział, że mam ci przypomnieć, co zrobiłeś w górach. - Fjórir wyciągnął ramię, bez cienia niepokoju na twarzy.

- No dalej! - zawołał Snorri z rufy. - Zrób to, Jal!

Zaciskając usta z obrzydzenia, wyciągnąłem niechętnie dłoń i zatrzymałem ją kilka cali nad raną. Nieomal natychmiast poczułem jak ręka mi się rozgrzewa. Cofnąłem ją gwałtownie. Mój plan udawania teraz nie nadawał się do niczego. Reakcja była szybsza i silniejsza niż w wypadku Meegana w Alpach.

- Wiesz, że ostatnią osobę, której to zrobiłem, Snorri zrzucił zaraz z urwiska?

- Na morzu nie ma urwisk. Poczułem coś miłego. Zrób tak jeszcze raz. - W oczach Fjóririego nie było przebiegłości, były niewinne jak oczy dziecka.

- A niech to wszyscy diabli. - Wysunąłem znowu rękę i tym razem przytrzymałem ją tak blisko gnijącej rany, jak się dało bez umazania ropą. W jednej chwili skóra dłoni rozjarzyła mi się światłem. Wyglądała jak odcisk, który przebił się przez wietrzny północny dzień do zalanej słońcem pustyni Hindii. W kościach poczułem wibrację tego, co przez nie przechodziło, a ciepło narastało. Za to wiatr wokół mnie lodowaciał, a osłabiane wymiotami ciało pogłębiło się w taką niemoc, że utrzymywanie dłoni wymagało ode mnie herkulesowego wysiłku. Nagle przestałem cokolwiek utrzymywać. Łódź fiknęła kozła i zatonałem w mroku.

Do świadomości przywrócił mnie chlup słonej, lodowatej wody.

- Jal? Jal?

- Co z nim? Wydobrzeje?

Odpowiedź w pogańskim języku.

- ...mięczaki z południa...

- ...pogrzeb morski...

I znów bezsensowny nordycki bełkot.

Kolejne wiadro wody.

- Jal? Odezwił się.

- A jak się odezwę, to przestaniesz oblewać mnie wodą morską? - Nie otworzyłem oczu. Pragnąłem jedynie leżeć bez ruchu. Nawet poruszanie ustami wydawało mi się ogromnym wyczynem.

- Dzięki bogom. - Snorri zamilkł. Usłyszałem stukot odstawianego wiadra.

Po tym zostawili mnie w spokoju, żebym obsechł. Leżałem na ławce, dopóki szczególnie duża fala mnie z niej nie strąciła. Potem leżałem na dnie. Od czasu do czasu wzywałem Jezusa. Nie bardzo pomogło. Zmierzchało, kiedy zebrałem wystarczająco dużo sił, żeby wdrapać się z powrotem na ławkę, z której spadłem. Fjórir przyniósł mi kawałek suszonej ryby i placek kukurydziany, ale udało mi się zaledwie spojrzeć na jedzenie. W żołądku nadal mi się przewracało, przy każdym kiwnięciu łodzi, co raczej nie wróżyło dobrze zatrzymaniu w nim czegokolwiek.

- Z moją ręką jest lepiej! - Fjórir pokazał mi ją na dowód. Rana nadal wyglądała paskudnie, ale infekcja zniknęła i zaczął się proces gojenia. - Dzięki, Jal.

- Nie ma sprawy - wymamrotałem słabo. Pewnie rzeczywiście był niezniszczalny, dopóki w kolejce przed nim był Fimm. Liczyłem, że odwdzięczy mi się, osłaniając mnie tym niezniszczalnym sobą w odpowiednim momencie.

Słońce zaszło, a Snorri spędził ten czas, stojąc na dziobie i patrząc czarnymi oczyma na północ. Bez wątplenia wypatrywał brzegów Norsheimu. Siły mi nie wróciły. Jeśli już, to raczej osłabłem w ciągu nocy. Usiłowałem wepchnąć w siebie nieco chleba i wody, zwróciłem wszystko morzu, po czym zapadłem w twardy sen.

Twardy, dopóki nie zacząłem śnić o aniołach.

Stałem przed świtem na wzgórzu poza polami uprawnymi Vermillionu, spoglądając na Seleen wijącą się na zachód, ku morzu. Baraqel stał nade mną, na szczycie, niczym posąg na tle nieba, nieporuszony, dopóki pierwsze promienie słońca nie padły na jego barki.

- Wysłuchaj mnie, Jalandie Kendethcie, synu...

- Wiem, czym jestem synem.

Tym razem anioł był znacznie bardziej okazały niż podczas poprzednich wizyt. I przemawiał chyba bardziej swoim własnym głosem niż tym, którego mu przydałem, kiedy był jeszcze w dziewięciu częściach wytworem mojej wyobraźni.

- Wkrótce nadejdzie czas, kiedy będziesz musiał pamiętać, od kogo się wywodzisz. Płyniesz ku ziemiom sag, ku miejscu, gdzie potrzebni są bohaterowie, gdzie rodzą się bohaterowie. Będziesz potrzebował swej odwagi.

- Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby ojciec mógł mi w tym pomóc. Stary kardynał uciekałby, gdzie pieprz rośnie, jeśli na jego drodze stanąłby kozioł. W zasadzie nawet koziołek.

- W naturze dzieci leży omijanie wzrokiem przymiotów rodziców. Czas dorosnąć, Jalandie Kendethcie. - Zwrócił ku mnie twarz o złotych oczach, olśnioną

blaskiem świtu.

- A cóż takiego wspaniałego jest w odwadze? Skilfar miała rację. Jesteśmy, jacy jesteśmy, jedni sprytni, inni szczerzy, jeszcze inni podstępni albo odważni, i co z tego?

Baraquel rozprostował skrzydła.

- Twoja babka rozmawiała o tobie ze swoją siostrą. „Czy ma ducha? Czy posiada konieczną odwagę?” „Leniwy, płytki chłopak, chępliwy, ale pusty w środku” - tak cię określiła, Jaland. „Umysł stępiony lenistwem, zaślepiony błazenadą”, tak powiedziała. „Ale starczy naostrzyć, a nabierze wigoru. Gdybyśmy miały czas i możliwości, uformowałybyśmy go, ale nie mamy ani jednego, ani drugiego. Nasz cel zawęży się do punktu odległego o niewiele mil stąd, do sekundy odległej niewiele czasu od tej chwili, wtedy nadejdzie próba, która odwróci świat”. Tymi słowami cię opisała.

- Zdziwiłbym się, gdyby wiedziała w ogóle, który z jej wnuków to ja. I jestem bystry, kiedy trzeba. Odwaga to tylko pewien rodzaj ułomności. Pięcioraczkom brakuje tego, czego człowiek potrzebuje, żeby czuć strach. Snorri boi się zostać tchórzem. W pogańskich legendach jest taka o gadzie, Uroborosie, który pożera własny ogon. Strach przed tchórzostwem, czy to właśnie jest odwaga? Czy jestem odważny, bo nie obawiam się lękać? Jesteś ze światłości, światło odkrywa prawdę. Rzuć wystarczająco dużo światła na jakąkolwiek odwagę i powiedz, czy nie jest ona tylko bardziej złożoną formą tchórzostwa?

Stałem przez chwilę, przyciskając nasadę dłoni do czoła, szukając słów.

- Ludzi można podzielić na tchórzy i szaleńców. Moim osobistym dramatem jest to, że urodziłem się w świecie, gdzie zdrowy rozsądek jest uznawany za wadę. - Zamilkłem pod jego spojrzeniem.

- Inteligencja tworzy złożone formy samousprawiedliwień - powiedział potępiająco. - Ale kiedy przychodzi co do czego wiesz dobrze, co jest dobrem a co nie. Każdy człowiek to wie, choć niektórzy całymi latami zakopują tę wiedzę, grzebią ją pod słowami, nienawiścią, żądzą, żalem czy innymi cegiełkami, z których budują swe życie. Ty wiesz, co jest słuszne, Jaland. Kiedy nadejdzie ten czas, będziesz wiedział. Ale wiedza to za mało.

Powiedzieli mi, że większość tygodnia byłem półprzytomny. Spałem dwadzieścia dwie godziny na dobę, ledwie otwierałem oczy, kiedy Tuttugu karmił mnie ciepłym kleikiem - maż częściowo spływała mi do gardła, a częściowo po brodzie. Pięcioraczki musiały przytrzymywać mnie za każdym razem, kiedy natura wzywała mnie do wędrówki na burtę. Gdyby nie oni, wpadłbym w wodną otchłań i nigdy już się nie wynurzył. Przepłynęliśmy otwarte morze, a potem posuwaliśmy się wzdłuż brzegów Norsheim dzień za dniem, kierując się na północ.

- Obudź się. - Tego ranka była to jedyna instrukcja anioła.

Otworzyłem oczy. Szary świt, łopoczące żagle, krzyk mew. Baraquel zamilkł.

Anioł mówił prawdę. Zawsze wiedziałem, co jest słuszne. Nie zawsze tak jednak postępowalem.

- Jesteśmy już? - Czułem się lepiej. Prawie dobrze.
- Już niedaleko. - Tuttugu siedział nieopodal. Reszta kręciła się w półmroku po łodzi.

- Aha. - Zamknąwszy powieki starałem wyobrazić sobie suchy ląd i oszukać tym falę przedśniadaniowych mdłości.

- Snorri mówi, że umiesz leczyć - powiedział Tuttugu.

- Chryste Panie. Ta podróż mnie zabije. - Spróbowałem usiąść i spadłem z ławki. Nadal byłem słaby. - A myślałem, że zginę na lodach z rąk nienarodzonych potworów i szaleńców z toporami. Ale nie. Umrę na morzu.

- To lepiej - stwierdził Tuttugu i podał mi rękę. - Dobra, czysta śmierć.

Omiałem przyjąć jego pomocy. W ostatniej chwili cofnąłem rękę.

- O nie. Żadne takie. - Lada chwila nie będę mógł odepchnąć trędownatego, żeby go przy tym nie uleczyć. - Nie wyglądasz na rannego.

Tuttugu zanurzył palce w rudej brodzie i zaczął się drapać, mamrocząc coś pod nosem.

- Co proszę?

- Burdelowa wysypka - powiedział.

- Kurwią ospa? - Nie mogłem się nie uśmiechnąć. - Ha!

- Snorri powiedział...

- O nie, nie będę wsadzał tam rąk! Jestem księciem

Czerwonej Marchii, na litość boską! Nie jakimś balwierzo- znachorem!

Grubasowi zrzęda mina.

- Słuchaj - zacząłem świadom, że na lądzie przyda mi się każdy przyjaciel. - Może i nie wiem wiele o ranach, ale tak się składa, że o kurwiej ospie wiem więcej, niż mężczyzna wiedzieć powinien. Macie tu ziarna gorczycy?

- Możliwe. - Tuttugu zmarszczył brwi.

- Sól kamienną? Czarnej melasy? Kwas garbarski, terpentynę, cienki sznurek, dwie bardzo ostre igły, trochę imbiru...? To ostatnie nie jest konieczne, ale pomaga.

Powoli pokręcił przecząco głową.

- Nic to, zdobędziemy wszystko w porcie. Przygotuję ci specyfik według starej rodzinnej receptury. Potem tylko będziesz nanosił miksturę na zainfekowane rejony i w sześć dni będziesz jak nowy. Góra siedem.

Tuttugu rozpromienił się, co było miłe i łupnął mnie przyjaźnie pięścią, co było znacznie bardziej bolesne niż męskie trącenie w bark na południu. I było po wszystkim. Przynajmniej dopóki nie zmarszczył czoła i nie zapytał:

- A te igły to po co?

- Ach, mówiąc „nanosić” miałem na myśli „rozsmarować na czubku igły i

nakłuć”. Potrzeba więcej niż jednej igły. bo mikstura je koroduje.

- Aha. - Echo uśmiechu. - A sznurek, żeby się powiesić?
- Żeby zawiązać worek na... Słuchaj, wyjaśnię ci wszelkie krwawe detale jak zdobędziesz wszystkie potrzebne rzeczy.

- Łąd! - Jeden z pięcioraczków, który siedział na dziobie, dostarczył wygodnego bodźca do zmiany tematu.

Mój morski koszmar miał się ku końcowi.

Norsheim okrywała mgła. Pośród bieli ujrzałem jedynie przebliski mokrych czarnych urwisk i groźnie sterczących skał przybrzeżnych. Zbliżając się do brzegu, mijaliśmy łodzie nordyckie wiozące towary. Głównie były to jednostki o pękatych kadłubach ciągnące sieci czy z ładunkiem na pokładach, ale wszystkie zbudowano według zasad panujących na północy. Widzieliśmy także długie łodzie, kilkanaście stało na kotwicach, a jedna płynęła ku otwartemu morzu, ale była zbyt daleko, by rozpoznać banderę ponad czerwonymi żaglami.

Zbliżywszy się, ujrzeliśmy Trond, port wznoszący się na czarnym kamienistym brzegu i rozciągający się na łagodniejsze, niższe zbocza gór, których mokre stromizny wyrastały z morza. Myślałem, że Den Hagen było ponure i nieatrakcyjne, ale w porównaniu do Trondu port w Maladonie jawił się niczym raj, witający gości z rozłożonymi nogami. Ludzie północy budowali domy z łupka i bali, a kryli je strzechami. Wąskie okna, w zasadzie szpary, opierały się penetrującym palcom wiatru, który już w pierwszej chwili wyssał ze mnie całe ciepło. Rozpadało się, wiatr porywał krople deszczu, które wbijały mi się lodowymi kolcami, padając na policzki.

- To ma być lato? Po czym poznajecie?
- Cudowne lato! - Snorri rozłożył radośnie ramiona.
- Można poznać, bo w zimie nie ma muszek - wyjaśnił Arne. - A śnieg leży na sześć stóp.
- No i stąd można suchą nogą dojść do portu - dodał Snorri.
- Nie wiedziałem, że morze może zamarzać... - Odszedłem na bok, żeby przemyśleć tę kwestię i wychyliłem się pomiędzy dwiema tarczami, które ustawiono w ramach przygotowań do przybicia do brzegu. - Przynajmniej nie kiwałoby tak cały czas.

Ostatnie ćwierć mili pokonaliśmy na wiosłach, ze zrzucenymi żaglami. Mówię „my”, bo zapewniałem reszcie moralne wsparcie.

- Jak Sven Złamane Wiosło zdobył swój przydomek? - zapytałem, obserwując jak równo pochylają się na ławach.

- Pewnego dnia po raz pierwszy zasiadł na ławce długiej łodzi - zaczął pięcioraczek Ein.

- Miał może czternaście, piętnaście lat. - Pięcioraczek Tveir.

Prawdopodobnie.

- Machnął wiosłem tak mocno, że je złamał. - Pięcioraczek Thrir. Chyba.
- Nie znał swojej własnej siły, już wtedy. - Fjórir, rana jeszcze nie zagoiła się całkiem.

- Nigdy nie widziałem, by ktoś tak mocno ciągnął za wiosło. - Fimm.
Metodą eliminacji.

- Jest silniejszy od ciebie, Snorri? - Poczujęm zaniepokojenie.

Snorri odchylił się z wiosłem, utrzymując rytm.

- Któż to wie? - Kolejne pociągnięcie. - Złamane Wiosło nie zna własnej siły. - Zamach. - Ja jednak znam swoją. -I rzucił mi spojrzenie, w którym zderzały się lód i żar. Ulżyło mi, że nie jestem jego wrogiem.

W porcie miło zaskoczył mnie fakt, że na północy mieszkają nie tylko włochaci mężczyźni odziani w zwierzęce skóry. Zamieszkiwały ją również włochate kobiety odziane w skóry zwierząt. Oraz, żeby oddać sprawiedliwość, paru mieszczan w wełnianych płaszczach, tweedowych lub lnianych kaftanach i spodniach wiązanych od kostek po uda na modłę thurtańską.

Dobiliśmy do brzegu, na który wysiadłem chwiejnie, odzwyczajony od czegoś płaskiego i nieruchomego pod stopami. Miałem ochotę ucałować ziemię, ale tego nie zrobiłem. Ruszyłem naprzód, dźwigając plecak wyładowany ciasno zimowym ekwipunkiem. Wkrótce mój bagaż miał stać się jeszcze cięższy. Snorri znał dobrze port, więc poprowadził nas do tawerny, o której miał dobre zdanie.

Trond, w przeciwieństwie do wielu wsi i mniejszych miasteczek położonych wzdłuż brzegów fiordów, nie był lennem jakiegoś jarla, nad którym górował jego dom miodu i gdzie każdy przyjazd był odnotowany, opodatkowany i wymagał jego zezwolenia. W Trond rządził handel. Zewnętrzne bezpieczeństwo portu zależało od wielu dobrze opłaconych sojuszy, zaś wewnętrzne od milicji opłacanej w monetach Imperium przez grupę bogatych kupców, którzy sprawowali tu władzę. Ze względu na to port był idealnym miejscem do lądowania i uzupełnienia zapasów. Snorri planował dostać się do Uulisk lądem. Droga ta trwała dwa dni i wiodła przez górzysty teren. Wpłynięcie w zatokę snekkją z niepełną załogą pozbawiłoby naszą małą grupkę wszelkiej przewagi czyli zwinności, szybkości i elementu zaskoczenia. Plan wydawał się rozsądny, biorąc pod uwagę, że zamierzaliśmy pognać na złamanie karku prosto w tarapaty, a Snorri nawet twierdził, że pomogłem go stworzyć w chwilach większej przytomności podczas morskiej podróży, choć zupełnie tego nie pamiętałem.

Kiedy zbliżaliśmy się do portu, zauważyłem w oddali chmury burzowe, podświetlane od wewnątrz błyskawicami, jakby siedział w nich sam Thor. Gdzieś tam, na północy, poza górami, w Czarnej Warowni, czekał na nas Sven Złamane Wiosło, a jeszcze dalej, na Srogich Lodach, zamarzniete trupy, nekromanci i nienarodzeni. Moje szanse na ucieczkę skurczyły się do zera, a nasza długa podróż

wreszcie zbliżała się do najprawdopodobniej szybkiego, brutalnego końca.

Nad wejściem do tawerny, do której zaprowadził nas Snorri, przytwierdzono trzy zardzewiały topory. Wiking posadził mnie przy stole, kazał włożyć na ruszt kawał świniaka i przyniósł morze piwa, twierdząc, że jedno i drugie jest wspaniałym lekiem dla kogoś osłabionego.

Resztę klienteli stanowili twardziele, ale żaden z nich na oko nie szukał kłopotów. Kiedy spędza się w podłych norach wiele czasu, wyrabia się w takich sprawach intuicję. Fakt, że było ze mną ośmiu wojowników undoreckich też nie uszedł niczyjej uwadze.

- Spotkamy się tu o zmierzchu. - Snorri pociągnął nosem z wyraźnym żalem. Zapach pieczonego mięsiwa dominował nad zwyczajowym dla karczm smrodem dymu, potu i piwa. Z ciężkim westchnieniem powiódł towarzyszy do miasta. Tuttugu zabrał ze sobą spis składników na moją miksturę. Uznałem, że ludzie Jarla Torsteffa uciekli z jakimiś łupami, które zdobyli w wyprawach, bo tym razem Snorri nie prosił mnie o pieniądze, choć planował kupić ekwipunek i prowiant dla dziewięciu ludzi. Na wszelki wypadek poklepałem medalion.

Kiedy Wikingowie opuścili lokal, w drzwiach pojawił się szczupły południowiec okryty spłowiałą peleryną błazeńską. Pod pachą niósł mandolinę. Usadowił się przy palenisku i podniósł rękę, żeby zamówić piwo. Zaraz następny mężczyzna otworzył drzwi, opuścił nieco kaptur, po czym zmienił zdanie i wyszedł. Albo nie lubił muzyki, albo uznał miejsce za zbyt zatłoczone. W postaci też coś wydało mi się znajome, ale że właśnie podano mi posiłek, pełną uwagę poświęciłem swojemu znękanemu żołądkowi.

- Proszę, kochaneczku. - Dziarska blondyna postawiła przede mną talerz z pieczoną wieprzowiną, pajdę chleba, dzbanek parującego sosu i kufel piwa.

- Smacznego. - Obserwując, jak się oddala, znów poczułem się, jakbym miał dwadzieścia dwa, a nie dziewięćdziesiąt dwa lata. Dobre jedzenie, piwo i podłoga, która była na tyle uprzejma, by pozostawać nieruchomo pod moimi nogami... Świat zaczynał wyglądać pięknie. Teraz potrzebowałem tylko sensownej wymówki, która pozwoliłaby mi zostać w Trond, dopóki nie skończą się te nieprzyjemności na północy, a potem na całą tę sprawę mógłbym patrzeć jak na nieudane wakacje.

Zauważyłem blondynkę spoglądającą na mnie spoza swojego towarzysza. Młoda i nawet piękna, jeśli umiało się okiem wyłuskać jej urodę spod warstw samodziału i brudu. Inna, o bladej cerze i białych włosach, zerknęła na mnie ukradkowo ponad siedzącym obok niej starszym mężczyzną. Żadna z kobiet nie miała nastroju zawodowej towarzyszki, nawet biorąc pod uwagę chłód lata. Wyglądało na to, że w Trond normalną sprawą było zabieranie do tawern sióstr czy córek. Jeszcze inna kobieta weszła właśnie do karczmy, masywna, groźna, przepchnęła się do baru i zażądała głośno ciemnego piwa. Zadumałem się,

przeżuwać mięso. Na północy najwyraźniej sprawy miały się inaczej. Ale nawet mi to pasowało. Choć krzywo patrzyłem na plany obejścia łańcucha sukcesji, jakie snuły kuzynka Serah i babka, to generalnie byłem za tym, żeby wszystkie kobiety miały więcej swobody. Te, które miały jej najwięcej zwykle wykorzystywały ją, dobrze się bawiąc. Trudno przecież roztaczać uroki, kiedy na drodze do szczęścia stoi jakaś przyzwoitka albo kłopotliwy brat, jak Alain DeVeer.

Przez chwilę siedziałem, wsłuchując się w gwar rozmów. Wielu mieszkańców posługiwało się Mową Imperium. Arne powiedział, że to powszechne w większych miastach portowych. Ale można wędrować tygodniami brzegiem od wioski do wioski i nie słyszeć słowa wypowiedzianego w innym języku niż rodzimy.

Bard zaczął pobrzękiwać strunami, puszczając parę nut w tłum. Otarłem tłuszcz z ust i łyknąłem piwa. Starsza blondynka patrzyła na mnie, więc uraczyłem ją uśmiechem Jalana, tym, którym bohater Przełęcz Aralskiej obdarza gawieź. Mężczyzna siedzący obok niej nie wydawał się zainteresowany naszą wymianą uprzejmości. Średniej budowy, miał obwisłe wąsiska i rozbiegany wzrok. Ale ponieważ nawet zwykły chłop może wsadzić ci nóż pod żebra, więc powściągnąłem zapędy, żeby podejść tam i się przedstawić. Zamiast tego postanowiłem zaprezentować swoje zalety szerszej publice i zaczekać, aż pszczoły same zlecą się do miodu.

- Znasz „Czerwoną Marchię”? - zawołałem do mandolinisty. Większość bardów ją zna, a ten wyglądał na dalekobieżnego wędrowca.

W ramach odpowiedzi trącił struny, z których stoczyły się pierwsze takty melodii. Wstałem, skłoniłem się kobietom i podszedłem do paleniska.

- Książę Jalan z Czerwonej Marchii, do usług. Przybyłem tu w gościnę i jestem zachwycony, że znalazłem się wśród tak zacnych wojowników i nadobnych dziewczyc. - Skinąłem na mojego nowego przyjaciela, który zaczął grać. Posiadam przyzwoity baryton, a księżęta Czerwonej Marchii szkolą się we wszystkich sztukach - deklamacji, tańcu i śpiewie. Głównie poznajemy sztukę wojny, ale nie zaniedbujemy malarstwa czy poezji. Do tego „Czerwona Marchia” jest pieśnią żołnierską, wybaczącą wykonawcom pewne niedobory i zachęcającą widzów do włączenia się w śpiewanie, a więc stanowi idealny przełamywacz lodów. Nawet zamrożone morza północy nie mogłyby oprzeć się mojemu urokowi! Uniosłem kufel i zaśpiewałem pełną piersią z trubadurem, który wypełniał przerwy swoim aksamitnym głosem.

Trzeba przyznać ludziom północy, że uwielbiają śpiewać. Zanim skończyłem pieśń czy piwo, prawie wszyscy w tawernie ryczeli „Czerwoną Marchię”, przy czym nieznamość tekstu nie stanowiła żadnej przeszkody. Co najlepsze, moja piękna blondynka odkleiła się od Obwisłych Wąsów i stanęła u mego boku. Kiedy podchodziła, widać było wyraźnie, że bogowie Asgardu

obdarzyli ją łaskami w odpowiednich miejscach. Bładolica sierota także porzuciła ojca i przyłączyła się do mnie z drugiej strony.

- Wiec jesteś księciem? - Pytanie padło zaraz, jak zamilkły ostatnie wersy pieśni. Blond piękność, z minuty na minutę atrakcyjniejsza, pochyliła się ku mnie. - Jestem Astrid.

- A ja Edda. - Przedstawiła się ta druga, o jasnej cerze, pięknych rysach i włosach jak mleko. - Kim był ten wojownik, który przyszedł tu z tobą, ten wielki?

Zrobiłem co w mojej mocy, by nie okazać irytacji.

- Nie warto się nim przejmować, Eddo. Jest wysoki, owszem, ale kobiety twierdzą, że inne jego gabaryty rozczarowują. Całe rośnięcie włożył we wzrost i nie starczyło mu już na inne, bardziej istotne szczegóły. Przykre to. Jego matka i ojciec... a raczej brat i siostra...

- Nie? Naprawdę? - Jej usta ułożyły się w kółeczko.

- Tak, tak. - Smutno pokręciłem głową. - A wiesz jak to jest z takimi dziećmi. Nigdy nie dorastają normalne. Zajmuję się nim, jak umiem najlepiej.

- To takie szlachetne z twojej strony - zamruczała Astrid, odciągając moją uwagę od Eddy.

- Moja pani, moralnym obowiązkiem szlachty jest...

Ktoś wpadł z hukiem do karczmy, przerywając mi w pół słowa.

- Brandy, jeśli można!

Zrobił się ruch i tłum rozstał się przed młodym mężczyzną. Był odrobinę wyższy ode mnie, odrobinę starszy i szedł do baru, trzymając się za rękę, z której kapłała krew.

- Och! Co się stało?! - Edda złapała się za gors.

- To tylko pies. - Koleś miał złote włosy, nie tak białe jak ona i był przystojny. - Ale dziecku nic się nie stało.

- Dziecku? - wykrzyknęła Astrid po matczynemu. Piękniś dotarł do baru, a jakiś włochaty wojownik dał znak, że stawia mu kolejkę.

- Kundel wyrwał niemowlę matce - wyjaśniał blondas. Ktoś podał mu kawałek płótna, którym owinął sobie rękę.

- Daj, pomogę! - I Edda opuściła miejsce u mego boku, a zaraz za nią Astrid.

- Cóż, pobiegłem za nim. Kundel nie chciał puścić zdobyczy, więc szarpaliśmy się, ale w efekcie dostało mi się dziecko i to. - Uniósł zabandażowaną rękę.

- Czy to nie wspaniałe, księżę Jalenie? - Edda spojrzała na mnie przez ramię. Z daleka wyglądała jeszcze bardziej kusząco.

- Uhm, wspaniałe. - Wymamrotałem.

- Księżę? - Chłoptaś skłonił się. - Jestem zaszczycony.

Jestem przystojny, żeby nie było. Nie ma co do tego wątpliwości. Mam gęste

włosy, szczerzy uśmiech, regularne rysy, ale ten intruz był jak żywcem wyjęty z ornamentu sagowego, wyczelowany do perfekcji. Znienawidziłem go od pierwszej chwili z niebywałą i niesłabnącą pasją.

- Ty zaś jesteś...? - Odrobina pogardy, tyle, żeby wyostrzyć ton, ale nie wyjść na tego złego.

- Hakon z Maladonu. Książę Alaric jest moim wujem. Może go znasz? Moje długie łodzie to te o zielonych żaglach. - Wypił swoje brandy. - O, mandolina! - Dostrzegł barda. - Mogę? - Hakon wziął instrument, trącił struny zranioną dłonią, a z mandoliny popłynęła muzyka niczym płynne złoto. - Lepiej idzie mi z harfą, ale parę razy grałem i na tym.

- Ach, zaśpiewasz dla nas? - zagruchała Astrid, przyciskając do niego swe asgardzkie dary.

I to by było na tyle. Powlokłem się z powrotem do mojego stolika, a tymczasem złoty chłopiec czarował tawernę wspaniałym, głębokim tenorem, wyśpiewując ulubione pieśni klienteli. Żułem moją letnią wieprzowinę, z trudem łykając kęsy, a moje piwo nagle zrobiło się bardziej kwaśne niż słone. Łypałem spod przymrużonych powiek na Hakona, oblepionego Eddą, Astrid i innymi dziewczynami, które wyciągnął z cieni swoim tanim przedstawieniem.

Wreszcie nie mogąc już tego zdzierżyć, wstałem, żeby iść się wysikać. Kiedy rzuciłem Hakonowi ostatnie pełne urazy spojrzenie, spostrzegłem, że wyplątuje się z Astrid, żeby pójść za mną. Udałem, że tego nie widzę. Na wietrznym podwóreczku, zamiast ruszyć od razu w stronę latryny, zostawiłem uchylone drzwi i przystanąłem, nasłuchując jego kroków.

Poryw wiatru podsunął mi pewne wspomnienia, a wraz z nimi pomysł, który wykorzystałem raz czy dwa jeszcze w domu. Słyszając, że łapie za kłamkę, kopnąłem z całej siły w skrzydło, zamykając drzwi. Moją nagrodą był głośny plaskot i przekleństwo. Policzyłem do trzech i szarpnąłem za drzwi.

- Do licha! Nic ci nie jest? - Leżał po drugiej stronie, trzymając się za nos. - Wiatr musiał je pchnąć. Co za pech.

- ...w porządku. - Trzymał się za twarz obiema rękami, chorą miał na wierzchu.

Pochyliłem się nad nim.

- Lepiej zobaczę. - Chwyciłem za chorą dłoń i natychmiast poczułem znane ciepło. Wraz z nim przyszła mi do głowy pewna myśl, tyleż podła, co przyjemna. Złapałem go mocniej za ugryzioną rękę. Dzień wokół mnie pociemniał.

- A! Co u... - Hakon wyrwał mi się.

- Nic ci nie będzie. - Podciągnąłem go na nogi. Dobrze, że współpracował, bo sam ledwie się na swoich trzymałem.

- Ale co...?

- Jesteś trochę oszołomiony. - Pokierowałem go z powrotem na salę. -

Uderzyły cię drzwi.

Natychmiast dopadły go Astrid i Edda, ja zaś odstąpiłem, oddając im ich ofiarę. Odchodząc, przypadkiem zahaczyłem o koniec zakrwawionego opatrunku i pociągnąłem.

- Co...? - Hakon uniósł odwiniełą rękę.

- Ile to dzieci uratowałeś? - zapytałem przez ramię, wracając do stolika.

Nie za głośno, ale wystarczająco wyraźnie, żeby zostać usłyszanym.

- Nie ma tam żadnego ugryzienia! - wykrzyknęła Astrid.

- Nawet zadrapania! - Edda odsunęła się od Hakona, jakby jego kłamstwo mogło zarażać.

- Ale... - Hakon gapił się na rękę zdumiony, unosząc ją jeszcze wyżej i obracając.

- Niech sam sobie płaci za swoją brandy! - krzyknął wojownik przy barze.

- Oszust! - potężna baba huknęła kuflem o blat.

- Żaden z niego krewniak Alarica! - Okrzyki powoli nabierały gniewnych tonów.

- Pewnie nie wyrzekł słowa prawdy, odkąd tu wszedł.

- Kłamca!

- Złodziej!

- Damski bokser! - To ostatnie dorzuciłem ja.

Tłum otoczył biednego Hakona, krzyki wzmogły się, w ruch poszły pięści.

Jakoś udało mu się wydostać spośród nich i na wpół biegnąc, dopadł drzwi, przez które wypadł na zewnątrz z wydatną pomocą klientów tawerny. Wylądował w błocie, poślizgnął się, upadł, pozbierał się i czmychnął. Drzwi zamknęły się za nim z hukiem.

Rozparłem się na krześle i włożyłem do ust ostatni kawałek pieczeni. Smakował niebiańsko. Nie powiem, żebym był dumny z wykorzystania anielskiej mocy uleczenia do pogwałcenia człowieka tylko dlatego, że był ode mnie wyższy, przystojniejszy i bardziej utalentowany, ale jakoś nie czułem się też z tym źle. Potoczyłem wzrokiem po tłumku, zastanawiając się, którą z dziewcząt wziąć na haczyk.

- Ty, chłopcze. - Krępy rudzielec przesłonił mi widok na Astrid.

- Jestem...

- Mam gdzieś, kim jesteś. Siedzisz na moim miejscu. - Mężczyzna miał tę zaczepną, czerwoną twarz, którą ma się ochotę spoliczkować. Miał na sobie opięte spodnie z grubej skóry, nabijane czarnymi ćwiekami, a przy boku nóż i toporek.

Podniosłem się, nie bez wysiłku, bo uleczenie ugryzienia Hakona sporo mnie kosztowało. Górowałem nad nieznanym, co jest niefortunne, gdy zamierza się wykręcić z bijatyki. Tak czy owak wstanie jest niezbędną częścią procesu, kiedy chce się ustąpić komuś miejsca. Nie zamierzałem bowiem dać się posiekać za taką

bdzurę. Mimo to i tak nadałem policzki, żeby odpyskować - nie wolno okazywać słabości, bo można zginąć.

- Człowiek mojego statusu nie przepływa morza, by wziąć udział w knajpianej burdzie. Mam gdzieś na czyim miejscu siedzę. - Czułem ciężar miecza i przeklinałem Snorriego, że kazał mi zabrać to żelastwo. Łatwiej wycofać się z takiej konfrontacji, kiedy można powiedzieć, że zostawiło się broń w domu.

- Ty smoluchu. - Intruz otaksował mnie drwiącym spojrzeniem. - Mam nadzieję, że nie ubrudziłeś mi krzesła. - Udał, że przygląda się stołkowi. - O, a ta plama zejdzie, jak zaczniesz szorować?

Po prawdzie obaj byliśmy tak samo brudni. Smugi pokrywały jego twarz koloru rybiego brzucha, tak jasną, że prześwitywały przez nią niebieskie żyłki, tak jak i moją oliwkową cerę właściwą dumnym mieszkańcom Czerwonej Marchii, w moim przypadku nawet ton ciemniejszą, bo choć dawno nie widziała słońca, to karnację odziedziczyłem po matce urodzonej w Hindiach.

- Twoje krzesło - odsunąłem się, wskazując siedzisko, ale nie spuszczałem oka z przeciwnika, a każdy mój mięsień był napięty, gotowy do akcji.

W tawernie zapadła cisza, wywołana wyczekiwaniem bijatyki, czyli rozrywki.

Czasami pewnych rzeczy nie da się uniknąć - no chyba że jest się prawdziwym zawodowcem. W takich chwilach większość ludzi nie myśli o ucieczce.

- Jest brudne! - Wiking wskazał na krzesło, które czystością nie odstawało od innych. - Klękaj i szoruj! Ale już! -Z ulicy weszło jeszcze więcej ludzi, choć mój przeciwnik z pewnością nie potrzebował wsparcia.

- Z pewnością znajdziemy dla ciebie czystsze miejsce. -Nadałem się, udając że wziąłem jego słowa za żart i licząc, że różnica wzrostu go zniechęci.

Jednakże tak jak tchórze potrafią wyczuć kłopoty, tak samo twardziele mają nosy wyczulone na strach. Jakieś drobne oznaki w moim zachowaniu powiedziały mu, że nie stanowią dla niego zagrożenia. - Powiedziałem szoruj, cudzoziemcu! - Zamachnął się na mnie pięścią.

Snorri, który pojawił się za jego plecami, złapał go za rękę, złamał ją i cisnął delikwenta w kąt.

- Nie mamy czasu na zabawę, Jal. Zmierza tu załoga trzech łodzi maladonskich. Mówili coś, że jakiś panicz Hakon został wrobiony... Tak czy owak lepiej się stąd wynośmy, nie chcemy się mieszać w nie swoje sprawy.

Z tymi słowami popchnął mnie ku tylnemu wyjściu. Arne, Tuttugu i pięcioraczki deptali nam po piętach.

- Rozłożymy obóz na wzgórzach - oświadczył Snorri, otwierając furtkę w ogrodzeniu tawerny.

I tak oto zimny wichur rozwiął moje nadzieje na ciepłe łóżko i jeszcze

cieplejsze towarzystwo w nim.

Wlokłem się w ogonie, zgięty pod ciężarem plecaka. Miałem wrażenie, że Snorri uznał za rzecz istotną, by każdy z nas zaniósł na Srogie Lody po kilka głązów. Tuttugu mozolił się obok, dysząc ciężko i stawiając niezborne kroki.

- Rozumiem, że „naniósłeś” miksturę?

Potaknął, maszerując krokiem człowieka, który nie zdążył na czas do latryny.

- Mocno piecze.

- To przez gorczycę. - Po zastanowieniu wydało mi się, że w recepturze było ziarno kopru, nie gorzycy, ale postanowiłem mu o tym nie wspominać.

Poprawiłem plecak, osiągając zdecydowanie mniej wygodny rezultat.

- To co, nie możesz się pewnie doczekać unurzania topora we krwi wrogów? - Chciałem lepiej poznać sposób myślenia Wikingów. Jedyne moja szansa na ucieczkę leżała w zrozumieniu, co napędza tych ludzi.

- Szczerze? - Tuttugu zerknął na resztę grupy. Najbliżej nas szło dwóch pięcioraczków, byli jakieś dwadzieścia jardów wyżej.

- Spróbujmy szczerości, a jeśli okaże się zbyt bolesna, przejdziemy do kłamstw.

- Szczerze to... Wolałbym zostać w Trond i zajadać się wątróbką z cebulką. Mógłbym tam osiąść, zacząć łowić, znaleźć sobie żonę.

- A co z nurzaniem topora?

- Boję się jak diabli. Przed ucieczką z pola bitwy powstrzymuje mnie tylko to, że reszta umie biegać szybciej, więc oberwałbym w plecy. Mam szansę tylko wtedy, kiedy stoję z wrogiem oko w oko. Ale jeśli bogowie daliby mi dłuższe nogi... cóż, skorzystałbym z nich.

- Hm... - Poprawiłem plecak, który zaczął uwierać mnie jeszcze bardziej. Od ciężaru bolały mnie już płuca.

- To dlaczego wspinasz się na tę górę?

Tuttugu wzruszył ramionami.

- Nie jestem odważny, jak ty. Ale co mi pozostało? To moi ludzie. Nie mogę ich opuścić. A jeśli Undorethów naprawdę wyrżnięto... Ktoś musi za to

zapłacić. Nawet jeśli nie chcę być tym, który odbiera tę zapłatę, to ktoś musi zapłacić.

Wspinaczka dodała mi nowych sił do szukania sposobu, aby nie iść na północ. Zacisnąwszy zęby, odgrzebałem pokłady wysiłku koniecznego do zrównania się ze Snorrim, który szedł na przedzie.

- Ten twój Sven Złamane Wiosło to jakiś dowódca, ktoś ważny wśród swoich?

- Ma pewną pozycję. Pochodzi z klanu Hardassów. Ma popleczników, ale nie rządzi w Hardangerze. Bardziej się go boją, niż kochają. Ma coś w sobie. Kiedy się na czymś skupi, trudno mu się oprzeć. Porywa ludzi swoją energią, ale kiedy tylko się odwróci, wielu przypomina sobie, dlaczego go nienawidzi.

- No dobrze. - Przerwałem, żeby złapać oddech. - Ale nawet jeśli. Przecież nie będzie całymi latami tkwił w tej małej twierdzy na granicy pustyni lodowej? Nie ktoś taki jak on, prawda? Nie oczekujesz chyba, że nadal jest w tym samym miejscu, gdzie go zostawiłeś?

- Nie zawinęliśmy do Trond tylko po to, by nakupić futer. - Snorri obejrzał się na maruderów. Jednego marudera, Tuttugu. - Nie ma na północy lepszego miejsca, by zebrać wieści niż port Trond. Wieści przyplływają na łodziach. Sven Złamane Wiosło plądruje brzegi. Waylanderowie, klany Crassisów z fiordu Otins, Lodowi Jarlowie z fiordu Myanar i Hørost z Szarego Brzegu, wszyscy oni zostali napadnięci i mocno ucierpieli. Wzięto wielu jeńców, wielu zabito. Ostatnio widziano Złamane Wiosło w Uulisk. Tam nie ma już nic poza drogą do twierdzy. Chce się tam zadekować na zimę. Lody skuja całą daleką północ i pogrążą ją w długiej nocy. Wszyscy się chowają, żeby przetrwać i czekają wiosny. Złamane Wiosło uważa, że będzie bezpieczny w Czarnej Warowni. Ale musi się jeszcze wiele nauczyć. A my damy mu lekcję.

Nie znalazłem innego argumentu poza tym, że jestem jeszcze gorszym nauczycielem niż uczniem, a uczniem byłem naprawdę kiepskim.

Wspinaliśmy się mozolnie mila za milą na bezlitosne zbocza poprzecinane skalnymi półkami, wznoszącymi się od morza po ogrom niebios. Znużenie wyzwalalo we mnie mroczne myśli. Narzekałem na ciężar bagażu, aż nie stało mi sił nawet na narzekanie. Kilka razy już miałem porzucić miecz, byle tylko sobie ulżyć. Wreszcie zapadłem w coś w rodzaju otępienia. Parłem ślepo naprzód, odtwarzając przed oczyma wyobraźni wspomnienia z popołudnia w Trond, szczególnie sceny z Astrid i Eddą. I naraz coś sobie uświadomiłem. Ten człowiek, który wszedł i zsunął kaptur, a potem wyszedł... Pas kruczoczarnych włosów pomiędzy siwiejącymi bokami.

- Edris! - Aż przystanąłem. - Snorri! Ten popapraniec Edris Dean był w mieście! W Trond!

Snorri obrócił się, unosząc rękę, by zatrzymać pozostałych.

- Też go widziałem - zawołał. - Z tuzinem ludzi z Hardangeru. To jeden z powodów, dla których tak szybko opuściliśmy miasto. W Trond przebywa wielu Czerwonych Wikingów.

Zaczekali, aż ja i Tuttugu dołączymy do reszty.

- Tu przenocujemy - rzekł Snorri. - Wystawimy warty, na wypadek, gdyby ktoś szedł za nami.

Nocowanie w górach to mordęga, ale muszę przyznać, że mniejsza, kiedy śpi się w śpiworze z grubych futer i pod daszkiem z płótna i skóry, który osłania przed najgorszymi porywami wiatru. Snorri i reszta dobrze wydali pieniądze w Trond, dzięki temu noc minęła całkiem znośnie.

Rankiem posililiśmy się czarnym chlebem, zimnym kurczakiem, jabłkami i innymi łatwo psującymi się delicjami nabytymi w porcie. Już niedługo nasza dieta miała ograniczyć się do sucharów i suszonego mięsa, ale na razie mogliśmy uctować jak królowie. W każdym razie ubodzy królowie, którzy utknęli na stoku góry.

- Co u licha Edris robi w Trond? - zadałem wreszcie pytanie, na które wczoraj byłem zbyt zmęczony.

- Stwór, za którym podążamy, który nas za sobą ciągnie, rzuca nam pod nogi kłody. - Snorri pożarł kawałek chleba, jakby opychał się mięsem odrywającym z kości. - Za tym wszystkim stoi Martwy Król, a on zbiera popleczników, wśród nieżywych, ale i wśród żywych. Przyciąga do siebie ludzi szczególnego pokroju. Takich jak Złamane Wiosło czy Edris.

- Teraz i Edris ruszy za nami w pościg? - Miałem nadzieję, że nie. Ten człowiek mnie przerażał i to bardziej niż kłopoty ogólnie. Czułem, że coś z nim jest nie tak i gryzło mnie to. Miał w sobie to coś, co i Maeres Allus. Emanował nieuchwytną groźbą, taką, o której wiesz, że jeśli się objawi będzie dużo gorsza niż cokolwiek, do czego zdolny byłby zwykły okrutnik.

- Raczej będzie chciał nas wyprzedzić. - Snorri przełknął ostatni kęs i wstał, po czym przeciągał się, póki nie strzeliły mu kości. - Pójdzie do Czarnej Warowni, a może nawet wprost do miejsca, gdzie kopią. Jeśli zdoła ich ostrzec, marne nasze szanse.

Według mnie tak czy owak nie mieliśmy żadnych szans. Zachowałem jednak tę opinię dla siebie. Liczyłem na to, że jeśli Edris zdoła ich ostrzec, może inni uznają sprawę za przegraną i porzucą wysiłki.

- No tak, ale... - też się podniosłem i zarzuciłem plecak na ramiona - wyjaśnij mi, czemu potwór z Czerwonej Marchii miałby pokonywać tysiące mil, żeby dotrzeć do jakiejś dziury w lodzie w zapomnianej przez Boga krainie?

- Nie wiem wszystkiego, Jal. Sageous mówił o tym niewiele, a możliwe, że w ogóle kłamał. Skilfar miała do powiedzenia więcej...

- Co? Kiedy? - Niczego takiego sobie nie przypominałem.

- Jak to? Nie przemawiała do ciebie? - zdziwił się Snorri.
- Oczywiście, że przemawiała. Sam słyszałeś. Bredziła coś o moim prawuju Garyusie i że dają się wodzić kuście. Koszmarna starucha, kompletnie szalona.

- Ale... Bez słów. - Zasepił się. - Do mnie przemawiała w głowie, przez cały czas.

- Hmm. - Nie byłem pewien, na ile mogę wierzyć słowom, które zostały wypowiedziane w głowie Snorriego ver Snagasona. Panował tam spory tłok, a kto wie, iloma głosami może mówić Aslaug? Możliwe też, że to Baraqel był odpowiedzialny za to, że nie słyszałem Skilfar. Ciekaw byłem tylko, czy zagłuszając wiedźmę, działał w moim interesie czy też nie. - Przypomnij mi.

- Nienarodzonych ciężko przyzwać na ziemię. Bardzo ciężko. Jedynie kilku pokonało granicę, przy odpowiednich okolicznościach, w odpowiednim czasie, miejscu i kolejności wszystkich warunków.

- To wiedzą wszyscy. - Oprócz mnie.

- Dlatego są rozrzućeni po świecie.

- No tak.

- Ale działania Martwego Króla na Srogich Lodach, Prace, które wykonują dla niego służą... To coś przyciąga nienarodzonych, tak że ściągają z każdego zakątka ziemi. W to jedno miejsce. Może twój znajomy z opery, kiedy okazało się, że wiedźma go namierzyła, ucielkł, po czym porzucił misję, jaka przywiodła go w tamto miejsce i ruszył na północ na spotkanie z innymi. A może miał tu przybyć od samego początku po zakończeniu swoich spraw w Vermillionie.

- Aha. - Cholera! - Ale twoja żona jest w Czarnej Warowni, prawda? A nienarodzeni na Srogich Lodach, tak? Więc wcale nie musimy się z nimi spotykać... tak?

Snorri nie odpowiedział od razu. Ruszył przed siebie.

- Tak? - zawołałem do jego pleców.

- Zmierzamy do Czarnej Warowali.

Usiłowałem przypomnieć sobie opowieść Snorriego z tawerny w Den Hagen. Złamane Wiosło powiedział, że jego syn jest bezpieczny. I tyle. Poza tym wciągnął Snorriego w zasadzkę, gdzie ten oberwał maczugą w potylicę. Wokół Wikingowie zakładali plecaki i ruszali w górę. A ja już czułem delikatne szarpnięcie kłatwy wiążącej mnie z ich przywódcą, więzi, która rozciągała się coraz bardziej po zboczu.

- Niech to szlag. - Podążyłem za Snorrim.

Prawdziwa północ okazała się taka, jaką Snorri opisywał z doświadczenia i taka, jak ją sobie wyobrażałem w swej ignorancji. Na początku stok wznoszący się w górę, a potem już tylko zbocza w dół i w górę, jakby gdzieś się spieszyły. Powietrze było rzadkie, zimne i latały w nim chmary owadziach krwio pijców.

Trzeba było nabierać tchu przez zaciśnięte zęby, żeby nie wlatywały do gardła. Ale na pewnej wysokości owady nie mogły przeżyć.

Większość terenu była skalista, a powyżej pewnej granicy skałę przykrywały łąchy pozimowego śniegu. Ze szczytów widać było tylko góry, góry a dalej góry i pomiędzy nimi czasem jezioro czy lasek. Wziąłem sobie do serca radę Tuttugu i obwiązałem buty króliczymi futerkami i skórkami foczymi. To plus ciepłe wełniane skarpety zapobiegało odmrożeniu palców u stóp. Gorzej mogło być na Wyżynach Jarlsona, gdzie szalały uzbrojone w ostrza wichry.

Zatrzymaliśmy się w osłoniętym miejscu na grani, gdzie Snorri przedyskutował z Arnem dalszą trasę.

- Ein, tak? - Zdradzała go blizna koło oka.

- Tak. - Pięcioraczek o przypuszczalnie najdłuższej przyszłości wyszczerzył się do mnie w uśmiechu.

- Jak to jest, że dowodzi nami Snorri? - zapytałem. - Przecież jesteś następcą Jarla Torsteffa, prawda? - Nie zamierzałem podkopywać autorytetu Snorriego, chyba żeby się okazało, że Ein może kazać mu porzucić plany wyprawy, co wydawało się mało prawdopodobne. Jednak jako księcia intrygowała mnie ta dziwna sytuacja, w której człowiek posiadający parę akrów skalistego zbocza rozkazuje arystokracji z północy.

- Mam jeszcze siedmiu starszych braci. Dwie pary trojaczków i najstarszego, Agara, który dziedziczy po ojcu. Choć możliwe, że wszyscy oni już nie żyją. - Wydał wargi, jakby sprawdzał posmak tej myśli. - A Snorri jest wielkim wojownikiem, obrońcą Undorethów. Jego wyczyny bitewne opiewają pieśni. Jeśli Einhaur i domy mojego ojca spłonęły, to jestem władcą popiołów. Lepiej, żeby prowadził nas człowiek, który naprawdę zna się na walce.

Przytaknąłem, choć według mnie Snorri prowadził nas ku gorzkiemu końcowi. Tak czy siak nie podobało mi się takie beztroskie pomijanie należnych godności. Może tu w głębokich śniegach jarlom to nie przeszkadzało, ale na ciepłym południu księżę Czerwonej Marchii zawsze byłby księciem, bez względu na okoliczności. Ta myśl podniosła mnie na duchu na równi z faktem, że świt mieliśmy za sobą, a więc Baraqel nie mógł psuć mi nastroju swoimi opiniami w kwestii książąt.

Dzień miał się ku końcowi, kiedy dotarliśmy do jednego z cudów stworzonych przez Budowniczych. Pomiedzy szczytami wznosiła się tama przegradzająca dolinę, wyższa od każdej wieży, szeroka na górze na tyle, że mogły nią jechać cztery wozy jeden przy drugim a u dołu jeszcze szersza. Niegdyś za tą konstrukcją musiało znajdować się wielkie jezioro, aczkolwiek nie potrafiłem sobie wyobrazić, w jakim celu ktoś miałby budować coś podobnego.

- Stać! - Potrzebowałem oddechu, a ruiny stanowiły świetną wymówkę.

Snorri zszedł niezadowolony, ale zezwolił na postój, bym mógł zaspokoić

swoją arystokratyczną ciekawość. Zaspakajałem ją w pozycji siedzącej, wodząc wzrokiem po zboczach doliny. W litej skale pod tamą biegły ogromne tunele, którymi z pewnością regulowano przepływ wody. Całość została zbudowana w skali przystającej do gór, a każdy fragment konstrukcji był tak ogromny, że ludzie wyglądali przy nim jak mrówki. Nawet tunele były tak wielkie, że pomieściłyby kilka słoni, a jeźdźcy nie sięgaliby sklepienia. W takim miejscu z łatwością przychodziło dać wiarę nordyckim legendom o lodowych olbrzymach, które ukształtowały świat, nie bacząc na ludzi.

Przeniosłem się bliżej Tuttugu. Obaj zapatrzyliśmy się na dolinę, przeżuwając jabłka wyłowione przez Wikinga z plecaka. Owoce były nieco pomarszczone, ale nadal słodkie i pachnące latem.

- Każde imię Wikinga coś znaczy, prawda? Snorri to „atak”, Arne „orzeł”, pięcioraczki mają swoje od liczb... -Zawiesiłem głos, umożliwiając Tuttugu podjęcie wątku i wyjaśnienie własnego imienia, prawdopodobnie oznaczającego coś bohaterskiego. Gdyby nadawano imiona zgodnie z faktami, Tuttugu znaczyłoby „nieśmiały grubasek” a Jalaan „umykający wrzaskun”.

- Dwadzieścia - powiedział.

Spojrzałem na grupkę pięcioraczków.

- Rany Boskie! Twoja biedna matka!

Tuttugu skwitował mój okrzyk uśmiechem.

- To nie imię, które dostałem przy narodzinach, tak po prostu wszyscy na mnie wołają. Na uczcie Jarla Torsteffa, z okazji zwycięstwa nad Hoddofem z Żelaznych Wzgórz, odbywał się konkurs. I wygrałem.

- Konkurs? - Usilnie zastanawiałem się, w jakiej to konkurencji mógł zwyciężyć Tuttugu.

- Konkurs jedzenia. - Poklepał się po brzuchu.

- Zjadłeś dwadzieścia... - Starłem się wymyślić, dwadzieścia sztuk czego może zjeść normalny człowiek. - ...jajek?

- Blisko. - Potarł policzki, gmerając krótkimi palcami w rudym zaroście. - Kurczaków.

Cztery dni, zamiast obiecanych dwóch, zajęło nam dotarcie do punktu, z którego mogliśmy zobaczyć całą długość połyskliwego Uulisk. Za nami rozciągały się nieskończone górskie przestrzenie. Snorri wskazał na ciemną plamkę przy brzegu.

- Einhaur.

Z tej odległości trudno było zobaczyć, jaki los spotkał wioskę, ale na przystani nie cumowały żadne łodzie.

- Patrzcie. - Arne wskazał na coś na zatoce, bliżej otwartego morza. Mała łódka, jak dziecięca zabawka, płynęła po spokojnych wodach u wejścia do fiordu. Na dziobie widniała czerwona kropka, jakby oko?

- Pewnie Edris z Hardangerami - powiedział Snorri. -Musimy się spieszyć.

Szlak

do Czarnej Warowni okazał się mniej więcej taki, jak opisał go Snorri. Tyle że gorszy. Choć Edris mógł iść za nami, albo wyprzedzać nas w wyścigu do twierdzy, na tej ogromnej pustej przestrzeni trudno było wyobrazić sobie siebie jako ścigającego czy ściganego. Na pustkowiu albo się jest samemu, albo nie. My byliśmy sami, choć z każdej strony napierali na nas wrogowie. Wiatru i chłodu Wyzyn trzeba doświadczyć, bo żadne słowa nie są w stanie oddać im sprawiedliwości. Zostawiliśmy za sobą drzewa, potem zarośla, a potem kępy upartych traw, aż nasz świat stał się tylko skałą i śniegiem. Łachy śniegu łączyły się coraz ściślej, aż biała pokrywa stała się całkiem szczelna. Dni stawały się coraz krótsze, a rankiem Baraqel miał tylko tyle czasu, by rozwinąć ozłocone świtem skrzydła i nakazać, bym okazał się godny swego pochodzenia. Snorri siadał z dala od reszty, kiedy słońce nurkowało na zachodzie, pogrążając świat w długiej nocy. W tych chwilach, kiedy lód pochłaniał resztki światła, widziałem, jak idzie u jego boku. Aslaug, zgrabna piękność utkana ze zmroku, za którą podążał pajęczy cień, czerniąc się na śniegu.

Każda godzina zmieniała się w proces przeciskania ponurej przyszłości przez wąską szczelinę teraźniejszej chwili, za którą stawała się ponurą przeszłością, a każda ciasna chwila była podobna do kolejnej, spęczniała bólem, znużeniem i chłodem, który podkradał się niczym kochanka z mordem w sercu. Usiłowałem rozgrzewać się wspomnieniami z lepszych czasów, głównie tych spędzonych w czyimś łóżku. Dziwne, zapewne był to efekt zamarzania mózgu, ale choć potrafiłem przywołać echa każdego uścisku, obrazy długich nóg, łagodnych krągłości, kaskad włosów, jedyną twarzą, jaka pojawiała się przed moimi oczyma była twarz Lisy DeVeer, na której - jak zawsze - ukazywała się mieszanina zachwyty, irytacji i sympatii. W zasadzie im więcej życia wysysała ze mnie północ, tym lepiej pamiętałem chwile spędzone z nią poza łóżkiem - rozmowy, gest odgarniania włosów, kiedy nad czymś dumiała, wnikliwość jej odpowiedzi. Zrzucałem to na karb gorączki śnieżnej.

Obozowaliśmy pod osłoną nielicznych wychodni, spalając węgle z naszych plecaków, by ogrzać choć trochę jedzenie. Na południe od Srogich Lodów śnieg

topnieje co jakiś czas. Czasem co dwa, czasem co pięć lat przychodzi wyjątkowo ciepłe lato i topi białą pokrywą aż do gołej skały poza głębszymi nieckami, więc lód, po którym szliśmy nie urastał nigdy do takiej warstwy, która zrównałaby każde wyniesienie czy zagłębienie terenu. Srogie lody z kolei, to tafla litego lodowca, który nigdy nie topnieje, co najwyżej cofa się milę czy trzy w ciągu długości życia ludzkiego. Ziemia pod nim nie widziała słońca od wieków, może od narodzin Chrystusa. A może nigdy.

Podczas długiej wędrówki przez lodową pustynię nikt nie rozmawia. Każdy trzyma zamknięte usta, żeby uwięzić w sobie ciepło. Zakrywa się twarz, zostawiając wąską szparę, przez którą widać biały świat. Stawia się nogę za nogą z nadzieją, że idzie się prosto. Kierunek i postęp wyznacza jedynie wschodzące i zachodzące słońce. Im bardziej zmuszasz ciało do poruszania się prostą ścieżką, tym bardziej zawile stają się ścieżki twojego umysłu. Myśli dryfują. Nachodzą cię starzy przyjaciele. Napływają wspomnienia dawnych czasów. Masz otwarte oczy, skostniałymi stopami brniesz naprzód, twoje stopy unoszą się, odliczając upływające minuty, a ty śniesz.

Ja śniłem o prawuju Garyusie, leżącym w swej izbie w wysokiej wieży, starym jak grzech i niewiele lepiej pachnącym. Pielęgniarki myły go, nosiły, karmiły, każdego dnia odbierały część godności, a on zdawał się nigdy nie pragnąć więcej.

Garyus prawdopodobnie byłby wdzięczny każdemu bogowi, który mógłby dać mu dzień takiej wędrówki, nawet w takim miejscu. A ja nawet pod koniec dnia mozołu, zmarznięty do kości, śmiertelnie zmęczony, skurczony, w niedoli, nie zamieniłbym się z nim.

Mój prawuj leżał tak rok za rokiem, przykuty wiekiem i niemocą do progu śmierci. Czerwona Królowa powiedziała, że drzwi do zaświatów istnieją naprawdę. Zdawało się, że

Garyus dobija się do nich każdego dnia, odkąd przyszedł na świat kaleki, wybrakowany.

W snach powracałem do tego dnia, pełnego słońca przesączającego się przez jego okiennice, kiedy zamknął mi dłoń wokół medalionu, który trzymał w ręce o koślawych knykciach, pokrytej plamami wątrobowymi i drżącej. „To podobizna twojej matki”, powiedział. „Pilnuj jej”. Pilnowanie oznaczało ukrycie go. Wiedziałem o tym, nawet mając sześć lat.

Siadałem w wieży i patrzyłem na kalekiego starca. Słuchałem jego opowieści, śmiałem się, jak to dziecko i zamierałem z oczami jak spodki, kiedy stawały się mroczne. Przez długi czas nie miałam pojęcia, że to mój prawuj. A tym bardziej nie mogłem przypuszczać, że jest bratem Milczącej Siostry, choć przecież było oczywiste, że Siostra musi być *czyjąś* siostrą.

Zastanawiałem się czy Garyus bał się swojej bliźniaczki, bielmookiej

kobiety, swojej milczącej siostry. Czy można się bać własnego bliźniaka? Czy to tak, jakby bać się samego siebie? Wiedziałem, że wielu ludzi obawiało się samych siebie, bało się, że zawiodą siebie samych, że uciekną zamiast walczyć, że obiorą niehonorową drogę, łatwiejszą, zamiast trudniejszej. Ja wierzyłem w siebie, wierzyłem, że zawsze dokonam słusznego wyboru - dobrego dla Jalana Kendetha. Bałem się jedynie przy tych rzadkich okazjach, kiedy kusiło mnie, by stanąć do walki, kiedy gniew budził lepszego mnie i pchał w paszczę niebezpieczeństwa.

Jak wiele ten Garyus, leżący w więzi z tymi swoimi historiami i darami dla dziecka, jak wiele wiedział o wojnach swych sióstr? Teraz te wspomnienia wydawały mi się zagadkami. Czy można było spojrzeć na nie z innej perspektywy? Jak z tymi zmyślnymi rysunkami, na których wszystko wydaje się jasne, dopóki ktoś nie powie ci „ten garbek to wgłębienie” i naraz też to widzisz - wypukłość staje się wklęsłością, dziurą nie wybrzuszeniem - i cała reszta tak samo, każde wzniesienie zamienia się miejscem z dołkiem. Obrazek się zmienił, odwróciło się jego znaczenie, a choćbyś nie wiem jak próbował, już nie zobaczysz go takim jak wcześniej, jednoznacznym, stałym, godnym zaufania.

Czy Garyus zdawał sobie sprawę, że jego młodsza siostra wierzy, iż zna położenie drzwi do zaświatów?

- Jal. - Znużony głos. - Jal.

Myślałem o Garyusie leżącym w wąskim łóżku, o bracie Czerwonej Królowej, o jego promieniejących oczach. Z pewnością był od niej starszy? Czy znał jej plany? Jak wiele z nich wprowadził w ruch ten kaleki starzec?

- Jal!

Czy to nie on powinien być królem? Czy nie byłby królem Czerwonej Marchii, gdyby nie był kaleką?

- JAL!

- Co? - Potknąłem się, omal nie upadając.

- Zatrzymujemy się. - Snorri był zmęczony, zgarbiony. Śnieżne pustkowie drwiło sobie z jego tężyzny, tak jak miało za nic siłę każdego człowieka. Snorri uniósł rękę, wskazując coś w oddali. Popatrzyłem w tę stronę. Daleko przed nami, bez żadnych wstępów, wyrastały ściany Srogich Lodów, czyste, piękne, wyższe, niż sobie wyobrażałem.

* * *

Zjedliśmy posiłek pomimo wysiłku, jaki nas to kosztowało. Pozbawionymi czucia palcami trzeba było skrzesać iskrę na ostatnią porcję podpalki, a potem rozpalić węgle i podgrzać kociołek, a wszystko to wiedząc, że od tej pory jedynym ciepłem, jakie będziemy mieć, będzie ciepło naszych ciał.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Niebo wypogodziło się, gwiazdy migotały jasno, a wtedy nadszedł mróz. Czułem ból każdego oddechu, jakbym

wdychał do płuc lodowe brzytwy. Śmierć zdawała się jednocześnie czaić w pobliżu i kusić. Trząsałem się z zimna, pomimo wielu warstw ubrań i okryć. A kiedy w końcu zmorzył mnie sen, nie miałem pewności, że się obudzę.

A jednak po północy ocknąłem się w martwej ciszy. Nieustający wiatr ucichł, rozplywając się w nicość. Uchyliłem powiekę i zapatrzyłem się w ciemność. Cud wydarzył się nagle, bez ostrzeżenia. W jednej chwili niebo rozbłysło mieniącą się feerią blasku i barw. Woale światła falowały, skrząc się najpierw czerwienią, potem bladą zielenią, a w końcu odcieniami niebieskiego, jakich dotąd nie widziałem. Wiły się, opalizując, węzowe wstęgi, przechodząc z jednej w drugą. Głusza i rozmiar zjawiska zaparły mi dech w piersiach. Całe niebo tańczyło kolorami, setki mil w każdą stronę, poruszało się, połyskując w takt muzyki, którą słyszały tylko anioły.

Potem domyśliłem się, że śniłem, ale w tamtej chwili całym sercem wierzyłem w to, co widziałem i nappełniało mnie to zachwytem i lękiem. Nic wcześniej ani później nie sprawiło, że czułem się taki mały, a jednocześnie ogrom i piękno tego tańca tajemniczego blasku, rozciągającego się dalej niż góry, odgrywanego w śnieżnej pustce tylko dla mnie, wywołały we mnie wrażenie, choć tylko na mgnienie, wyjątkowości.

Rankiem nie obudził się Fimm.

- Teraz moja kolej. - Fjórir zaszył brata w worku do spania, łącząc krawędzie z pomocą długiej kościanej igły i dratwy z jelita.

- Obudzi się? - Popatrzyłem na wór, na wpół oczekując, że się poruszy.

Snorri stanowczo pokręcił głową. Stojący za nim Tuttugu potarł oczy. Pięcioraczki, teraz już czworaczki, wydawały się najmniej poruszone.

- Zamarzł.

- Ale... - Moje zlodowaciałe czoło nie chciało się zmarszczyć. - Sam mówiłeś, że natknąłeś się na trupa, który nadal ruszał się po długim czasie w zaspie.

- Nekromanci wstrzykują im w żyły miksturę. Jakąś mieszkankę oleju i soli, tak mówił Złamane Wiosło. To zapobiega ich zamarzaniu. - Rzeczywiście, Snorri już mi o tym mówił, ale chyba mróz ściał mi pamięć.

- Ta armia pod lodem... Oddziały Olaafa Rikesona... Przecież ludzie Martwego Króla musieliby potraktować te trupy w ten sam sposób. To raczej niewykonalne, chyba że mają jakąś nową magię. Musieliby wlec tysiące trupów na południe, albo przytaszczyć na północ odpowiednią ilość tego specyfiku... - Pomyślałem, że w opowieści Snorriego było coś jeszcze. Klucz, który otwierał wrota krainy lodowych olbrzymów, dar Lokiego. Klucz, który otwierał wszystko. - Może od samego początku chcieli tylko klucza Rikesona. Tylko tego. - Z niewiadomego powodu myśl ta zmartwiła mnie bardziej niż wizja całej armii trupów powstających z lodów.

Snorri poprowadził nas na zachód od twierdzy, a potem na wschód wzdłuż krawędzi Srogich Lodów, która wiodła ku twierdzy. Gdybyśmy skręcili w nieodpowiednim momencie, zaczęlibyśmy oddalać się od fortecy, wchodząc coraz głębiej w skute lodem pustkowie, gdzie pomarlibyśmy, nie przysparzając nikomu kłopotu. Śmierć wydawała się nieunikniona tak czy owak, a gdyby zawrócenie niosło ze sobą choć odrobinę nadziei na przetrwanie, zawróciłbym bez zwłoki. Niestety, jak Tuttugu odkrył podczas bitwy, ucieczka jest czasem najmniej bezpieczną opcją, a choć wcale nie chciałem umierać, umieranie w samotności wydawało mi się znacznie gorsze.

Wlokłem się chwiejnie przez nieskończoną biel, dumając czy Milcząca Siostra widziała moją niedolę, kiedy spoglądała w przyszłość. Brnąłem naprzód, krusząc lód zdrętwiałymi stopami, ogłuszony nieustannym lamentem wichru. Czy liczyła każdy mój zmarznięty krok, czy widziała tylko białą bruzdę w śniegu, ślad, który zostawialiśmy za sobą? Jak szeroki wachlarz możliwych przyszłości roztaczał się przed jej wzrokiem? W ilu widziała nas martwych? Noga za nogą, zbyt zimno, by się trząść, krok za krokiem ku śmierci. Może w niektórych wersjach przyszłości pęknięcie doganiało mnie i niszczyło zanim docierałem do Snorriego?

Może w innych Snorri zabijał mnie, kiedy na niego wpadałem? Czy wiedziała na pewno, że zakłęcie się w nas zadomowi i zostanie zaniezione aż na krańce Srogich Lodów? Była pewna, że jej magia nie zwiędnie w nas, ale zakorzeni się i urośnie? Była tego pewna czy też ryzykowała, jak jej wspomniały siostrzeniec, hazardzista, zawsze skłonny rzucić kośćmi o jeden raz za dużo? Oczyma wyobraźni ujrzałem jej wąski uśmiech, ale nie ogrzał mnie, wprost przeciwnie. Noga za nogą. Bez końca.

Dokładnie tak jak w opowieści Snorriego, Czarna Warownia wzięła mnie z zaskoczenia. Krajobraz nie zdradzał żadnej wskazówki, przedsmaku, obietnicy końca wędrówki. W jednej chwili wokół roztaczała się bezkresna biel odcięta z jednej strony ścianą Srogich Lodów, a w następnej roztaczała się całkiem ta sama bezkresna biel, tyle że już nie była bezkresna, bo miała horyzont, na którym widniała czarna kropka.

Wędrówka pozostawiła nas u kresu sił, a Fimma nawet poza kresem - ale nie byliśmy wykończeni do tego stopnia co Snorri, kiedy łomotał do bram twierdzy, na wpół zamrznięty, na wpół żywy cień człowieka. Kołatała się w nas jeszcze resztką woli walki, ostatnie rezerwy, do których mogliśmy sięgnąć. A choć wcale nie spieszyło mi się do bitki z kimkolwiek, zdawałem sobie sprawę, że bez szansy na odpoczynek i uzupełnienie zapasów w Czarnej Warowni nie przetrwam drogi powrotnej.

Snorri podprowadził nas bliżej. Na otwartej przestrzeni nie dało się ukryć, musieliśmy więc liczyć na to, że biali, stopimy się z tłem i że jeśli nikt nie będzie nas specjalnie wypatrywał, zdołamy podejść niezauważeni. To ostatnie okazało się

złudną nadzieją.

- Stójcie! - Ein uniósł rękę. - Na południowej wieży stoi wartownik.

Jakbyśmy idealnie nie stąpiali się ze śniegiem, słońce zachodziło za naszymi plecami, a rzucane przez nas cienie mogły nie ujść uwadze bystrego obserwatora.

Czarna Warownia była przysadzistą budowlą, czworokątną, o czterech zwieńczonych blankami wieżach narożnych. Stołp znajduje się pośrodku wielkiego, otoczonego murami dziedzińca. Snorri uważał, że stołp jest nieobsadzony, zaś niewielka załoga trzyma się izb przy bramie, we wnętrzu potężnego muru.

- Martwe Oko go zestrzeli - stwierdził Snorri. - Potem wespniemy się na mur.

Arne przetarł rękawicą osłonę na twarzy. Miękka skóra była sztywna od mrozu i zwisały z niej miniaturowe sople. Wiatr wirował wokół wbijając w nas lodowe ostrza.

- Daleko - mruknął.

- Nie dla Martwego Oka! - Czworaczek łupnął go w ramię.

- Zmrok zapada. - Pokręcił głową.

- Dasz radę! - Inny czworaczek.

Arne zwiesił ramiona.

- Przygotuję łuk - ustąpił. - Potem podejmiemy bliżej.

Czas płynął, a Arne wyciągał łuk, odpakowywał go, szukał cięciwy, woskował ją, naciągał, rozgrzewał palce, mocował cięciwę. W Vermillionie oczywiście uczyłem się łucznictwa. Każdy z książąt musiał poznać tę sztukę. Bardziej, niż na zrobieniu z nas strzelców wyborowych, babce zależało, abyśmy zapoznali się z możliwościami i ograniczeniami tego rodzaju broni, aby kiedyś skuteczniej wykorzystać ją na większą skalę w bitwie. Mimo to i tak musieliśmy ćwiczyć strzelanie do tarczy.

Jeśli te długie godziny spędzone niechętnie na ćwiczeniach czegokolwiek mnie nauczyły, to że wiatr może zrobić głupca z najlepszego Strzelca, a szczególnie porywisty, tworzący wiry powietrzne.

Wreszcie Arne skończył przygotowania i zaczęliśmy posuwać się naprzód, pochyleni, choć nie mogło to uczynić żadnej różnicy. Postać na wieży poruszyła się kilka razy, przez pełne napięcia momenty spoglądała w naszą stronę, ale koniec końców nie wykazała żadnych oznak zainteresowania.

- Strzelaj stąd. - Snorri zatrzymał Arnego, kładąc mu dłoń na ramieniu. Arne pewnie najchętniej podszedłby na piętnaście jardów, gdyby mu na to pozwolić.

- Odyne, prowadź moją strzałę. - Arne zdjął rękawicę i założył strzałę.

Bezwietrzny dzień, ciepłe dłonie i brak presji dawałyby mi szansę na cztery celne strzały na pięć. Arne zwolnił cięciwę i strzała poszybowała, niknąc na tle

nieba.

- Pudło. - Stwierdziłem oczywiste, by przełamać moment wyczekiwania, który nas unieruchomił. Strzała poleciała tak szerokim łukiem, że człowiek na wieży nawet jej nie zauważył.

Arne spróbował ponownie. Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. Palce zbieleły mu na cięciwie. Wypuścił pocisk.

- Pudło. - Nie zamierzałem się odzywać, samo mi się wyrwało w pełną wyczekiwania ciszę.

Arne opuścił osłonę z twarzy i spojrzał na mnie kwaśno. Obliznął językiem garnitur zębów, w większości brązowych, plus jeden czarny, jeden biały, minus dwa braki. Wyjął kolejną strzałę, jedną z kilkunastu pozostałych i zwrócił się ku wieży. Trzy oddechy, głęboki wdech i powolny wydech. Strzelił.

Trzeba mi przyznać, że odczekałem parę sekund. Na szczęście wszystkie trzy strzały poszły za wysoko, żadna nie odbiła się od muru. Człowiek na wieży nawet nie drgnął.

- Pudło - stwierdziłem.

- To sam to, kurwa, zrób! - Arne wepchnął mi łuk do rąk.

Uzbrojony w świadomość, że gorzej mi nie pójdzie, zdjąłem rękawicę i naciągnąłem cięciwę. Mrożone wiatrem palce zaczęły mnie boleć w jednej chwili. A miałem jeszcze tylko jedną, zanim ból przerodził się w brak czucia i dłonie stały się całkiem bezużyteczne. Wycelowane w wartownika, wziąłem poprawkę na wiatr i przesunąłem cel o jard na prawo. Brak czasu pomógł. Powstrzymał mnie przed zastanawianiem się nad tym, co właśnie zamierzałem zrobić. Powiedziano mi, że zabiłem ludzi na Przełęczy Aralu, ale ja tego nie pamiętam. Na półce skalnej, ze Snorrim, przeciwnik sam nadział się na mój miecz i przeprosił me go za ten wypadek, zanim dotarło do mnie, co mówię. Ale tamto działo się w ferworze walki. Tu natomiast kucałem, ramiona mi drżały, tak zimnej krwi nie miałem nigdy i gotowałem się do przestrzelenia człowiekowi piersi, odebrania mu życia, zupełnie bez ostrzeżenia, nie widząc nawet jego twarzy. To zupełnie coś innego.

- Pudło - szepnąłem, zwalniając cięciwę.

Po dwóch uderzeniach serca nabrałem pewności, że spisałem się nie lepiej niż Arne.

- Trafiony! - Wartownik okręcił się, jakby ktoś go uderzył. - Trafiony! - krzyknął znowu Snorri.

- Kurde! - Tym razem Tuttugu, który pierwszy zobaczył, że wartownik nadal stoi, potem chwiejnie podchodzi do parapetu, trzymając się za ramię, a w końcu zaczyna uciekać.

- Do diabła! Strzelaj jeszcze raz! - wrzasnął Snorri.

Mężczyzna zbiegł po schodach na mór i popędził na złamanie karku ku wieży, w której zapewne siedzieli jego towarzysze. Nie rozumiałem, czemu w

ogóle nie stał w tamtym miejscu.

- To na nic. - Wskazałem na mur. Mężczyzna pojawiał się co pół sekundy w przerwie między zębami blanków jako ciemna smuga.

Arne wyrwał mi łuk, nałożył strzałę i wypuścił ją w niebo.

- Niech szlag wszystkich bogów! - Splunął, a plwocina zamarzła, zanim spadła w śnieg.

- Szkoda marnować strzałę. - Spoglądałem na mury, zastanawiając się, czy ktoś przyjdzie nas zabić, czy po prostu zostawią nas na śmierć z wyiębienia.

Wartownik runął z cichym okrzykiem przeszyty strzałą w trzecim od drzwi prześwicie, sześć jardów przed schronieniem.

- Martwe Oko! - Czworaczek grzmotnął go w ramię.

- Martwe ramię, jeśli nie będziesz uważał - fuknął Arne, ale wyraźnie zadowolony.

Snorri już gnał pod mury. Popędziliśmy za nim. Pokonanie stu jardów trwało wieki. Snorri wydobył z plecaka zwój liny z powiązanymi węzłami, chronionej przed zamrożeniem na tę okazję. Na jednym końcu liny zwisał hak przypominający podejrzanie kotwicę niewielkiej łodzi rybackiej. Rzucił nim ponad blanki i zdołał zaczepić za pierwszym razem. Zanim dotarłem do podnóża muru, Snorri był już na szczycie. Czworaczki wdrapały się za Snorrim, a potem ja, przeklinając i ślizgając się na ośnieżonych butami poprzedników węzłach. Ciało wartownika zastrzelonego przez Arne-go przeleciało obok, kiedy byłem w połowie drogi. Przełknąłem kolejne przekleństwo i już trzymałem język za zębami.

Kiedy na dole został już tylko Tuttugu, wciągnęliśmy plecaki, a potem małego Wikinga. Ten wysiłek rozgrzał mi wreszcie nieco krew. Kiedy Tuttugu przepchnął się w końcu pomiędzy blankami na parapet, pomogłem mu wstać.

- Dzięki. - Uśmiechnął się nerwowo, a potem odwiązał przytroczony do pleców toporek. Niecodzienna broń tu na północy, podobna do tych używanych na południu, o klinowatym żelźcu do przebijania zbroi.

Na posypanym żwirem łodzie pod stopami ujrzałem krew - szokujący kolor po bezkresnej bieli. Ciemne plamy zahipnotyzowały mnie. Wszystkie rozmowy, wędrówka, doprowadziły nas to tej chwili, do tych kropli czerwieni. Od abstrakcji do rzeczywistości - aż nazbyt prawdziwej.

- Gotowi? - zapytał Snorri, stojąc pod drzwiami, do których biegł wartownik. Na usta cisnęło mi się słowo „nie”. - Dobrze. - Snorri ujął topór oburącz, Arne pałasz, bracia topory o krótkich drzewcach, a w drugie ręce noże. Dobyłem miecza jako ostatni. Snorri skinął zadowolony i położył dłoń na żelaznej kłance. Planu nie trzeba było powtarzać. Był prosty. Zabić wszystkich.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem, spychając lód. Weszliśmy, robiąc tłok na schodach. Snorri zamknął za nami drzwi, a ja zamknąłem oczy, rozkoszując się ekstatyczną bezwiatrowością. Nawet najzimniejsza zimowa noc w Czerwonej

Marchii nie była tak mroźna jak wewnątrz Czarnej Warowni, ale wystarczył brak wiatru, żeby wydało mi się rajem. Wszyscy staliśmy tak przez chwilę, przez kilka chwil, przytupując, że przywrócić stopom czucie i wymachując ramionami, by odzyskać utraconą elastyczność ruchów.

Snorri poprowadził nas schodami w dół, a potem długim korytarzem. Spodziewaliśmy się zastać większość ludzi Złamanego Wiosła w jednym miejscu. Tak właśnie zachowują się ludzie w zimnicach. Kulą się ramię przy ramieniu, tak długo, jak są w stanie znieść swoje towarzystwo. Przy tak trudno dostępnym opale, nie rozpalaliby wielu palenisk.

Choć w wielu miejscach wewnętrzne ściany pokrywał szron, w Czarnej Warowni wydawało się ciepło. Moja skóra płonęła, życie wracało mi do członków, próbowało nawet zaatakować palce.

Arne zapalił małą latarnię. Specjalnie nieśliśmy olej przez śnieżne pustkowia, żeby użyć go w tej chwili. Może przy jego ciepłe Finn nie umarłby tamtej nocy. Wartownik nie miał przy sobie żadnego źródła światła, ale znał drogę na pamięć.

Snorri próbował otworzyć każde drzwi, które mijaliśmy. Żadne nie były zaryglowane, choć otworenie niektórych stanowiło prawdziwe wyzwanie, nawet dla Snorriego. Dwa pierwsze pomieszczenia okazały się puste - długie, wąskie, nie posiadały palenisk, więc można było śmiało wywnioskować, że nie przeznaczono ich do zamieszkania. Trzecie wypełniały bazaltowe bloki, takie, z jakich zbudowano twierdzę - skład budulca do napraw. Czwartej używano jako latryny, choć nie ostatnio - zwąły zamrożonych odchodów nie wydzielają żadnego zapachu.

Piąte drzwi poddały się po cichej walce z głośnym zgrzytem, który poniosł się korytarzem. Oczekaliśmy w obawie, że hałas kogoś ściągnie, ale nikt nie przyszedł. Wraz z napływającym do członków ciepłem, zaczęła docierać do mnie groza sytuacji. Rozgrzałem się na tyle, by zacząć trząść się z zimna i w tej samej chwili mój poziom lęku wzrósł na tyle, by zacząć trząść się ze strachu.

- Hel! - odetchnął Snorri z ulgą, wycofując się spod kolejnych drzwi.
- Co tam? - zapytał Tuttugu, przezornie nie opuszczając topora.
- Zobacz - Snorri przywołał mnie gestem i podniósł latarnię.

Scena przypominała siedlisko Skilfar. Izbę wypełniały nieruchome postaci ułożone w rzędach tak ściśle, że wspierały się jedne na drugich. Ludzie, zamarznięci, oszronieni, zastygli w różnych pozycjach, od skurczonych z cierpienia po skulonych we śnie, ale większość ze zwieszonymi głowami, uchwycona w pozie, w jakiej i my brnęliśmy przez pustki przez kilka ostatnich dni.

- Ludzie Rikesona?
- Pewnie tak. - Snorri zamknął drzwi.

W pięciu kolejnych pomieszczeniach również znajdowały się zamarzniete trupy wojowników. Razem całe setki. Martwi od wieków, uwięzieni w lodzie.

Zastanawiałem się, czy duch, którego mogli wlać w nich nekromanci byłby mroczniejszy przez to, że spędzili w piekle już tyle żyć.

Czworaczki zbiły się w ciasną grupkę, a chwilowa radość z ucieczki przed wichrem zbladła szybko w tym ponurym miejscu pełnym prastarych trupów.

Idąc korytarzem, minęliśmy dwie klatki schodowe. Kręte schody prowadziły na dół. Ta część wydawała się częściej używana, na ścianach nie było szronu, a oblodzona posadzka została wysypana tłuczniem.

Trudno byłoby zgubić czy przeoczyć nasz cel. Z każdym krokiem robiło się cieplej, a w powietrzu unosił się coraz wyraźniejszy zapach dymu i gotowanego mięsa. Ślina wypełniła mi usta. Sama woń starczyła, że gotów byłem zabić za posiłek. Drzwi u szczytu korytarza były wyższe niż te po bokach. Okute czarnym żelazem, tłumiły dźwięki ze środka.

Spojrzeliliśmy po sobie, gotując się na wejście. I jak to często w życiu bywa, los podjął decyzję za nas. Drzwi otworzyły się nagle, wypluwając uzbrojonego Wikinga rzucającego przez ramię jakąś obelgę.

Arne poruszył ręką i w następnej chwili toporek, który miał przy pasku, sterczał już w gąszczu kasztanowej brody wojownika. Wydawało się to takie nierzeczywiste. Snorri i reszta runęli naprzód w ciszy, tylko ich buty szurały o kamień. Wojownik od tkwiącego w szyi toporka, zalał się krwią i runął wywrócony przez wbiegających.

Zostałem tylko ja i Tuttugu. Grubasek uśmiechnął się zakłopotany i podążył za resztą. Teraz już za towarzystwo miałem tylko zamarznęte trupy w pomieszczeniach po obu stronach korytarza. Rozległ się pierwszy okrzyk bitewny, ryk Snorriego, kipiący radosną zapowiedzią przemocy. Zebrałem się na odwagę i trzymając miecz w gotowości, wszedłem za Tuttugu.

Widok za drzwiami był szokujący. Do tego stopnia, że nawet Tuttugu ze swym impetem zatrzymał się, przez co wpadłem na niego, a mój miecz uwiązł pomiędzy nami. Wokół paleniska na końcu sali znajdowała się grupka około dwudziestu Czerwonych Wikingów. Przez całą długość sali biegły kamienne stoły. Domyśliłem się, że właśnie tu przykuto Snorriego do ściany.

Hardangerzy, Czerwoni Wikingowie, jak ich zwano, byli plemieniem ciemniejszym w kolorystyce od Undorethów. Większość z nich miała ciemne albo kasztanowe włosy, byli twardzi, barczyści, o grubo ciosanych rysach. Nie byli wyposażeni jak na wojnę - bez zbroi i ciężkiej broni, ale Wikingowie zawsze trzymali pod ręką swój topór, czy nóż u pasa.

Snorri skoczył na stół po lewej i runął naprzód, w biegu odrąbując głowę jednemu z siedzących nieopodal wejścia, a potem rozcinając twarz innemu, po przeciwnej stronie, bliżej paleniska. Wpadł pomiędzy tych skupionych przy ogniu, machając toporem na prawo i lewo. Hardangerzy rozprysli się na wszystkie strony, łapiąc broń i uciekając przed Snorrim, ale na ich drodze stanęły czworaczki. Blask

ognia odbijał się od żeleźców toporów zagłębiających się w ciała wrogów.

Jeden z czworaczków padł pod ciosem czarnowłosego Wikinga, który zamachnął się na odlew i zatopił ostrze w jego szyi. Wojownik był przerażająco szybki, wysoki, szczupły, o mięśniach, jak postronki. Tuttugu rzucił się na niego, wrzeszcząc jak opętany i grzmotnął bruneta toporem w pierś, zanim tamten zdołał wyszarpnąć broń z kręgosłupa swej ofiary. Zobaczyłem uzbrojonych Hardangerów biegnących wzdłuż obu ścian. Ich drogi schodziły się w miejscu, gdzie stałem. Popędziłem więc naprzód, za Tuttugu, środkiem sali. Czasami atak jest najlepszą formą rejterady. Niechcący kopnąłem głowę pierwszego zabitego Czerwonego Wikinga, posyłając ją w środek bijatyki.

Najdalszą ścianę sali zdobiły łukowate rozbryzgi krwi. Ogień dymił, ochlustywany czerwienią, a pośrodku paleniska skwierczała dłoń nadal uczepiona kawałka przedramienia. Wojownicy cofali się przed tornadem ostrza Snorriego, niektórzy z ranami od bioder po obojczyki, z których wylewały się trzewia, inni tryskający krwią aż na sufit z kikutów odciętych kończyn. Jeszcze inni z morderczym uporem atakowali Snorriego i pozostałych Undorethów.

Hałas, smród, barwy. Sala zawirowała wokół mnie, wrzawa cichła i wzmagająca się, czas zdawał się zwalniać. Tuttugu wyrwał topór z mostka ostatniego wroga. Usłyszałem trzask kości, zobaczyłem krew. Mężczyzna runął w tył z rozłożonymi ramionami, twarzą wykrzywioną z wściekłości, nie zdając sobie jeszcze sprawy, że nie żyje. W stronę Tuttugu ruszył rudy olbrzym, wymachując oburęcznym mieczem. Za mną trzech Wikingów okrężyło szczyty stołów, dwóch z lewej, jeden z prawej. Drzwi przy palenisku otworzyły się z hukiem, wpuszczając do sali więcej przeciwników. Na przedzie biegł jeden w hełmie nabijanym ćwiekami, z poprzeczną osłoną na nos. Za nim wojownik z wielką tarczą, pośrodku której sterczał groźnie kolec. Dalej wdzierali się inni.

Jeden z czworaczków zaczął biec ku drzwiom. Świsnęła włócznia. Uderzony w pierś, aż zatoczył się kilka kroków w tył, powiewając białymi włosami. Nieopodal mnie bryznęła krew, zalewając mi oczy. W ustach poczułem miedziano-słony smak. Usłyszałem krzyk, mój własny krzyk. Czerwoni Wikingowie podchodzili mnie z obu stron, widziałem ich zza woalu czerwieni. Miecz w mojej dłoni mignął...

- Jal? - Wołanie ledwie przedarło się przez łomotanie w uszach, grzmot w piersi, chrapanie każdego oddechu. - Jal?

Kamienna posadzka zalana krwią i czarne kreski grzywki opadającej mi na oczy. Coś z nich kapąło.

- Jal? - Snorri.

Stałem. W rękę trzymałem miecz. Po obu stronach kamienne stoły. I trupy. Wszędzie krwawiące ciała. Na stołach, pod nimi.

- Jal? - Tuttugu, nerwowo.

- Można do niego podejść? - Bliźniak. A może już tylko Ein.

Podniosłem wzrok. Trzech Undorethów obserwowało mnie z pewnej odległości, Snorri, stojąc w progu drzwi, przez które wpadły posiłki.

- Berserk. - Ein uderzył się pięścią w pierś.

Snorri uraczył mnie uśmiechem.

- Zaczynam rozumieć, skąd ten bohater i diabeł Przełęcz Aralskiej. - Rozdarcie w focznej skórze, w którą był opatulony, odsłaniało paskudną bruzdę. Druga rana, biegnąca przez wybrzuszony mięsień pomiędzy barkiem a szyją, krwawiła obficie.

Wolna ręka zaczęła mi się trząść. Rozejrzałem się wokół. Wszędzie leżały trupy. Wokół paleniska całe sterty. Arne siedział przy stole za mną. Śmiertelnie blady, z policzkiem rozciętym tak głęboko, że przez dziurę widać było jego popsute zęby, w każdym razie te niewybite. Szybko powiększająca się kałuża czerwieni wokół niego powiedziała mi, że użębienie to jego najmniejszy problem. Z rany na udzie tryskała krew tętnicza.

- Jal. - Arne wykrzywił się w szczerbatym uśmiechu. Cięcie na policzku zniekształcało brzmienie słów. Zgarbił się, nieomal z gracją. - To był przedni strzał, prawda, Jal?

- Ja... - Głos mi się załamał. - Wspaniały, Arne. Najlepszy. - Ale Martwe Oko już nie mógł mnie usłyszeć. Niczego już nie mógł.

- Snorri ver Snagason! - Ryk dochodził z pomieszczenia, do którego prowadziły drzwi przy palenisku.

- Sven Złamane Wiosło! - odkrzyknął Snorri. Zważył topór w ręce i podszedł do ognia. - Musiałeś wiedzieć, że wrócę. Po żonę, po syna, po zemstę. Czemuś mnie sprzedał?

- Och, oczywiście, że wiedziałem. - W głosie Złamanego Wiosła pobrzmiwała satysfakcja, która teraz, gdy uczucie oddzielenia słabło, wyciągnęła na powierzchnię cały mój strach, rozgoniony po kątach umysłu przez szal bitewny. - Ale odebranie ci ostatniej walki byłoby niesprawiedliwe. A my, Hardangerzy lubimy złoto. No i moi nowi włodarze mają wydatki. Elik sir, którego potrzebują dla umarłych, w zimnym klimacie wymaga olejów z Arabii, a o te trudno. Za takie egzotyczne towary trzeba płacić złotem.

Mimo oszołomienia rozpoznałem drwinę. Złamane Wiosło wmawiał Snorriemu, że swoją porażką, samym sobą sfinansował ten koszmar. Wiele mówiono o Złamanym Wiosle, ale nie to, że jest głupcem.

Podeszliśmy z Einem i Tuttugu do Snorriego. Za drzwiami znajdowało się kolejne pomieszczenie, ale to, co się w nim znajdowało leżało w większości poza naszym polem widzenia. Na pierwszy plan wysuwał się leżący na progu Czerwony Wiking z rozłupaną czaszką. Ein wyszarpnął włócznię z ciała brata - Thrira, jeśli twierdzenia o odchodzeniu w kolejności były prawdą.

- Jest w tym coś więcej, Złamane Wiosło. Mogłeś mnie zabić, a i tak miałbyś większość swojego krwawego złota. - Snorri zamilkł, jakby ciężko mu było zadać następne pytanie. - Gdzie moja żona? Gdzie mój syn? Jeśli ich skrzywdziłeś... - Zacisnął szczęki, mięśnie na jego policzkach zafalowały.

Tuttugu zaczął obwiązywać mu bok pasami płaszcza, a Ein przytrzymał pacjenta, kiedy ten chciał rzucić się naprzód. Snorri jednak uspokoił się i pozwolił im opatrzyć rany. Uływ krwi trzeba było zatamować, inaczej szybko by osłabł.

- Jest w tym coś więcej - powtórzył.

- To prawda, Snorri. - W głosie Złamanego Wiosła zabrzmiała nuta smutku. Mimo reputacji mężczyzna ten brzmiał... władczo, jak król przemawiający z tronu. Sven Złamane Wiosło miał głos bohatera i mędrca i posługiwał się nim jak czarem. - Upadłem. Ty to wiesz i ja to wiem. Ugiąłem się pod naporem wiatru. Ale Snorri? Snorri ver Snagason wciąż stoi nieugięty, czysty niczym jesienny śnieg, jakby wyszedł wprost z sagi, by nas ocalić. Jestem tym, kim jestem, ale przede wszystkim jestem Wikingiem. Saga musi zostać opowiedziana, bohater musi mieć szansę, by stanąć przeciw długiej zimie. Jesteśmy Wikingami, zrodzonymi, by mierzyć się z trollami, lodowymi olbrzymami, nawet samym morzem. Nawet samymi bogami. Chodź, Snorri. Skończmy to. Tylko ty i ja. Niech twoi przyjaciele będą świadkami. Jestem gotów.

Snorri ruszył naprzód.

- Nie! - złapałem go za ramię i szarpnąłem do tyłu resztkami sił. Klątwa buchnęła płomieniem, osmaliła mu rękaw i odrzuciła mnie w tył na stół. Przez chwilę w oczach mienił mi się powidok blasku i ciemności. Wokół rozszedł się zapach spalenizny, wyraźny, ostry. Przeniósł mnie na ulicę Vermillionu, kiedy biegłem, jakby mnie sam diabeł ścigał, a za mną trzaskał pękający bruk.

- Co na Hel? - Snorri odwrócił się do mnie.

- Znam... - zdołałem wyszeptać. Odkaszlnąłem i spróbowałem jeszcze raz.
- Znam drani.

Ein schylił się i podniósł porzuconą tarczę. Tuttugu zdjął dwie inne z wieszaków na ścianie.

- To twoje ostatnie chwile, Złamane Wiosło! - krzyknął Snorri, a Ein i Tuttugu, trzymając tarcze w górze i w dole, przesunęli się do otworu drzwi.

Natychmiast rozległy się uderzenia bełtów o metalowe osłony. Snorri z rykiem przepchnął się pomiędzy towarzyszami i wbiegł do sąsiedniej sali.

Podążyłem za nim, jeszcze oszołomiony. Gdybym był całkiem przytomny, zostałbym z Arnem i udawał trupa.

Sven Złamane Wiosło stał na końcu komnaty, mniejszej niż ta ze stołami. Górował nad trzema stojącymi przy nim kusznikami. Nie można powiedzieć, że Snorri wyglądał w porównaniu z nim na karła, ale z pewnością przestał być największy. Matka Wikinga musiała sypiać z trollami. Choć przystojnymi.

Z tą swoją wielką złotorudą brodą spływającą na pierś, rozpuszczonymi włosami, grawerowanym złotem, obtłuczonym napierśnikiem, Złamane Wiosło wyglądał jak król Wikingów. W jednej ręce trzymał świetny topór, do drugiej miał przytroczony puklerz wielkości talerza, gruby i gładki.

Ein ruszył ku dwóm kusznikom po lewej, Tuttugu zaś zaatakował trzeciego. Sven Złamane Wiosło zaczął iść ku Snorriemu.

Niewiele można zdziałać, gdy siłacz zamachnie się na ciebie toporem. Najlepszym wyjściem jest zabicie topornika zanim zada cios. Mieczem można przebić przeciwnika. Ale jeśli jest uzbrojony w topór, najlepsza rada brzmi: „machaj szybko i módl się”. Oczywiście żeby się zamachnąć, trzeba stać w odpowiedniej odległości od wroga - dokładnie takiej samej, w jakiej on musi znajdować się od ciebie, żeby też móc wziąć zamach.

Snorri znalazł inny sposób. Trzymając przed sobą topór zaczął biec, prędzej, niż ktokolwiek zdołałby się zamachnąć. Szybkość, z jaką zmniejszył dystans, sprawiła, że Złamane Wiosło spóźnił się o mgnienie oka i jego topór uderzył zbyt wolno. Na uniesione ramię Snorriego opadła rękojeść topora, zaś Snorri zdołał wbić ostrze w szyję przeciwnika, ale nie szeroki żeleziec, a rogaty czubek ostrza.

I na tym powinno się skończyć. Wąski kawałek metalu wbity w gardło potężnego wojownika. Ale jakimś cudem Złamane Wiosło zdołał grzmotnąć Snorriego w głowę krawędzią puklerza. Obaj powinni paść, ale tylko odstępili od siebie chwiejnie, a potem znów się zwarli i zaczęli mocować jak niedźwiedzie.

Ein zabił jednego z dwóch swoich przeciwników i zmagał się z ostatnim. Obaj zaciskali w dłoniach noże, usiłując zatopić ostrze w twarzy przeciwnika, jednocześnie powstrzymując go przed zrobieniem tego samego. Tuttugu zabił swojego, ale Czerwony Wiking zdążył go zranić. Nie widziałem dokładnie, jak rozległa była rana, ale sądząc z tego, jak szybko krew przeciekała przez krótkie palce grubaska, nie wróżyło to dobrze.

Dwaj giganci napierali na siebie, spleceni palcami, purpurowi na twarzach, a krew z ich ran sikała przy każdym oddechu. Wreszcie Złamane Wiosło zdobył przewagę i cał za cał zaczął przygniatać Snorriego do ziemi. Obaj ciężko

dyszeli, z trudem walcząc o każdy oddech, z napiętymi mięśniami, żyłami nabrzmiałymi do granic możliwości. Wydawało się, że lada moment nie wytrzymają ich kości, że popękają pod naporem takiej siły, ale wszystko przebiegło wolniej. Snorri, którego opatrunki nasiąkły krwią, poddał się, opadając na kolana. Złamane Wiosło nie przestał nań napierać.

Tuttugu odjął jedną zakrwawioną dłoń od brzucha i z nacechowaną cierpieniem powolnością, sięgnął po topór. Złamane Wiosło nawet na niego nie spojrział. Na oślep kopnął w tył, łamiąc Undorethowi kolano. Tuttugu runął na ziemię z okrzykiem bólu. Snorri spróbował się podnieść, ale Złamane Wiosło ryknął i przyparł go do ziemi.

Ein i Hardanger turlali się po posadzce, obaj ranni. Spojrzałem na mój skąpany we krwi miecz. To przecież Snorri, upomniałem się w duchu. Towarzysz setek mil wędrówki, tygodni niedoli, niebezpieczeństw... Złamane Wiosło przygniatał go coraz bardziej, a obaj wyli jak zwierzęta. Nagle Czerwony Wiking błyskawicznym ruchem złapał Snorriego wielką łapą za gardło, podczas gdy drugą całą czas się siłowali. Snorri uwolnioną ręką zaczął odrywać od szyi palce tamtego.

Złamane Wiosło był odsłonięty. Miał pochyloną głowę.

- Na Boga, Jan, zróbże to! - wrzasnąłem na siebie i pobiegłem ku nim, z początku niechętnie, a potem coraz szybciej, unosząc miecz nad głowę. Nie chciałem trafić wartownika z wieży, nawet strzałą ze stu jardów. Ale chciałem, żeby Sven Złamane Wiosło zginął, w tej właśnie chwili) w tym właśnie miejscu, i jeśli to do mnie należało zadanie mu śmierci...

Opuściłem ramiona, przecinając klingą powietrze, ale w tej samej chwili Złamane Wiosło wyzwolił drugą rękę z uścisku Snorriego i nastawił puklerz. Impet zderzenia wstrząsnął mieczem, wytrącając mi broń z ręki. Szybki zwrot, pchnięcie duszonego wciąż Snorriego do tyłu i olbrzym zadał mi potężny cios w pierś, tuż pod sercem, wielką pięścią i zarazem krawędzią tarczy. Powietrze uciekło mi z płuc z głośnym jękiem, żebra pękły, padłem jak sparaliżowany.

Leżąc na podłodze, widziałem błysk puklerza, kiedy Złamane Wiosło chwycił drugą ręką za gardło Snorriego. Udało mi się zaczerpnąć tchu, Snorri nie mógł tego zrobić. Powietrze zalało mi płuca niczym kwas, żebra zgrzytały w miejscu pęknięć.

Sven Złamane Wiosło zaczął potrząsać Snorrim, z początku wolno, a potem gwałtowniej. Twarz młodszego Wikinga zaczęła ciemnieć.

- Trzeba było trzymać się z daleka, Snagasonie. Północ nie ma mi równego. Trzeba więcej niż chłopca, żeby mnie pokonać.

Widziałem, że życie ucieka ze Snorriego, ramiona opadają bezwładnie, ale nie byłem w stanie zrobić nic poza wciągnięciem kolejnego oddechu. Ein odpadł od swego przeciwnika, obaj leżeli bez ruchu. Wokół Tuttugu rosła kałuża krwi, biedny grubas patrzył na wszystko, ale nie mógł nic zrobić.

- Czas umrzeć, Snorri. - Mięśnie na ramionach Złamanego Wiosła nabrzmiały, wzmagając uścisk, który mógłby przełamać wiosło.

Gdzieś poza murami zaszło słońce.

Snorri podniósł ręce i zacisnął palce na przegubach Złamanego Wiosła. Tam, gdzie ich dotknął, skóra Hardangera poczerniała. Czerwony Wiking wykrzywił się w grymasie, gdy Snorri uniósł głowę i oderwał jego palce od gardła. Gwałtowne szarpnięcie i przedramiona Złamanego Wiosła złamały się. Kikuty kości przebiły mięso i skórę. Jeden cios i napastnik Snorriego legł na plecach obok Tuttugu.

- Tobie? - Snorri podniósł się, a jego głos mieszał się z głosem Aslaug. - To mnie powinna lękać się cała Północ. - Trzymał w ręku zerwany puklerz, a w

jego oczach była tylko czerń.

- Lepiej. - Złamane Wiosło zdołał wycisnąć z siebie chrapliwy śmiech. - Już lepiej. Może nawet masz szansę. Zniszcz ich, Snorri, odeślij wyjących z powrotem do Hel!

Snorri ukląkł przy nim i pochylił się.

- Obudzili we mnie strach, Snorri, niech bogowie ich przeklną. Niech ich przeklną.

- Gdzie Freja? - Snorri złapał go za szyję i zaczął uderzać jego głową o posadzkę. - Gdzie mój syn? Gdzie są? - Każde pytanie ryknięte w twarz leżącego.

- Wiesz gdzie! - Złamane Wiosło wyrzucił z siebie odpowiedź, chlustając krwią.

- Mów! - Snorri położył kciuki na oczach wroga.

Kiedy nacisnął, a z gardła Złamanego Wiosła wydarł się pół krzyk, pół śmiech, zemdląłem. Te czarne momenty bez świadomości były jedynymi sekundami spokoju, jakiego zaznałem w twierdzy. Minęły zbyt szybko, trwały mgnienie.

- Czas umrzeć, Złamane Wiosło. - Snorri pochylił się niżej nad leżącym olbrzymem.

- Spal poległych... - Znow struga krwi.

Na wieciej Złamane Wiosło nie miał czasu. Snorri roztrzaskał mu głowę potężnym uderzeniem ciężkiego puklerza.

- Snorri. - Ledwie wyszeptałem, ale Snorri podniósł głowę. Czerń w jego oczach zaczęła blednąć, aż znow stały się lodowo-błękitne.

- Jal! - Mimo ran był przy mnie w jednej chwili. Głuchy na protesty, chwycił za kaptur mojego futra. W pierwszej chwili myślałem, że mi pomoże, ale on zawlókł mnie do Eina.

Czerwony Wiking, który leżał nieopodal wydawał się martwy, ale Snorri na wszelki wypadek poderżnął mu gardło.

- Żyjesz? - Odwrócił się do Eina i spoliczkował go. Ein jęknął i otworzył oczy. - Świetnie. Co możesz dla niego zrobić, Jal?

- Ja?! - Uniosłem rękę, sam nie wiem dlaczego, może żeby gestem zbyć sugestię, i odkryłem, że otrzymałem cios w biceps. - Do diabła! - Przetoczenie się po ziemi było strasznie bolesne, ale przywróciło kolejny przebłysk z walki. Raniono mnie też w udo. - Jestem w gorszym stanie niż Ein. - Biorąc pod uwagę, ilu ran nie byłem świadomy, to nawet mogła być prawda. Ale Ein został dźgnięty w pierś. A z cięcia, z każdym oddechem wydostawały się i zasysały bąbelki krwi. To była śmiertelna rana.

- Nie, on ma się gorzej. A sam siebie nie ulecysz, obaj o tym wiemy.

- Jestem na wpół żywy, jak mam kogokolwiek uleczyć? Przecież to mnie zabije. - Z drugiej strony śmierć zakończyłaby tę mękę oddychania. Byłem

przekonany, że w boku mam pełno tłuczonego szkła.

- Magia jest tu silniejsza, Jal, chyba sam czujesz, jak próbuje się wydostać? Prawie widzę, jak się jarzysz. - Błagalna nuta w głosie. Nie prosił dla siebie, nigdy tego nie robił, ale dla ostatniego ze swoich ziomków.

- Jezu! Wykończycie mnie! - Mocniej, niż było to konieczne, uderzyłem dłonią ranę Eina.

Moja ręka zapłonęła natychmiast oślepiającym blaskiem, ból stał się agonią, a na to, co działo się z moimi żebrami nie było słów. Prawie od razu cofnąłem dłoń, dysząc ciężko i przeklinając, tocząc z ust ślinę i krew.

- Dobra. Teraz Tuttugu. -I znów poczułem, że jestem ciągnięty. Jednym okiem widziałem, jak Ein z trudem się podnosi, a potem obmacuje miejsce, gdzie nóż wślizgnął mu się pod żebra. Na zakrwawionej skórze nie było nawet zadrapania.

Snorri puścił mnie przy Tuttugu. Popatrzyliśmy na siebie z małym Wikingiem, ale obaj byliśmy zbyt słabi, żeby cokolwiek powiedzieć. Grubasek, blady z urodzenia, teraz był biały jak śnieg. Snorri odwrócił go bez wysiłku, a kiedy odjął mu dłoń od rany, prawie jęknąłem.

- Fatalnie z nim, Jal. Tę ranę musisz uleczyć. Reszta może poczekać, ale ta się zatruje. Trzewia też są przecięte.

- Nie dam rady. - Łatwiej by mi przyszło przebić sobie nożem rękę albo napchać do ust gorących węgli. - Nie rozumiesz...

- On umrze! Wiem, że dla Arnego było za późno, ale tu, to powolna śmierć. Możesz ją powstrzymać.

Snorri mówił, a jego głos przepływał obok. Tuttugu milczał. Spoglądaliśmy na siebie, obaj leżąc na zimnej kamiennej posadzce, zbyt słabi, żeby się poruszyć. Przypomniałem sobie, jak na zboczu mówił mi, że uciekłby z każdego pola bitwy, gdyby tylko miał dłuższe nogi. Bratnia dusza, pogrążona w lęku prawie tak samo głęboko jak moja, ale nie powstrzymało go to przed wyruszeniem na wyprawę wojenną do Czarnej Warowni.

- Zamknij się. -I Snorri zamilkł.

Ein podszedł do nas. Poruszał się ostrożnie, jak starzec.

- Nie dam rady. Naprawdę. - Wskazałem wzrokiem wolną dłoń. W drugiej wciąż z jakiegoś tajemniczego powodu ścisnąłem miecz. Pewnie rękę skleić mi krew. - Nie dam rady. Ale nikt nie powinien iść do Walhalli z burdelową wysypką. -I znów skierowałem wzrok na rękę.

Wreszcie Ein pojął, o co mi chodzi. Zaciąłem zęby, zwarłem powieki, zacisnąłem, co dało się zacisnąć, a wtedy Ein ujął moją dłoń i położył ją na ziejącej ranie w brzuchu Tuttugu. Przy tym, uleczenie Eina okazało się fraszką.



Ocknąłem się w ciepłe ognia. Bok bolał mnie jak diabli, ale ciepło było tak przyjemne, że kiedy nie poruszałem żadnym mięśniem, było mi prawie dobrze.

Powoli i inne urazy zaczęły dawać o sobie znać. Pulsowanie w udzie, klucie w ramieniu, zakwasy w każdym mięśniu, który potrafiłem nazwać i w tych, których nazw nie znałem.

Otworzyłem oczy.

- Gdzie Snorri?

Ułożyli mnie na stole, blisko ognia. Ein i Tuttugu siedzieli przy palenisku. Tuttugu mocował łupki na kolanie, a Ein ostrzył topór. Obaj zdążyli oczyścić i pozszywać pomniejsze rany.

- Pali poległych. - Tuttugu wskazał na drzwi wyjściowe. - Buduje stos na murach.

Spróbowałem usiąść, ale opadłem z powrotem, przeklinając.

- Ale przecież nie ma drewna? Czemu nie zostawił ich, żeby zamarzli?

- Znalazł skład z opałem, poza tym powyłamywał drzwi z zawiasów i pozdejmował okiennice.

- Ale po co? - zapytałem, niepewny czy chcę usłyszeć odpowiedź.

- Przez to, co nadciąga ze Srogich Lodów - odparł Ein. - Nie chce, żeby ich ciała powstały przeciwko nam. - Nie wspomniał, że są wśród nich jego trzej ostatni bracia, ale jego mina mówiła sama za siebie.

- Przecież jeśli zamrzną, nie będą mogli... - Znów spróbowałem usiąść. Siedzenie to ważny etap na drodze do uciekania.

- Mogliby nie zdążyć zamarznąć - odezwał się Tuttugu.

- A Snorri nie chce, żeby coś ich później sprofanowało... - Ein odłożył oselkę i zaczął podziwiać swoje dzieło w świetle płomieni.

Poczułem, jak krew ścina mi się w żyłach. To „później” nie brzmiało optymistycznie. Zwłoki powinny zamarznąć w ciągu nocy na kamień.

- Spodziewamy się kłopotów... przed świtem...? - Starłem się, żeby nie zabrzmiało to płaczliwie. Nie udało się.

- „My” nie. Snorri tak twierdzi. Mówił, że nadchodzą. - Tuttugu zacisnął bandażę i aż jęknął z bólu.

- A skąd to wie? - I znów, czując jak chrzęszczą mi żebra, podjąłem próbę siadu. Strach dodał mi sił. Udało się.

- Podobno mrok mu powiedział. - Ein odstawił topór i popatrzył na mnie. - A jeśli nie uda mu się zakończyć tego w ciemności, ty będziesz musiał zrobić to w świetle.

- To... - Spuszczałem właśnie nogi z blatu i ból zaparł mi dech w piersiach. - To szaleństwo. Jak tylko znajdzie żonę i syna, idziemy stąd. - Pomiąłem kwestię „żywych czy martwych”. - Złamane Wiosło nie żyje. Już po wszystkim.

Nie chcąc, żeby zaprzeczyli, pokuśtykałem do wyjścia. Smugi krwi, teraz już ciemnoczerwone, czerniejące, wskazywały mi drogę. Nie pojmowałem, skąd Snorri wykrzesał jeszcze energię, żeby wywlec trzydzieści trupów długim korytarzem, a potem na mury, ale wiedziałem, że nie znajdzie ani tyle paliwa, ani sił, ani czasu na to, by spalić także martwych, zmrożonych wojowników Olaafa Rikesona.

Schody na wieżę były śliskie od zamarzającej krwi kapiącej po stopniach. Otworzywszy drzwi, wyszedłem w noc rozświetloną potężnym ogniem, którego języki wiatr unosił za blanki. Mimo ogromnych płomieni, dwadzieścia jardów od stosu mróz aż szczypał. Z murów rozciągał się widok na krajobraz, przestrzeń wrogą tak ludziom, jak każdej żywej istocie.

Snorri stał na tle jaskrawego piekła. Niektóre ciała i drwa odcinały się ciemno od żaru, inne wtapiały w ogień. Nawet silny wiatr nie był w stanie rozgonić zapachu pieczonego mięsa. Parapet spływał tłuszczem, płonące strumyki spęływały w dół murów.

- Już po wszystkim? - Musiałem podnieść głos, żeby przekrzyczeć trzask ognia i wycie wiatru.

- Nadchodzą, Jal. Umarli ze Srogich Lodów, nekromanci, którzy ich prowadzą, Edris i reszta ludzi Złamanego Wiosła. - Zamilkł na chwilę. - Nienarodzeni.

- Co więc tu jeszcze robisz? - wrzasnąłem. - Szukaj żony i dziecka, a potem uciekajmy. - Pomiąłem fakt, że ledwie powłóczyłem nogami, idąc korytarzem, a dzieciak z pewnością nie dałby rady pokonać Wyżyn. To były niewygodne prawdy. Poza tym kobieta i dziecko pewnie już nie żyli, a ja wolałem zginąć podczas próby wydostania się stąd, niż stawić czoła nekromantom i ich potworom.

Snorri odwrócił się i spojrzał na mnie czerwonymi od dymu oczyma.

- Wracajmy do środka. Wypowiedziałem już słowa, a płomień zabiorą ich do Walhalli.

- No chyba nie Złamane Wiosło i jego sukinsynów?

- Nawet ich. - Snorri spojrzał przez ramię na stos i uśmiechnął się lekko

rozbitymi wargami. - Polegli w bitwie, Jal. To wystarczy. Gdy staniemy zbrojnie przeciw jotün i jotnär podczas Ragnaroku, każdy wojownik, w którego żyłach płynie ogień będzie w naszych szeregach.

Szliśmy ramię w ramię, Snorri dopasował swoje tempo do mojego, ślimaczego, kiedy kuśtykałem po schodach w dół. Potknąłem się i do samego dołu zużyłem już cały zapas znanych mi przekleństw.

- Nie możemy tu zostać, Snorri.
- A znasz lepsze miejsce niż twierdza, kiedy nadciąga wróg?

Miał rację.

- Ile byłem nieprzytomny? Ile czasu nam zostało?
- Za dwie godziny zaczniesz świtać. Przybędą wcześniej.
- Co zrobimy? - Już sam Złamane Wiosło był wielkim wyzwaniem. Nie miałem ochoty czekać na to, co przeraziło takiego potwora jak on.
- Zabarykadujemy się na odwachu. Będziemy czekać.

Choć podobał mi się pomysł pasywnej obrony, nie pasowało to do Snorriego. Przecież nawet jego imię oznaczało atak. Ukrywanie się pachniało uznaniem porażki. Ale przecież Snorri był wykończony. Nie mogłem go uleczyć, tak jak nie mogłem uleczyć samego siebie. Już nawet ta bliskość, kiedy szliśmy ramię w ramię, powodowała nieprzyjemne napięcie energii. W odległości jarda od niego czułem na skórze mrowienie, jakby w szpiku kości czułem to pęknięcie, które Milcząca Siostra sprowadziła magią na świat -pomiędzy światy. Jakby to pęknięcie chciało się wydostać. Wyrywało się ze mnie, pragnąc połączyć się z mrocznym bratem zamkniętym w Snorrim, spleść się i biec po horyzont, rozłupując wszystko, aż cały świat stanąłby w gruzach.

Pomieszczenia wartownicze składały się z kilku izb, z których leżąca najbardziej na froncie oferowała widok na przedbramie. W każdym razie jeśli otworzyło się okiennice i wychyliło przez parapet. Posiadała też trzy osłonięte dziury, przez które można było lać różne szkodliwe ciecze na szturmujących główne wrota. Tak blisko Srogich Lodów wystarczyłaby zwykła woda. W izbie znajdowało się palenisko, po obu stronach którego leżał zapas drewna i dwa wiadra węgla. Tuttugu i Ein zabrali się za rozpalanie ognia. Obaj poruszali się niezbornie, jakby zeszytniali od ran. Tuttugu zrobił sobie kule z włóczni i fragmentów mebli i płaszcza, ale widać było, że nie pokona z ich pomocą dłuższej drogi. Nasze siły bitewne ograniczały się do Snorriego i Eina, których też osłabiły rany. Z Tuttugu nie bylibyśmy w stanie razem pokonać nawet dwunastolatka uzbrojonego w patyk.

Drzwi i okiennice były masywne, zamykane na wysmarowane olejem zasuw i sztaby.

- Przejdą ponad murami - stwierdziłem.
- Nie umarli. - Snorri poruszał ramionami, żeby je rozprostować. Miał ze sobą topór Złamanego Wiosła, a raczej, jak przypuszczałem, swój własny,

darowany przez ojca, odebrany Hardangerowi.

- Ale ludzie Złamanego Wiosła tak. - I Edris. Nie wiedziałem dlaczego, ale najemnik wzbudzał we mnie większy lęk niż Wikingowie.

- Wątpię, by mieli ze sobą liny, a tym bardziej haki. Ale to możliwe. - Snorri wzruszył ramionami. - Nie uda nam się obstawić murów. Jest nas dwóch, więc przypuszczają szturm w trzech miejscach naraz. Przejdą albo nie. Tak czy owak będą wystawieni na mróz. Będziemy ich obserwować z góry z wartowni i w razie czego postanowimy, co robić.

- Ale jest ciemno.

- Jeśli przybędą nocą, będą mieli ze sobą światło, prawda? Ci, którzy mogą się wspinać nie mogliby tego robić po ciemku. Nie wiem w jaki sposób widzą umarli, czy potrzebują oświetlenia, ale ci, których widziałem w Ośmiu Przystaniach byli podobni do tych z Chamo-Nis. Nie zdołają wspiąć się na mury.

- A nienarodzeni?

- Zobaczymy, jak przyjdą. - Gwałtownym machnięciem topora przeciął powietrze.

* * *

Na mnie i Tuttugu spadło trzymanie warty na tarasie wartowni, na zmianę. Nie było sensu kazać odmrażać sobie tyłki ludziom, którzy mogli jeszcze jako tako walczyć. Pierwszy straż pełnił Tuttugu. Mogłem się tylko domyślać, ile kosztowało go wspięcie się po schodach ze strzaskanym kolanem. Godzinę później, kiedy wykuśtykałem na górę po spiralnych schodach, zastałem go opatulonego w futra, a mimo to sinego i półprzytomnego z zimna. Ein przyszedł, żeby pomóc mu zejść.

Stałem na tarasie, w ciemnościach, wokół wył wicher, a ja widziałem jedynie ogień na murach w pobliżu wschodniej wieży. Siedziałem w ciepłe zaledwie parę godzin, ale mróz na zewnątrz był dla mnie szokiem. Dziwiłem się, jak mogliśmy wytrwać w takiej temperaturze przez tyle dni.

Chodziłem na oślep w kółko po platformie, a umysł płatał mi figle. Słyszałem głosy niesione wiatrem, a z mroku wylaniały się twarze z przeszłości. Wyobrażałem sobie Milczącą Siostrę, jak stoi na lodzie, a wiatr szarpie jej łachmanami. Okrążała Czarną Warownię, malując zaczarowane znaki. Powinna tu być, starucha. W końcu to ona nas tu sprowadziła, choć nadal zagadką dla mnie pozostawało, jak zdołała to uczynić. Ale to była jej wina. Kiedyś powiedziałbym, że ta starucha z bielmem, paląca ludzi w ich własnych domach, to zło wcielone. Ale niewykluczone, że każdy pożar wybuchał tam, gdzie znajdował się nienarodzony albo jakiś inny sługa Martwego Króla. Ludzie ginęli prawdopodobnie przypadkowo. Albo byli przynętą.

Jako księcia uczono mnie, że przeciwieństwem dobra jest zło. Pokazywano mi dobro, w kawaleryjskim honorze, i zło, rogate, nurzające się w podłości. Zawsze

zastanawiałem się, gdzie ja plasuję się w tym wzorze, mały Jalan, stworzony z niskich pragnień, pustych żądz, niczego tak wielkiego jak zło, niczego bliższego dobru niż jego imitacja. A teraz okazało się, że ślepa wiedźma, potwór z dziecięcych snów, jest moją praciotką. A jeśli prawuj Garyus był prawdziwym królem, Milcząca Siostra, starsza od mojej babki, musiała być następna po nim w kolejce do tronu.

Przetarłem oczy, wciskając knykcie w szczelinę w osłonie twarzy, usiłując zetrzeć z nich znużenie i zmęczenie. Zamrugalem, żeby wyraźniej widzieć. Na tle czarnej lodowej pustki tańczyły skry ze stosu. Ale niektórych nie zdmuchiwał wiatr. Jeszcze raz zamrugalem, ale nie zniknęły.

- O cholera! - Ledwie udało mi się poruszyć zmarzniętymi wargami.

Latarnie.

Nadchodzili.



Snorri

obserwował nadchodzących przez szczelinę w uchylonej okiennicy. Nawet siedząc przy ognisku, czułem lodowate ostrza wiatru.

- Podchodzą pod główną bramę.
- Ilu? - zapytałem.
- Dwa tuziny, może paru więcej.

Spodziewałem się armii, ale taka garstka miała sens. Sprowadzenie tu wielkiej liczby wojowników i ich aprowizacja byłaby ogromnym przedsięwzięciem i całkiem niepotrzebnym, skoro to trupy wykonywały większość robót. To jednak kazało mi się zastanowić nad kwestią jeńców. Mężczyzn sprzedali na południu. Jakoś do tej pory nie przyszło mi to do głowy, ale skoro potrzebowali niewolników do kopania w lodzie... To dziwne, przecież zabiliby z pewnością każdego pojmanego, zmieniając go w trupa - lepszego do tej roboty, niezmordowanego, nie wymagającego żywienia.

- Nie ma żadnych jeńców! - Wypowiedziałem to na głos, nie szepnąłem, nie wykrzyknąłem, po prostu stwierdziłem.

- I oddział złożony z około pięćdziesięciu martwych, za nimi. W każdym razie tyle widzę w blasku ich świateł, ale idą raczej zwartą grupą - raportował Snorri. - Możliwe, że pomiędzy nimi są też nekromanci i wyspiarze, trudno powiedzieć.

- Co... - Nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów. -Dlaczego... - Skoro nie było jeńców, to gdzie Freja i Egil?

- Podeszli do bramy. - Snorri podszedł do środkowej dziury w podłodze. - Olej.

Ein zdjął z ognia wiadro z olejem i zaniósł je, trzymając na szczypcach. Najwyraźniej wrzątek zamarznąłby po drodze na dół i obsypał szturmujących kryształkami lodu.

Trzy stłumione łupnięcia do wielkiej bramy. Snorri zdjął osłonę z otworu, a Ein przechylił wiadro. Kiedy je opróżnił Snorri zakrył z powrotem otwór, tłumiąc krzyki.

- Co teraz? - Oczy Tuttugu były jak spodki. Grubas najwyraźniej doszedł

do siebie na tyle, żeby się bać.

- Jal, idź na taras, obserwuj ich - powiedział Snorri.

- Jeśli nie co innego, to zabije mnie to bieganie po schodach. - Pokręciłem głową, ale najszybciej, jak mogłem, wspiałem się po krętych stopniach.

Z góry zobaczyłem to, co opisywał Snorri. I nic poza tym. Może nie było ich więcej? Z bijącym sercem, trzęsąc się z zimna i strachu na myśl o tym, co mogło kryć się w ciemnościach, obszedłem wieżę. Nic. Żadnego więcej światła. Dręczyło mnie to i to podwójnie, po pierwsze generalnie, a po drugie z jakiegoś powodu, którego nie umiałem wyjaśnić.

Przez długie minuty słychać było wycie wichru. Wikingowie stłoczyli się pod osłoną załomu w murach, umarli stali za nimi, nic się nie poruszało. Uczucie lęku narastało we mnie, choć nie trzeba mi było do tego nieokreślonego źródła. Za murami stały martwe stwory, które chciały, byśmy podzielili ich stan - tylko szaleniec by się nie bał.

Ponieważ widoczne były tylko ich światła, właśnie je obserwowałem. Zastanawiałem się przy tym, jak to możliwe, że mogłem je wziąć za węgle czy skry ze stosu rozwiewane przez wiatr. Najwyraźniej umysł spędza połowę czasu na oszukiwaniu swojego właściciela. Chyba że to ja oszukiwałem samego siebie... Przyjrzałem się światłom baczniej, a potem uderzyłem się dłonią w czoło. Ludzie nie robią tego często, kiedy spłynię na nich nagłe olśnienie, a tym bardziej w samotności. Ale ja to uczyniłem. A potem zbiegłem po schodach, pokonując po dwa, trzy stopnie, przeklinając z bólu przy każdym susie.

- Co? Co się dzieje? Co zobaczyłeś? - Cała trójka przypadła do mnie, kiedy wylądowałem na dole zgięty w pół z bólu, usiłując złapać oddech.

- Dajcie mu miejsca. - Snorri odstepił ode mnie pierwszy.

- Ni... - Rana na nodze otworzyła się pomimo szwów, które Ein założył mi, gdy spałem. Po nodze spływała mi krew.

- Co widziałeś? - dopytywał się blady jak prześcieradło Tuttugu.

- Nic. - Wyrzuciłem z siebie i zaczerpnąłem oddechu.

- Co? - Spojrzeli na mnie zbici z tropu.

- Nic - powtórzyłem. - Nic oprócz latarni Hardangerów.

Nadal nie pojmowali.

- Na murach nie ma ognia. - Wskazałem mniej więcej w stronę stosu.

- Przecież nie mógł zgasnąć - stwierdził Ein. - Powinien się żarzyć jeszcze jutro o tej porze.

- Właśnie - przytaknąłem. Kiedy zszedłem z wieścią o nadchodzących wrogach, dziesięciojardowej szerokości stos palił się wysokim płomieniem.

- Pójdę sprawdzić. - Ein zabrał latarnię z gzymsu nad paleniskiem i podszedł do masywnych drzwi prowadzących na korytarz, gdzie znajdowała się reszta pomieszczeń. Zatrzymało go łomotanie na dole. Brzmiało bardziej jak taran

niż walenie tarcz o drewno, które słyszeliśmy wcześniej.

- Tuttugu! Olej! - zawołał Snorri i odsłonił dziurę nad bramą. Spojrzał w dół i zmarszczył brwi. - Tam nikogo nie...

ŁUP!

Poderwał głowę.

- Na Hel! To tu! - Snorri rzucił się ku Einowi, który stał plecami do drzwi.

- Zaraz sprawdzę... - Głos Eina utonął w huku rozłupywanego drewna.

Wiking zachwiał się. Z jego brzucha sterczało coś ostrego, grubego, zakrwawionego. Ułamek sekundy później drzwi wypadły z zawiasów, a koszmar, który się za nimi krył, strząsnął z ostrej kończyny nabite na nią skrzydło drzwi i Eina.

- Jezu! - Wrzask. Coś ciepłego popłynęło mi po nogach. Chciałbym powiedzieć, że to była krew. Przejście na korytarz blokowała tocząca się masa stopionego, pocerniałego mięsa przetykanego kośćmi. Tu i ówdzie widać było hełm, czaszkę, a wszystko nadal dymiło. Cuchnące szczątki ugaszonego stosu, zebrane i zespolone w coś, co najbardziej przypominało rozkładającego się gigantycznego ślimaka.

Snorri wyminął mnie, rycząc i wywijając toporem. Kawałki ciał zaczęły fruwać po izbie. Odór powalił mnie na kolana, zwymiotowałem. Większość rzygowin wleciała w dziurę nad bramą, ale na dole nie było nikogo. Ryk Snorriego rozbrzmiewał jeszcze przez chwilę, akcentowany rytmicznymi łupnięciami z dołu.

Kiedy wreszcie podniosłem głowę, Snorri stał przy drzwiach, a w korytarzu piętrzył się koszmar, wlewając się częściowo do wartowni. Ein tonął w masie po pas. Snorri jeszcze raz na wszelki wypadek sieknął breję toporem, ale już się nie poruszała.

- Już po wszystkim - powiedział Tuttugu nerwowo, podskakując przy palenisku na zdrowej nodze.

Ledwie zamknął usta, a leżący na ziemi Ein poderwał głowę. Spoczęły na mnie oczy, podobne do tych, które widziałem w górach Rhone, pałające takim samym niemartwym głodem. Wargi trupa poruszyły się, ale Ein nie miał szans nic powiedzieć, bo Snorri jednym ruchem topora odrąbał mu głowę.

- Wybacz, bracie. - Chwycił za włosy odciętą głowę i cisnął ją w ogień.

- To jeszcze nie koniec - powiedziałem. Stos Snorriego był dużo większy niż to, co nas zaatakowało.

Jakby na potwierdzenie brama na dole rozpadła się w drzazgi. A raczej uchwyty utrzymujące antaby zostały wyrwane ze skrzydeł. Dwóch ludzi mogło bez trudu otworzyć wrota, ale nieżywa masa poruszana wolą nekromantów nie posiadała inteligencji, więc po prostu uderzała w belkę, aż ta odpadła. Wykonawszy zadanie, rozlała się, podobnie jak siostrzana masa w korytarzu.

- Co teraz? - Pragnąłem gdzieś uciec.

- Teraz uciekamy - odpowiedział Snorri.

- Dzięki Bogu! - To nic, że ledwo kuśtykałem. Zatrzymałem się jednak i spojrzałem na niego. Ucieczka z pola bitwy wydawała się w przypadku Wikinga potwierdzeniem ostatecznego poddania się. - Ale gdzie?

Snorri już otwierał drugie drzwi, te po lewej, które wiodły do innych pomieszczeń wewnątrz murów, z dala od tych, gdzie walczyliśmy z ludźmi Złamanego Wiosła.

- W śródszańcu jest umocniona izba. Żelazne drzwi, wiele zamków. Musimy przetrwać do rana. - Ruszył lodowatym korytarzem, a z jego ust unosiły się kłęby pary.

- Ale dlaczego? - krzyknąłem za nim, usiłując go dogonić. Byłem za uciekaniem i ukrywaniem się, ale miałem nadzieję, że istnieje ku temu lepszy powód, niż tylko odwleczenie nieuniknionego. Za moimi plecami rozlegał się stukot kul Tuttugu, starającego się za nami nadążyć.

- No? - wydyszałem sto jardów dalej. Snorri czekał na nas u szczytu schodów. Popatrzył poza mnie na kuśtykającego Tuttugu. - Szybciej!

- Dlaczego?! - Omal go nie złapałem.

- Bo nie możemy zwyciężyć. Nie w ciemności. Może rankiem ta magia, te istoty... może za dnia będą słabsze.

A może nie. Tak czy owak, przynajmniej zginiemy w świetle dziennym. - Zamilkł na moment. - Nie obchodzą mnie dary Aslaug. Nie chcę się stać tym, kogo chce ze mnie uczynić. - Szeroki uśmiech. - Wkroczyliśmy do Walhalli z twarzami opromienionymi słońcem.

Snorri przerwał, dając mi szansę na odpowiedź. Ja jednak mogłem tylko powiedzieć, że moim zdaniem słońce zastanie nas pogrzebanych w schronie, wewnątrz śródszańca. Ugryzłem się w język. Snorri uśmiechnął się znowu, tym razem nieco nieśmiało, a potem zaczął schodzić na dół. Szedłem za nim, przeklinając śliskie stopnie, choć Tuttugu z pewnością schodziło się jeszcze trudniej.

Drzwi na dziedziniec przymarzły. Snorri otworzył je siłą i czekał na nas. Po dziedzińcu hulał wiatr.

- Jak się tam dostaniemy? - wydyszałem.

- Zabrałem klucze Svenowi Złamane Wiosło. - Snorri poklepał kaftan. - Już tam byłem. Pootwierałem wszystko. Musiałem sprawdzić... - Osłonił latarnię, żeby nie widać było jej blasku. Tuttugu zrobił to samo ze swoją, kiedy pokonał schody i dołączył do nas na dole, zasapany jak miech kowalski.

Wyszliśmy na zewnątrz. W ciemnościach widać było tylko punkty świateł Czerwonych Wikingów przy bramie. Miałem nadzieję, że w pierwszej kolejności pójde sprawdzic sale zajmowane przez towarzyszy oraz magazyny. Bez jedzenia i opału czekała ich śmierć. Twierdza czy nie, Srogie Lody zabiłyby ich szybko.

- Idziemy. - Snorri ruszył przodem.
- Zaraz! - Nie widziałem go. Mogliśmy się pogubić w tych ciemnościach.

Do świtu została godzina, ale na niebie nie było śladu zarania.

Tuttugu wkuśtykał pomiędzy nas i położył rękę na ramieniu Snorriego.

- Trzymaj się mnie, Jal.

Złapałem się go i zaczęliśmy iść gęsiego, na oślep, krusząc pod nogami lód.

Czerwoni Wikingowie mogli być zajęci organizacją swoich stanowisk, ale mnie bardziej martwiły stwory, które przybyły z nimi do twierdzy. Noc zdawała się przesycona grozą, wiatr przemawiał innym tonem, jeszcze zimniejszym i bardziej zabójczym niż wcześniej, choć nie sądziłem, że to możliwe. Parliśmy naprzód przez rozległy dziedziniec, a przy każdym kroku spodziewałem się, że poczuję czyjaś dłoń na *moim* ramieniu.

Czasami nie zdajemy sobie sprawy z własnych lęków, choć *moim* zdaniem umysł robi w ten sposób miejsce dla strachu przekraczającego naszą wyobraźnię. Kiedy dotarliśmy do śródszańca, Snorri włożył wielki klucz do zamka drzwi osadzonych w portalu, tak ogromnych, że można było przez nie przejechać wozem. Z wysiłkiem przekręcił klucz. Bałem się, że zamek będzie zamarznięty, ale to znów odezwały się moje lęki - w końcu twierdzę budowali ludzie znający tutejsze zimy.

Snorri wprowadził nas do środka, zamknął drzwi na klucz i odsłonił latarnię. Przez chwilę staliśmy, spoglądając po sobie, wpatrując się w blade, umazane krwią twarze towarzyszy, przed którymi oddechy tworzyły ulotne białe zasłony.

- Idziemy. - Snorri poprowadził nas przez opustoszałe pomieszczenia, kolejne drzwi, schody - im głębiej w budynku, tym mniej oblodzone. Mijaliśmy duże sale, a cienie chygotały wokół nas w rytmie kołyszących się latarni. Wędrowaliśmy w smolistej czerni otoczeni bańką nieśmiałego blasku. Nasze kroki odbijały się od zimnych, nagich ścian. Wydawało się, że robimy bardzo dużo hałasu. Odepchnąłem cisnącą mi się w umysł frazę „głośno, że martwego by obudził”. Boczne korytarze otwierały czarne paszczęki, kiedy je mijaliśmy. Wreszcie dotarliśmy do łuku, za którym biegł długi tunel. Na jego końcu znajdowały się uchylone żelazne drzwi.

- To tu. - Snorri wskazał je toporem. - To nasz schron.

Wybawienie! W najgorszych czasach nawet chwilowe wybawienie jest błogosławieństwem. Zerknąłem przez ramię przekonany, że z mroku za naszymi plecami w każdej chwili może wyłonić się jakiś potwór. - Szybko!

Snorri wbiegł do tunelu i przy wtórze skrzywienia zawiasów, otworzył drzwi szerzej, przepuszczając nas do środka. Przed nami rozciągał się kolejny korytarz, wąski, przegrodzony kilkoma parami drzwi. Tamte także Snorri pootwierał podczas wcześniejszej wizyty. Na szczęście, bo inaczej musielibyśmy zмагаć się teraz z zamkami, poganiami napierającymi z tyłu cieniami. Kiedy zatrzasnął za nami pierwsze skrzydło, odetchnąłem z taką ulgą, że nogi się pode mną ugięły. Szczęk

klucza w zamku i zasuwanych sztab brzmiał jak muzyka dla moich uszu.

Zastanawiałem się, gdzie są przetrzymywani Freja i Egil. Miałem nadzieję, że w jakimś bezpiecznym miejscu. Nie podzieliłem się tymi myślami ze Snorrim w obawie, że znów pójdzie ich szukać. Jeśli przetrwali do tej pory, dadzą radę jeszcze trochę, uspokajałem się w duchu. Wyobrażałem ich sobie oczyma wyobraźni, nakładając na imiona obraz, jaki nakreślił mi Snorri. Freja zaradna, zdeterminowana... Nie poddałaby się, nie zwątpiła w męża, nie, póki żył ich syn. Chłopiec - chudy, piegowaty, ciekawski. Widziałem, jak się uśmiecha - podobnie jak jego ojciec - i płata figle w wiosce. Nie potrafiłem wyobrazić sobie ich tutaj, nie chciałem myśleć, co to miejsce z nimi zrobiło.

Przez chwilę stałem oparty o ścianę, zaciskając powieki i usiłując wmówić sobie, że ten ziemisto-trupi zapach to tylko wytwór mojego umysłu. Może nawet tak było, a może pogoń była bliżej, niż sądziliśmy, ale tak czy inaczej cieszyłem się, że te drzwi były zamknięte. Drzwi to dobra rzecz. Pionowe i poziome sztaby - jeszcze lepsza.

- Idziemy. - Ponaglił mnie gestem, ostrożnie, żeby przypadkiem nie dotknąć. Powietrze pomiędzy nami aż iskrzyło od magii, a moja skóra jaśniała tak, że prawie mogłem zastąpić lampę. Dostępu do schronu broniło jeszcze czworo drzwi. Snorri zamknął je wszystkie na klucz i zabezpieczył sztabami na wypadek, gdyby wróg miał zapasowe klucze.

Kiedy zamknęły się za nami ostatnie, opadliśmy na stosy worków pod ścianami. W świetle latarni widać było niewielkie, kwadratowe pomieszczenie bez okien i z jedynym wejściem, które właśnie zabezpieczyliśmy.

- Co to za worki? - zapytał Tuttugu, poklepując ten, na którym siedział.
- Czarna kukurydza, mąka, sól. - Snorri wskazał na dwie beczułki. - Kruszony lód i whiskey.

- Z takimi zapasami można tu przeżyć z miesiąc! - Spróbowałem sobie to wyobrazić.

- Świt. Chcemy dotrzeć do świtu. Rankiem zaatakujemy. - Snorri zacisnął ponuro usta.

Jakkolwiek miałem ochotę się z nim sprzeczać, miał rację. Nie czekało nas ocalenie, nie mogliśmy liczyć na posiłki. W końcu i tak by się tu dostali, albo umarlibyśmy z głodu, we własnym brudzie. Mimo, że zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawę, wiedziałem, że kiedy dojdzie do opuszczenia schronu, stawienia czoła nienarodzonym, będą musieli wyciągać mnie stąd siłą. Wolałbym poderżnąć sobie żyły i zakończyć sprawę.

- Co tam się dzieje, Snorri? - Położyłem się i zapatrzyłem w tańczące na suficie cienie. - Aslaug ci powiedziała? Mówiła, co widzi tam, w mroku?

- Są z nimi nienarodzeni. Może tuzin. I najgorszy z nich, Nienarodzony Kapitan. Prawa ręka Martwego Króla tu, na północy. Wszyscy wykopują armię,

gotują się na wojnę, którą planuje. Oddziały wojowników to tylko dodatek. Naprawdę szukają klucza Rikesona. Nie Rikeson go stworzył. Aslaug mówiła, że zabrał go Lokiemu podstępem. W każdym razie Loki chciał, żeby tak to wyglądało. Tak naprawdę to Loki podstępem nakłonił go do zabrania klucza.

Tuttugu ułożył wygodnie nogę i okrył się futrami. Zmarszczył nos, zniesmaczony zapachem.

- Baraquel nie mówi mi nic przydatnego. Pewnie najlepsze tajemnice zdradza się właśnie nocą. - Nie przejmowałem się tą całą gadaniną Aslaug o Lokim. Wydawało się, że głosy światłości i mroku, które do nas przemawiały, kształtowane są naszymi wierzeniami. Dzięki temu stawało się jasne, dlaczego informacje dla Snorriego wplecione są w pogańskie legendy, zaś ja otrzymywałem ich prawdziwą wersję, z ust anioła podobnego do tych, które widywałem na witrażach w katedrze w Vermillionie.

Vermillion! Boże, jakże bardzo chciałem tam wrócić. Pamiętałem ten dzień, kiedy opuściłem miasto, szalony dzień. Nie zdążyłem jeszcze zjeść śniadania, a Czerwona Królowa wezwała nas, swoje wnuki i kazała wysłuchiwać... Czy przypadkiem, kiedy moje znużenie osiągnęło szczyty, nie wspominała, między zadaniami, misjami, obowiązkami, czegoś o poszukiwaniu... klucza?

- Śmierdzi, jakby coś tu wpełzło i zdechło. - Tuttugu wyrwał mnie z zadumy. Pociągnął nosem i łypnął na mnie podejrziwie.

Zbyłem go machnięciem ręki. Fragmenty w mojej głowie zaczynały układać się w całość. Czerwona Królowa opowiadała o drzwiach, takich istniejących, materialnych. Kto chciałby otworzyć te drzwi?

- Martwy Król...

- Jal - przerwał mi Tuttugu.

- Myśle! - Ale drzwi do zaświatów nie dało się otworzyć, bo zamek nie posiadał... - Klucz Lokiego otwiera wszystko!

- Jal! - Snorri zerwał się na równe nogi. - Padnij!

Na ramiona opadł mi pusty worek. Rzuciłem się do przodu nie myśląc o bólu. Usłyszałem szmer przesypującego się ziarna. Grobowy zapach zgęstniał, stał się nieomal materialny.

- Nie! - Tuttugu runął z toporem na coś, coś wyłoniło się za moimi plecami. Wyrznąłem o ziemię, a świat rozbłysnął w eksplozji bólu połamanych żeber. Młasczące łupnięcia i przez szpary powiek ujrzałem, jak gruby Wiking przelatuje przez pomieszczenie i z okropnym chrupnięciem uderza o ścianę. Nie miałem wątpliwości, że już nie wstanie.

Przetoczyłem się i spojrzałem prosto na nienarodzonego, który prostował właśnie długie, chropowate ramiona, rozrzucając pełne i puste worki, pod którymi był ukryty. Zwrócił ku mnie świeżo okrytą skórą czaszkę, której łysy, wilgotny czubek ocierał się o powagę. W jego oczach lśnił ten sam morderczy głód, który

nawiedzał mnie od początku podróży z Vermillionu, ale te ślepie różniły się od tych stworów z opery, brakowało im tej straszliwej wszechwiedzy.

Przewróciłem się na bok i zacząłem pełznąć do drzwi, uciekając przed zbliżającą się ręką o zbyt wielu kościach, zbyt luźno okrytych kawałkami ociekającego ciała.

- Jal! - Snorri skoczył do akcji. Jak to zawsze Snorri. Ciął toporem ramię, odtrącając je. Nienarodzony sięgnął ku niemu drugą ręką. Sierpowate szpony przecięły warstwy futer, skórę i zagłębiły się w mięśniach.

Prawie udało mi się dotrzeć do drzwi. Choć nie wiem, co zrobiłbym na miejscu. Chyba rozpaczliwie drapał żelazo. Nienarodzony oszczędził mi tego, wbijając pod żebra długi, brudny palec i odciągając do tyłu. Z całej siły opierałem się, miotając i wrzeszcząc. Głównie wrzeszcząc.

Snorri, skąpany we własnej krwi, zaatakował znowu. Nienarodzony złapał go w pól i uniósł z ziemi, kotwicząc w jego ciele szpony.

- Umieraj, sukinsynu! - Tak wycie, jak i oczy Snorriego zmroczały. Ostatkiem sił Snorri ver Snagason zamachnął się toporem ojca, unosząc ciężką broń do góry, obracając się dla dodania ciosowi impetu, mimo że tym samym naraził się na pogłębienie ran. Wreszcie ostrze opadło, wlekąc za sobą przez krąg światła czarne smugi. Łupnęło w głowę nienarodzonego i roztrzaskało czaszkę. Snorri z rykiem wyszarpnął żeleźce, rozbryzgując wokół szarą maź.

Nienarodzonym wstrząsnęły agonalne drgawki, puścił nas, miotał się przez chwilę, rozsypując ziarno, sól, strzępy worków, a w końcu zaczął znikać. Leżałem w kałuży krwi zasilanej strumieniem wypływającym z dziury, którą zrobił mi w boku stwór. Snorri podniósł się chwiejnie i zataczając się, zaczął iść w stronę nienarodzonego, wlekąc po posadzce topór.

Zanim jednak przebył dzielący ich dystans, z nienarodzonego zostały już tylko stare kości, skurczona, poczerniała skóra, a pośród tego mały czerwony strzęp. Wyglądał prawie jak dziecko. Snorri padł przy tym na kolana i zapłakał, jakby pękło mu serce.



- Mamy przesrane. - Uniosłem rękę, żeby otrzeć usta z krwi. Ramię wydawało się należeć do kogoś obcego, dźwignąłem je z wielkim trudem. Krwi było też za dużo. Musiałem przygryźć sobie język.

- Ano mamy. - Snorri położył się na workach, które natychmiast nasiąknęły krwią. Nogę miał wygiętą pod dziwnym kątem, zgiętą pod sobą, ale jeśli mu to przeszkadzało, nie miał siły, żeby coś z tym zrobić. Przykro było mi patrzeć na niego w tym stanie, wydrenowanego z woli walki. Snorri nigdy się nie poddawał. Tym bardziej nie poddałby się tak blisko żony i syna. Spojrzałem na niego ponownie, bez sił, wykrawającego się, pokonanego. I domyśliłem się.

- Powiedz. - Leżałem na workach, tak samo nasiąkniętych jak te jego. Nie zostało nam wiele czasu. Chciałem wiedzieć, czy kiedykolwiek miała to być wyprawa ratunkowa. Czy można było w ogóle uratować jego rodzinę. - Powiedz wszystko.

Snorri splunął krwią i otworzył dłoń, z której wysunął się topór.

- Złamane Wiosło, wtedy w tamtej sali, powiedziały mi wszystko. Gdy mnie schwytał powiedział, że lepiej, bym nie pytał i wystraszył mnie... Nie miałem odwagi, żeby zapytać jeszcze raz. A on milczał. - Snorri odetchnął powoli, głęboko. Miał strzaskaną kość policzkową, przez skórę przebijały się odłamki kości. - Ale tym razem, gdy przepełniała mnie Aslaug, kiedy wylupiałem mu oczy, zapytałem go. Tym razem odpowiedział. - Kolejny nierówny oddech Snorriego. Twarz mi zdrętwiała, policzki mrowiły, a oczy przepełniał żar. - Egila i resztę dzieci oddano nekromantom. Życie dzieci może być pożywką dla nienarodzonego albo dla liczkina, równie ohydnej istoty. - Znów oddech, przerywany. - Kobiety zabito i przemieniono w martwych kopaczy. Oszczędzono tylko kilka, w tym Freję.

- Dlaczego? - Może wcale nie chciałem tego wszystkiego wiedzieć. Życie wypływało ze mnie, tworząc na posadzce kałużę. Kusily mnie piękne wspomnienia, leniwych dni, słodkich chwil. Wolałbym ostatnie chwile spędzić na myśleniu o nich. Ale Snorri potrzebował to z siebie wyrzucić, a ja musiałem go wysłuchać.

Umieranie okazało się nie takie straszne, jak się obawiałem. Całymi latami wyobrażałem sobie różne rodzaje śmierci, przeżywałem je, a skończyłem leżąc na podłodze, słaby, prawie spokojny. Bolało, owszem, ale był przy mnie przyjaciel i nie bałem się. - Dlaczego - ponowiłem pytanie.

- Nie powiedziałem ci... - Snorriemu na chwilę zaparło dech w piersiach, jakby coś go zabolalo. - Nie mogłem. To nie było kłamstwo. Po prostu nie potrafiłem wypowiedzieć tych słów... czasami pewne rzeczy... to zbyt wiele...

- Rozumiem. - Naprawdę rozumiałem. Niektórych prawd nie da się wypowiedzieć. Niektóre wydostają się, jakby były nabite kolcami, haratają wnętrzości, kiedy wypycha się je przez usta.

- Freja... moja żona... - Przerwany wdech. - Freja była w ciąży. Nosila pod sercem nasze dziecko. Dlatego jej nie zabili. Żeby stworzyć nienarodzonego. Umarła, kiedy wycięli jej dziecko z łona. - Oddech wydostał się z jego płuc wraz z fontanną krwi, ból wyrwał się w urywanych jękach, takich, kiedy my, mężczyźni powstrzymujemy się przed płakaniem jak dziecko.

- W ciąży? - Tyle czasu nic nie powiedział. Nasza wędrówka była wyścigiem z losem dziecka, bez szansy na wygraną. Po policzku spłynęła mi łza, gorąca, ciężka, stygnąca szybko w mroźnym powietrzu.

- Właśnie zabiłem swojego syna. - Snorri zamknął oczy.

Przetoczyłem głowę po workach i jeszcze raz spojrzałem na płód pomiędzy strzępami, z których nienarodzony zbudował swoje ciało - jądro, cały potencjał, wypaczony, strwoniony przez coś, co nigdy nie żyło.

- Twój syn... - Nie zapytałem, skąd wiedział, że to on. Może więź między nimi pozwoliła wejść nienarodzonemu w jego umysł, kazała mu zastawić na nas pułapkę w schronie. Nie zapytałem o nic - zabrakło mi słów. Powiedziałem tylko jedno, to, które powinienem wypowiadać częściej w moim krótkim, pustym życiu.

- Przykro mi.

Przez jakiś czas leżeliśmy w milczeniu. Życie wyciekało ze mnie kropla za kroplą. Wydawało mi się, że powinien bardziej żałować, że je tracę.

Ciszę rozdarło zgrzytnięcie.

- Co do diabła? - Uniosłem odrobinę głowę. To brzmiało jak...

- Zawiasy! - Snorri podniósł się z trudem i podparł łokciami.

- Ale przecież pozamykałeś drzwi. - Od zgrzytu żelaza o żelazo aż zabolaly mnie zęby. - I zaryglowałeś.

- Tak.

I znów ten dźwięk, tym razem głośniejszy, bliżej.

- Jak to możliwe? - Mój głos zabrzmiał żywiej. I bardziej płacziwie, przyznaję. - Czemu ich nie wyważają?

- Mają klucz. - Snorri stęknął, sięgając po topór.

- Ale zakładałeś antaby, sam widziałem!

Kolejny zgrzyt, odgłos starego żelaza trącego o kamień -trzecie drzwi. Pozostały ostatnie. Wpatrywałem się w nie ze zgrozą.

- Klucz. Klucz Rikesona. Lokiego. Klucz, który otwiera wszystkie drzwi. - Snorri zdołał usiąść, śmiertelnie blady, drżący z wysiłku. - To Nienarodzony Kapitan. Musieli odnaleźć klucz pod lodem.

Zostały nam sekundy. Usłyszałem drapanie i na czarnym żelazie wykwitła rdza. Nagle w schronie zrobiło się zimniej, smutniej, jakby na ramiona spadło mi brzemień żalu. Cięższe, niż mogłem udźwignąć.

- Jal... To był zaszczyt. - Snorri wyciągnął ku mnie rękę. - Jestem dumny, że cię znalazłem. - Przesunął dłonią po ostrzu ojcowskiego topora, rozcinając skórę. - Zawrzyjmy braterstwo krwi.

- Cholera. - Żelazne sztaby odskoczyły z hukiem. -Wiedziałem, wiedziałem, że kiedyś wywleczesz to wikińskie gówno. - Drzwi zaczęły się otwierać, cal za calem, spychając na bok worki. - Ja również, Hauldrze Snagasonie. - Rozciąłem wnętrze dłoni mieczem, krzywiąc się z bólu i wyciągnąłem rękę ku Snorriemu.

Drzwi otworzyły się do reszty z hurkotem i zamierający blask naszych latarni oświetlił stojącego w progu Nienarodzonego Kapitana. Skulony w ciasnocie korytarza, był parodią ludzkiego kształtu, zniekształconego na wszelkie sposoby, ze sterczącymi na wszystkie strony kośćmi wokół twarzy, która wyrażała tylko ohydne żądze.

Gdzieś za murami Czarnej Warowmi, nad horyzontem pojawił się rąbek świetlistego słońca, rozpędzając nocne ciemności.

Powietrze pomiędzy mną i Snorrim trzasnęło i zaiskrzyło, kiedy nasze dłonie prawie się zetknęły. Moje ramię wypełnił blask tak jasny, że musiałem odwrócić wzrok. Ramię Snorriego poczerniało, stając się dziurą nicości w świetle, pożerającą światło, nie odbijającą niczego.

Nienarodzony rzucił się naprzód.

Złączyliśmy dłonie.

Świat rozpękł się na kawałki.

Noc splotła się z dniem.

Potem wszystko jakby wybuchło.

* * *

Magia Milczącej Siostry opuściła nas, mknąc ku swej ofierze. Huk wybuchów wstrząsał murami śródszańca, rozlegał się coraz dalej na zewnątrz, na dziedzińcu, a potem za murami obronnymi. Nienarodzony Kapitan istniał jeszcze мгновение. Dwie linie przebiegły przez niego, ciemna skrzyżowała się ze świetlistą i strzępy potwora zasłały korytarzyk. Szczeliny pobiegły dalej.

Siła wybuchu cisnęła nas na worki, rozrywając uścisk. Pozbawiony sił i woli,

leżałem tam, gdzie upadłem.

Pęknięcie rozpoczynało się na posadzce, w miejscu, gdzie skapnęła nasza zmieszana krew. Nagle to zakończenie zaczęło się posuwać, powoli, rozrywając kamień z trzaskiem pękającego lodu. Jaskrawa szczelina splatała się z czarną.

- Rany boskie! - jęknąłem. Jak umierać, to z grzechem na ustach.

Pęknięcie sunęło w moją stronę, oślepiając jasne, oślepiając ciemne. Zamrugalem, a pod powiekami ujrzałem zarys Baraęła ze złożonymi skrzydłami.

- Teraz wszystko w twoich rękach, Jalenie Kendethcie.

Przekląłem go, żeby zostawił mnie w spokoju i dał umrzeć.

- W twoich rękach. - Ciszej. Obraz też bladł.

Snorri usiłował wstać, podpierając się toporem. Nie wiem jakim cudem, ale powoli się podnosił - zbyt głupi, by wiedzieć, kiedy się poddać. Ale nie zamierzałem pozwolić jakiemuś hauldrowi z północy przyćmić księcia Czerwonej Marchii. Przetoczyłem się i klnąc, na czym świat stoi, oparłem sztych o nierówność pomiędzy płytami kamiennej posadzki, po czym spróbowałem się dźwignąć. Wysilek mnie przerósł. Gdzieś z zakątków umysłu wyłoniła się babka, wysoka, majestatyczna, przerażająca w tych swoich szkarłatach. *Wstawaj!* I wtedy, rycząc z wysiłku i bólu, wstałem.

Zachwiałem się w tył i oparłem o ścianę, jard od szczeliny, która sunęła pod workami. Ziarno wsypywało się w pęknięcie w kamieniu, a potem strzelało dziwnie i wyskakiwało z niej wywrócone na lewą stronę.

Pozbawiony klasycznej drogi ucieczki, człowiek czasem musi uciec się do ekstremalnych sposobów. Baraęł ciągle mówił o moim rodzie. W mojej wyobraźni na pierwszy plan wysuwała się Czerwona Królowa - apodyktyczna, nieustraszona, ale ponad jej ramieniem ujrzałem Garyusa i Milczącą Siostrę, a za nimi ojca. Drwiłem z niego, nazywałem tchórzem, pijakiem, pustym klechą, ale w głębi duszy wiedziałem, co go złamało i że nie odwrócił się nigdy, gdy matka go potrzebowała, że nie poddał się swoim demonom, dopóki zabrakło dla niej nadziei.

Zrobiłem krok w stronę szczeliny, pęknięcia pomiędzy światami, ukląknęłam na jedno kolano i sięgnąłem ku niej.

- Jest moje, ja je zrobiłem, a zakłęcie, które je zapoczątkowało, stworzyła moja krew. Nieprzerwany łańcuch rodowy łączy mnie z tą, która je rzuciła. - Położyłem rękę na posadzce i wkładając w to wszystko, co tkwiło w jądrze mojej duszy, zacisnąłem pęknięcie palcami.

Szczelina buchnęła jasnością, pociemniała, znów błysnęła i zaczęła kurczyć się, póki nie zostało jej może na stopę, linii splecionego światła i mroku, biegnącej od miejsca, gdzie ścisnąłem ją pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym.

Coś stęknęło, napięło się i spod palców zaczęły mi się rozchodzić miniaturowe pęknięcia, które wpełzły mi na wierzch dłoni, przyprawiając o przeraźliwy ból.

- Nie utrzymam jej, Snorri. -I tak umierałem, ale zakłęcie siostry babki zamierzało chyba zmienić ten proces z powolnego konania w nagłą śmierć.

Musiał podczołgać się, pokonując przeszkody z worków. Wielkie mięśnie na ramionach drżały z wysiłku, a z jego ust wypływała krew. Ale udało mu się. Nasze spojrzenia skrzyżowały się, kiedy zbliżał dłoń do drugiego końca.

- Czy to umrze razem z nami? Skończymy to?

Przytaknąłem, a wtedy zwarł kciuk i palec wskazujący na szczelinie.



Trzeszczenie drewna płonącego na palenisku. Odprężyłem się. W snach czekały na mnie ognie piekielne, gotowe czerpać paliwo z moich grzechów. Leżałem długie minuty, rozkoszując się ciepłem, obserwując migające pod powiekami echa cieni i światła.

- Uciekajmy! - Usiadłem gwałtownie, przypominając sobie schron, nienarodzonego, otwierające się drzwi... - Co do licha? - Spojrzałem na futrzane okrycia, które opadając, odsłoniły nienaruszoną skórę na boku, gdzie powinna być dziura przechodząca zapewne na wskroś kilku niezwykle ważnych organów wewnętrznych. Dotknąłem tego miejsca, ale poczułem tylko lekką tkliwość, nic ponad to. Obmacałem się z góry na dół, poklepując i poszczypując. Nie znalazłem urazu poważniejszego od dziwnego sińca.

Rozejrzałem się. Sala Czarnej Warowni, lekko kulejący w moją stronę Tuttugu.

- Ty nie żyjesz! - Zacząłem szukać miecza. - Widziałem, jak grzmotnąłeś o ścianę!

Tuttugu z uśmiechem złapał się za brzuszysko.

- Porządna wyściółka. - A potem poważniej dodał. - Ale nie przeżyłbym, gdyby nie leczenie. I ty też.

- Co z nienarodzonymi? - Snorri twierdził, że było ich kilkunastu. Zaschło mi w gardle, więc rozłożyłem ręce, żeby sobie pomóc.

- Ci, którzy nie zostali zniszczeni uciekli. To samo z nekromantami, Czerwonymi Wikingami, trupami... Już ich nie ma. A jak ty się czujesz? - Tuttugu wydawał się jakby zaniepokojony.

- Dobrze. Zupełnie dobrze. Lepiej niż dobrze. - Uszczypnięcie w udo, tam, gdzie miałem ranę, wcale nie zabolęło. - Jak to możliwe?

- A więc nie czujesz się... mroczny? - Tuttugu zacisnął usta w cienką kreskę. Jego twarz nie zdradzała niczego.

- Hm, nieszczególnie. - Rozejrzałem się za Snorrim, ale zobaczyłem tylko stertę futer i trochę zapasów powiązanych w pakunki. - Jak to się stało? - Przecież nie mogłem się sam leczyć.

- To Snorri - wyjaśnił Tuttugu ponuro. - Powiedział, że walkiria...
- Anioł?
- Mówił o walkirii. Że mu pomogła. I coś jeszcze, ale pod koniec nie był już w stanie mówić. Coś jak... ale nie ma męskich walkirii. Ta walkiria chyba była raczej bogiem...

- Baraqel? Powiedział, że to był Baraqel?

Tuttugu przytaknął.

- Pod koniec? - Żołądek mi się ścisnął, kiedy przypomniałem sobie, ile wysiłku kosztowało leczenie. - Czy on...?

- Nie żyje? - Tuttugu podszedł utykając do sterty futer. -Nie, ale powinien być martwy. - Podniósł skórę wilka, odsłaniając Snorriego. Wiking był blady, ale oddychał. Wyglądał raczej, jakby spał, a nie był nieprzytomny. Zgruchotane kości policzka zostały nastawione, a skóra nad nimi zeszyta. - Zrobiłem, co mogłem. Teraz trzeba czekać.

- Jak długo spałem? - Wydawało mi się to ważne, choć wrogowie uciekli.

- Cały dzień, Jal. Niedługo zachód.

- Ale... Skoro Snorri... Mówiłeś, że to był Baraqel? I to leczenie... Czyli posiada teraz łaskę światłości. - Popatrzyłem jeszcze raz na siebie, tam, gdzie miałem rany. - Czyli teraz zaprzysiężony mrokowi...

Tuttugu skinął potwierdzająco.

- Aha.

Położyłem się z powrotem. Do Vermillionu była daleka droga, a jeśli nie udałoby nam się wyruszyć przed nadejściem zimy, musielibyśmy zostać w Czarnej Warowni aż do wiosny. Dałbym radę. A potem wystarczyłoby zebrać resztki nowo zrodzonej odwagi i stanąć przed obliczem babki, domagając się, żeby jej przekłeta siostra zdjęła z nas czar.

Oczywiście to zależało od tego, czy przed dotarciem do Vermillionu ktoś nie wybiję mi tego z głowy.

Gdzieś poza twierdzą zachodziło słońce. Zamknąłem oczy i czekałem, żeby zobaczyć, jak przekonująca może być Aslaug.

Sześć tygodni później nadciągnęły pierwsze zimowe śniegi. Spadły z ołowianych chmur przywianych przez mroźny wiatr.

- Bądź dobrym chłopem, Tuttugu i przynieś mi jeszcze piwko.

Tuttugu z zadowoleniem wzruszył ramionami, odsunął talerz z pieczonym kurczęciem i poszedł napełnić kufel.

Na zewnątrz ulice Trondu zasypał śnieg. Nie przejmowałem się tym. Otuliłem się szczelniej futrzyskiem, prawdopodobnie białego niedźwiedzia, dokładnie takiego, po jakim Snorri skakał w Krwawych Dołach. Ciepłe, miękkie. Nikt nie wchodził ani nie wychodził bez dobrego powodu, a to w tawernie Pod Trzema Toporami oznaczało raczej pustki -pewnie to skłoniło właściciela do

odsprzedania mi knajpy wraz z zapasami i niemałym składem beczek za jedyne dwa diamenty z medalionu matki.

Przyjemnie było zrzucić z siebie tyle lęków, trosk i siedzieć sobie bezpiecznie, w ciepłe, w środku tęgiej zimy. Teraz długimi nocami martwiły mnie jedynie drobiazgi, a jeśli nawet nie całkiem drobiazgi, to przynajmniej na tyle odległe, że takimi mogły się zdawać. Problem Maeressa Allusa wyglądał na bagatelkę w porównaniu z tym, jak wrócić do domu. Jediną rzeczą, która nie pozwalała mi zasnąć - w każdym razie jedyną niemiłą - była myśl, że choć Nienarodzony Kapitan wystraszył mnie tak, że serce przestało mi bić i choć jego spojrzenie było koszmarne, to nie jego oczy patrzyły na mnie przez szpary w porcelanowej masce w tamtym odległym miejscu i czasie. Wzrok istoty z opery był znacznie gorszy i prześladował mnie nawet teraz.

Życie jest piękne.

Dzisiaj Astrid musiała iść do pracy, ale grzała mnie za to śliczna Edda. Snorri mówi, że to się skończy płaczem i spogląda na mnie z odrazą i miną mówiącą, że do tej pory powinienem się czegoś nauczyć. Ja uważam, że jeśli będę żonglował, każda z kul będzie się utrzymywała w powietrzu (nawet Hedwiga, piękność, na którą mam oko, córka jarła Sorrena) i nigdy nie dostanę za swoje, choćbym bardzo na to zasługiwał. Aslaug zgadza się ze mną. Muszę powiedzieć, że jest zdecydowanie bardziej zgodna niż Baraquel. Nie rozumie, czemu Snorri darzył ją taką niechęcią.

Tak, powinienem dorosnąć i tak, uczynię to, ale jutro. Dzisiaj chcę sobie pożyć. Tak więc siedzieliśmy w Trzech Toporach i nie robiliśmy nic. Zima uwięziła nas w bezpiecznym małym światku, z dala od zewnętrznego świata. Ironia, że choć naszą zdobyczą był klucz, który otwierał wszystko, my nie mogliśmy wydostać się z Trond, dopóki wiosna nie skruszy lodów i nas nie uwolni.

Tam, w tej koszmarnej twierdzy, besztany codziennie przez Baraquela za marne życie, które zresztą w końcu zawisło na włosku, naprawdę zacząłem się zastanawiać, czy nie zabrać się do roboty i nie zmienić wszystkiego. Zacząłem widzieć swoją egzystencję opierającą się na winie, kobietach i śpiewie jako coś płytkiego. A nawet żałosnego. W drodze do Czarnej Warowni, przemierzając nieskończone przestrzenie lodów, modliłem się o śmierć, przysięgałem traktować ludzi lepiej, pozbyć się paskudnych uprzedzeń. Chciałem udać się do Lisy DeVeer, przysiąc jej wierność, zdać się na jej łaskę, stać się prawdziwym mężczyzną, jakim w tym wieku być powinienem, a nie dzieckiem, na jaki mój wiek mi pozwalał. A najgorsze, że naprawdę tak czułem!

Aslaug szybko postawiła mnie do pionu. Potrzebowałem tylko kogoś, kto utwierdzi mnie, że było mi dobrze tak, jak było, klepnie mnie w zadek i powie, że tam czeka na mnie cały świat, wystarczy iść i brać!

Jeśli chodzi o Snorriego, to zrobił się jeszcze większym ponurakiem, odkąd

Baraquel co rano go poucza. Można pomyśleć, że skoro stracił całą rodzinę i dokonał zemsty, ruszy dalej. Tak jak Tuttugu, który łowi z miejscowymi na zamarznętej zatoce. Twierdzi nawet, że znalazł sobie dziewczynę. Ale Snorri nadal rozpamiętuje przeszłość. Mróz ścina fale w ruchu, a on siada na ganku, opatulony, z toporem na kolanach i wpatruje się w klucz.

Osobiście lubię klucze i to bardzo, ale ten kawałek obsydianu budzi we mnie niechęć. Sam jego widok sprawia, że człowiek zaczyna myśleć. A myślenie dla nikogo dobrze się nie kończy. A już szczególnie dla takich jak Snorri ver Snagason, którzy pomyślą coś i biorą się do działania. Snorri siedzi i gapi się w ten klucz, a w głowie roi mu się od pomysłów - wcale nie potrzebuję podpowiedzi Aslaug, żeby o tym wiedzieć. Ma w ręku klucz, który otwiera każde drzwi. Ma martwą rodzinę. A gdzieś tam są drzwi do zaświatów, drzwi, które otwierają się w obie strony, drzwi, które nie powinny być otwierane, drzwi, których nie dało się otworzyć.

Do tej pory.

